Barbara
SZMIGIERO

Pielgrzymka INACZEJ

Pełna ironii i humoru opowieść o współczesnym pielgrzymowaniu do Ziemi Świętej

NOVAE RES

Barbara Szmigiero

Pielgrzymka INACZEJ

NOVAE RES

SPIS TREŚCI

~ WIADOMOŚĆ ~

~ PRZYGOTOWANIA I WYJAZD ~

~ PIELGRZYMKA. DZIEŃ I ~

~ DZIEŃ II ~

~ DZIEŃ III ~

~ DZIEŃ IV ~

~ DZIEŃ V ~

~ DZIEŃ VI ~

~ DZIEŃ VII ~

~ DZIEŃ VIII ~

~ DZIEŃ IX ~

~ DZIEŃ X ~

~ DZIEŃ XI ~

~ DZIEŃ XII ~

~

Dla męża, Asi i Gosi,
bez wsparcia których ta moja pisanina
nigdy by nie nabrała realnych kształtów.
Wielkie dzięki!

~ WIADOMOŚĆ ~

Styczeń 2013 roku

Telefon. W słuchawce słyszę władczy głos „ciotki z Wiednia”, czyli mojej siostry Beaty:

– Cześć! Zapisałam cię na pielgrzymkę do Ziemi Świętej na maj. Organizuje ją Koło Katolickie działające przy polskim kościele w Wiedniu. O nic się nie martw! Wszystkie koszty ja pokrywam! I tak nie masz w domu nic do roboty, a mnie z tobą będzie raźniej. Nie chcę słyszeć jakichkolwiek wykrętów, to już postanowione! Prześlę ci trochę pieniędzy, abyś zaopatrzyła się w stosowne, lekkie ciuchy i miała na podróż do Wiednia. U was wszystko w porządku?

–Tak – zdołałam wyszeptać.

– U mnie też! To na razie, zadzwonię za parę dni. Pozdrów dzieciaki i Jacka. Cześć!

Trzask w słuchawce – rozłączyła się. Ja jednak jeszcze dłuższą chwilę stałam jak sparaliżowana ze słuchawką w ręce, zanim do mojego mózgu dotarł cały sens tej wiadomości. Co robić? Czy się cieszyć? Czy może raczej nie?

Ziemia Święta, Jerozolima, Izrael ze wspaniałymi miejscami historycznymi, które tak zawsze chciałam zobaczyć, to przecież niepowtarzalna gratka dla mnie, miłośniczki zabytków. Widziałam już siebie zwiedzającą Stare Miasto w Jerozolimie, Dzielnicę Żydowską, Ścianę Płaczu, bazylikę Grobu Świętego, a nawet Qumran ze słynnymi zwojami… Ale! Ale! To przecież nie ma być mój prywatny wyjazd, lecz niestety wyjazd grupowy i to do tego katolicka pielgrzymka. Wyobraźnia podsunęła mi od razu obrazy, które zarejestrowałam podczas zwiedzania sanktuarium Matki Bożej Częstochowskiej na Jasnej Górze w sierpniu zeszłego roku, w okresie wzmożonych pielgrzymek. Przed moimi oczami stanęły zmęczone, utrudzone twarze starszych kobiet i mężczyzn oraz młodzieży żarliwie modlących się i śpiewających z dumą pieśni religijne. Ich postawa skojarzyła mi się wówczas z radykalizmem, a wręcz z fanatyzmem religijnym, który we mnie zawsze wzbudzał poczucie niesmaku. Czy ja też będę zmuszona do przyjęcia podobnej postawy? Krew się we mnie wzburzyła na samą myśl o tym. Na pewno nie! Beata nie może tego ode mnie wymagać! Wprawdzie jestem katoliczką, przecież zostałam wychowana w tej kulturze, ale od dłuższego już czasu, jak to się popularnie zwie, jestem niepraktykująca, czyli nie chodzę na msze, nie przyjmuję sakramentów, nie poszczę etc. Skłaniam się raczej ku uproszczonemu, może i gnostycznemu rozumieniu Boga, a przede wszystkim zasadzie, że Bóg jest w każdym miejscu i aby z Nim się porozumieć, nie potrzeba mi

żadnych pośredników. Gdy czuję potrzebę rozmowy z Nim, siadam po prostu w ustronnym miejscu i się wtedy modlę, absolutnie się tym nie afiszując. Uważam, że jest to tylko i wyłącznie moja sprawa i nikt na ziemi nie ma prawa mnie w tej kwestii osądzać. Etykietką heretyczki się nie przejmuję! No i jeszcze „ciotka”. Beata jest człowiekiem, że do rany przyłóż, bardzo dużo jej zawdzięczam, pomaga mi i moim dzieciom, jak tylko potrafi, w różnych aspektach życia, jednak jest też (no właśnie) jeszcze jedno ale. Sęk tkwi w tym, że najlepiej wychodzi nam siostrzana miłość na odległość. „Ciotka” ma kłopotliwą przywarę, uważa ona mianowicie, że zarówno z racji wieku (jest ode mnie o kilka lat starsza), jak i ze względu na pomoc, jaką okazuje mnie i mojej rodzinie, ma prawo sterowania pewnymi moimi poczynaniami, co bywa często irytujące. Szczególnie się to ujawnia w naszych codziennych, bezpośrednich kontaktach. A przecież podczas pielgrzymki będziemy na siebie zdane przez całe dwa tygodnie. Strach pomyśleć, jak ja to przetrwam!

Targana tymi wewnętrznymi rozterkami postanowiłam zasięgnąć rady u mojego ślubnego. Jacek po wysłuchaniu moich wszystkich za i przeciw wydał autorytatywny werdykt.

− Wariatka jesteś i tyle! Czym ty się przejmujesz? Czy ktoś tam będzie zwracał specjalną uwagę na ciebie, patrzył, czy i jak się modlisz? Zawsze możesz wyjść z kościoła. Nikt cię tam na siłę nie będzie trzymał. A jeśli ludzie zaczną coś między sobą o tobie gadać, to pal licho. I tak na takich

imprezach każdy każdego obmawia, żeby nie powiedzieć dosadnie dupę rąbie. Przede wszystkim te najbardziej świętoszkowate matrony. Z „ciotką” też jakoś wytrzymasz. Zejdź na ziemię, przecież taka okazja może ci się więcej nie trafić. Pielgrzymka pielgrzymką, a co zobaczysz, tego nikt ci nie odbierze. − Na koniec jeszcze pragmatycznie dodał: – I masz mieć to wszystko gratis.

Argument nie do odrzucenia. Klamka zapadła – jadę.

~ PRZYGOTOWANIA I WYJAZD ~

Kwiecień−maj 2013 roku

Czas na poważnie zabrać się do przygotowań do podróży. W marcu Beata zawiadomiła mnie, że ze względu na pogorszenie się stanu zdrowia jej męża jest zmuszona zrezygnować z pielgrzymki. Boi się go samego zostawić na dwa tygodnie. Ja jednak mam jechać – zadecydowała. Jej decyzję znowu przyjęłam z wahaniem. Przez ten czas już pogodziłam się z myślą, że będziemy razem, a tu taka niespodzianka. Jako że z natury nie jestem osobą zbyt otwartą i komunikatywną, podróż i przebywanie z całkiem obcymi ludźmi, którzy się jednak między sobą znają, nie napawała mnie optymizmem. Będę dla nich dobrym materiałem do obmowy. Nie wiadomo też, z kim przyjdzie mi zamieszkać. Pokoje mają być dwuosobowe. W tej kwestii jednak Beata obiecała, że załatwi z kierownikiem pielgrzymki, aby chociaż pod względem wieku przydzielił mi odpowiednią osobę. To jedna strona medalu, jednak patrząc na tę sytuację realnie, dostrzegłam ten plus, że przynajmniej nie będę musiała podporządkowywać się Beacie. Będę mogła robić to, co mnie się podoba.

Zgodnie z instrukcjami z Wiednia przejrzałam moją garderobę pod kątem pielgrzymki oraz sprawdziłam w Internecie średnie temperatury panujące w maju w Izraelu. Okazało się, że zakup kilku sztuk bielizny, letniej sukienki, przynajmniej jednej, spodni i wygodnych sandałów jest bezwarunkową koniecznością. Myślałam, że przebrnę przez zakupy bezboleśnie i uda mi się wszystko załatwić w jeden dzień, tak się jednak nie stało. Znowu dała mi się we znaki moja niezdecydowana natura, co doprowadziło do tego, że zanim wybrałam spodnie, odnośnie do których nie miałam wątpliwości, że dobrze mi pasują, i wygodne sandały, minął prawie cały dzień. Gdy oznajmiłam Jackowi, że jeszcze następny muszę poświęcić na zakupy, załamał bezradnie ręce i zgrzytnął wymownie zębami. To nic, grunt, że na drugi dzień po południu wróciłam tryumfalnie do domu obładowana torbami i oddałam się bez reszty przymiarkom nowo zakupionych rzeczy, co jest sprawą oczywistą dla każdej kobiety, lecz Jacek tego nie może pojąć. Dni biegły nieubłaganie, do wyjazdu pozostawały jeszcze jakieś dwa tygodnie. Wszystkie większe zakupy już zrobiłam, zostały mi tylko drobne zakupy toaletowe, zamówienie wizyty u fryzjera i kosmetyczki. Przecież nie wyjadę za granicę jak gąska z prowincji. No i jeszcze potajemny, aby uniknąć kłótni z mężem, zakup rakiety papierosów. Pod tym względem jestem uparta jak osioł i wszelkie racjonalne argumenty ze strony męża i reszty rodziny do mnie nie docierają. Palę i kropka.

W międzyczasie zarezerwowałam telefonicznie miejsce w firmie zajmującej się przewozem osób busami do Wiednia na wyjazd osiemnastego maja, w sobotę. W Wiedniu byłabym w niedzielę, dziewiętnastego, a wylot do Izraela był ustalony na poniedziałek, dwudziestego, rano. Zdawało się, że wszystko mam dopięte na ostatni guzik i spokojnie mogę intelektualnie przygotowywać się do podróży.

Intelektualnie, ponieważ nawiązałam kontakt e-mail z kierownikiem pielgrzymki, panem Zenkiem, który przychylił się do mojej prośby i przesłał mi pocztą elektroniczną program wyjazdu. Ucieszyłam się niezmiernie, że nie obejmuje on tylko miejsc związanych ściśle z kultem chrześcijańskim, ale zahacza także o ważne starożytne zabytki. Przyrzekłam sobie dużo poczytać w Internecie o tych wszystkich ciekawych miejscach. Przyrzeczenia przyrzeczeniami, lecz jak to często u mnie bywa, skończyło się na słomianym zapale. Po ślęczeniu przez dwa wieczory i czytaniu suchych wiadomości o poszczególnych kościołach w samej tylko Jerozolimie miałam mętlik w głowie. Robienie jakichkolwiek notatek też uznałam za bezsensowne. Wobec powyższego postawiłam na własne odczucia i doznania, które będą mi towarzyszyć podczas wyprawy.

Czarne chmury nad moją podróżą zaczęły gromadzić się od niedzieli, dwunastego maja. Była ładna pogoda, więc postanowiłam wytaszczyć z piwnicy dużą podróżną walizkę celem jej przewietrzenia i ewentualnie wytarcia z kurzu. I tu szok, bo w piwnicy walizki nie było! Wściekła

rozpoczęłam śledztwo. Jacka mogłam od razu wykluczyć. Nigdzie ostatnio sam nie wyjeżdżał. Sporadycznie na szkolenia, ale wtedy brał ze sobą torbę turystyczną. Za podejrzanego numer jeden tej sprawki uznałam moją młodszą latorośl, która już w przeszłości dopuszczała się podobnych czynów. A mianowicie pożyczania różnych rzeczy swoim znajomym bez wiedzy ich prawowitych właścicieli. Pawełek, który akurat chwilowo rezydował w domu, kategorycznie zaprzeczył mojemu pomówieniu. Ani on, ani jego dziewczyna Olga walizki nie zabierali. Cóż, w grę mógł wchodzić w takim razie tylko Piotruś – starszy syn. Kłopot w tym, że Piotruś przebywa obecnie w Norwegii. Rozmowa z nim na Skypie, późnym wieczorem, potwierdziła moje domysły. Piotruś przyznał się, że zabrał walizkę ze sobą do Norwegii, ale jak sam stwierdził, sprawa nie jest beznadziejna.

– Spoko, mama, ta twoja walizka jest już z powrotem w Polsce, u mojego kolegi, Zbyszka. Ja mu ją pożyczyłem, gdy wracał do domu, do Poznania. On tam mieszka, ale pracuje w Koninie i tylko na weekend wraca do siebie. Ja zaraz się z nim skontaktuję i w przyszły piątek wieczorem na pewno będziesz ją już miała. To ci przecież wystarczy. Jedziesz do Wiednia dopiero w sobotę po południu!

No tak, właściwie to nic takiego. Ostatecznie rzeczy mogę już sobie wcześniej naszykować, a spakować je dopiero w ostatniej chwili, gdy będzie do czego. Tylko dlaczego coś takiego musi mi się zawsze przytrafić? Beata by na pewno wpadła w histerię. Ona przed każdą podróżą

walizki ma spakowane na parę dni wcześniej, a ja zawsze wszystko na ostatnią chwilę muszę robić – gorzko pomyślałam, nie przeczuwając nawet, że problem z walizką okaże się błahy w porównaniu z fatalnymi wieściami, jakie przyniósł mi poniedziałek.

Jacek − do dziś nie wiem, czy kierując się troskliwością o mnie, czy raczej z radości, że przynajmniej na jakiś czas będzie sam w domu − przezornie zadzwonił potwierdzić mój przejazd busem do Wiednia osiemnastego maja. To, co usłyszał od szefa firmy przewozowej, wywołało naszą konsternację.

– Dobrze, że pan dzwoni, bo właśnie miałem państwa powiadomić, że ze względu na święto przypadające w Wiedniu dwudziestego maja (dzień mojego wylotu do Izraela) nasi klienci, Polacy pracujący tam, poprosili o przesunięcie kursu z soboty po południu na niedzielę, dziewiętnastego, wieczorem i ja się do tego dostosowałem. Czy państwu to odpowiada?

– Szlag by jasny trafił, ale gdzie tam! – brzmiała nasza odpowiedź. − To dla mnie nie do przyjęcia. Byłabym wówczas dopiero nad ranem w Wiedniu i od razu bym musiała dostać się na lotnisko, daleko za Wiedniem, a jeśli po drodze coś by się stało z autem, to nie zdążę i wtedy mogę się pożegnać z lotem do Izraela.

– Rozumiem państwa, ale w zaistniałej sytuacji nie mogę pani pomóc. Nie jestem w stanie zorganizować kursów zarówno w sobotę, jak i w niedzielę. Będziecie musieli państwo poszukać innego środka lokomocji.

Jedynie, co mogę zaproponować, to przejazd samochodem prywatnym, ale to już jutro po południu. Mój znajomy wraca do Wiednia samochodem i ma wolne miejsca. Jeśli się państwo na to zdecydują, proszę o odpowiedź dzisiaj do godziny dwudziestej drugiej.

Była godzina szesnasta. Co robić? Ciężko opadłam na fotel, niezdolna do myślenia. Jacek gorączkowo serfował w Internecie w poszukiwaniu innych połączeń z Wiedniem. Pociąg odpadał, gdyż wszystkie miejscówki były już wykupione, a poza tym i tak musiałabym dojechać albo do Katowic, albo do Warszawy. Co oznaczałoby jeszcze większe koszty. O samolocie mogłam od razu zapomnieć. Raz, że koszt potworny, a dwa − i tak z Poznania nie ma bezpośrednich połączeń. Opcja zawiezienia mnie przez męża też odpadła. Stan naszego samochodu nie bardzo na to pozwalał i do tego Jacek był akurat zawalony pracą. Powoli dochodziło do mnie, że za bardzo nie mam innego wyjścia i muszę już jutro wyjeżdżać. Znowu wszystko na wariackich papierach. Postawiłam warunek. Zgoda, jadę jutro, jeśli zdołam umówić się na rano z moją kosmetyczką i z fryzjerką. Na szczęście obydwie pracują w jednym lokalu. Pani Ela – kosmetyczka − w drodze wyjątku zgodziła się mnie przyjąć i obiecała porozmawiać w mojej sprawie z fryzjerką. Oddzwoni za chwilę. Nerwowo czekałam na jej odpowiedź. W końcu się odezwała:

– Dobrze. Proszę przyjść jutro punktualnie na dziewiątą, my już będziemy na panią czekać. Postaramy się równocześnie podciąć pani włosy, nałożyć farbę, zrobić

manicure i pedicure. Do dwunastej trzydzieści powinnyśmy skończyć, tak jak pani sobie życzyła.

Odetchnęłam z ulgą. Chociaż to udało mi się w miarę dopasować. Teraz telefon do Beaty, wyjaśnienie całej sytuacji, w tym sprawa pożyczki walizki, bo na swoją w zaistniałych okolicznościach nie miałam już co liczyć, i będę mogła się pakować. O dziwo, „ciotka” wiadomość o moim wcześniejszym przyjeździe przyjęła pogodnie, tylko walizkę kąśliwie skomentowała:

– Ty to zawsze musisz mieć jakieś przeboje!

Fakt. Przyznałam jej całkowitą rację.

Po tym całym napięciu wyjęcie z szaf i upchanie mojego dobytku podróżnego z konieczności do małej walizki i turystycznej torby szło mi niezwykle opornie. Guzdrałam się z tym prawie do północy. Nazajutrz z narastającym bólem głowy poddałam się zabiegom fryzjerskim i kosmetycznym. Efekt był zadowalający. W domu zażyłam środki przeciwbólowe, coś tam przekąsiłam, naszykowałam sobie jakie takie kanapki na drogę i mogłam wreszcie jechać, modląc się w duchu, aby znowu nie spotkała mnie jakaś przykra niespodzianka.

Droga do Wiednia przebiegła bez zakłóceń. Mój kierowca okazał się sympatycznym chłopakiem. Opowiedział o swojej pracy w stadninie koni nieopodal Wiednia i o przygotowaniach do jego wesela, które miało się niebawem odbyć. Ja w zamian streściłam mu karierę zawodową synów. Gdy wyczerpały się nam bieżące tematy, taktownie milczeliśmy. Cieszyłam się, że jazda osobówką

zapewnia o wiele lepszy komfort aniżeli bus, w którym fotele są blisko siebie i nie ma możliwości swobodnego wyciągnięcia nóg, co w moim przypadku jest ważne ze względu na ich długość. W pewnym momencie naszły mnie wyrzuty sumienia, że przez tę całą zwariowaną sytuację i pośpiech nie zdążyłam odpowiednio zaopatrzyć lodówki mojemu mężczyźnie. Szybko je od siebie odpędziłam. To dobrze! Niech się sam trochę pomęczy, może dzięki temu po powrocie bardziej zacznie mnie cenić?

Dni u Beaty upłynęły bardzo szybko. Tradycyjnie włóczyłyśmy się po I Bezirku i Stadtparku. Obowiązkowa wizyta w polskim kościele. Ostatnie formalności związane z wyjazdem, drobna przepierka, prasowanie tych rzeczy, z którymi nie zdążyłam się uporać w domu, i ostateczne ich przepakowanie do dużej, eleganckiej walizki „ciotki". Jeszcze kasa, drobne po jeden dolar na ofiarę zbieraną podczas codziennej mszy, ostatnie porady − co i gdzie najkorzystniej kupić. Uff… Mogę lecieć.

~ PIELGRZYMKA. DZIEŃ I ~

Poniedziałek

Poranek w Wiedniu był mglisty i wietrzny. Mając na sobie bluzkę z krótkim rękawkiem i cienki żakiecik, w oczekiwaniu przed domem Beaty na transport na lotnisko zdążyłam porządnie zmarznąć. Dobrze, że chociaż dżinsy długie włożyłam. Pocieszałam się myślą, że już niedługo. W Izraelu na pewno wygrzeję się na słońcu! Przyjechali po mnie pan Zenek ze swoim szwagrem, który nie leciał na pielgrzymkę, był tylko naszym kierowcą, i Zosia, moja przyszła współlokatorka. Wymieniłyśmy uścisk dłoni. W trakcie rozmowy padły sondażowe pytania − stan cywilny, dzieci, praca, dom etc. Szybko zdołałam przełamać nieufność. Już wysiadając z samochodu, byłam prawie pewna, że znalazłam w Zosi pokrewną duszę. Jak się później okazało, ona także. Jedyne, co mnie trochę w niej irytowało, to jej piskliwy, mało wyraźny głos. Mam wadę słuchu i jestem na to szczególnie wyczulona. Gdy zaczęła mnie ogarniać irytacja, szybko się sama zbeształam. Przestań, nie jest źle, a ty szukasz dziury w całym − pomyślałam. Podobne wrażenie, że wszystko dobrze się

układa, odniosłam, stojąc w holu lotniska podczas zbiórki uczestników pielgrzymki. Z ulgą odnotowałam fakt, że przeciętna wieku, przynajmniej wizualnie, jest zbliżona do mojego, czyli wieku średniego. Odstępstwo stanowiła Kasia, szesnasto–siedemnastolatka, oraz kilka puszystych pań bardziej posuniętych w latach. Dominowały kobiety. Naliczyłam pięć małżeństw. W sumie, dodając do tego kierownika pielgrzymki i pana Rysia – organistę – nasza grupa liczyła około trzydziestu osób.

Odprawę bagażową i paszportową przeszliśmy gładko. Do odlotu pozostawało nam jeszcze multum czasu. Czekając we właściwym gate[1], po raz pierwszy miałam możliwość bezpośredniego zetknięcia się z religią judaistyczną. Otóż pośród oczekujących na wylot pasażerów rzucała się w oczy grupka ortodoksyjnych Żydów. Łatwo ich było rozpoznać po czarnych ubraniach, z długimi, przypominającymi dziewiętnastowieczne surduty marynarkami, w białych koszulach i czarnych kapeluszach, spod których zwisały, znacznie poniżej uszu, zakręcone pejsy. Całości dopełniały starannie przystrzyżone brody. Ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu, innych osób pewnie też, na znak dany przez najstarszego członka tej grupki, być może rabina – nie potrafiłam rozpoznać – przeszli oni w najdalszy kąt sali. Wyjęli z podręcznych bagaży akcesoria do modlitwy w postaci jarmułek − malutkich okrągłych czapeczek i tałesów − modlitewnych białych chust z czarnymi pasami po bokach i frędzlami w rogach. Dodatkowo każdy na czoło nałożył coś, co przypominało małe pudełeczko – górniczą

latarkę – a lewą rękę wokół środkowych palców i przedramienia oplótł rzemykiem, którego końce ginęły w połach surduta na wysokości serca. Nie miałam pojęcia, co mają symbolizować te dwa ostatnie przedmioty. Postanowiłam się tego na miejscu koniecznie dowiedzieć. Po tych przygotowaniach bez żadnego skrępowania przystąpili do modlitwy, trzymając w rękach kieszonkowe modlitewniki i rytmicznie kiwając głowami w takt szeptem wymawianych słów. Tę ich jawną manifestację wiary w otwartej, publicznej przestrzeni zaszufladkowałam jako przejaw innej, całkiem obcej mi kultury. Najbliższa przyszłość pokazała, że nadspodziewanie często będę mogła obserwować społeczność ortodoksyjnych Żydów.

W samolocie nasza pielgrzymka siedziała razem. Mnie przypadło miejsce przy oknie, obok Kasi, tej nastolatki. Upchałam swoją pokaźną torebkę w luku nad siedzeniami, dziewczyna zaś, wyjąwszy ze swojego plecaka dwa słusznych rozmiarów tomiska do nauki języka francuskiego, włożyła bagaż do koszyka, tym samym skutecznie ograniczając moją swobodę ruchów.

– Zaraz po pielgrzymce mam trudny egzamin z francuskiego i muszę wykorzystać każdą chwilę na naukę – wyjaśniła przepraszającym tonem.

– Okay, nie będę ci przeszkadzać – odparłam uprzejmie. Sama też nie byłam zainteresowana prowadzeniem na siłę konwersacji.

Ogarnęło mnie znużenie. Gapiłam się bezwiednie w okno, co jakiś czas próbując zmienić pozycję. Okazało się

to nie lada sztuką, zważywszy na ciasnotę siedzeń samolotowych, a dodatkowo jeszcze przeszkadzały mi plecak i książki Kasi. Najchętniej wypiłabym dla kurażu lampkę wina, serwowanego często przez stewardesy, lecz poprzestałam na soku jabłkowym. Nie chciałam dostać małpiego rozumu. Ze mną nigdy nic nie wiadomo, lepiej nie ryzykować! Z otępienia wyrwał mnie widok z okna. Samolot niewyczuwalnie zmniejszył pułap i pod nami rozpostarła się tafla Morza Śródziemnego. Przelatywaliśmy nad kolejnymi wyspami, które z góry zachwycały różnorodnością barw. Nie bardzo orientowałam się w ich nazwach, gdyż nie śledziłam na bieżąco lotu, w przeciwieństwie do moich sąsiadów z przodu – starszego małżeństwa. Miałam tak samo jak oni folder z wytyczoną trasą, niestety moje okulary leżały w torebce, w luku. Dlatego gdy kolejna wyspa wydała mi się znacznie większa od pozostałych, przyszło mi do głowy, że to chyba musi być Kreta. Chcąc się upewnić, zaryzykowałam i skierowałam do nich pytanie:

– Przepraszam, czy teraz lecimy nad Kretą?

– A to pani nie wie?! Nie zna się pani na geografii. Trzeba było poczytać – usłyszałam opryskliwą odpowiedź dziadka.

We mnie zawrzało. Ja tu grzecznie, a dziadek co?! Nauczyciel jakiś poplątany! Burak jeden i tyle. A niech go gęś kopnie! Przeklinałam w myślach, po co pytałam, do licha?! Po tym epizodzie postanowiłam to małżeństwo omijać szerokim łukiem. Z satysfakcją odnotowałam

później, że nie cieszyli się oni sympatią wśród pozostałych. Mała rzecz, a cieszy.

Tel Awiw-Jafa przywitał nas żarem buchającym z nieba. Miałam zatem rację w Wiedniu co do słońca. Jadąc autobusem bez klimatyzacji do hali przylotów około dwudziestu minut, czułam, jak pot ścieka mi po plecach, a mój staranny makijaż roztapia się w zastraszającym tempie. Chciałaś, to masz! Wreszcie klimatyzowany budynek obstawiony z zewnątrz kordonem w pełni uzbrojonego wojska. Podobnie wewnątrz. Izraelskie patrole wojskowe na każdym kroku. Cóż, nie ma się co dziwić − Izrael to wciąż niespokojny kraj. Wrażenie było jednak przytłaczające. Czuliśmy się jak więźniowie w zakładzie o zaostrzonym rygorze. Kierowano nas od jednego przejścia do drugiego, schody ruchome, góra, dół, rewizja bagażu osobistego, aby na koniec jeszcze być zmuszonym odczekać w tasiemcowych kolejkach na dodanie do paszportu wizy pobytowej. Zagadałyśmy się z Zosią i przeoczyłyśmy fakt, że kolejka, w której stoimy, przesuwa się znacznie wolniej od innych − obsługiwało nas jakieś dociekliwe indywiduum. W rezultacie jako ostatnie z grupy odbierałyśmy z taśmy walizki. Nie obyło się bez poirytowanych komentarzy.

– No nareszcie. Wszyscy od dawna na was czekają. Trzeba było zmienić kolejkę.

Wzruszyłyśmy ramionami. Ktoś zawsze musi być ostatni.

Czekał nas jeszcze jeden etap podróży – przejazd z Tel Awiwu-Jafy do Jerozolimy. Ojciec Jonasz z zakonu

franciszkanów powitał nas gromkim „Szczęść Boże!”. Od tej chwili on przejął dowodzenie na pielgrzymce. W drodze do autobusu bacznie zlustrował każdego z nas z osobna, aby z rozbrajającą szczerością stwierdzić:

– Bardzo dobrze, jesteście jeszcze całkiem na fleku – grupa mobilna. Kondycji nie powinno wam zabraknąć!

Krótka modlitwa o spokojny przebieg pielgrzymki i nasz autobus, prowadzony przez palestyńskiego kierowcę, ruszył. Teraz pewnie się zacznie nudne odmawianie tajemnic różańca, a ja siedzę z przodu, blisko braciszka, i nijak nie będzie można się wyłączyć. Westchnęłam. Jeśli wejdziesz między wrony, musisz krakać jak i one! – pomyślałam. Nic takiego jednak nie miało miejsca. Brat Jonasz przyznał nam się, że według niego nadgorliwe modlenie się niczemu dobremu nie służy. A na poparcie tej tezy opowiedział w humorystyczny sposób historię, która przydarzyła mu się podczas prowadzenia pielgrzymki jeszcze w Polsce. W streszczeniu brzmiała ona tak: w skład pielgrzymki wchodziły same wiekowe damy, ale było i kilku młodych ludzi. Na pytanie w autokarze „Co robimy?” wszystkie babcie chórem odpowiedziały: „Modlimy się”. Klepały te modlitwy bez opamiętania, w jedną i w drugą stronę, nie bacząc na młodych, którzy na końcu mieli miny, jakby zbierało im się na torsje. Oni nie tak szybko zdecydują się na odbycie następnej pielgrzymki! Tą historyjką i kilkoma innymi, utrzymanymi w lekko sarkastycznym tonie, oraz swobodnym sposobem bycia ojciec Jonasz zdobył naszą sympatię. Tym bardziej

poczułam ulgę, że moje dotychczasowe obawy na szczęście się nie potwierdzają. Ksiądz skojarzył mi się automatycznie z rubaszną postacią brata Tucka z filmu *Robin Hood: Książę Złodziei* z Kevinem Costnerem w roli głównej. Toteż tak go w myślach nazwałam. Zadowolona z pomyślnego dla mnie obrotu sprawy, ośmieliłam się nawet przekornie oburzyć, gdy powiedział:

– Mieszkacie w Wiedniu, ale wszyscy jesteście Gorole, Krakusy i Ślązocy. Poznańskich pyr ani nikogo z Mazowsza nie ma.

– Hola, hola, bracie! Proszę mnie tu nie obrażać. Ja jestem z Wielkopolski! − odparłam z udawaną przyganą.

Ta moja riposta wywołała ogólne rozbawienie. W doskonałych humorach dojechaliśmy do Domu Polskiego sióstr elżbietanek w Jerozolimie.

Stanęliśmy w cichej, bocznej ulicy, przed posesją ogrodzoną jasnym, wysokim murem, na środku którego znajdowała się stosunkowo wąska furtka, wykonana z kutego żelaza. Po jej przekroczeniu ujrzeliśmy jednopiętrowy gmach w kształcie prostokąta, zbudowany z białych, kamiennych bloków. Fronton ozdobiono napisem „Dom Polski”. Wejście, osłonięte krytą werandą, wykonane było z tego samego materiału co budynek. Do domu wchodziło się po pięciostopniowych, szerokich schodach. Od furtki prowadził ganek, po bokach którego, na wysokości około jednego metra, stały obmurowane podesty z różnej wielkości gazonami, wypełnionymi po brzegi pyszniącymi się w słońcu swymi barwami roślinami. Na

środku, między nimi, tryskała mała fontanna w kształcie muszli. Uderzały niezwykła staranność i troska, jaką wkładano w pielęgnację tego miniaturowego ogródka. Był on tak wypieszczony, że przesunięcie jakiejkolwiek doniczki lub dotykanie roślin można by uznać za straszny nietakt. Ta sceneria dawała poczucie jakiegoś wewnętrznego spokoju, wyciszenia, wręcz azylu od świata zewnętrznego.

Przydzielono pokoje. Dostałyśmy średniej wielkości pokój z łazienką, na pierwszym piętrze. Wyposażenie standardowe, w miarę funkcjonalne. Okno wychodziło na sąsiedni budynek. Po jakim takim rozlokowaniu się, to jest wyznaczeniu prywatnej przestrzeni w ten sposób, że lewa część pokoju z łóżkiem, fotelem, połową stołu wraz z jedną butelką półlitrowej wody w zestawie ze szklanką jest moja, a prawa taka sama plus połowa szafy – Zosi. I po wzięciu odświeżającego prysznica pozostało mi jeszcze trochę wolnego czasu do zaplanowanej obowiązkowej mszy. Postanowiłam ten czas wykorzystać na przeprowadzenie rekonesansu posesji celem znalezienia ustronnego miejsca, które zaadaptować bym mogła na palarnię. Na dole spotkałam ojca Jonasza rozmawiającego z siostrą pełniącą funkcję ochmistrzyni domu.

– Czy gdzieś jest miejsce, gdzie mogłabym zapalić papierosa? − zapytałam najmilszym głosikiem, jaki potrafiłam z siebie wydobyć.

– O, mamy palaczkę! − Braciszek skwitował wesoło. Siostra zaś przybrała marsowy wyraz twarzy, kierując mnie na samą górę po schodach.

– Tam jest płaski dach, służący za taras, na którym można palić. Proszę tylko pamiętać o zamykaniu wszystkich zamków po każdym wyjściu – poinformowała mnie z lodowatą uprzejmością. Trudno, w jej oczach już przepadłam.

Taras wynagrodził mi za to impertynencję siostry. Rozciągał się z niego doskonały widok na sąsiednie domy. Stały plastikowe krzesła i stoły, nawet stół do gry w ping-ponga, przenośny grill, no i duża popielniczka. Nie jestem pierwsza − pomyślałam. Odtąd bardzo często z niego korzystałam, głównie wieczorami. Stał się on moim prywatnym azylem.

Msza święta odbyła się w kaplicy wewnątrz budynku. Usiadłam na samym końcu, bijąc się z myślami, jak wybrnąć z tej niefortunnej dla mnie sytuacji. O grupę się nie martwiłam, niech tam sobie gadają, ale co z ojcem? Dzisiaj albo najdalej jutro zauważy, że jako jedyna nie przystępuję do komunii, i jak wtedy będzie się do mnie odnosił? Postanowiłam wziąć sprawy w swoje ręce i przy nadarzającej się okazji wyjaśnić mu moje stanowisko. Dobra okazja trafiła się wkrótce po mszy. Brat zbierał od nas kartki z wypisanymi intencjami, które miał odczytywać podczas każdego kolejnego nabożeństwa. Uprzedzona przez Beatę, byłam na to przygotowana. Odczekałam, aż wszyscy się rozejdą, zebrałam się na odwagę i poprosiłam o chwilę dla mnie. Nerwowo wyłuszczyłam mu swoje bolączki, bojąc się jego reakcji. Popatrzył na mnie ze zrozumieniem i spokojnie odpowiedział:

– To pani wybór, pani sprawa. Nie mogę pani do niczego zmuszać. Jestem tolerancyjny i z mojej strony nie musi się pani czegokolwiek obawiać. Gdyby poczuła pani głębszą, szczerą chęć rozmowy w tej delikatnej materii, to proszę pamiętać, że jestem w każdej chwili gotów pani wysłuchać. A póki co proszę podchodzić do pielgrzymki według swojego uznania. Ze względów praktycznych chciałbym tylko, aby pani tak jak pozostali uczestniczyła w codziennej mszy świętej, to, jak ją pani będzie przeżywała, pozostawiam jej sumieniu.

Jacek miał więc rację. Kamień spadł mi z serca po tych satysfakcjonujących mnie słowach. Czułam, jak podświadome napięcie, towarzyszące mi od początku, powoli się oddala. Teraz naprawdę mogę oddychać pełną piersią, ciesząc się pobytem w Ziemi Świętej. Do końca pielgrzymki, zgodnie z prośbą ojca, już nietargana mieszanymi uczuciami brałam udział w codziennych nabożeństwach, nie przyjmując komunii. Poważnej rozmowy nie odbyłam. Po jakimś czasie zaczęłam nawet cenić tę godzinę spędzaną w różnych zaciszach kościołów, ponieważ dawała ona chwilę wytchnienia od panującego na zewnątrz zgiełku i upału.

Pora obiadokolacji. Udałyśmy się z Zosią na parter do stołówki. Obszerna sala. Długi stół pod szerokim oknem, stojący centralnie do wejścia, nakryty na szesnaście osób. Prostopadle do niego pod ścianami rzędy mniejszych sześcioosobowych stolików plus rząd środkowy ze stołem przygotowanym na osiem osób. Odruchowo usiadłyśmy

przy tym środkowym, mając po mojej prawej stronie Gosię i kierownika Zenka, a vis-à-vis dwa małżeństwa: młodsze, Ewkę z Krzysiem, oraz nieco starsze − Tereskę wraz z Waldkiem. Po paru minutach byłyśmy przekonane, że dokonałyśmy słusznego wyboru. Szybko złapałyśmy wspólny język. Integracja błyskawiczna. Odtąd, biesiadując zawsze w tym samym składzie, stworzyliśmy zgrane, wesołe towarzystwo.

Na obiadokolację siostry podały nam bulionówkę zupy grzybowej na pierwsze danie, a na drugie panierowane kotlety z piersi kurczaka z ziemniakami i kilkoma rodzajami surówek. Dodatkowo na stole stały: półmisek wędlin, biały ser i chleb dla tych, którym obiad nie wystarczał. Deser stanowił kawałek pysznej szarlotki domowego wypieku. Jedzenie nie było zbyt wyszukane, ale przyrządzone bardzo smacznie.

Przez osiem dni pobytu u sióstr menu obiadokolacji nie ulegało istotnym zmianom. Przeważał drób podawany w różnych postaciach, czemu nie ma co się dziwić, zważywszy na trudno osiągalną w tym kraju wieprzowinę lub wołowinę, do tego w zawrotnej cenie. Za to codziennie serwowano nam inne zupy oraz urozmaicone desery z dodatkowymi porcjami owoców. Nie można było narzekać.

– Jak się najedliście, to posłuchajcie. − Brat Jonasz przemówił ze swojego honorowego miejsca przy centralnym stole. – Po pierwsze jutro wyjątkowo możecie spać długo, bo piesze zwiedzanie Jerozolimy zaczynamy dopiero o dziewiątej, śniadanie siostry przygotują na godzinę ósmą

piętnaście. Po drugie dla chętnych po kolacji jest wyjście spacerkiem, to niedaleko, do bazyliki Grobu Świętego. Zbiórka za dziesięć minut. I po trzecie sprawa bardzo istotna z racji położenia naszego domu. Państwo zapewne o tym jeszcze nie wiecie, ale mieszkacie na ulicy zamieszkanej w całości przez enklawę ortodoksyjnych Żydów. Oni nie są przyjacielsko nastawieni do naszych sióstr elżbietanek i do ich gości. Apeluję, abyście głośno nie komentowali ich odmiennego wyglądu, nie śmiali się z nich, wielu rozumie nasz język, a przede wszystkim ich nie fotografowali. Są na to szczególnie wyczuleni. Jeszcze sprawa ubioru – to dla pań. Krótkie spódniczki i bluzki, w których wszystko prześwituje, szczelnie zakrywajcie. Dla nich widok roznegliżowanej kobiety jest obraźliwy. Zresztą do naszych świętych miejsc też tak goło nie łaźcie! Mówię o tym we własnym imieniu i w imieniu sióstr, które mnie zobligowały, aby państwa ostrzec. One żyją tu ciągle jak na polu minowym. Wprawdzie przeprowadzane przez Żydów w przeszłości wielokrotne próby wyrugowania naszych zakonnic z tej ulicy na drodze sądowej zakończyły się fiaskiem, ponieważ siostry mają akt własności tej ziemi i wszelkie pozwolenia na budowę domu pochodzące jeszcze z lat czterdziestych, to jednak do dnia dzisiejszego co jakiś czas nękane są one przykrymi ekscesami z ich strony, najczęściej z powodu pielgrzymów. Zdarza się, że rano zastają wejściową furtkę wysmarowaną cuchnącą mazią lub ma miejsce obrzucanie grup pielgrzymkowych nieświeżymi owocami. Dlatego proszę o rozwagę! A tak na marginesie,

jeśli będziecie zainteresowani, to za kilka dni po kolacji mogę wam więcej opowiedzieć o kulturze i religii żydowskiej. Teraz czas się zbierać!

O, ja żywo jestem zainteresowana taką prelekcją − pomyślałam. Dziwne pudełeczka z Wiednia, jeszcze wiele innych rzeczy… Nie popuszczę. Co do apelu: przyszłość jednak pokazała, że nie do wszystkich pań on dotarł.

Na wieczorne wyjście do bazyliki Grobu Świętego znajdującej się w Dzielnicy Chrześcijańskiej Starego Miasta Jerozolimy grupa stawiła się w komplecie. Marszowym krokiem dotarliśmy do ruchliwej arterii, ostro pnącej się w górę. Po pasach przeszliśmy na jej drugą stronę i kierując się w dół, dotarliśmy do szerokiego skrzyżowania. Za nim pokonaliśmy plac wyłożony kamiennymi płytami i kilkustopniowe zejście, prowadzące do plątaniny starych, wąziutkich uliczek. Bliższe przyjrzenie się pełnej palecie barw i zapachów wydobywających się z wszędobylskich tutaj kramików musiało poczekać. Gdy szło się szybkim krokiem w cienkich sandałach po wyślizganych, zapewne przez rzesze pielgrzymów, i do tego w niektórych miejscach mokrych płytach kamiennego chodnika, trzeba było patrzeć pod nogi, nie rozglądając się. Wyszliśmy wprost na dziedziniec bazyliki i niezwłocznie weszliśmy głównym wejściem do środka, ponieważ pozostało niecałe pół godziny do zamknięcia. Zatrzymaliśmy się na moment przed Skałą Namaszczenia. Pielgrzymi wierzą, że położone na niej różance i inne dewocjonalia nabierają świętej mocy. Ta tradycja wywodzi się z czasów średniowiecza. Nieopodal

kamienia, po lewej stronie, niewielki monument symbolicznie upamiętnia miejsce, z którego trzy Marie obserwowały śmierć Chrystusa na krzyżu. Znaleźliśmy się bezpośrednio przed Golgotą. Schodami usytuowanymi z jej prawej strony doszliśmy do kaplicy Ukrzyżowania z miejscem, gdzie stał krzyż Jezusa. Nieco z tyłu, patrząc od wejścia, pod Kalwarią znajduje się Grób Pański. Zwróciłam uwagę na olbrzymie polikandelabry − żyrandole, zwisające z surowych sufitów – i na wiele lamp, kształtem przypominających kadzielnice. Z całą pewnością jesteśmy w części bazyliki administrowanej przez kościół prawosławny. Braciszek Tuck potwierdził moje przypuszczenia, cicho wyjaśniając:

– Od połowy XIX wieku na mocy sułtańskiego dekretu bazylika Grobu Świętego stała się współwłasnością kilku wyznań: Kościoła prawosławnego, Kościoła łacińskiego i Kościoła ormiańskiego. Okazjonalnie ten przybytek udostępniany jest także Kościołom syryjskiemu i etiopskiemu. Najstarszy Kościół koptyjski ma też tutaj swoją kaplicę. Wszystkie wyznania działają na swoistej zasadzie *status quo*, obowiązującej nieprzerwanie do dnia dzisiejszego.

W kaplicy Ukrzyżowania stanęłam wraz z innymi w kolejce do ołtarza umieszczonego na skale Golgoty, aby dotknąć srebrnego dysku, wyznaczającego miejsce osadzenia krzyża. Gdy dopełniłam tego rytualnego pielgrzymkowego gestu, dyskretnie się wycofałam do

dalszej części kaplicy, mając szczery zamiar, by podobnie jak pozostali pomodlić się w tym świętym miejscu.

Jakiś diabeł chyba wstąpił jednak we mnie! Poczułam kompletną blokadę. Żadnych sensownych słów modlitwy nie mogłam z siebie wykrzesać. Zazdrościłam innym, modlącym się w skupieniu. A ja nic, nie czułam żadnego magnetyzmu tego miejsca! Minuty uciekały. Ze mną chyba rzeczywiście musi być coś nie tak. Było coraz gorzej, bo zamiast się modlić raptem przypomniałam sobie koncepcję Marvina Harrisa[2] dotyczącą życia i działalności Jezusa Chrystusa. Ten amerykański antropolog kulturowy postawił odważną tezę, że Jezus z Nazaretu był jednym z kilku duchowych przywódców zelotów, stanowiących najuboższą ludność Palestyny, walczących z rzymskim okupantem oraz uprzywilejowaną żydowską arystokracją i kapłanami. W tych burzliwych czasach nazywano go Mesjaszem. Słowo to oznacza wybrańca Bożego. Według Harrisa w najstarszych żydowskich wierzeniach Bóg, Jahwe co jakiś czas wysyłał na ziemię zbrojnego Mesjasza, aby uciśniony lud wyzwolił z niewoli. Jako przykład przytacza między innymi starotestamentową opowieść o walce Dawida z Goliatem. Badacz określa to mianem mesjanizmu militarnego. Udowadnia na podstawie analizy przetłumaczonych fragmentów zwojów z Qumran i kronik Józefa Flawiusza, że mesjanizm ten odnosi się również do Chrystusa. Twierdzi, że „stanowcze zerwanie z żydowską tradycją mesjanistyczną nastąpiło prawdopodobnie dopiero po upadku Jerozolimy, kiedy w związku ze zwycięstwem

Rzymian nauki Jezusa oczyścili z pierwotnych polityczno-wojskowych elementów Żydzi chrześcijanie zamieszkali w Rzymie i innych miastach imperium”[3]. „Pokojowe” oblicze Jezusa Chrystusa nakreślone w pierwszej, wzorcowej Ewangelii świętego Marka, napisanej około 71 roku n.e., jest wynikiem krwawego stłumienia przez Rzymian powstania w Judei (lata 66−73 n.e.). Ewangelia ta miała przekonać Rzymian, że nowy Mesjasz różnił się od pozostałych zelockich przywódców, którzy są odpowiedzialni za wszczęcie rebelii. W ocenie Harrisa ta pierwsza Ewangelia została napisana po to, aby udowodnić, że szerzący się chrześcijański kult religijny w przeciwieństwie do kultu Żydów jest ruchem pacyfistycznym, bez żadnych ambicji świeckich. Obiecuje Królestwo Boże nie w realnym świecie, lecz w wiecznym życiu pozagrobowym.

Zrobiło mi się gorąco. Psiakrew! Zebrało ci się akurat na mędrkowanie! JESTEŚ NA PIELGRZYMCE!

Na wejście do Grobu Pańskiego zabrakło czasu. Schodząc z Golgoty, usłyszeliśmy charakterystyczne uderzanie kołatką w bramę. To znak dla turystów, że najwyższa pora opuszczać bazylikę. Wyszliśmy na zewnątrz. Teraz można było na dłużej zatrzymać wzrok na monumentalnej budowli. W blasku zachodzącego słońca ostro zarysowała się potężna, niejednorodna bryła, nasuwająca mi skojarzenie ze starym pałacem, którego wieże i kopuły przywodziły na myśl orientalne budowle − seraje, minarety. Jestem laikiem, jeśli chodzi o style

architektoniczne, ale i dla mnie rzeczą oczywistą było, że obecny kształt świątyni stanowi zlepek ocalałych fragmentów, pochodzących z różnych epok.

Ojciec Jonasz oznajmił, że już wcześniej zarezerwował mszę dla naszej grupy w Grobie Świętym za parę dni, o spartańskiej porze, szóstej rano, a ponadto zaplanowane jest szczegółowe zwiedzanie bazyliki. Jeśli zaś ktoś czuje potrzebę odwiedzania tego świętego miejsca częściej, to nie ma żadnych przeciwwskazań co do wieczornych indywidualnych wyjść.

− Bylebyście się tylko nie pogubili! Poczekajcie jeszcze trochę, a zobaczycie rytuał zamykania drzwi świątyni. Teraz spójrzcie w górę, na lewo. Widzicie drabinę? Wieść niesie, że stoi ona już od blisko dwóch stuleci, pozostawiona przez robotników mających naprawić elewację. Niestety kościoły tu rezydujące, działające w oparciu o zasadę *status quo*, nie potrafiły się ze sobą dogadać co do zakresu ich prac. Skończyło się na tym, że rozeźleni robotnicy odeszli, pozostawiając sprzęt. A żeby było śmieszniej, nikt do tej pory nie odważył się jej ściągnąć w obawie przed kłótnią. Podobnie sprawa ma się z otwieraniem i zamykaniem bazyliki. Sułtan przewidział, że mogą być z tym problemy, dlatego na odźwiernych bazyliki wyznaczył bezstronnych muzułmanów. Taki stan rzeczy utrzymuje się do dnia dzisiejszego. Widzicie? Właśnie się zaczyna! Jest odźwierny.

Ogromne drewniane wrota zamknęły się od wewnątrz, a przez mały otwór w nich umieszczony wysunęła się

drabina. Podał ją mnich ormiański, który miał właśnie dyżur. Bo i ta czynność jest ściśle ustalona.

− Każde wyznanie ma swoje dyżury. Jutro drabinę podaje łacinnik, a pojutrze mnich prawosławny – dopowiedział brat.

W tym momencie odźwierny wspiął się po drabinie i zamknął zasuwy bramy. Następnie drabina przez ten sam otwór została wsunięta z powrotem do wewnątrz. W ten sposób bazylika wraz z grupką mnichów odbywających całonocne czuwanie przy Grobie Pańskim została zamknięta. Każdego dnia o godzinie czwartej rano następuje otwarcie świątyni według tego samego obrządku.

Wróciliśmy tą samą drogą. Mijane arabskie kramiki i nieco większe sklepiki jeszcze w najlepsze tętniły życiem, ale jakoś nikt z nas nie kwapił się bliżej z nimi zapoznać. Będzie jeszcze niejedna okazja! Teraz chcieliśmy jak najszybciej znaleźć się w łóżkach.

Ustaliłam z Zosią, że ona pierwsza okupuje łazienkę, a ja odwiedzę palarnię. Mój pobyt na tarasie nieco się wydłużył − musiałam nadrobić zaległości i do tego wieczór był cudownie ciepły − dlatego cichutko wślizgnęłam się do pokoju, nie chcąc budzić zapewne już śpiącej Zosi. Byłam w błędzie. Zastałam ją siedzącą w najlepsze przy jej części stołu, na której piętrzyły się pudełka z kremami, tubki maści, flakony, flakoniki − potężny arsenał środków leczniczo-kosmetycznych. Na moje oko było tego wszystkiego dobre pół apteki. Po co ona to wszystko ze sobą targała? Ile miejsca zajmuje jej to w walizce?

Zarumieniłam się, uświadomiwszy sobie, jak nędznie przy tym wygląda moja niewielkich rozmiarów kosmetyczka zawierająca ledwie dwa kremy, tonik, flakonik perfum, podstawowy zestaw do makijażu, grzebień, dwie klamry do włosów, przeciwbólowy ibum oraz plastry na wszelki wypadek. Ani chybił − uboga krewna i tyle.

− O, już jesteś! − zawołała wesoło.

− Ja myślałam, że ty w łóżku − odparłam, wytrzeszczając oczy na jej część stołu.

− Nie dziw się. Mam tyle tego wszystkiego, bo muszę brać lekarstwa na nadciśnienie, żołądek, stawy i wzmacniające witaminy. Do tego suchą, wrażliwą skórę, wymagającą wzmożonej pielęgnacji kilkoma środkami na poszczególne części ciała.

− Oczywiście. Jeśli musisz to wszystko stosować. Mnie to absolutnie nie przeszkadza − odpowiedziałam niepewnie.

Wykonując wieczorną toaletę, rozważałam kilka możliwości: albo Zosia jest naprawdę chora, ale tego absolutnie nie zauważyłam, albo mam do czynienia z typową hipochondryczką, co się zdarza często samotnym osobom. To by tłumaczyło fakt, że chce jej się tyle czasu poświęcać na zapobiegawcze kuracje. Lub po prostu stała się ofiarą bezlitosnych reklam i uwierzyła, że większość tych specyfików jest jej absolutnie niezbędna do normalnego funkcjonowania. Dałam mniej więcej po pięćdziesiąt procent na te dwa ostatnie powody, stanowczo odrzucając pierwszy.

Leżałam w łóżku, jednak nie dane mi było jeszcze tak szybko zasnąć. Wierciłam się jak zazwyczaj na nowym miejscu. Z Zosią działo się podobnie.

− Pogadajmy trochę, to może szybciej uda nam się zasnąć − zaproponowałam.

− Też tak myślę. Słuchaj! Widziałaś przy kolacji, jak ten Krzyś skakał nad tą swoją żoną, Ewką? Tak jej usługiwał, jakby byli dopiero co po ślubie. Musi go dobrze trzymać pod pantoflem − odparła Zosia podekscytowana.

− Odniosłam podobne wrażenie. Ewka jakby dominowała nad Krzysiem, ale zobaczymy, Zosiu. Jestem ostrożna w wydawaniu opinii. Często pozory mylą. Znam niejedno małżeństwo, które przy osobach trzecich zachowuje się wzorcowo, a w rzeczywistości ich pożycie jest dalekie od ideału.

− No, zobaczymy. Lecz ja mam w tych sprawach dobrego nosa − kontynuowała pewnie moja współlokatorka. – Tereska i Waldek to całkiem coś innego. On jest taki wesoły i w tak naturalny, bezpretensjonalny sposób odnosi się do Tereski. Miło patrzeć. Pod maską nonszalancji kryją się głębokie uczucia.

− Jesteś psychologiem? − zapytałam, ziewając.

− Zaraz tam psycholog! Umiem patrzeć! Zostawmy to. Dostrzegłaś kieckę Gosi? Te duże wzory na niej przypominały mi okienne zasłony z lat osiemdziesiątych. Skąd ona ją wytrzasnęła? Nikt już teraz w czymś takim nie chodzi.

Gosia siedziała obok mnie. Tej kiecce za bardzo się nie przypatrywałam. Spostrzegłam tylko na jej nogach takie śmieszne, czerwone laczki na obcasach i z pełnymi palcami, trącące już myszką.

− Może lubi taki styl? − odparłam, ponawiając ziewanie.

− Może, może. Dobra. Słyszę, że ziewasz w najlepsze, to przerywam moje bajdurzenie. Śpij. Dobranoc.

− Dobranoc.

Zapadłam w niespokojny sen. Podróż, zmiana klimatu oraz nadmiar wrażeń i nowe łóżko spowodowały, że co chwilę się przebudzałam. Miarowe pomrukiwania Zosi, która zdążyła już w tym czasie zasnąć, nie działały na mnie kojąco. Na domiar złego zza cienkiej ściany przy moim łóżku, oddzielającej nasz pokój od korytarza, wyraźnie słyszałam nasilające się odgłosy ożywionej rozmowy. Usytuowany był tam kącik telewizyjny z szeroką kanapą, ławą i kilkoma fotelami. Widocznie inni też nie mogą zasnąć podobnie jak ja. Zrezygnowana zwlokłam się z pościeli, narzuciłam na piżamę sweter, chwyciłam moją nieodłączną torbę, chcąc sprawdzić, kto zakłóca nocną ciszę. Oczywiście! Mogłam się spodziewać, że przy ławie zastanę nasze jedzeniowe towarzystwo w komplecie.

− Chodź! Chodź, usiądź z nami! Pewnie nie możesz przez nas zasnąć? − usłyszałam zaraz po wychyleniu głowy z pokoju.

Przysiadłam na brzeżku kanapy, tłumacząc, że niezależnie od nich jakoś i tak nie mogę spać. Jak za

dotknięciem czarodziejskiej różdżki w mgnieniu oka znalazła się przede mną pełna literatka wina. Moich protestów związanych z tym, że nie mam czym się zrewanżować i wkupić do towarzystwa, nikt nie raczył wziąć na poważnie.

− Przestań nam się tu krygować. Lepiej napij się tego dobrego wina i opowiedz, jak tam teraz w Polsce się żyje − zarządził Zenek.

Posłuchałam. Upiwszy spory łyk, poczułam lekkość, nabierając chęci do ostrożnych wynurzeń.

− Cóż mogę powiedzieć. Jeśli chodzi o mnie, to jakoś z mężem dajemy sobie radę. Dzieciaki pokończyły studia, usamodzielniły się i podobnie jak wy postanowiły szukać lepszego życia poza granicami naszego kraju. Ich decyzja. Jesteśmy z niej zadowoleni. Owszem, tęskni się, ale zdajemy sobie sprawę, że niestety za granicą mają lepsze warunki rozwoju, robienia kariery aniżeli u nas. Najsmutniejsze jest to, że szalejące w Polsce bezrobocie uderza najbardziej w młode, wykształcone pokolenie. Mijają lata, a żadnej poprawy w tej dziedzinie się nie odczuwa. Nie będę was przecież zanudzać. Macie rodziny w Polsce i doskonale wiecie, jakie są nasze realia.

Rozmowa potoczyła się wokół bieżących spraw, dotyczących sytuacji w kraju. Zgubiłam jej wątek, gdyż Ewka nagle zaskoczyła mnie pytaniem:

− Oglądasz w telewizji ten serial o Annie German? Podoba ci się? Moja matka jest nim zachwycona. Ja

widziałam jeden odcinek i według mnie jest całkiem przeciętny.

− Trudno jest mi się wypowiadać w kategoriach podoba się lub nie. Uważam, że jest ciekawy. Pokazuje szczegóły życia tej znanej piosenkarki, o których przedtem niewiele wiedziałam. Na przykład jej trudne dzieciństwo w ZSRR, karierę w Polsce, pobyt we Włoszech, ciężki wypadek i walkę o powrót do normalności. Nie wiem, na ile niektóre wątki biograficzne zostały przejaskrawione na potrzeby fabuły, ale i tak według mnie w porównaniu z innymi szmatławcowatymi serialami i łzawymi operami mydlanymi, serwowanymi nam w zastraszającej ilości przez polską telewizję, jest on wyjątkowo wart obejrzenia.

Chciałam jeszcze coś dodać, ale zmuszona byłam przerwać. Ktoś nieopatrznie rzucił hasło „katastrofa smoleńska” i się zaczęło. Diametralnie atmosfera się zaogniła. Towarzystwo raptownie podzieliło się na dwa wrogie obozy: zwolenników i przeciwników tezy o zamachu. Przetarłam oczy ze zdumienia. Jak nic po raz pierwszy brałam aktywny udział w przejawie wojny polsko-polskiej! Było to dla mnie całkowite novum. Od początku zarówno ja, jak i grono moich znajomych uznaliśmy, że był to zwykły nieszczęśliwy wypadek lotniczy, a wszelkie teorie o zamachu są wyssanymi z palca próbami manipulacji politycznych przeciwników rządzącej koalicji, którym zależy na podsycaniu wrogich nastrojów w naszym społeczeństwie. Czyżby macki propagandy partii prawicowej i powiązanych z nią kręgów konserwatywnych

hierarchów polskiego Kościoła wraz z rozgłośnią Radia Maryja na czele miały aż tak szeroki zasięg? Doświadczyłam na własnej skórze, że niestety, ale tak właśnie jest. Wyszło na to, że stanowię mniejszość wraz z Waldkiem i Tereską, cała zaś reszta towarzystwa twardo obstaje przy tezie o zamachu. Wszelkie próby podjęcia przez nas merytorycznej dyskusji w tej spornej kwestii spełzły na niczym. Uznałam, że ci ludzie w zamach po prostu uwierzyli na tej samej zasadzie co w religię, która opiera się wyłącznie na wierze. Wobec powyższego popatrzyliśmy z Waldkiem wymownie na siebie. Tereska przytomnie rozładowała napiętą sytuację, zmieniając temat rozmowy. Była to dla mnie ważna lekcja. Zrozumiałam, że od teraz muszę uważać na to, co głośno mówię, unikać drażliwych tematów, nie afiszować się ze swoimi innymi od ich poglądami. Są to mili ludzie, ale w stosunku do różnych inności ich tolerancja jest zerowa.

Zrobiło się przeraźliwie późno. Czas najwyższy kończyć to posiedzenie. Stopniowo towarzystwo zaczęło się rozchodzić. Zostałam z Zenkiem, Waldkiem i Tereską. Nagle moja stara komórka, leżąca w torbie, zaczęła ostrzegawczo pikać. Bateria się rozładowała. Jęknęłam głośno, uprzytomniwszy sobie, że nikomu nie dałam znaku życia po wylądowaniu. Będą się wściekać. Z opresji wybawił mnie Zenek. Wyciągnął z kieszeni swoją komórkę, mówiąc mi, że przecież on ma zapisany numer Beaty i zaraz może wysłać do niej stosowną eskę, a siostra na pewno przekaże ją dalej do Jacka. Nie oponowałam. Lepsze to aniżeli kompletny

brak wiadomości. Udając się wreszcie już na dobre spać, zakodowałam sobie, że nazajutrz ledwie otworzę oczy, muszę podładować komórkę. Dwie godziny przed wyruszeniem na zwiedzanie powinno jej wystarczyć.

---

[1] *Gate* (ang.) − Wyjście (na lotnisku).

[2] M. Harris, *Krowy, świnie, wojny i czarownice. Zagadki kultury*, przeł. Krystyna Szerer, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1985.

[3] M. Harris, *Krowy, świnie…*, op. cit., s. 172.

~ DZIEŃ II ~

Wtorek

Szuranie Zosi w łazience obudziło mnie. O dziwo, poczułam się całkiem rześka pomimo tak niewielu godzin snu. Wyskoczyłam raźnie z łóżka, od razu zabierając się do poszukiwania ładowarki. Wiedziałam, że spakowałam ją na samo dno walizki, dlatego aby ją znaleźć, musiałam przerzucić prawie całą zawartość bagażu, gdyż wczoraj ograniczyłam się do powieszenia w szafie tylko tych rzeczy, które się gniotą. Zajęło mi to nieco czasu, lecz w efekcie komórka się ładowała. Gdy wkładałam z powrotem rzeczy do walizki, dokonałam równocześnie ich ostatecznego przeglądu, zostawiając na wierzchu te, w których mogę bez skrępowania pokazywać się w kościołach. Wybór nie był zbyt duży. Długie spodnie ze względu na upał wylądowały na samym dnie, zaraz po nich umieściłam dwie spódnice sięgające mi przed kolana, które przeznaczyłam ewentualnie na przebranie się do kolacji, gdyż podczas całodziennego chodzenia nie czułabym się w nich swobodnie, no i mogłyby być uznane za nieodpowiednie ze względu na długość. Pozostała mi para moich ulubionych

dżinsowych mustangów zakrywająca połowę kolan i podobnej długości niegniotące się szorty. Dodając do tego suknię, na szczęście z poszerzanymi rękawkami, zwisającymi na ramiona, i długą za kolana, miałam właściwie trzy zestawy ubioru do wyboru. O bluzki nie musiałam się martwić. Wszystkie, które posiadałam, odpowiadały obowiązującym normom. Tenisówki i letnie buty na koturnie jako bezużyteczne schowałam głęboko, zostawiając na wierzchu najwygodniejsze, płaskie, skórkowe sandały, leciutkie baletki i kąpielowe laczki.

− Cześć! Wstałaś?! Gdzie cię nosiło nocą? A teraz co wyprawiasz od rana? − Zosia zarzuciła mnie pytaniami, podejrzliwie przypatrując się mojej rozbebeszonej walizce.

− Nic takiego, szukałam tylko ładowarki, a przy okazji segreguję rzeczy. Jeśli przebudziłam cię nocą, to przepraszam. Myślałam, że śpisz w najlepsze. Mnie przebudził hałas za ścianą i poszłam sprawdzić, co się dzieje. Na korytarzu zastałam naszą kolacyjną ekipę i trochę się z nimi zasiedziałam. − Nie chciało mi się w tym momencie streszczać szczegółów tej nocnej nasiadówki.

− Głupstwo. Ja też ich słyszałam, ale byłam zbyt zmęczona, żeby wstać. Masz odpowiednie ciuchy? Bo ja mam kłopot. Nie przypuszczałam, że w maju będą już tutaj takie upały i zabrałam same długie, ciemne spodnie, w których będę się gotować.

− A jakie one mają nogawki? Bardzo wąskie czy nieco szersze? − zapytałam rzeczowo.

− Takie średnie.

− To po kłopocie. Możesz je podwijać do kolan i będzie dobrze!

− Nie wpadłam na to. Zawsze to jakieś rozwiązanie, zrobię przymiarkę. Jak się uwiniesz tutaj, to masz wolną łazienkę! Pospiesz się! Zostało jeszcze pół godziny do śniadania. Zdążysz?

− Jasne. Co niby tak długo miałabym w niej robić? Prysznic i cała reszta trwa u mnie nie więcej niż piętnaście minut. Spokojnie zdążę ze wszystkim.

− Ja to potrzebuję o wiele więcej czasu.

Racja. Nakładanie tych wszystkich specyfików na ciało wymaga czasu − kpiarsko zaświtało mi w głowie.

Śniadanie. Zeszłam właściwie tylko ze względu na kawę. Od dawna wyrobiłam już w sobie nawyk, że śniadań nie jadam, poprzestając na filiżance białej kawy i wypaleniu jednego papierosa. Zwodniczo sądząc, że to wystarcza, aby pobudzić mój organizm do trwania, w przeciwieństwie do Zosi, dla której poranny posiłek w myśl zaleceń zdrowego odżywiania jest najważniejszy. Przy stole, widząc wszystkich pałaszujących z apetytem świeże wędliny z serami oraz warzywa, przemogłam się i sięgnęłam po skibkę chleba. Nie chciałam się wyróżniać. Roztropnie także tłumacząc sobie, że nie wiadomo, o której godzinie będzie obiad. Jeśli dopiero po południu, to lepiej teraz jednak coś zjeść. W trakcie jedzenia przemyśliwałam, jak chyłkiem przemycić pół filiżanki kawy na taras, aby tak jak w domu móc z lubością wypalić papierosa, popijając ten ożywiający napój. Głupio tak pierwszej wstać

i wymaszerować z filiżanką w ręce ze stołówki − myślałam. Zamieszanie wywołał ojciec Jonasz, pojawiając się w drzwiach wejściowych. Dopiero w tej chwili zorientowałam się, że nie uczestniczył w śniadaniu.

− Szczęść Boże wszystkim. Śniadanie smakowało? − spytał retorycznie. − Ja niestety w trosce o zdrowie… − Poklepał się po wystającym spod habitu brzuchu. − …nie będę w nich uczestniczył. Ogłaszam zbiórkę za pół godziny przed budynkiem. Zmówimy modlitwę i wyruszymy na piesze zwiedzanie Jerozolimy. Ubierzcie wygodne buty, bo czeka nas sporo chodzenia, oraz zaopatrzcie się w wodę. Siostry wystawiły dystrybutor. Kto nie ma butelek, musi je sobie zorganizować, kupując napoje na mieście. Uważajcie na złodziei. W Jerozolimie się od nich roi. Przy zakupie pamiątek nie pokazujcie zawartości portfela. Najlepiej zostawiajcie większą gotówkę i paszport w pokoju. Wczoraj zapomniałem wam przekazać, że u sióstr jest telefon stacjonarny, z którego możecie wieczorami korzystać, płacąc dolara. Jak ktoś będzie dłużej gadał, to zapłaci odpowiednio więcej. Jeszcze jedno. − Spojrzał znacząco na nasz stół. − Doszły mnie słuchy o nocnej balandze na korytarzu. Jeśli już musicie się spotykać, to róbcie to ciszej, porzucając polityczne spory.

Po tych ostatnich słowach opuściliśmy głowy, udając natężone zainteresowanie zawartością naszych talerzy. Czułam, jak twarz mi pąsowieje. Wraz z pozostałymi intensywnie zaczęłam głowić się, kto był taki „życzliwy” i od razu na nas zakablował. Nie sądziłam, że to ktoś

z naszej grupy. Judasza wśród nas raczej nie było. Wywnioskowałam, nie wiedząc do końca, czy na pewno słusznie, że poskarżyli się na nas dwaj księża, którzy tutaj gościnie przebywali, zajmując pokój na tym samym piętrze co my.

Oddałam nasz klucz Zosi, która uprzedziła mnie, że udaje się na dłuższe posiedzenie do łazienki, i poprosiła, aby jej nie przeszkadzać. Od wczoraj się biedaczka męczy. Ja ucieszyłam się z darowanego nam jeszcze wolnego czasu, bez skrupułów dolałam sobie pół filiżanki kawy i pobiegłam prosto do palarni, nie przejmując się zdziwionymi minami wokół. Filiżankę zdążę odnieść, zanim się ktokolwiek w kuchni zorientuje. W palarni zabawiłam krócej, aniżelibym chciała. Woda! Nie mamy jej przygotowanej! Na Zosię siedzącą nie wiadomo jak długo w ubikacji nie ma co liczyć! Muszę szybko sama to zorganizować! Zbiegłam ile sił w nogach na dół z filiżanką, pechowo napataczając się akurat na siostrę ochmistrzynię.

− Oddaję!

Odstawiając filiżankę na tacę z brudnymi naczyniami, jednocześnie wykonałam obrót w tył, uniknąwszy tym samym reprymendy, do której siostra już się przygotowywała, ale na plecach i tak poczułam naganny wzrok, jakim mnie otaksowała.

− Zosiu, co z wodą? − zawołałam, wparowując do pokoju zdyszana po biegu z góry na dół i z powrotem na pierwsze piętro. Zza zamkniętych drzwi łazienki dosłyszałam:

− Bierz ze stołu butelki i biegnij na dół je napełnić. Moja jest pusta. Wypiłam całą, zażywając lekarstwa. Twoją też zaczęłam. Ja nadal muszę siedzieć!

− O, zgrozo! Aż tak ciężko? − Teraz ja zaczęłam się niepokoić. Czy Zosia będzie gotowa na czas?

Wylałam resztę wody z mojej butelki przez okno i apiać ruszyłam na dół. Przy dystrybutorze utworzyła się kolejka. Napełnianie butelek się ślimaczyło. Gdy nareszcie wróciłam z wodą do pokoju, była już najwyższa pora, aby się zbierać. Zosia opuściła toaletę i uprzedzając moje pytania, oznajmiła:

− Siedziałam tyle czasu i nic. Brzuch mnie tylko rozbolał.

− Weź jakiś środek przeciwbólowy. Może pomoże. Jak będziemy dużo chodzić, to cię ruszy. Toalety będą pewnie w każdym miejscu.

− Dzięki za pocieszenie − odparła ze zbolałą miną.

Pośpiesznie zmieniłam baletki na sandały, uczesałam ponownie włosy i włożyłam średnio naładowaną komórkę do torebki, którą miałam opróżnić z niepotrzebnych drobiazgów, lecz na to zabrakło już czasu. Przyjdzie mi się nosić z jej całą zawartością, włącznie z paszportem i gotówką. Na szczęście jakieś drobne mam w portmonetce, a grubszą forsę osobno w kopercie. Ja również musiałam jeszcze skorzystać z łazienki. W przeciwieństwie do mojej współlokatorki zajęło mi to małą chwilkę.

− Ty to masz dobrze. Też bym tak chciała. − Zosia wypowiedziała te słowa z niekłamaną zazdrością.

Nie spóźniłyśmy się. Przed wejściem stanęłyśmy z boku w oczekiwaniu, aż zbiorą się wszyscy. Dla zabicia czasu, jak to baby mają w zwyczaju, szeptem wymieniałyśmy spostrzeżenia odnośnie do ubioru. Zaczęła Zosia, mówiąc:

− Patrz. Gośka ma znowu taką dziwaczną kieckę, bez ramiączek. Będzie musiała się stale zakrywać chustą.

− Tak. Zobacz, inne też mają bluzki tylko na cieniutkich ramiączkach. Bez chust się nie obejdzie. Ubrały się jak na plażę! Mogę się założyć, że ojciec będzie miał kwaśną minę. Nie słuchały go? Jak ta Gośka wytrzyma cały dzień w tych wysokich laczkach? Już wczoraj zwróciłam na nie uwagę.

– Starsza pani, Ela, ubrała się elegancko. Do brązowej spódnicy idealnie dopasowała beżową bluzkę i torebkę.

– Widzę. Ale ta jej spódnica nie zakrywa kolan. W jej wieku pomimo szczupłej sylwetki nie wygląda to zbyt dobrze. Tak przynajmniej mi się wydaje.

Dalsze nasze obmawianie przerwał braciszek Tuck.

– Jesteście wszyscy. To szybko modlitwa i ruszamy. Długo się dzisiaj zbieraliście. Muszę pomyśleć o większej dyscyplinie. − Ogarnął nas wzrokiem i sugestywnie chrząknął. − Przykro mi, ale widzę, że niektórym paniom będę musiał częściej przypominać o stosownym stroju. Wiem, że jest gorąco, ale nie jesteście na prywatnych wakacjach. A teraz: W imię Ojca, Syna i Ducha Świętego…

– A nie mówiłam! − szepnęłam Zosi do ucha.

Wyszliśmy na ulicę, kierując się w odwrotną stronę aniżeli do bazyliki Grobu Świętego. Nasza ulica sprawiała wrażenie wyjątkowo cichej. Kilkupiętrowe, szare kamienice,

odgrodzone szczelnie od ulicy wysokimi, metalowymi bramami, elewacje bez dekoracji oraz okna pozbawione jakichkolwiek ozdób sprawiały dość smutne wrażenie. Dodatkowo wydało mi się, że bije z nich jakaś bliżej niedająca się określić surowość. Idąc, rzadko mijaliśmy śpieszących się przechodniów – ortodoksyjnych Żydów, samych mężczyzn. Ani kobiet, ani dzieci o tej porze się nie widziało.

Zostałam z Zosią, Tereską i Ewką nieco z tyłu. One dreptały bardzo wolno. Mogłam przypatrywać się ulicy. Jednak po jakimś czasie ten ich powolny chód stał się dla mnie męczący, ponieważ Jacek od dawna przyzwyczaił mnie do stawiania długich kroków. Gdy do tego rozgadały się na dobre o swoich umiejętnościach kulinarnych, wzięłam nogi za pas. Nic nie mam przeciwko gotowaniu, sama prowadzę domowe gospodarstwo, lecz nie przyjechałam tutaj, aby podnosić kwalifikacje w tej dziedzinie. Doszłam na czoło kolumny, którą stanowili: ojciec Jonasz, Rysio, Zenek i Waldek. O wiele ciekawsze na ten moment wydało mi się słuchanie opowiadań brata. Znaleźliśmy się w tętniącym życiem centrum, dochodząc do okazałej, historycznej budowli z wysoką wieżą. Braciszek Tuck, nie zatrzymując się, objaśnił nam:

– To wieża Dawida – symbol Jerozolimy. Jej ceglaste mury są pozostałością tureckiej cytadeli i liczą około pięciuset lat. Nazwa, która przetrwała do dnia dzisiejszego, wywodzi się od masywnej wieży, najprawdopodobniej zbudowanej w tym miejscu jeszcze przez Heroda. Ówcześni

mieszkańcy Jerozolimy byli tak zdumieni okazałością tej budowli, że uznali, że musi być ona dziełem ich mitycznego króla Dawida. Obecnie mieści się tutaj na szczycie wieży punkt widokowy, z którego można podziwiać panoramę miasta, oraz muzeum historyczne Jerozolimy. Jeśli wystarczy nam czasu, to może jeszcze dzisiaj po południu lub w najbliższych dniach możemy je zwiedzić!

– A pójdziemy na ten nocny spektakl światło–dźwięk w Jerozolimie od zarania dziejów? Mamy taki punkt w programie pielgrzymki? – zapytałam.

– Jeśli wszyscy będą chcieli. Zorientuję się. Dla całej grupy uda mi się wytargować rabat!

Doszliśmy do przystanku autobusowego, nieopodal którego znajdowały się fragmenty fundamentów murów miejskich, pochodzące z czasów rzymskich. Autobusem dotarliśmy na Górę Oliwną, rozpoczynając zwiedzanie od miejsca Wniebowstąpienia Jezusa. Przywitał nas sympatyczny chadem, czyli dozorca meczetu. Nie ma się co dziwić. Znaleźliśmy się w meczecie. Ojciec Jonasz wyjaśnił, że bardzo dawno temu to sanktuarium przejęli muzułmanie, którzy tylko raz w roku, a mianowicie w uroczystość Wniebowstąpienia, pozwalają tu chrześcijanom odprawiać własną liturgię. Pomimo tego obostrzenia akceptują pielgrzymów na co dzień zwiedzających to miejsce.

W środku kamiennej posadzki meczetu ujrzeliśmy obramowanie, wewnątrz którego spoczywał symboliczny kamień z widniejącym na nim jakoby śladem prawej stopy Jezusa. Grupa skupiła się na obfotografowywaniu tego

miejsca. Ja, jako że po raz pierwszy miałam okazję być w meczecie, przyjrzałam się uważnie jego wnętrzu o okrągłym, dwukondygnacyjnym kształcie, z dachem zwieńczonym kopułą. Nagie ściany bez okien z wyjątkiem lufcików umieszczonych w jego górnej części. Brak witraży, rzeźb, obrazów wywoływał wrażenie bardzo zimnego przybytku, do którego my, chrześcijanie, nie jesteśmy przyzwyczajeni. Wiedziałam z książek, że jest to powiązane z obowiązującym w islamie zakazem przedstawiania postaci ludzkich i zwierzęcych. Tylko jedna część ściany ze względu na szczątkowe pozostałości arabeskowej ornamentyki wyróżniała się w tym ascetycznym wnętrzu. Skąpy motyw roślinny okalał ścienną niszę. Domyśliłam się, że to jest przypuszczalnie mihrab – podstawowy element każdego meczetu, wskazujący muzułmanom kierunek Mekki. Chciałam się co do tego upewnić przez konsultację z braciszkiem Tuckiem, jednakże był akurat zajęty rozmową z chademem, więc poprzestałam na przypuszczeniach.

Na dziedzińcu słynnego kościoła Pater Noster ojciec Jonasz zarządził przerwę, dając nam możliwość skorzystania z toalety, co Zosia skwapliwie wykorzystała, w przelocie informując mnie, że chyba teraz będzie dobrze. Chciało mi się palić, lecz gdy zlustrowałam pięknie utrzymane obejście z bujną roślinnością wokół, dostrzegłam porozwieszane zakazujące tego tabliczki. Upał dawał już się we znaki. Siadając na kamiennym murku w cieniu, poprzestałam na wyjęciu butelki z wodą i napiciu się. Jak tak dalej pójdzie, to mój zapas wody niebawem się skończy.

Trzeba będzie kupić! Zerkając na otoczenie, mimochodem pomyślałam sobie, że utrzymanie w tym upale tak bujnej roślinności wymaga wzmożonej pielęgnacji i niemałych kosztów. Podzieliłam się moimi spostrzeżeniami z ojcem.

– Ma pani absolutną rację − odpowiedział. − Wprawdzie mamy tu klimat śródziemnomorski, ale woda jest droga i traktowana ze szczególnym namaszczeniem. Dla każdego mieszkańca Jerozolimy szczytem luksusu jest posiadanie własnego domu z choćby miniaturowym ogródkiem, który byłby w stanie utrzymać. Jest to wynik panującej dookoła ciasnoty i braku miejsc pod rozbudowę. Dobrze, że pani o tym zaczęła mówić. *À propos* roślinności, to zaraz państwu coś pokażę. Przejdźmy do tego wysokiego drzewa. To krzew cierniowy. Widzicie te kilkunastocentymetrowe ostre szpile? Od średniowiecza przedstawia się Jezusa na krzyżu z koroną na głowie zrobioną właśnie z ciernistego drzewa. Obecnie uważa się, że jest to naciągana teoria, ponieważ żaden człowiek nie byłby w stanie upleść z nich całej korony. Przyjmuje się, że tak naprawdę koronę Jezusa upleciono z sitowia i dodano do niej tylko pojedyncze kolce. To tyle na razie z botaniki. Chodźmy do kościoła!

Obecny kościół Pater Noster wraz z przylegającym klasztorem powstał w XIX wieku nad grotą, w której przypuszczalnie Jezus Chrystus nauczał swoich uczniów modlitwy do Boga. Weszliśmy do długiego, wąskiego krużganka w całości ozdobionego mozaikowymi tablicami, równomiernie rozmieszczonymi na ścianie, prostopadle do

arkad. Każda tablica zapisana była tekstem modlitwy „Ojcze Nasz” w innym języku. Naliczyłam ich kilkadziesiąt. Nie zabrakło oczywiście tablicy z polskim tekstem. Jako miłą ciekawostkę potraktowaliśmy tablicę z wypisanym tekstem w oryginalnym, kaszubskim języku.

Przyszła kolej na punkt widokowy. Ze szczytu Góry Oliwnej rozciąga się wspaniały widok na Jerozolimę. Na plan pierwszy wybija się złota Kopuła na Skale wraz z meczetem Al-Aksa. Doskonale widać kopuły bazyliki Grobu Świętego, synagogę Hurwa, całe Nowe i Stare Miasto z dobrze zachowanymi murami obronnymi, od których aż do podnóża Góry Oliwnej rozciąga się malownicza Dolina Cedronu, w Biblii nazywana Doliną Jozafata.

Urzeczona tym niepowtarzalnym widokiem sama zrobiłam kilka pamiątkowych fotek komórką, żałując, że wbrew namowom Jacka zrezygnowałam z zabrania naszego aparatu fotograficznego. Otrząsnęłam się szybko z tej myśli, uprzytomniwszy sobie, że w takim upale targanie się przez cały dzień z torebką na ramieniu i dodatkowo jeszcze z dużym aparatem fotograficznym, zawieszonym na szyi, byłoby wątpliwą przyjemnością. Jednak zaniepokoiłam się, zauważywszy, że po zrobieniu tych kilku zdjęć wskaźnik pokazujący zasilanie baterii wyraźnie zmalał. Jeszcze kilka ujęć i bateria padnie. Nie znam się na technice. Nie mogłam rozstrzygnąć: czy to wina wieku mojej komórki i krótkiego porannego ładowania, czy dokuczliwego skwaru? Zosia, nabrawszy rezonu po wyjściu z toalety,

znalazła na to optymalne rozwiązanie. Zaproponowała robienie zdjęć naszymi komórkami na zmianę. Po powrocie do domu się skontaktujemy i wymienimy fotografie. Dzięki temu baterie w naszych telefonach tak szybko nie będą się wyczerpywać. Uśmiechnięta obróciła się na pięcie, rzucając mi na odchodne:

– Idę pogadać do Tereski, a ty na co czekasz? Nareszcie masz okazję zapalić! Wycofaj się za te skały. − Wskazała palcem kilka luźnych bloków leżących nieopodal. − W razie czego zawołam cię.

Zdążyłam wypalić pół papierosa, kiedy dobiegła do mnie komenda braciszka Tucka:

– Kończymy to podziwianie. Schodzimy do kościoła Dominus Flevit.

Wkroczyliśmy na stromą, asfaltową drogę, biegnącą w dół wzdłuż olbrzymiej nekropolii żydowskiej. Aż po horyzont całe zbocze góry pokryte jest niezliczoną ilością kamiennych grobów. Idąc, przypatrywałam się ich kształtom. Niektóre, widocznie już bardzo stare, wyglądem przypominały usypane stosy kamieni, a większość miała postać monumentalnych grobowców nakrytych prostokątnymi, poziomymi macewami. W dolnej części cmentarza odbywała się właśnie ceremonia pogrzebowa. Zarejestrowałam, że kondukt żałobników składa się z samych mężczyzn. Ich czarne ubrania i kapelusze ostro kontrastowały z nieskazitelną bielą koszul, które włożyli na tę smutną uroczystość.

Przez to patrzenie spowolniłam krok, a gdy znowu zrównałam się z początkiem grupy, usłyszałam już tylko końcówkę krótkiej prelekcji ojca na temat tego cmentarza:

– Po ostatnich wojnach cmentarz znalazł się w obrębie państwa Izrael i został gruntownie odrestaurowany. Obecnie pochówki na nim odbywają się tylko wyjątkowo. Nie ma wolnych miejsc. − Po czym dodał, zmieniając temat: – Musimy poczekać, aż wszyscy zejdą, i zbić się w ciaśniejszą grupę, żeby nikt się nie zgubił. Przy kościele Dominus Flevit panuje zawsze duży ruch.

Żal mi się zrobiło puszystej pani Wiesi i pani Basi, które ocierając chusteczkami rzęsisty pot z twarzy, dołączyły do nas jako ostatnie i poprosiły jednocześnie ojca, aby trochę miał baczenie na ich wiek i gabaryty. W odpowiedzi usłyszały:

– Dobrze, dobrze, będę pamiętał, ale jak się trochę wypocicie, to wam tylko na zdrowie wyjdzie! Mnie zresztą również. − Poklepał się wymownie po swoim brzuchu. Wybuchnęliśmy śmiechem.

Ojciec nie przesadził, zapowiadając tłok. Dziedziniec kościoła Dominus Flevit, co znaczy „Pan zapłakał”, roił się od grup pielgrzymkowych. O wejściu do środka i zwiedzaniu nie było mowy, gdyż właśnie odbywała się msza. Musieliśmy zadowolić się obejrzeniem jego murów od zewnątrz. Jeśli chodzi akurat o to miejsce, to dobrze odrobiłam lekcję w domu i orientowałam się, że obecna świątynia powstała w latach pięćdziesiątych XX wieku. Zaprojektowana została przez włoskiego architekta

w kształcie odwróconej łzy. Ten kształt symbolicznie nawiązuje do zdarzenia opisanego w Ewangelii świętego Łukasza. Tutaj Pan Jezus miał zapłakać nad ludnością Jerozolimy i przepowiedzieć jej zgubę. Kościół słynie z oryginalnego głównego ołtarza, ustawionego przed ogromnym oknem, z którego rozciąga się widok na panoramę Jerozolimy. Prace archeologiczne prowadzone na tym terenie, koordynowane przez franciszkanów, wykazały istnienie ruin bizantyjskiej świątyni, datowanej na IV wiek. Jej fragmentaryczne części można oglądać wyeksponowane pod szkłem, w podłożu dziedzińca. Niestety promienie słoneczne padały właśnie dokładnie na przeszkloną ekspozycję, odbijając się od grubych szyb ciemnymi smugami, co powodowało, że niczego nie było widać. Zrezygnowani skupiliśmy uwagę na podziwianiu malowniczego widoku miasta, jawiącego nam się i tu w całej okazałości.

Zbliżało się południe. Ponad trzydziestostopniowa spiekota. Na buzi i pozostałych nieosłoniętych częściach ciała poczułam pieczenie. Nieomylny znak, że do wieczora przypiekę się na klasycznego raka. Minie dobrych kilka dni, zanim moja skóra zbrązowieje. Nie pomyślałam o tym wcześniej, a teraz już za późno, aby jakoś temu zaradzić. Może po powrocie w „aptece” Zosi znajdzie się coś odpowiedniego? − dumałam poirytowana. Woda w butelce pod wpływem upału zamieniła się w ciepłą lurę, niegaszącą pragnienia. Kiedy Gosia poprosiła mnie o zrobienie zdjęcia na tle tego zachwycającego krajobrazu, z niechęcią wzięłam

jej aparat do moich klejących się od potu rąk, zastrzegając, że nie ręczę za czucie w palcach, a co za tym idzie, za udane ujęcie.

– Pstryknij tylko i niczym więcej się nie przejmuj! − Machnęła lekceważąco ręką. Tak jak chciała, to zrobiłam, dla pewności powtarzając tę czynność parę razy. Sama zmuszona byłam powstrzymać się od nadmiernego eksploatowania komórki, łudząc się, że Zosia, która obecnie zginęła mi z pola widzenia, nadrabia tę lukę.

Hasło wymarszu rzucone przez braciszka przyjęłam z ulgą. Na tę chwilę już miałam dosyć prażenia się w słońcu pośród tłumu pielgrzymów. Ojciec Jonasz poprowadził nas dalej wyasfaltowaną drogą, która serpentynami opadała łagodnie w dół. Dotarliśmy nią wprost pod lekko zacienioną, drewnianą bramę cerkwi Świętej Marii Magdaleny. Moment wytchnienia od dokuczliwego słońca.

Przy wejściu mniszki cerkiewne rozdały każdej z nas czarny fartuch, odcinany w pasie i zakrywający szczelnie nogi aż do kostek, który obowiązkowo należało na siebie włożyć. Dostałam bardzo obszerny chałat, tak że bez trudu zdołałam owinąć się nim dwa razy i zawiązać jego końce znacznie powyżej pasa, a i tak co chwilę plątałam się, przydeptując niemiłosiernie dolne obszycie.

Pokonaliśmy krótkie podejście w górę, dochodząc do zielonego skwerku, okalającego cerkiew. Wolne parkowe ławki, stojące w cieniu akacjowych drzew, kusiły, by odpocząć. Najpierw jednak trzeba było wdrapać się jeszcze po wysokich schodach, aby rzucić okiem na wnętrze

cerkwi. Dopiero potem będzie można się wygodnie rozsiąść, oddając się kontemplacji nad tą wykonaną z białego piaskowca budowlą z siedmioma kopułami i dzwonnicą połączonymi w całość małym korytarzem.

Nad wejściem zobaczyliśmy na złoconym tle wizerunek patronki cerkwi. Wnętrze bogato zdobione, ze wschodnim przepychem. Monumentalne freski, przedstawiające sceny z życia Marii Magdaleny, marmurowy ikonostas − ozdobiona ikonami przegroda oddzielająca ołtarz – oraz relikwiarze wręcz kapały od złoconych, misternie wykonanych dekoracji. Miało się odczucie, że trafiliśmy raczej do skarbca aniżeli do świątyni. Wycofaliśmy się na ławki z nieco mieszanymi uczuciami, porażeni tym wystrojem. W ciszy wysłuchaliśmy komentarza brata:

– Ta cerkiew zbudowana została w latach 1885–1888 dla uczczenia pamięci carycy Marii Aleksandrowny Romanowej. W 1921 roku została tutaj pochowana wielka księżna Elżbieta Fiodorowa, zamordowana wraz z mniszką Warwarą. W cerkwi znajduje się cząstka jej relikwii oraz cząstka relikwii świętej Marii Magdaleny wraz z relikwiami starców Pustelni Optyńskiej czczonych przez prawosławnych. Jurysdykcję nad tą świątynią oraz istniejącą przy niej żeńską wspólnotą monastyczną sprawuje Rosyjski Kościół Prawosławny poza granicami Rosji. Popularnie nazywany Białą Cerkwią − powiedział ojciec Jonasz. – Macie jakieś pytania? Bo jak nie, to ruszamy dalej. Czas nas goni! O ile w kościele Dominus Flevit był jeszcze znośny tłok, to teraz czeka nas prawdziwe

oblężenie − w Getsemani. Uważajcie szczególnie na złodziei i nagabywania wędrownych sprzedawców pamiątek. Nie ulegajcie ich namowom. Oni mają wszystko drogie, żerują na naiwności pielgrzymów. W Nazarecie lub w Betlejem kupicie to samo o wiele taniej. Nie mówcie tylko, że już jesteście zmęczeni! Nie osiągnęliśmy jeszcze nawet półmetka zaplanowanego na dzisiaj zwiedzania.

Siedząc wygodnie na ławkach w cieniu, zareagowaliśmy zbiorowym jękiem na ten jego przytyk.

Na drodze biegnącej u podnóża Góry Oliwnej, niedaleko Getsemani, naszą grupę obległa, niczym szarańcza, gromada wędrownych sprzedawców pamiątek, palestyńskich Arabów. Nie można się było od nich opędzić. Pamiętałyśmy o przestrogach ojca i wraz z Zosią przybrałyśmy groźne miny, naiwnie sądząc, że to wystarczy. Nie wystarczyło. Aby się od nas w końcu odczepili, dałyśmy za wygraną i podobnie jak pozostali wygrzebałyśmy z portmonetek drobne i kupiłyśmy za dolara foldery z panoramą miasta. Inne panie wykazały o wiele większe zainteresowanie niż my podsuwanymi im pod nos tandetnymi dewocjonaliami. Larum podniosła starsza pani, Helenka, dowodząc, że palestyński sprzedawca oszukał ją, ponieważ zainkasował od niej dziesięć dolarów i nie wydał reszty za dwa różance, których wartość nie przekraczała pięciu. Jak się okazało, apel braciszka Tucka nie poskutkował.

Ogrójec i bazylika Agonii przytłoczyły nas panującym tutaj ściskiem, harmidrem. Patrząc po twarzach

zgromadzonych pielgrzymów, łatwo było można rozszyfrować, że przybyli oni z różnych zakątków naszego globu. Zewsząd dobiegały odgłosy objaśnień wymawianych w co najmniej kilkunastu językach. W tym zgiełku utworzyliśmy ciasny krąg wokół ojca, który także starał się nam przekazać podstawowe informacje:

– Wiecie państwo, że jesteśmy w miejscu, w którym Pan Jezus spędzał swój ostatni wieczór przed pojmaniem. Stoimy przed bazyliką Agonii, nazywaną inaczej kościołem Wszystkich Narodów dla upamiętnienia ofiarności wiernych z wielu krajów, którzy dotowali budowę tej świątyni. O kilkadziesiąt metrów od niej usytuowana jest Grota Getsemani − od niej wywodzi się nazwa całej okolicy − często określana także mianem Groty Pojmania. Pieczę nad tymi przybytkami sprawują franciszkanie z Kustodii Ziemi Świętej. Bazylika Agonii powstała w 1924 roku na odkopanych fundamentach starożytnej bazyliki bizantyjskiej cesarza Teodozjusza. Będąc w środku, zwróćcie państwo uwagę na zachowane antyczne fragmenty mozaikowej posadzki. Na środku oddzielona kratą stoi Skała Agonii. Polskim akcentem w tej bazylice są dwie mozaiki umieszczone po bokach centralnej mozaiki absydy. Jedna przedstawia Pocałunek Judasza, a druga scenę Pojmania Chrystusa. Ufundowali je wraz z Irlandczykami nasi żołnierze stacjonujący w Palestynie w czasie drugiej wojny światowej. Zabytkowe drzewa oliwne Ogrójca uważane są za niemych świadków losu Pana Jezusa. Jednak dendrolodzy obalili to twierdzenie. W oparciu o specjalistyczne badania

ustalili, że są młodsze. Uważa się jednak, że parę korzeni z czasów Jezusa mogło przetrwać w ziemi i z nich rozrosły się te zachowane do dzisiaj. Są one i tak uznawane za jedne z najstarszych, przebadanych przez naukowców okazów, występujących na naszym globie. Proponuję państwu, abyście teraz przeszli się indywidualnie, bo jak widzicie, w tym tłumie przeciskanie się razem jest niewykonalne. Spotkamy się za jakieś dwadzieścia minut na schodach przed głównym dziedzińcem bazyliki.

Rozeszliśmy się małymi grupkami, próbując sforsować to kłębowisko ludzi. Dołączyłam do Waldka i Tereski, która utyskiwała na coraz bardziej obcierające ją lekkie baletki. Włożyła je na bose nogi i narobiła sobie kłopotu. Ja na szczęście − odpukać − takiego problemu nie miałam. Moje sandały sprawowały się dobrze.

Lawirując między grupami pielgrzymów, udało nam się stanąć na skraju głównego wejścia do świątyni. Podejście bliżej do absydy z głównym ołtarzem i wspomnianymi przez ojca mozaikami oraz Skałą Agonii było niemożliwe. Kościół zapełniony był po brzegi. Na środku stała pielgrzymka Japończyków, zasłaniająca nam widok. Większość jej uczestników zaopatrzona była w pokaźne tablety z włączonymi kamerami, które trzymali wysoko powyżej ramion, lustrując nimi całe wnętrze. Śmialiśmy się z Waldkiem, że ich znana na całym świecie pasja do fotografowania wszystkiego, co napotkają na swej drodze, przybrała teraz jeszcze bardziej zaawansowaną formę.

Byliśmy pełni podziwu dla nich, że chce im się przez cały czas dźwigać te ustrojstwa. Ja nawet aparatu nie zabrałam.

Tereska ze względu na nogi zrezygnowała z wędrówki po Ogrodzie Oliwnym i poszła klapnąć na schodach świątyni. My odbyliśmy mały spacerek wzdłuż niego. Olbrzymie, podwójne, a nawet potrójne pnie drzew wystawały z ceglastej ziemi. Na nich rozłożyste, powyginane pod różnymi kątami konary, tworzące wraz z liśćmi fantastyczne kształty koron, mieniące się w słońcu odcieniami brązu i ciemnej zieleni. Niezależnie od tego, czy rosły już w czasach Chrystusa, czy były sadzone później, to i tak patrząc na nie, nie można było oprzeć się refleksji, że na pewno mogłyby nam wiele opowiedzieć o zamierzchłej przeszłości. *À propos* komentarza ojca o tych drzewach, przypomniałam sobie, że gdzieś trafiłam na wzmiankę o nich. Wynikało z niej, że Józef Flawiusz w swojej kronice, opisując oblężenie Jerozolimy przez Rzymian, przytoczył rozkaz ich wodza dotyczący wycięcia wszystkich drzew wokół miasta. Może korzenie się jednak zachowały?

Na schodach zastaliśmy wszystkich z wyjątkiem braciszka. Trzeba było czekać. Zrezygnowałam z siadania. Wyższe, zacienione stopnie były zajęte, a na niższych, nagrzanych przez słońce, strach było spocząć. Podsłuchałam, jak kilka naszych starszych matron wyraża podrażnionymi głosami swoją dezaprobatę wobec zaistniałej sytuacji:

– Gdzie on się podziewa? Jak długo mamy czekać?

− Mnie się chce jeść! − Pani Basia prychnęła ze złością.

− Na obiad to jeszcze nie tak prędko. Tak nas przedtem cały czas gnał, a teraz gdzie go poniosło?

Zziajany braciszek Tuck wyłonił się wreszcie zza narożnika bazyliki, pokazując nam, abyśmy udali się w jego stronę. Jednocześnie, wyczuwając chyba, że pewnym osobom jego spóźnienie się nie podoba, rozłożył ręce w wymownym geście.

– Przepraszam, przepraszam. To się więcej nie powtórzy! Nie złośćcie się państwo! Zatrzymały mnie młode Belgijki, prosząc, abym im zrobił kilka pamiątkowych fotografii na tle drzew oliwnych, i się z nimi zagadałem.

– No tak, przecież nie mógł ojciec odmówić młodym Belgijkom. – Waldek podsumował z przekąsem słowa ojca, kładąc wyraźny nacisk na dwa ostatnie wyrazy.

– Tylko mi tu bez żadnych dziwnych insynuacji! Ruszamy do Groty Pojmania. – Ojciec obruszył się ze śmiechem. Znów zrobiło się wesoło i sympatycznie.

Mijaliśmy grupę Hindusów, przeciskającą się w kierunku Ogrójca. Bajecznie kolorowe sari kobiet i kremowe dhoti mężczyzn swoją egzotyką przykuły naszą uwagę. Idąc rozweselona blisko brata, już miałam rzucić niefrasobliwą uwagę, że nawet Bollywood tutaj zawitało, lecz na szczęście w samą porę ugryzłam się w język. Ojciec Jonasz przybrał poważny wyraz twarzy, wyjaśniając nam, idącym najbliżej, że tym ludziom winniśmy okazywać wyjątkowy szacunek.

– W Indiach stanowią znikomą mniejszość. Jako katolicy poddawani są ciągle prześladowaniom ze strony hinduistów

i muzułmanów. Wywodzą się na ogół z najuboższych kast. Dla nich przyjazd do Ziemi Świętej jest podróżą życia. Przeznaczają na nią niejednokrotnie cały swój skromny dorobek. Nie mieszkają w takich luksusowych warunkach jak my, lecz w slamsowatych motelach. Ograniczają się do spożywania tylko jednego posiłku dziennie. Za to należy ich cenić. Z pobożności tych ludzi wszyscy katolicy powinni brać przykład.

W Grocie Getsemani chwila na cichą modlitwę. Spożytkowałam ten czas na przypomnienie sobie strzępów wiadomości, jakie zakodowałam w głowie. Przeprowadzano tutaj prace archeologiczne w latach pięćdziesiątych. Przez przypadek, chyba przy zalaniu groty podczas powodzi, odkryto fragment ołtarza i części mozaikowej posadzki. To potwierdziło przypuszczenia badaczy, że w IV wieku, po zburzeniu bazyliki Teodozjusza, w tym miejscu odbywały się chrześcijańskie rytuały.

Ostatnim przystankiem na Górze Oliwnej jest położony zaraz obok Groty Pojmania kościół Grobu Najświętszej Marii Panny. Cieszyłam się, że dane jest mi go zobaczyć, ponieważ w domu zaintrygowały mnie jego burzliwa historia i zachowane w nim zabytki. Stanęliśmy na szerokich, kilkustopniowych schodach przed łukowatym, solidnym wejściem. Nad nim fasada. Autentyk pochodzący z czasów średniowiecza. Dobrze zachowany przykład architektury krzyżowców z XII wieku. Za wejściem schody prowadzące w dół, do skalnego wnętrza świątyni. Chwilę trzeba było odczekać, aby oczy mogły się przyzwyczaić do

panującego tutaj półmroku. Wnętrze rozjaśniają jedynie płomienie zapalonych lamp oliwnych i świec. W ich blasku na ścianach dostrzegamy ikony, kobierce. Wystrój cerkiewny, lecz nie tak przytłaczający swoim bogactwem jak w cerkwi Świętej Marii Magdaleny. Może to ze względu na oświetlenie dekoracje w tej świątyni wydały mi się bardziej stonowane, oszczędniejsze − rozważałam później.

Panująca cisza nadaje temu miejscu wyjątkowy klimat powagi sprzyjający refleksjom i medytacji. Ojciec kieruje nas bezpośrednio do Grobu Matki Bożej. Jest nim wykuta w skale ława. Do niej symbolicznie, co roku w uroczystość Zaśnięcia Najświętszej Marii Panny, patriarcha przykłada ikonę z Jej wizerunkiem, którą wierni z należytą czcią całują. Nawiasem mówiąc, w naszym kościele to święto nazywa się Wniebowzięciem Najświętszej Marii Panny lub świętem Matki Boskiej Zielnej.

Większość pielgrzymów poddała się nastrojowi i pogrążyła się w modlitwie. Ja swoim zwyczajem poprzestałam na stosownym dygnięciu przed grobem i wycofaniu się na krzesełko stojące nieopodal wejścia. Zaraz usiadła obok mnie Tereska z widocznym grymasem bólu. Nie musiała niczego mówić.

Miałam szczery zamiar obejść tę świątynię dookoła w poszukiwaniu pozostałości chrześcijańskich z czasów Królestwa Jerozolimskiego, no i gdzieś też powinien być i tutaj muzułmański mihrab. Nie zrobiłam jednak tego, gdyż łażenie i oglądanie zabytków wśród ludzi akurat pogrążonych w żarliwej modlitwie wydało mi się

nietaktowne. Myślałam, że uda mi się trochę pomyszkować, gdy będziemy wychodzić. Moje plany spaliły jednak na panewce, gdy razem z Tereską popełniłyśmy gafę: siedząc, każda z nas założyła sobie wygodnie nogę na nogę, co nie uszło uwadze młodego mnicha. Jak spod ziemi wyrósł raptem przed nami i gestem wskazał, że taka pozycja jest w tym miejscu niewłaściwa. Natychmiast ze skruchą wyprostowałyśmy nogi, łącząc łydki. Całkowicie przeszła mi ochota na zwiedzanie. Jeśli samo siedzenie ze skrzyżowanymi nogami uznane zostało przez duchownego za obraźliwe dla tego miejsca, to nie chciałam wnikać, jak by zareagował, widząc mnie włóczącą się po świątyni w celach poznawczych. Szkoda!

Nie zwiedziłam dokładnie tego przybytku, w którym kult Matki Boskiej trwa nieprzerwanie od II wieku. Bizantyjczycy rozbudowali w IV wieku to sanktuarium. Następnie krzyżowcy je gruntownie przebudowali, dobudowując dodatkowo klasztor. Większość kompleksu tej budowli zburzył Saladyn po zdobyciu Jerozolimy w końcu XII wieku. Nakazał jednak oszczędzić samą kryptę z Grobem Najświętszej Marii Panny, gdyż w islamie Matka Jezusa jest także uważana za wybraną, samo zaś miejsce za święte, stąd mihrab. Od połowy XVIII wieku świątynią opiekują się greccy i ormiańscy mnisi. No i cóż mi po książkowej wiedzy, skoro będąc na miejscu, nie mogłam jej należycie spożytkować? Dobry nastrój prysł.

Po wyjściu z tego chłodnego, skalnego wnętrza wydało nam się, że słońce bijące z nieba zaatakowało nas

z podwójną siłą. Wypiłyśmy z Zosią resztkę wody, bezradnie wodząc oczami po okolicy w poszukiwaniu jakiegokolwiek sklepu z napojami. Nic! Ojciec prowadził nas pagórkowatym poboczem drogi szybkiego ruchu i przekrzykując kakofonię samochodowych dźwięków, zapewniał nas solennie, że niebawem dojdziemy do restauracji, w której czeka już na nas obiad.

− Nareszcie! − Okrzyk radości wydarł się z naszych gardeł, gdy po opuszczeniu drogi i pokonaniu kilku uliczek Starego Miasta weszliśmy do bramy, za którą ukazał nam się pożądany widok restauracyjnego ogródka. Restauracja serwowała dania kontynentalne. Mieliśmy do wyboru trzy zestawy: kurczaka z frytkami, szaszłyk barani z ryżem oraz kotlet panierowany w ziołach, plus zestawy surówek. Wybrałyśmy z Zosią ten trzeci, uznając go za najbardziej bezpieczny dla naszych żołądków. Mięso okazało się smaczne, ale z surówek naszpikowanych dużą ilością curry, którego nie znoszę, musiałam zrezygnować. Za to sok wyciskany z dojrzałych pomarańczy miał cudowny smak. Duszkiem wypiłyśmy go po dwie szklanki. Skutek był taki, że natura dała znać o sobie i trzeba było skorzystać z toalety, która, jak na nasze standardy, pozostawiała dużo do życzenia. Jakoś przebrnęłam, przykładając się do o wiele porządniejszego niż normalnie umycia rąk. A gdy w ogródku uraczyłam się dwoma papierosami, wypalonymi do końca, nastrój znacznie mi się poprawił. Byłam gotowa ruszać w dalszą drogę. Także Tereska po nałożeniu plastrów na obtarte nogi mogła dalej maszerować. Pozostał

tylko nierozwiązany problem zaopatrzenia się w wodę. Gdy ją chciałam kupić w restauracyjnym barze, braciszek Tuck odwiódł mnie od tego zamiaru, stwierdzając:

– Nie ma sensu tutaj kupować napojów, bo dużo się przepłaca. Kiedy wyjdziemy, po drodze będą arabskie budki, w nich woda prosto z zamrażarki jest o połowę tańsza.

Dobrze − pomyślałam. Jeśli tak, to można poczekać. Rozrzutność nie należy do moich przywar.

Trochę trwało, zanim rozleniwione towarzystwo po obiedzie i kawie zechciało opuścić gospodę. Prawdę powiedziawszy, to i mnie perspektywa odwiedzania następnych kościołów Jerozolimy nie napawała optymizmem. Kościoły na Górze Oliwnej w jednym dniu wystarczyły mi w zupełności, ale cóż, nie ode mnie to zależało. Ojciec narzucił szybkie tempo marszu, tłumacząc, że teraz musimy nadrobić czas, który straciliśmy, zasiedziawszy się w restauracji. Mieliśmy odmienne zdanie co do tej kwestii, lecz to on miał decydujący głos.

Popołudniową wędrówkę zaczęliśmy od bazyliki Świętej Anny w dolinie Sadzawki Owczej tak zwanej Betesdy. Przed wejściem rozdano nam broszurki informacyjne, wydrukowane po polsku. Korzystając z chwili zamieszania, szybko przeczytałam jej treść − na szczęście okulary miałam przy sobie. Bardziej od samego gmachu kościoła, o którym już wcześniej wiedziałam, że pochodzi z XII wieku i jest odrestaurowaną świątynią wybudowaną przez krzyżowców w stylu romańskim, ciekawiły mnie znajdujące

się zaraz za nią starożytne ruiny. Z opisu wywnioskowałam, że są to odkopane przez francuskich archeologów fragmenty zbiorników wodnych oraz cystern, z których woda kanałami doprowadzana była do łaźni leczniczych. W tym miejscu według ewangelicznych przekazów Pan Jezus miał wyleczyć sparaliżowanego.

Kościół poświęcony rodzicom Maryi – Annie i Joachimowi − powstał na ruinach bizantyjskiej bazyliki. Przetrwał do czasów nam współczesnych dzięki temu, że Arabowie w jego wnętrzu po wyparciu krzyżowców urządzili szkołę prawa koranicznego. Budowla w kolejnych wiekach popadała w ruinę, aż do połowy XIX wieku. Wówczas władca Imperium Osmańskiego przekazał ją rządowi francuskiemu w dowód wdzięczności za wsparcie w wojnie krymskiej. Darowanie Francuzom na własność obiektu umożliwiło przeprowadzenie gruntownego odrestaurowania świątyni i rozpoczęcie prac wykopaliskowych na przylegającym do kościoła terenie. W powstałych wówczas stanowiskach archeologicznych do tej pory odkrywane są cenne znaleziska.

Ojciec Jonasz ograniczył swoje objaśnienia odnośnie do tego przybytku do stwierdzenia, że kościół słynie ze wspaniałej akustyki.

− Warto więc zaśpiewać w nim chociaż ze dwie pieśni ku chwale Bożej, aby się o tym przekonać − zauważył.

To mi jak najbardziej odpowiadało. Rozejrzałam się po surowym, klasycznie romańskim wnętrzu, z którego emanował klimat średniowiecznych misteriów, zapewne

odprawianych tutaj przez rycerstwo krzyżowe. A następnie, gdy tylko brat zaintonował pieśń, wyszłam, kalkulując sobie, że zdążę obejść przynajmniej część ruin, zanim grupa skończy śpiewać. Na zbiorowe ich zwiedzanie nie mogłam liczyć, słusznie podejrzewałam, że zaraz po wyjściu udamy się w inne miejsce. Krótki spacer wśród odkopanych fundamentów i fragmentów starych murów zakłóciła mi spora grupa Afroamerykanów. Łatwo ich było rozpoznać po bejsbolowych czapeczkach z napisem „USA” i małej fladze niesionej przez przewodnika. Zakończyli oni właśnie obchodzenie ruin i zmierzali prosto do kościoła. Trzeba było wracać. Nasza grupa na ich widok zaniecha pewnie dalszego śpiewania. Należycie oceniłam sytuację. Ledwie ostatnia sylwetka rosłego Amerykanina zniknęła w wejściu do świątyni, zaraz zaczęła wynurzać się z niej nasza grupa. Nim wszyscy od nas zdążyli wyjść, kościół rozbrzmiał ekspresyjną pieśnią religijną. Była to wspaniała uczta dla ucha. Amerykańscy śpiewacy tchnęli w tę pieśń niesamowitą radość życia, zadowolenie z przebywania w tym miejscu. Tego nie da się opisać słowami! A tak na marginesie, jakże blado i skostniale wypadła przy nich pieśń naszej grupy, której urywki słyszałam. Różnice kulturowe aż nadto się tutaj uwidoczniły. Bez komentarza udaliśmy się dalej.

Po drodze do cerkwi Aleksandra Newskiego w obawie, aby nie zgubić grupy, w biegu zakupiłam na arabskim ulicznym straganie dużą butelkę wody z kawałkami lodu wewnątrz, bez targowania się.

– Mogłaś kupić dwie mniejsze! Do mojego plecaka taka duża nie wlezie! − Zosia prychnęła kapryśnie.

– Też coś, ciesz się, że w ogóle mamy jakąś, i nie marudź! Wypij, ile możesz, a resztę ja poniosę, do mojej torby się zmieści. W biegu wzięłam pierwszą lepszą – odparłam urażona.

– Nie złość się. Ja tylko w trosce o ciebie. Na jutro będzie trzeba zorganizować coś bardziej poręcznego, dla nas obydwu. − Praktyczna Zosia nie dawała za wygraną.

Tę konwersację odbyłyśmy już na schodach cerkwi. I tutaj w przedsionku czekała nas taka sama procedura z fartuchami jak w cerkwi Świętej Marii Magdaleny. Ledwie się w niego przyodziałam, gdy niespodziewanie mój telefon w torebce się rozdzwonił. Normalnie bym go zignorowała i odrzuciła połączenie, ale gdy na wyświetlaczu pokazał się Jacek, przestraszyłam się. Czyżby w domu wydarzyło się coś niedobrego? Mój mąż bez ważnego powodu ze względu na koszt raczej by nie dzwonił! Odebrałam.

– Żyjesz? Dlaczego nie zadzwoniłaś po wylądowaniu? Wszystko w porządku? − Zasypał mnie gradem pytań.

− Jak to? Beata nie dzwoniła? U mnie wszystko dobrze, a w domu?

– Nikt nie dzwonił i zacząłem się denerwować! Nic nowego się nie wydarzyło! A ty pieśni religijne śpiewasz?

– Przestań błaznować. Wieczorem spróbuję się do ciebie dodzwonić ze stacjonarnego od sióstr, to pogadamy. Szkoda teraz forsy. Cześć!

Przerwałam. Mogłam się tego spodziewać. Beata pewnie wcale nie zauważyła, że dostała eskę w nocy, albo uznała, że to reklama, i bez czytania skasowała ją. Abstrahując, to całkiem przyjemnie, że ma się kogoś, kto… E, jeszcze tego brakowało − pomyślałam. Raptem zebrało ci się na sentymenty! Wracaj do grupy!

Dołączyłam do niej w momencie, gdy schodziła już na niższy poziom gmachu. Szybko rozejrzałam się po przestronnych, jasnych salach, ozdobionych ikonami oraz obrazami. Podłoga i schody z białego marmuru przydawały temu wnętrzu elegancji. Uznałam, że ta cerkiew urządzona jest z wyrafinowanym smakiem. Przepych nie rzucał się tak w oczy jak w cerkwi Marii Magdaleny.

Najciekawsze jednak okazały się dla mnie piwnice tego przybytku, w których wyeksponowano odkopane fragmenty starożytnych murów miejskich, z doskonale zachowanym uchem igielnym. Jest to wąska szczelina w murze, przez którą można się było dostać do miasta po zamknięciu bram. Według słów ojca strażnicy za odpowiednim napiwkiem pozwalali przez nie przechodzić spóźnionym podróżnym.

– Uwinęliście się sprawnie w cerkwi, to teraz na króciutko przejdziemy do kościoła Litostrotos – symbolicznego miejsca sądzenia Pana Jezusa przez Piłata – oraz kościoła Ecce Homo. Oba te kościoły należą do zespołu klasztornego sióstr syjońskich. Odpoczniecie trochę w salce klasztoru. Tam opowiem wam więcej o tych miejscach. I będziecie mogli poczuć prawdziwy klimat starożytnej

Jerozolimy. − Ostatnie zdanie ojca wydało mi się tajemnicze. Co może się za tym kryć?

Na zasadzie zaliczenia przemaszerowaliśmy przez kościoły Litostrotos i Ecce Homo po to, aby następnie wygodnie się rozsiąść w salce klasztoru, przed wejściem do podziemi. Ojciec wzmocnił się butelką coca-coli, tłumacząc nam, że jest to jego wypróbowany sposób na pobudzenie, a potem zaczął mówić:

– Znacie państwo zapewne króla żydowskiego Heroda z opisów ewangelicznych jako dzieciobójcę i okropnego tyrana. To oczywiście jest prawda, lecz w świetle wiedzy historycznej Heroda uważa się także za świetnego męża stanu, potrafiącego wykorzystać kuratelę Rzymu dla osiągnięcia ambitnych celów, służących rozwojowi całego państwa. Oczywiście nie przejmował się losem swoich najuboższych poddanych. Jednak w annałach dziejów zapisał się jako wizjoner, wspaniały budowniczy, który przy pomocy swoich architektów z rozmachem przebudował Jerozolimę oraz resztę kraju. Mówię o nim dlatego, że wszelkie starania zmierzające do ustalenia autentycznych miejsc pobytu naszego Pana wiążą się z odnajdywaniem pozostałości budowli będących dziełem tegoż właśnie króla. Jesteśmy w wyjątkowym miejscu. Dzięki temu, że siostry syjońskie posiadają akt własności tego terenu, podobnie jak Francuzi kościół Świętej Anny, można było przeprowadzić i tutaj gruntowne prace archeologiczne, co normalnie jest rzeczą wyjątkowo trudną do realizacji, gdyż rząd izraelski nie jest przychylny wykopaliskom potwierdzającym

spuściznę chrześcijańską. To tak tytułem wstępu. Teraz po kolei. Najpierw kościół Litostrotos. Sama nazwa oznacza posadzkę. W tradycji średniowiecznej to miejsce, na którym obecnie stoi kościół, uznawane było za część rzymskiej twierdzy Antonia. Na jej wybrukowanym dziedzińcu Piłat miał osądzać Jezusa. Gdy tutaj w bliskim sąsiedztwie odkopano brukowany plac − zobaczycie

jego fragmenty, zwiedzając podziemia − powszechnie uważano, że natrafiono na ten właściwy, opisany w Ewangelii. Badacze szybko jednak ustalili jego wiek na nie wcześniejszy niż drugie stulecie po Chrystusie. Podobnie sprawa ma się z łukiem Ecce Homo. Jego jedno przęsło widzieliście wmurowane w ołtarz kościoła, reszta wychodzi na ulicę. Dawniej uważano, że jest on fragmentem twierdzy Antonia i jako w miejscu uświęconym postawiono kościół. Archeolodzy obalili też tę tezę, jednoznacznie stwierdzając, że jest to łuk tryumfalny i jako taki nie może mieć nic wspólnego z twierdzą Antonia, a poza tym wmurowano go w ten odkopany, wybrukowany plac, zatem jest znacznie młodszy. Istnieją wprawdzie niepotwierdzone teorie, wedle których ze względu na to, że łuk nie jest osadzony na bruku, lecz na litej skale, całkiem możliwe, iż zbudował go jednak Herod, chcąc przypochlebić się Rzymianom. Ale to jest tylko hipoteza. Żadnych wątpliwości nie pozostawia za to odkopany tutaj, na najniższym poziomie, zbiornik wodny Strution. Badacze są zgodni, że jest on dziełem architektów Heroda, a więc musiał już istnieć w czasach Jezusa. Przyprowadziłem tutaj

państwa, abyście mogli obejrzeć te unikatowe fragmenty starożytnej Jerozolimy. Mam nadzieję, że dzięki temu wczujecie się w klimat epoki, w której Pan Jezus stąpał ulicami tego miasta. Zapraszam na wycieczkę do podziemi. Uwaga na wąskie, strome stopnie! Tam przynajmniej będziecie mieli chłodniej!

Z ochotą podreptałam zaraz za ojcem. Uwielbiam zwiedzanie starożytnych ruin. Zawsze można puścić wodze fantazji i wyobrażać sobie, jak zachowany fragment wyglądał w całej swojej okazałości. Nieważne, że zazwyczaj wyobrażenie dalekie jest od pierwowzoru.

– Widzę, że jest pani zadowolona, gorzej pewnie ze starszymi paniami. Nie w smak im pokonywanie tych schodów. − Ojciec zagadnął mnie podczas schodzenia.

– Mnie się podoba. Dobry przerywnik od tych wszystkich kościołów. Lubię oglądać takie obiekty. Niech się ojciec nie przejmuje! Tak *à propos* starszych pań. Wszystkim i tak nigdy się nie dogodzi – odparłam.

– Zobaczymy, jaki będziemy mieli czas po wyjściu stąd. Może uda nam się w ramach przerywnika… − Uśmiechnął się. − …jak pani to trafnie ujęła, zajrzeć jeszcze do pobliskiego franciszkańskiego muzeum archeologicznego.

– Byłoby fajnie!

W podziemiach pod kompleksem klasztoru sióstr syjońskich przy fragmencie brukowanego placu brat Jonasz pokazał nam kilka kamieni, na których wyraźnie było widać po ich polaniu wodą głębokie wyżłobienia. Wyjaśnił, że te rowki zrobiono, aby zapobiec ślizganiu się koni ciągnących

ciężkie, wyładowane towarami wozy. Inne służyły do odprowadzania wody deszczowej. Na niektórych kamieniach zachowały się także wyryte wzory geometryczne, uważane za fragmenty gier planszowych. Schodząc jeszcze niżej w głąb, zobaczyliśmy zbiornik Strution. Został on wydrążony w skale celem zaspokojenia zapotrzebowania świątyni na wodę. W nim obmywano zwierzęta przeznaczane na ofiarę. Początkowo sadzawka była odkryta i tylko zabezpieczona, aby nikt do niej nie wpadł. Znacznie później zakryto ją kamiennym sklepieniem. O to, kiedy to uczyniono, do dnia dzisiejszego toczą się spory wśród uczonych.

Opuściwszy podziemia, starałam się trzymać jak najbliżej braciszka Tucka, gotowa w bezczelny sposób domagać się odwiedzenia muzeum, gdyby okazało się, że zostało zbyt mało czasu. Jednakże ojciec po cichej konsultacji z Zenkiem na dziedzińcu kościoła Biczowania skierował nas pod arkady krużganka z lewej strony i w ten sposób znaleźliśmy się we franciszkańskim muzeum archeologicznym. Moje życzenie zostało spełnione. Naprawdę warto było zapoznać się ze zbiorami!

Zaczęliśmy zwiedzanie od lapidarium, w którym zgromadzono rzeźby i inne kamienne artefakty z umieszczonymi na nich epigrafami. Można było obejrzeć inskrypcje między innymi w językach: greckim, hebrajskim, łacińskim czy arabskim. Oglądając je, równocześnie słuchałam wyjaśnień ojca odnośnie do historii powstania tej placówki i jej rozwoju w latach późniejszych.

Zbiory zaczęto gromadzić od 1923 roku. Rok później pierwsza kolekcja zostaje przeniesiona do obecnej siedziby, będącej własnością franciszkańskiego konwentu, czyli do klasztoru Biczowania przy Via Dolorosa. Od 1931 roku stała ekspozycja wzbogacona nowymi kolekcjami zostaje udostępniona do zwiedzania. W kolejnych latach zbiory muzealne się intensywnie powiększają na skutek szeroko zakrojonych prac archeologicznych, prowadzonych w miejscach będących pod stałą bądź przejściową pieczą Kustodii Ziemi Świętej.

Stanęliśmy na chwilę przed jednym z pierwszych wykonanych modeli – makiety Jerozolimy z czasów Heroda. W tempie o wiele dla mnie za szybkim przeszliśmy parę następnych sal. Tylko na nieco dłużej ojciec pozwolił nam się zatrzymać w ostatniej. Tutaj w przeszklonych gablotach wystawiono zbiory monet, przedmiotów liturgicznych, naczyń i ceramiki. Wśród zgromadzonych w tej sali artefaktów zaintrygowała mnie kolekcja ceramicznych pojemników i odważników różnej wielkości. Z tabliczek informacyjnych wywnioskowałam, że pojemniki służyły do przechowywania leczniczych mikstur sporządzanych w przyklasztornych aptekach. Długo bym jeszcze mogła podziwiać zgromadzone tutaj skarby, lecz narzucony przez ojca pielgrzymkowy rygor rządził się swoimi prawami.

Powrót do kaplicy Biczowania i czas na odbycie żelaznego punktu każdej pielgrzymki, czyli Drogi Krzyżowej. Jeszcze przed wejściem do kościoła ojciec poinstruował nas, że po modlitwie w kaplicy najlepiej

byłoby, abyśmy zbili się w ciasną grupkę, ponieważ będziemy przechodzić ruchliwymi arabskimi uliczkami. Odbędziemy pielgrzymkę na stojąco, bez klękania i śpiewów przy poszczególnych stacjach.

– Przejdziemy tylko fragment, kończąc na stacji przed bazyliką Grobu Świętego. Ostatnie stacje, te znajdujące się już wewnątrz bazyliki na Golgocie, przeszliście pobieżnie już wczoraj. Sam Grób Pana Jezusa, kończący Drogę Męki Pańskiej, przyjdzie nam adorować w trakcie zamówionej mszy. Zwróćcie państwo uwagę na III i IV stację. Tablice tych stacji zostały ufundowane przez polskich żołnierzy w czasie drugiej wojny światowej.

Utworzyliśmy ciasny szyk, czekając, aż niemieccy pielgrzymi przejdą od pierwszej stacji Drogi Krzyżowej do następnej. Zaraz za nami formowała się grupa hałaśliwych pielgrzymów latynoamerykańskich. Wciśnięci między te dwie grupy ruszyliśmy zwartą procesją. Teraz wolałam z wiadomych względów nie pchać się do przodu. Z Tereską zamykałyśmy pochód. Przeciskając się przez zawalone towarami kramy wzdłuż ciasnej ulicy, ledwie można było się zorientować, przy której stacji akurat się znajdujemy. W takiej scenerii raczej o modlitewnym skupieniu się kogokolwiek nie mogło być mowy.

Cały czas targały mną wątpliwości. Udział w tej manifestacji wiary był sprzeczny z wyznawanymi przeze mnie zasadami. Już sam ten fakt powodował, że ogarnęło mnie poczucie irytacji. Nasiliło się ono jeszcze bardziej w bezpośredniej konfrontacji z arabskimi sklepikarzami,

którym ewidentnie zakłócaliśmy prowadzenie handlu. Poczułam się jak intruz, niechciany gość, którego gospodarze są zmuszeni tolerować. Przewrotnie pomyślałam, co byłoby, gdyby u nas coś takiego się odbywało. Jakie protesty podnosiliby polscy katoliccy sprzedawcy, jeśliby im przed nosami na ich terenie defilowała, dajmy na to, muzułmańska procesja? Obojętna postawa arabskich sprzedawców wobec katolickich wiernych wydała mi się godna podziwu. Odetchnęłam, gdy na IX stacji zakończyliśmy Drogę Krzyżową. Brat spojrzał na zegarek i stwierdził:

– Drodzy państwo, zrobiło się już nieco późno na szczegółowe zwiedzanie bazyliki Grobu Świętego. Przyjdzie nam ją obejrzeć najprawdopodobniej pojutrze lub w następny dzień. Proponuję teraz przejść się spacerkiem do Bramy Jafy i zwiedzić Wieżę Dawida, którą rano widzieliśmy z zewnątrz. Widzę, że jesteście już porządnie zmęczeni, więc na tym chyba na dzisiaj poprzestaniemy. Jeśli ktoś nie chce iść na samą górę cytadeli, to może zwiedzić znajdujące się na parterze i piętrze Muzeum Historii Jerozolimy i poczekać na tych, którzy pójdą na szczyt. Długo tam nie zabawimy. Przy okazji zorientuję się co do biletów na nocny pokaz spektaklu zapowiedzianego w programie pielgrzymki. Chyba wszyscy chcą iść? Nie słyszę sprzeciwu. Pan Zenek zapewnia, że forsy wystarczy, więc nie musicie dokładać.

– Uff! − jęknęła Zosia, sięgając po naszą wspólną butelkę wody. − Ja mam na dzisiaj dosyć. Jest już późne

popołudnie, a my od samego rana łazimy po kościołach. Wszystko mnie boli i nic mi się nie chce. A teraz jeszcze wieża. Do tego znowu schody! Patrz, inni też mają chyba dosyć!

– Zosiu, nie pękaj! Tyle jeszcze wytrzymasz. Wszyscy są porządnie zmęczeni. Ja też. To już będzie ostatnie miejsce. Chyba że brat wymyśli jeszcze coś.

– Przestań! A tak w ogóle to tobie łatwiej, bo jesteś młodsza!

– Też mi argument! – Wzruszyłam ramionami.

Tak naprawdę to nogi i cała reszta bolały mnie okrutnie. Tylko jak przepuścić okazję zwiedzenia Wieży Dawida, będąc w Jerozolimie? To symbol miasta! Rzecz niepodobna! Tutaj też historia pisała się wielkimi głoskami! Ociężale, powłócząc nogami, wszyscy poszliśmy za bratem, aby z krętych uliczek wyjść po chwili na przelotową arterię i znaleźć się pod solidnymi murami Bramy Jafy, która stanowi początek cytadeli.

Kolejka do wejścia całkiem spora. Przy kasach tłok. Braciszek Tuck z Zenkiem zginęli nam z oczu. Zbici w gromadkę cierpliwie czekaliśmy na ich powrót. Starsze panie, nie mając na czym usiąść, zaczęły biadolić, że można było sobie darować tą wieżę. Ja wolałam się nie odzywać. Wreszcie obydwaj powrócili z biletami wstępu do muzeum oraz ze zbiorowym karnetem na nocny spektakl na czwartek.

− Całkiem fajnie się złożyło − tłumaczył nam ojciec − bo nie dość, że udało się wytargować rabat, to jeszcze

załapaliśmy się na promocyjną zniżkę, której termin upływa właśnie dzisiaj. Gdybyśmy przyszli jutro, trzeba by było zapłacić za bilet na spektakl znacznie więcej – zakończył rozpromieniony.

W poszczególnych salach Muzeum Historii Jerozolimy prześledzić można burzliwe dzieje tego miasta od zarania aż po współczesność. Ciekawa ekspozycja w postaci zdjęć, grafik, odpowiednio oświetlonych obrazów-dioram, dotycząca czasów od 1919 do 1948 roku, znajduje się w jednej z ostatnich sal na piętrze. Był to okres sprawowania rządów w Jerozolimie przez Brytyjczyków i zarazem okres modernizacji miasta po zastoju z czasów Imperium Osmańskiego. Nastąpiła rozbudowa kolei, powstawały budynki użyteczności publicznej etc. W sali obrazującej historię najnowszą wyeksponowana jest odbudowa Jerozolimy ze zniszczeń wojennych po wyparciu z niej Jordańczyków przez wojska izraelskie w 1967 roku oraz prezentowane są kopie ważnych dokumentów. Wśród nich ustawa izraelskiego parlamentu − Knesetu – z tego samego roku, gwarantująca ochronę wszystkich miejsc kultu religijnego w mieście i zapewniająca każdemu swobodny dostęp do nich.

Zatrzymaliśmy się na tarasie nad dziedzińcem cytadeli. Stoi tu dokładny model Jerozolimy. Według słów brata Jonasza wykonano go pod koniec XIX wieku. A na dziedzińcu, który doskonale widać z tego miejsca, archeolodzy odkopali artefakty pochodzące z różnych epok.

Najstarsze datowane są na czasy grubo jeszcze przed naszą erą.

Starsze grono pielgrzymki zostało, a ja wraz z resztą, nie zważając na zmęczenie, wspięłam się po schodach, aby przez chwilę podziwiać panoramę starej i nowej Jerozolimy roztaczającą się ze szczytu wieży. Po zejściu usłyszeliśmy:

– Macie dosyć! Wracamy do domu. Dzisiaj jeszcze wyjątkowo mszę odprawimy w kaplicy u sióstr. Myślę, że pół godziny na odświeżenie po powrocie wam wystarczy. Zaraz po mszy kolacja. To i tak będzie późno. Siostry się zezłoszczą.

Zosia została z Tereską i Gosią w tyle. Czekając na nie, zobaczyłam, że Gosia trzyma pod pachą swoje niefortunne laczki, przemierzając ulicę boso, a za nimi jeszcze snuje się kółeczko naszych matron. Pokiwałam ze zrozumieniem głową.

– Niczego nie mów! Dosyć nasłuchałam się już od tych pań z tyłu − powitała mnie cicho zasępiona Gosia.

Domyśliłam się, że pewnie prześcigały się w dawaniu jej mądrych rad odnośnie do stosownego obuwia. To ją tak rozsierdziło. Prawdę mówiąc, ja też bym się wściekła. Odebrałam od Zosi nasz klucz i nie zwlekając, doszłam z powrotem na czoło kolumny. Zanim Zosia przydrepcze, zdążę co nieco zrobić wokół siebie. Byliśmy już na naszej ulicy, kiedy z jednej z bram wybiegła gromadka żydowskich dzieci.

Dzieci, jak to dzieci, na całym świecie podobne. Uśmiechnięte buzie, figlarne. Co odważniejsze nawet

powiedziało „szalom”, ciekawie nam się przyglądając. Wszystko fajnie, tylko ten ich ubiór… Chłopcy w ciemnych garniturkach w zwykły dzień, kiedy panował taki upał, i dziewczynki w szarych sukienkach za kolana. Pewnie już tak od małego są przyzwyczajani. Zaśmiałam się, gdy stanęły mi przed oczami wzmożone przekonywania i wysiłki, jakie podejmowałam po to, aby moje chłopaki, będące znacznie starsze, zechciały włożyć garnitur przy wyjątkowych okazjach. A tu, proszę, taki widoczek w zwykły dzień. Ot, następny drobiazg, świadczący o różnicach kulturowych.

W pokoju bez ociągania zabrałam się do szorowania sandałów. Ich skóra po całodziennym noszeniu wydzielała niezbyt przyjemną woń. Trudno. W takim upale będę je musiała każdego dnia wyczyścić. Do rana powinny wyschnąć. Przy tym zajęciu zastała mnie Zosia.

– Trzeba było ubrać skarpetki, tobyś teraz nie miała kłopotu.

– Coś ty. W sandałach i w skarpetkach? To obciach kompletny.

– Jak uważasz. Ale przez takie codzienne szorowanie one mogą ci do końca nie wytrzymać. Mają delikatną skórę i podeszwę.

– O to będę najwyżej potem się martwić. Póki co nie wyobrażam sobie chodzić w innych butach.

– Weź szybko prysznic. Ja tymczasem trochę odsapnę i znajdę ci mocno nawilżający krem na twarz. Spiekłaś się jak diabli.

Po dokonaniu tych czynności moja grubo nasmarowana mazidłem od Zosi twarz świeciła jak latarka na czerwono. Normalnie unikałabym wychodzenia na ulicę, lecz tutaj nie miałam wyboru. Odbicie w lustrze skłoniło mnie do natychmiastowego przeszukania walizki i wyciągnięcia z niej sfatygowanego kapelusza z dużym rondem. Miał on tę zaletę, że był z niemnącego się tworzywa. Można go było zwinąć w rulon i nosić w torebce. Szkoda, że o nim rano nie pomyślałam. Nie miałabym teraz takiego problemu. Zawczasu pomyślałam także o naładowaniu komórki.

– Jak tam zdjęcia? − zagadnęłam Zosię wychodzącą z łazienki.

– Sprawdzę!

Po chwili usłyszałam wiązankę przekleństw oraz jej skruszone słowa:

– Musiałam coś źle naciskać. Nic nie wyszło.

– A niech to, dwie blondynki i basta.

Obydwie zaśmiałyśmy się szczerze. Nic innego nam nie pozostało.

Msza. Potem kolacja z menu podobnym do poprzedniego. Pomimo zmęczenia jakoś dobry nastrój przy naszym stole udzielił się wszystkim. Zaczęło się od uwagi braciszka Tucka, który przechodząc obok nas, spojrzał na mnie i ze zdziwieniem powiedział:

– Ale też słońce panią wzięło.

– No wzięło, wzięło. Wiem, że mogę świecić w ciemności − odparłam bez zastanowienia, naśladując ton ojca.

Wywołało to wesołość. A gdy po cichu wymsknęło mi się „Cholera, ale spostrzegawczy!”, nasz stół parsknął śmiechem. Obiektami żartów stały się też Gosia wraz z Tereską, a właściwie ich obtarte nogi. Zenek zaproponował nawet Waldkowi, że najlepiej by było wynająć wózek dla jego żony, a może i Gosię dałoby się na nim umieścić. Mogą je pchać na zmianę. Butelkę wina, która za sprawą Waldka znalazła się na naszym stole, przyjęliśmy z miłym zaskoczeniem. Wprawdzie na osiem osób było tego zaledwie po pół szklaneczki, lecz zawsze przyjemnie. Odtąd co wieczór bez żadnego umawiania się dwie osoby od nas kupowały u sióstr wino do kolacji. Tym zaskarbiliśmy sobie przychylność siostry ochmistrzyni. Przy innych stołach tego zwyczaju jakoś nie wprowadzono. Nasz wieczorny posiłek zakończył się braciszkowym komunikatem odnośnie do jutrzejszego dnia, czyli wyjazdu do Betlejem i planowanego śniadania na wczesną godzinę – szóstą trzydzieści.

Bez ociągania podziękowałyśmy z Zosią za towarzystwo przy kolacji i ruszyłyśmy do telefonu stacjonarnego. Mnie szczególnie zależało na rozmowie z mężem. Zosia zaoferowała mi pomoc w razie jakichś problemów z połączeniem. Bałyśmy się, że ktoś nas może uprzedzić. Po udanym połączeniu, tak jak ustaliłyśmy przedtem, ona wycofała się z powrotem do stołówki, aby zapoznać się z cenami win i innych napojów, które ewentualnie mogłybyśmy nabyć u sióstr. Miałyśmy spotkać się w pokoju.

Z Jackiem nie za bardzo mogłam szczerze pogadać, ponieważ wiedziałam, że za cieniutką ścianką dyżuruje

siostra i siłą rzeczy wszystko słyszy. Ograniczałam się tylko do ogólnikowych stwierdzeń, zapewniając, że szczegóły opowiem mu po powrocie. Jego pytanie „Czy już cię nawrócili na jedynie słuszną drogę?” zignorowałam. Uspokoiłam się wiadomością, że Pawełek bez przeszkód, nie tak jak ja, wyleciał z powrotem do siebie. Obiecałam, że za parę dni znowu się odezwę.

Zosia zadowolona przytargała do pokoju dwie półlitrowe butelki wody i grejpfrutowy, niskosłodzony sok do rozcieńczania. Teraz problem zaopatrzenia w wodę mamy z głowy. Rano można w każdą butelkę wlać trochę soku i rozcieńczyć go wodą z dystrybutora. Zawsze woda wymieszana z sokiem będzie miała lepszy smak od takiej czystej, za którą ani ja, ani ona nie przepadamy. Rezerwową dużą butelkę możemy trzymać w autokarze. Wydawałoby się, że niby nic takiego, ale po spędzeniu całego dnia w upale wiedziałyśmy, że to jest naprawdę istotne. Kosztem podzieliłyśmy się po połowie.

Czekało mnie jeszcze szybkie umycie włosów i wysuszenie ich na tarasie. Wprawdzie Ewka proponowała mi pożyczenie suszarki, ale stanowczo odmówiłam. W taki ciepły wieczór włosy wyschną mi szybciej na powietrzu, no i będę mogła przy tym ze spokojem zapalić.

Wróciwszy, o dziwo, tym razem zastałam już Zosię w łóżku. Widocznie dzisiaj nie grzebała się tak długo ze swoimi zabiegami.

– Śpisz już?

– A tak. Jestem kompletnie wypompowana. Nawet nie chciało mi się nacierać. Zaraz zasnę. Ty też ładuj się do łóżka, bo jutro nie wstaniesz! I już nigdzie nie łaź. Jak zamykam oczy, to widzę same kościoły. Dobranoc!

Poszłam w jej ślady. Wprawdzie znowu usłyszałam zza ściany odgłosy rozmów, ale dzisiaj nikt by mnie nie namówił na nocne dyskusje. Zasnęłam natychmiast. Widząc tak samo jak i Zosia kościoły przed oczami.

~ DZIEŃ III ~

Środa

Poranek przebiegł bez zakłóceń. Jeszcze przed śniadaniem zdążyłam z Zosią przysposobić się do kolejnego całodziennego zwiedzania. W czasie, który ojciec wyznaczył nam od końca śniadania do zbiórki, udałam się z kawą do mojej „samotni”. Tak żartobliwie Zosia nazwała palarnię na tarasie. W zapas wody zaprawionej sokiem zaopatrzyłyśmy się też jeszcze przed śniadaniem, dzięki temu uniknęłyśmy stania w kolejce przy dystrybutorze i jako jedne z pierwszych zameldowałyśmy się w pełnej gotowości do wyjazdu.

To pozwoliło nam otaksować ubiór wyłaniających się stopniowo naszych współtowarzyszek. Od razu dało się poznać, że nasze panie przejęły się reprymendą braciszka, bo włożyły bardziej zakrywający ciało przyodziewek. Gosia zamieniła swoje laczki na tenisówki, co w połączeniu z niedzisiejszą sukienką dawało dość komiczny efekt, ale lepsze to aniżeli przechodzenie następnych katuszy związanych z obtartymi nogami. Pani Ela wystąpiła w bladoniebieskiej kreacji z odpowiednimi dodatkami.

Autobus już na nas czekał. Rozlokowaliśmy się z grubsza na tych samych miejscach co poprzednio i tak pozostało już do końca.

Braciszek Tuck po odśpiewaniu niemal solo „Kiedy ranne wstają zorze” sarkastycznie spytał:

– Co z wami dzisiaj od rana? Nie wyspaliście się? Sprawiacie wrażenie, jakbyście całą noc byli na balandze. Nie mówcie, że nie zdążyliście odpocząć po wczorajszym chodzeniu. Rozchmurzcie się! Dzisiaj czeka was wiele ciekawych wrażeń! Zaczynamy od Ain Karem. Jest to malownicza wioska położona osiem kilometrów od starej Jerozolimy. W niej mieszkali rodzice Jana Chrzciciela – Elżbieta z Zachariaszem − i zarazem jest to miejsce, gdzie odwiedziła ich Najświętsza Maria Panna, która była krewną Elżbiety. Zwiedzimy tam dwa sanktuaria, ale o tym może za chwilę. Po przejechaniu willowej dzielnicy Jerozolimy – możecie podziwiać schowane wśród drzew oliwnych i winorośli rezydencje z okien autobusu − mijać będziemy duży kompleks szpitala Hadassa. Na jego terenie, w szpitalnej synagodze, znajdują się słynne witraże, wykonane przez samego Marca Chagalla. Artysta przedstawił na nich dwanaście pokoleń Izraela. Nie będziemy tam jednak wstępować, bo jeśli się sprawnie uwiniemy w Ain Karem, to mam w zanadrzu dla was inną niespodziankę. Póki co podziwiajcie widoki z okna i jednocześnie słuchajcie fragmentów Ewangelii świętego Łukasza, które opisują wydarzenia rozgrywające się w tej wiosce.

Starałam się popatrywać w okno na mijane przez nas kolejno ulice i przedmieście Jerozolimy, lecz poza fragmentami dostojnych murów z białego kamienia niewiele więcej mogłam dostrzec. Jeśli chodzi o te białe kamienne mury, to przypomniałam sobie wczorajszą uwagę brata, że to Anglicy wprowadzili w latach dwudziestych wymóg, aby wszystkie budowle, powstające w Jerozolimie, wznoszone były z kamienia o białej barwie. Ten nakaz obowiązuje do dnia dzisiejszego. Kamień używany jako budulec wydobywany jest w pobliskich kamieniołomach. Dzięki temu Jerozolima cieszy się osobliwą kolorystyką urbanistyczną. Zbyt szybko przejechaliśmy obok szpitala, tak że o rozpoznaniu, który z jego budynków jest synagogą, nie mówiąc już o witrażach Chagalla, nie było mowy.

Nasz pobyt w Ain Karem rozpoczęliśmy od sanktuarium Jana Chrzciciela.

– Kościół Narodzenia Świętego Jana Chrzciciela, bo tak brzmi jego pełna nazwa, zachował się w swoim kształcie od XII wieku. Wprawdzie w wiekach późniejszych został on sprofanowany przez muzułmanów, lecz mury budowli ostały się, co pozwoliło na jego odrestaurowanie w wieku XVII, w momencie przejęcia go przez Kustodię Ziemi Świętej. W XIX wieku przeprowadzono na terenie tego obiektu prace wykopaliskowe, w rezultacie których odsłonięto pozostałości kaplic datowane na V wiek. Uwagę przykuwają odkopane fragmenty mozaik z zachowaną inskrypcją w języku greckim: „Bądźcie pozdrowieni, męczennicy Boży”. W kościele wyeksponowana jest naturalna grota,

uważana za pozostałość domu świętego Zachariasza i miejsce narodzin Jana Chrzciciela.

Nieco dziwny wydał mi się wystrój tego kościoła, gdyż obok potężnych średniowiecznych filarów, podtrzymujących sklepienie naw, ściany boczne kościoła zostały wyłożone malowanymi płytkami ceramicznymi, przywodzącymi na myśl styl hiszpański, a nawet mauretański. Pomyślałam, że gospodarze tego przybytku musieli w swoim czasie mieć hiszpańskie korzenie. Nie mogłam tego na bieżąco skonsultować z braciszkiem, bo akurat na dobre zniknął mi z oczu, a prawdę powiedziawszy, później ten szczegół wyleciał mi z głowy. Małe muzeum, znajdujące się wewnątrz kościoła za zakrystią, z powodu prac konserwatorskich niestety było zamknięte. Ojciec nadmienił tylko, że można w nim zobaczyć szaty i naczynia liturgiczne pochodzące z dawnych czasów, niestety nie sprecyzował konkretnie jakich. Szkoda, zawsze warto byłoby coś takiego obejrzeć. Na koniec zwiedzania tego przybytku na chwilę zatrzymaliśmy się jeszcze przy murze okalającym podwórze świątyni. Zdobi go rząd mozaikowych tablic, z widniejącym na nich tekstem pieśni Zachariasza „Benedictus”, napisanym w kilkudziesięciu językach. Poza tekstem tablice są podobne do tych z kościoła Pater Noster na Górze Oliwnej.

Wąską uliczką Ain Karem, pełną małych kawiarenek i sklepików, dotarliśmy na parking, gdzie oczekiwał na nas autobus. Nie wsiedliśmy jednak do niego, ponieważ ojciec powiódł nas dalej drogą opadającą łagodnie w dół. Przy jej

końcu ujrzeliśmy mały meczet, który zakrywa źródełko, nazywane w tradycji chrześcijańskiej Źródłem Najświętszej Marii Panny. To przy nim zatrzymała się ona w drodze do swojej krewnej Elżbiety. Brat nie raczył skomentować faktu istnienia muzułmańskiego przybytku w tak ważnym dla chrześcijan miejscu. Ograniczył się tylko do uwagi, że nie radzi nikomu z nas napić się wody z tego źródła, gdyż nie jest zdatna do picia. Uznałam, że meczet podobnie jak wiele innych tego typu obiektów jest wynikiem zmieniających się na przestrzeni lat procesów osadnictwa i migracji ludności arabskiej, bo, o ile mi wiadomo, obecnie miasteczko jest zamieszkane w większości przez ludność pochodzenia żydowskiego.

Zbyt długo nad źródłem nie pobyliśmy, gdyż ojciec nakazał bezzwłoczny przemarsz do franciszkańskiego sanktuarium Nawiedzenia Świętej Elżbiety. Tłumaczył, że według chrześcijańskiej tradycji Elżbieta i Zachariasz posiadali dwa domy.

– Jeden w dolnej części Ain Karem, czyli w miejscu, gdzie urodził się święty Jan Chrzciciel, tam, gdzie stoi kościół, w którym przed chwilą byliśmy, no i posiadali jeszcze drugi dom na górze. Była to ich letnia rezydencja. Tam krewna gościła Marię. Dlatego powstało to drugie sanktuarium Nawiedzenia Świętej Elżbiety − na górze.

Nieco wydumane wydało mi się to tłumaczenie, ale nie mam wiedzy, aby je negować. Nie pozostało nic innego, jak tylko wspinać się mozolnie wraz z innymi pod górę szerokimi kamiennymi schodami. Schody niby wygodne, ale

upał zaczynał już doskwierać. Kiedy dobrnęliśmy do celu, plecy mieliśmy mokre.

Po przekroczeniu bramy ujrzeliśmy fasadę potężnego kościoła ozdobioną mozaiką przedstawiającą Najświętszą Marię Pannę na osiołku wśród orszaku aniołów. Dziedziniec kościoła podobnie jak sanktuarium Jana Chrzciciela zdobią tablice − tu z tekstem hymnu „Magnificat” − tylko o połowę mniejsze. Pionowo mieści się ich na ścianie co najmniej pięć. Sanktuarium zbudowano w latach czterdziestych XX wieku na gruzach świątyni krzyżowców. Składa się ono z kościoła górnego i dolnego. Wędrówkę rozpoczęliśmy od kościoła dolnego. Jest to krypta mająca symbolicznie upamiętniać dom świętej Elżbiety. Obok ołtarza dochodzi się do groty ze studnią. Pielgrzymi wrzucają do niej monety na szczęście. Boczne ściany krypty ozdobione są obrazami z życia świętej i jej męża. Wzrok przykuwa tutaj nisza z umieszczonym w niej kamieniem, mającym być fragmentem skały, w której święta Elżbieta ukryła małego Jana. Wśród okalającej bujnej roślinności pokonujemy kolejne schody, wiodące do górnej części kościoła. Olbrzymie malowidła wypełniają jego całą przestrzeń. Wszystkie one są hołdem oddającym cześć Najświętszej Marii Pannie.

Bez żalu opuszczam to miejsce i do tego towarzyszy mi niejasne przeświadczenie, że doszło tu do nadinterpretacji Nowego Testamentu. Ktoś był aż za bardzo nadgorliwy. Zastrzegam się jednak, że są to tylko moje subiektywne wrażenia. Absolutnie nie mam intencji obrażać uczuć

religijnych kogokolwiek. Myślałam, że na tych dwóch sanktuariach pobyt w Ain Karem zakończymy, ale tak się nie stało. Nasz braciszek po krótkiej rozmowie z palestyńskim kierowcą oznajmił nam zadowolony, że zahaczymy jeszcze o Pustelnię Świętego Jana. Stwierdził, że kierowca, chociaż niechętnie ze względu na paskudną drogę, zgodził się nas tam podwieźć. To niby miała być ta braciszkowa niespodzianka. Dodał jeszcze, że rzadko pielgrzymi zapuszczają się do tego przybytku i że całkiem niedawno przejęli go ponownie łacinnicy, a przedtem miejsce to dzierżawili prawosławni.

Droga okazała się rzeczywiście, oględnie mówiąc, nieciekawa. Zaraz na wysokości Ain Karem skręciliśmy w boczną, wąską dróżkę i podskakując na mijanych wertepach, pokonaliśmy kilkukilometrową odległość. Autokar zatrzymał się gwałtownie przed jeszcze większym zwężeniem. Dalej już nie mógł dojechać, gdyż na tak wąskiej drodze nie można byłoby zawrócić. Ostatni odcinek trzeba było pokonać pieszo. Na szczęście piaszczysta droga biegła w dół. Gorzej będzie z powrotem pod górę – pomyślałam posępnie. Nasze starsze panie, widząc, co je czeka, nie odważyły się na odwiedzenie pustelni. Ja oczywiście dzielnie ruszyłam w pierwszym szeregu, zostawiając z tyłu biadolącą z powodu tej niewygody Zosię.

Przemarsz się opłacił. Po przekroczeniu małej bramki znaleźliśmy się w cudownej oazie, otoczonej zielonymi drzewami ze źródłem świeżej wody wypełniającym sadzawki, w których pluskały się czerwone ryby. Nad

źródełkiem majestatycznie wznosił się mikroskopijnych rozmiarów klasztor. Zdziwieni ujrzeliśmy, że w źródełku wypływającym bezpośrednio z groty rytualnej kąpieli zażywa grupka młodych dziewcząt. Brat objaśnił, że jest to zwyczaj, który był szeroko praktykowany w tym miejscu, w czasach administrowania tym przybytkiem przez Kościół prawosławny. I chociaż teraz klasztor przejęty jest przez łacinników, to od czasu do czasu pozwala się przybywającym tutaj prawosławnym pielgrzymom na zanurzenie się w tym, przez nich uznawanym za święte, źródełku. W drugiej grocie przy klasztorze, która według tradycji była miejscem ukrycia Jana przed Herodową rzezią niewiniątek, obejrzeliśmy ołtarzyk i stary fresk ukazujący małego świętego z matką chroniących się w grocie. Nie poprzestałam tylko na zlustrowaniu tego urokliwego miejsca, które tak bardzo różniło się od moich wyobrażeń o pustelni, ale wraz z Waldkiem i Zenkiem zapuściliśmy się jeszcze dalej do kolejnej groty, będącej według tradycji miejscem pochówku Elżbiety. Wspinając się na górę zbocza, przechodziliśmy obok gospodarskiego obejścia klasztoru i niechcący wystraszyliśmy stadko klasztornych kur, które wylegiwało się na ścieżce. Zakonnik sprawujący nad nimi pieczę nie był z tego faktu zadowolony. Jego zabiegi w celu zebrania ich z powrotem w jedno stadko nie przyniosły od razu rezultatu. Ze śmiechem pomogliśmy mu w tej jakże frapującej czynności. Na tym odludziu klasztor musi być samowystarczalny. Obok kur na podwórku zauważyłam jeszcze pałętające się kaczki i stojące klatki z królikami.

Przez to zamieszanie z kurami zerknęliśmy tylko do wnętrza groty. Trochę kiczowata wydała mi się znajdująca się wewnątrz figura świętej Elżbiety, umieszczona wśród sterty kamieni, mających symbolizować sarkofag. Zwiędłe polne kwiaty smutnie tkwiące w sfatygowanym wazonie były dowodem na to, że rzadko ktoś zapuszcza się aż tutaj. Czas najwyższy było wracać. Inni zdążyli już na pewno opuścić klasztorne mury. Ile sił w nogach wyruszyliśmy w drogę powrotną, nie zważając na tumany kurzu, które unosiły się nad nami od tego szybkiego biegu. Przed wejściem do autobusu musiałam porządnie wytrzeć nogi wilgotną chusteczką, którą usłużnie podała mi Zosia, nie omieszkując dopowiedzieć zgryźliwej uwagi:

– I po coś tam lazła?! I jeszcze, jak wariatka, musiałaś ganiać z powrotem! Nie wystarczyło ci zobaczenie samego klasztoru.

W duchu przyznawałam jej rację, ale głośno zaprotestowałam:

– Być tak blisko i nie widzieć wszystkiego? Tego bym sobie później nie darowała.

– Jak tak będziesz szarżowała, to do końca pielgrzymki zabraknie ci kondycji! Pomyśl o tym i na przyszłość miej to na względzie.

– Przestań krakać! – odpowiedziałam z uśmiechem na ustach, aby przerwać jej dalsze nad wyraz troskliwe wynurzenia.

Ponownie ulokowaliśmy się w autokarze. Czekało na nas Betlejem. Ojciec przyjrzał nam się uważnie

i zawyrokował:

– Widzę, że nadal macie niezbyt uradowane miny. Nic wam nie pomógł pobyt w tych świętych przybytkach. Będę musiał towarzystwo rozruszać porcją kawałów. Lecz zanim do tego przystąpię, chcę was trochę uświadomić. Chodzi o to, że większość miejsc, które w najbliższych dniach mamy zamiar obejrzeć, znajduje się na terenie Autonomii Palestyńskiej, podzielonej na trzy strefy. Strefa A zarządzana jest przez administrację palestyńską i obejmuje ona miasta Zachodniego Brzegu, czyli obszar na północ od Jerozolimy i Strefę Gazy leżącą na południu, przy granicy z Egiptem. Strefa B, w której osiedla arabskie objęte są militarną kontrolą Izraela, ale administracja jest palestyńska. No i mamy jeszcze strefę C. Do niej wlicza się osiedla żydowskie usytuowane w Palestynie i wszystkie jej miejsca ważne z punktu strategicznego, jak na przykład Dolina Jordanu. One pozostają administracyjnie i militarnie pod całkowitą kontrolą Izraela. Na granicy poszczególnych stref rozlokowane są posterunki żandarmerii izraelskiej i palestyńskiej, szczególnie przy najbardziej uczęszczanych trasach, dlatego nie zdziwcie się, jeśli dojdzie do zatrzymania naszego autokaru na drodze. Wydarzenia z kwietna 2002 roku w Betlejem spowodowały rozciągnięcie ścisłej kontroli służb izraelskich na cały obszar i tego miasta, które administracyjnie wchodzi w skład Autonomii Palestyńskiej. Słyszeliście państwo zapewne o zabarykadowaniu się w bazylice Narodzenia Pańskiego grupy terrorystów i trwającym niemal sześć

tygodni jej oblężeniu przez wojska izraelskie. Na szczęście zakończyło się to pokojowo. Wprawdzie obecnie autokary pielgrzymkowe są rzadko zatrzymywane, ale jednak należy się liczyć z taką ewentualnością. Proszę wówczas zachować spokój. To tyle na razie tytułem wyjaśnień, a teraz zabawię się w waszego wodzireja.

Kawały, które braciszek Tuck potrafił opowiadać z dużym kunsztem aktorskim, sprawiły, że niebawem cały autokar trząsł się od śmiechu. Tematyka dowcipów była różnorodna. Zwłaszcza wice piętnujące specyficzną logikę żydowską i śląską trafiały do naszej wyobraźni. Pomiędzy kolejnymi wybuchami śmiechu zgrzyt. Siedząca za nami Danka – współlokatorka Gosi, o czym się dowiedziałam poprzedniego dnia − szturchnęła mnie w plecy, a gdy się do niej odwróciłam, odezwała się:

– Siostro, może siostra opuścić roletę w oknie? Bo mnie razi słońce!

Zastrzeliła mnie tym zwrotem „siostro”. Z konsternacją spojrzałam na Zosię, a ona na mnie z taką samą miną. Moment trwało, zanim się ocknęłam i oględnie, nie chcąc jej urazić, sprostowałam:

– Słuchaj, ja jestem Iza, a to Zosia. Chyba byłoby lepiej, żebyś do nas mówiła po imieniu, a nie „siostro”.

– To wy nie wiecie, że na pielgrzymce każdy do każdego powinien zwracać się „bracie” lub „siostro”? – burknęła rozeźlona.

Wymowne kopnięcie przez Zosię w kostkę ostudziło wszelkie moje zapędy do dalszego dialogu. Opuściłam tę

nieszczęsną roletę i dałam sobie spokój. Będę miała wieczorem temat do rozmowy z Zosią. Trafiła nam się nawiedzona. Dobrze, że z nią nie przyszło mi dzielić pokoju. Zakonotowałam to sobie w myślach.

Na zewnątrz z figlarnym uśmiechem Zosia szepnęła mi do ucha:

–Wiesz, „siostro”, wczoraj śniły mi się same kościoły, a dzisiaj jak tak dalej pójdzie, to dojdą jeszcze zwidy pieczar.

– Masz rację, „siostro”. Ja właśnie też o tym samym pomyślałam. To jeszcze przecież nie koniec – odpowiedziałam jej z kamienną twarzą.

Obydwie parsknęłyśmy śmiechem. Zauważył to ojciec i stwierdził:

– Nareszcie humory dopisują. Tak trzymać!

Dobrze, że nie wiedział, co nas tak rozbawiło.

Odwiedzanie świętych miejsc rozpoczęliśmy od wioski Bajt Sahur leżącej kilka kilometrów na wschód od Betlejem. To tutaj lokalizuje się znane z przekazów ewangelicznych Pole Pasterzy. Przez dużą bramę, ozdobioną półkolistym napisem „Gloria in excelsis Deo”, dostaliśmy się do tego sanktuarium. Droga prowadzi wprost do imponującej kaplicy, kształtem stylizowanej na wzór pasterskiego namiotu. Takie przynajmniej było założenie włoskiego architekta Antonia Barluzziego, który także projektował współcześnie istniejące kościoły na Górze Oliwnej i w innych znanych miejscach, należących do Kustodii Ziemi Świętej. Ta stylizacja wydała mi się dość udana. Architekt,

dzięki zaprojektowaniu głównej bryły kościoła na planie dziesięciokąta i dostawieniu do niej bocznych przypór wraz z kopułą wieńczącą całość, zdołał uzyskać pożądany efekt. O ile z zewnątrz kaplica wydała mi się ciekawa, to już jej wnętrze nie za bardzo mnie zachwyciło. Olbrzymie freski przedstawiające sceny z udziałem pasterzy, opisane w Ewangelii świętego Łukasza, której urywki, *notabene*, braciszek nam właśnie przytaczał, jakoś nie zrobiły na mnie wrażenia. W tej kaplicy czułam się podobnie, jak w górnym kościele Nawiedzenia Świętej Elżbiety w Ain Karem.

Ciekawsza wydała mi się naturalna grota, do której udaliśmy się wprost po opuszczeniu kaplicy. Jej surowość bardziej działała na moją wyobraźnię. Uwierzyłam zapewnieniom brata, że w niej odbywają się bardzo nastrojowe coroczne pasterki, cieszące się nie mniejszym powodzeniem niż pasterka w bazylice Narodzenia Pańskiego w samym Betlejem.

Do prawosławnego klasztoru, stojącego na ruinach bizantyjskiego monastyru, w którym wyeksponowana jest grota będąca według tradycji zbiorową mogiłą pasterzy, nie poszliśmy. Braciszek stwierdził, że jest ona zbyt oblegana przez inne grupy pielgrzymkowe, i zaproponował w zamian spacer wśród odkopanych artefaktów z I wieku przed Chrystusem i z I wieku po Chrystusie. Archeolodzy znaleźli tutaj dobrze zachowane siedliska ludzkie z narzędziami rolniczymi, prasami, cysternami. Dokopano się także do ruin kościoła i klasztoru z VI wieku. Już wówczas niektóre groty częściowo wykute zostały ręką ludzką i służyły jako

magazyny do przechowywania produktów spożywczych. Chętnie przystałam na tę propozycję.

Zabezpieczone prowizorycznymi daszkami artefakty przyciągały moją uwagę. Szczególnie dobrze zapamiętałam wykute w skale domostwo, składające się z przedsionka i trzech odrębnych przestrzeni, które można było uznać za izby. Uśmiałam się wraz z innymi, widząc przy kamiennym zbiorniku tabliczkę z napisem po włosku „Bagno – Rituale Avanti Cristo”. Ojciec jednakże stwierdził, że chociaż gdy czyta się napis po polsku, może on wywoływać śmiech, to w rzeczywistości nie ma w nim nic śmiesznego, ponieważ słowo *bagno* po włosku oznacza kąpiel.

Ze względu na z góry ustaloną godzinę naszego obiadu w domu pielgrzyma Casa Nova po dotarciu do Betlejem ustawiliśmy się natychmiast w kolejce w bazylice Narodzenia Pańskiego, aby dostać się do żłóbka. Po wystroju od razu domyśliłam się, że przynajmniej ta część bazyliki administrowana jest przez cerkiew prawosławną. Stanęliśmy przed jak zwykle bardzo bogato zdobionym ikonostasem, przy schodach prowadzących w głąb transeptu − nawy poprzecznej bazyliki. Uświęcone przez chrześcijan miejsce narodzin Pana Jezusa to niewielka grota, podzielona na dwie części. Łacińska srebrna gwiazda i niewielki grecki ołtarzyk z odłupaną mozaiką oznaczają samo miejsce narodzin. Ta część groty jest administrowana przez prawosławnych Greków. Z kolei miejsce, gdzie stał żłóbek, wyznacza franciszkańska kapliczka. W skupieniu wszyscy poddali się modlitwie. Ja zlustrowałam sobie

dokładnie to wnętrze. W świetle lamp oliwnych i częściowo oświetlenia elektrycznego poszczególne elementy wystroju tego miejsca wydały mi się bardzo sztuczne i przesadzone. Całkowicie odbiegające od moich dotychczasowych wyobrażeń. Skoro Maryja była bardzo uboga i urodziła Jezusa w mizernej stajence-grocie, to to miejsce powinno być zachowane w bardziej neutralnej tonacji. A tutaj dominuje jaskrawa kolorystyka. Chyba że w zamierzeniach chodzi o wywołanie wśród pielgrzymów poczucia świętości tego miejsca? Może na innych to działa, ale na mnie jakoś nie.

Obiad w ładnie urządzonej restauracji hotelu Casa Nova pozwolił nam na regenerację naszych nadszarpniętych już nieco sił po odbyciu przedpołudniowej marszruty. Zauważyłam, że apetyt najbardziej dopisuje zastępowi naszych starszych pań, siedzących przy jednym stole. U nich zawartość półmisków wniesionych przez kelnerów najszybciej poznikała. A do tego najgłośniej wyraziły swoją dezaprobatę, kiedy okazało się, że niestety dzisiaj kawa nie jest serwowana w ramach obiadu. Można, jeśli ktoś chce, kupić ją sobie w kawiarni na parterze. Mnie akurat było to całkiem obojętne. W tak dużym upale nie miałam na nią ochoty. Wystarczyła mi szklanka dobrze schłodzonego soku pomarańczowego z obiadu, którą przemyciłam na restauracyjny taras. Sok i wypalone w odstępach dwa papierosy, kiedy inni okupowali kawiarniany barek, sprawiły, że nabrałam nowej werwy.

Z kolei u Zosi odezwały się znowu jej dolegliwości jelitowe i zmuszona była dłuższy czas zabawić w toalecie.

Trochę dziwne mi się wydało, że brat Jonasz zaraz zarządził mszę świętą w bocznej nawie kościoła Świętej Katarzyny, przylegającego do bazyliki Narodzenia Pańskiego. Pomyślałam, że ze względu na komunię, do której wszyscy, jakkolwiek nie ja, przystępują, to chyba za wcześnie. Nie minie jeszcze wymagany czas, aby móc przystąpić do sakramentu. Lecz nie mnie rozstrzygać o takich sprawach. Jak się okazało, ojciec jednak dobrze wyliczył czas. Msza dzisiejsza była dłuższa ze względu na liczbę intencji, które miał do odczytania w jej trakcie. Pewnie wczoraj, po wieczornym nabożeństwie, dostarczyła mu je reszta uczestników.

Na zbiórce po mszy usłyszeliśmy:

– Moi drodzy, kolej teraz na szczegółowe zapoznanie się z bazyliką Narodzenia Pańskiego. W niej podobnie jak w bazylice Grobu Świętego obowiązuje zasada *status quo*. Tutaj też mamy różne przepychanki między poszczególnymi wyznaniami. Bardzo długo trwało, zanim w końcu doszło do porozumienia w tak prozaicznej sprawie jak oświetlenie Groty Narodzenia. Można by było na ten temat całą książkę napisać. To nie jest jednak istotne. Zaczniemy zwiedzanie od kościoła Świętej Katarzyny, z którego dostaniemy się do podziemi bazyliki. Warto zobaczyć znajdujące się tam kaplice. Po wyjściu z nich wrócimy jeszcze na chwilę do nawy głównej bazyliki, która teraz, jak widzę, okupowana jest przez inne pielgrzymki. Ruszamy!

Podziemne kaplice okazały się także grotami. Stanowią one ciąg osobno rozlokowanych jaskiń. Ich kamienne ściany są prawie identyczne. Różnią się jednak wizerunkami świętych umieszczonymi na ołtarzach każdej z nich. W zależności od tego, jakiemu świętemu dana grota jest dedykowana, nosi ona odpowiednią nazwę. Najbardziej znane są Grota Świętego Józefa i Grota Świętego Hieronima.

Niespiesznie obchodząc nawę główną bazyliki, brat Jonasz wskazał nam poczwórny rząd kolumn i wyjaśnił, że cała ta część sanktuarium jest pozostałością pierwszej bazyliki, którą ufundowała święta Helena w roku 326. Na niektórych kolumnach zachowały się jeszcze częściowo odrestaurowane fragmenty oryginalnych fresków. Mniej więcej w środkowej części nawy głównej zobaczyliśmy odsłonięty duży kawałek bizantyjskiej mozaikowej posadzki. Przy wyjściu na dłużej zatrzymaliśmy się obok potężnych, dwuskrzydłowych drzwi z rzeźbionego drewna. Chociaż obecnie są mocno sfatygowane, to jednak kunszt średniowiecznej sztuki snycerskiej wyraźnie da się nadal zauważyć. Są dowody, że wykonał je mistrz ormiański w 1227 roku.

Znużenie zaczęło mnie ogarniać. Pozostałych zresztą również. Bez entuzjazmu przyjęliśmy informację, że następne kroki skierujemy do kolejnej groty. Teraz mamy odwiedzić znajdującą się w pobliżu słynną Grotę Mleczną. Według wierzeń chrześcijańskich sproszkowane kamienie z jej wnętrza mają cudowną moc uzdrawiającą. Przede

wszystkim działają na bezpłodność, pozwalają matkom karmiącym utrzymać pokarm, no i tak w ogóle pomagają na wszystko inne. Sceptycznie przyjęłam te wiadomości. Dziwiłam się, że ktoś jeszcze w XXI wieku wierzy w cudowne eliksiry. Trochę trwało, zanim dostaliśmy się do wnętrza groty, gdyż w przylegającej do niej sali odbywało się uroczyste nabożeństwo, a potem jeszcze procesja sióstr zakonnych. Czekanie na schodach na wejście w podziemia dłużyło nam się nieznośnie. Część wykorzystała okalający schody parapet do podparcia się. Pozostali zmuszeni byli stać. Nie wypadało klapnąć w wąskim przejściu. Jedyna korzyść tej sytuacji była taka, że nie prażyliśmy się w pełnym słońcu na zewnątrz, ponadto stojąc blisko brata, miałam możność usłyszeć parę szczegółów odnośnie do tej Groty, które cicho przekazał najbliższemu otoczeniu:

– Badania udowodniły, że już w okresie bizantyjskim wyznawano kult chrześcijański w tym miejscu. Krzyżowcy też znali i uważali to miejsce za święte. Odkopano tu ciekawą mozaikową posadzkę z widocznymi motywami krzyża z V wieku.

Groty nie zwiedzaliśmy sami. Zaraz po nas weszła duża grupa Hiszpanów i zrobiło się tłoczno. Ledwie zdołałam przyjrzeć się wnętrzu. To, co mnie trochę zaskoczyło, to biały kolor kamieni w pieczarze. We wszystkich poprzednich przeważały skały w szarawej lub beżowo-ceglastej barwie. Ani chybi grota wyżłobiona w wapiennych skałach! − pomyślałam, braciszek wyjaśnił nam jednak, że to wulkaniczny tuf. Traf chciał, że zarejestrowałam dość

komiczną scenkę. Otóż nasza elegancka pani Ela, nie zważając na nic, swoim wypielęgnowanym, pokrytym czerwonym lakierem paznokciem zaczęła skrobać ścianę, a w drugą, nadstawioną, rękę starała się zebrać zdrapane drobiny. Zszokowana tą jej czynnością spojrzałam w stronę brata, który też akurat dostrzegł poczynania naszej towarzyszki. Ze wstydu twarz mu spąsowiała. Błyskawicznie znalazł się obok niej i gestykulując zawzięcie, nakazał jej natychmiastowe zaprzestanie tej haniebnej czynności. Nie podejrzewałam pani Eli o taką naiwność. Stało się. Od tej pory pani Ela będzie na brata celowniku.

Po wyjściu rozeźlony ojciec stwierdził:

– Nie róbcie mi więcej wstydu! − Skierował te słowa bezpośrednio do pani Eli. – Trzeba było powiedzieć, że chcecie mieć ten cudowny proszek. Łatwo można go nabyć w sklepiku, przy którym stoimy. Proszę bardzo, jeśli ktoś sobie życzy! Mamy teraz czas! − Stopniowo złość brata zaczęła się ulatniać. Na naiwne pytanie starszej pani, Wiesi, „Czy to naprawdę pomaga na wszystko?” odparł już całkiem życzliwie: – Zależy. To tak samo jak ze wszystkimi innymi cudownymi lekami. Jeśli ktoś gorąco wierzy, że pomoże, to z reguły pomaga.

Na te słowa ojca nasz zastęp starszych pań ruszył szturmować pamiątkarską budkę. Zostałam z garstką nielicznych przed kaplicą. Przeszło mi przez głowę, że jak znam Beatę, to w jej szafie na pewno leży spory zapas tego proszku z jej ostatniej pielgrzymki.

Burzą oklasków przywitaliśmy zaproponowany przez ojca godzinny czas wolny, który można było poświęcić na zakup pamiątek w palestyńskich sklepikach.

– Kupujcie, ile możecie! Pomożecie Palestyńczykom żyjącym z handlu pamiątkami. Mam tutaj dobrych przyjaciół. Ceny mają umiarkowane. Nie oszukają was! Na początku ulicy sklep prowadzi Palestyńczyk, który mówi dobrze po polsku. Jest muzykiem i dobrych parę lat występował z zespołem Eleni. To teraz do dzieła! Zbiórka przy sklepie muzyka! Od razu widać, że wstąpił w was nowy duch! – zażartował na koniec.

Ucieszyłam się z takiego obrotu sprawy. Wprawdzie kupowanie wszelkiego typu bibelotów nigdy mnie nie kręciło, ale Beata nałożyła na mnie obowiązek zakupu dwóch różańców z Ziemi Świętej dla swojej znajomej. Zaznaczyła jednak, że mają to być, jak stwierdziła, „porządne różańce z oryginalnego drzewa sandałowego, drogie, a nie jakiś szklany, tandetny szajs”. Wobec powyższego wyruszyłam wraz z Zosią, która w kwestii pamiątek miała identyczne zdanie jak ja, na poszukiwanie tychże kosztownych dewocjonaliów. Okazało się, że nabawiłam się nielichego kłopotu. Różańców w każdym butiku było zatrzęsienie, lecz żaden z nich nie spełniał określonych przez Beatę wymogów. Zrezygnowana dotarłam w końcu do tego ostatniego sklepiku – wyznaczonego przez ojca na miejsce zbiórki. Ku mojej radości wewnątrz, w szklanej gablotce zamykanej na klucz, zobaczyłam odpowiednie. W transakcji polegającej na

zwyczajowym targowaniu się oraz w przeliczeniu szekli na dolary pomógł mi Zenek. Braciszek Tuck, będący świadkiem tej mojej transakcji, zżymał się niemiłosiernie:

– Po co kupować takie drogie? Wszędzie można kupić o wiele tańsze. Szkoda pieniędzy.

Musiałam cierpliwie wytłumaczyć mu, że właśnie o takie chodziło. Przyjął moje tłumaczenie, lecz widać było, że do końca go nie przekonałam. Nareszcie zadowolona, kiedy Zosia zagadała się z Ewką, miałam czas, aby się nieco oddalić i zapalić. Absolutnie nie przejmując się zaskoczonym wzrokiem przechodzących ulicą Arabów.

Mój kosztowny zakup okazał się niczym w porównaniu ze sprawunkami innych. Prawie wszyscy wrócili do autokaru obładowani dużymi pakunkami. Pomyślałam, że chyba mają liczne rodziny, które chcą obdarować pamiątkami z Betlejem jak prezentami na Boże Narodzenie.

Wjazd do Betlejem umknął mojej uwadze, wyjazd z miasta natomiast i dostanie się na drogę szybkiego ruchu numer sześćdziesiąt do Jerozolimy dobrze zapamiętałam. Autokar stanął w długim ogonku przy izraelskim punkcie kontrolnym obok wysokiego, betonowego muru, ogradzającego całą połać miasta. Brat miał rację co do narzuconych przez Izrael zaostrzonych środków bezpieczeństwa. I tak mieliśmy lepiej od Palestyńczyków, gdyż nie byliśmy kontrolowani. Oni zaś za każdym razem są legitymowani i mogą tylko pieszo, a do tego jeszcze specjalnie dla nich wyznaczonymi przejściami, opuszczać Betlejem.

Po kolacji brat Jonasz zakomunikował nam, że w związku z jutrzejszą poranną mszą w bazylice Grobu Świętego został zmieniony plan pielgrzymki na cały dzień. I tak zamiast wejść na Syjon Chrześcijański i zwiedzić Dzielnicę Żydowską w Jerozolimie udamy się do Jerycha i w okolice Morza Martwego. Po południu przewidziana jest w nim kąpiel. Siostry rozdadzą rano stare ręczniki kąpielowe, bo słona woda niszczy rzeczy.

Trochę zmartwiłam się tą informacją. Owszem, Beata coś mi o tym wspominała, ale ja uznałam, że pewnie jak zwykle przesadza. Jednak skoro i ojciec o tym mówi, to widocznie miała rację. Trudno, szkoda mojego ulubionego stroju kąpielowego. Będę musiała poprzestać tylko na zamoczeniu nóg w tej słonej wodzie, ale przecież nie będę z tego powodu szat rozdzierać.

– Na skutek tych zmian – kontynuował braciszek – wykorzystując fakt, że jest jeszcze dość wczesna pora, chcę przekazać państwu najistotniejsze wiadomości, dotyczące religii i kultury żydowskiej, abyście mieli jakieś rozeznanie podczas oglądania ich zabytków. Jutro nie będzie na to czasu, bo wieczorem idziemy na spektakl do Wieży Dawida. Zobaczycie barwnie opowiedzianą historię Jerozolimy. Proponuję zatem zbiórkę na piętrze za dziesięć minut.

Wieczorna prelekcja odbyła się na naszym korytarzu, ponieważ siostry chciały jak najszybciej posprzątać stołówkę po kolacji. Każdy zaopatrzył się w wyniesione z pokoju krzesło i w ten sposób w błyskawicznym tempie stworzyliśmy minisalę wykładową. Nasz prelegent przybył

zaopatrzony w żydowskie akcesoria modlitewne. Wśród nich zauważyłam takie same dziwne pudełeczka, jakie mieli modlący się na lotnisku w Wiedniu Żydzi. Fajnie! Nareszcie poznam ich nazwę i zastosowanie. Musiałam jednak uzbroić się w cierpliwość, dlatego że braciszek Tuck bardzo profesjonalnie podszedł do wykładu i na początek przekazał nam garść ogólnych informacji, dotyczących religii żydowskiej, omówienie przedmiotów modlitewnych pozostawiając na sam koniec prelekcji. Chociaż paliła mnie ciekawość odnośnie do pudełek, to w rezultacie byłam zadowolona z takiego obrotu sprawy. Dzięki wiadomościom przekazanym przez brata moja dotychczasowa chaotyczna wiedza zaczęła układać się w logiczną całość.

– Judaizm − mówił − podobnie jak chrześcijaństwo jest religią monoteistyczną. Jej istotą po pierwsze jest wiara w jednego Boga. Bóg ten jest niewidzialny, jest królem Izraela, starotestamentowym Bogiem Abrahama, Izaaka, Jakuba, to Jahwe. Tłumaczy się to słowo jako „Jestem, który jestem”. Religijni Żydzi nigdy głośno nie wymawiają tego imienia. A po drugie ich religia osadza się na przekonaniu o wielkiej misji z racji Przymierza, które Bóg zawarł z nimi poprzez Mojżesza, ustanawiając ich narodem wybranym na Swojego świadka. W myśl tego Przymierza Żydzi są zobowiązani do utrzymywania pamięci o Boskim objawieniu oraz kultywowania wiary w nadejście Mesjasza, który zaprowadzi pokój i powszechny ład na świecie. Ich moralne postępowanie oraz sposób życia kształtuje Dekalog, który otrzymał od Boga Mojżesz, w postaci tablic z dziesięcioma

przykazaniami na górze Synaj. Świętym tekstem dla wyznawców tej religii jest Biblia Hebrajska – Tora, czyli Pięcioksiąg Mojżeszowy, obejmujący Księgi: Rodzaju, Wyjścia, Kapłańską, Liczb i Powtórzonego Prawa. W niej zawarta jest opowieść o prapoczątkach ludzkości i pradziejach Izraelitów od patriarchy Abrahama począwszy, no i przede wszystkim opis Przymierza pomiędzy Bogiem a narodem żydowskim. Oprócz Tory w skład świętych tekstów wchodzą Księgi Proroków i Pisma. Wszystkie one stanowią tak zwane Prawo Pisane, obok którego funkcjonuje Prawo Ustne. Jest to interpretacja Tory, przekazywana przez tradycję ustną, którą skodyfikowano około 200 roku n.e. i spisano w postaci Miszny. Oba te prawa stanowią jedność. W oparciu o nie powstał Talmud, który określa zasady funkcjonowania religii. Składa się on ze spisanych nauk rabinów komentujących Misznę i jest to Gemara, a także zawiera ich komentarze odnoszące się bezpośrednio do Biblii Hebrajskiej. Tę część Talmudu nazywa się midraszami. Ale na tym już zakończę bombardowanie was nazwami, które i tak zaraz zapomnicie! Dodam tylko jeszcze, że oczywiście wszystkie te święte księgi powstały w biblijnym języku hebrajskim. Jest on także językiem liturgicznym. Natomiast pod koniec XIX wieku, w rezultacie napływu żydowskich osadników do Palestyny, rozpoczął się proces przekształcania tegoż biblijnego hebrajskiego języka liturgicznego w język mowy potocznej, który ewoluując, stał się współczesnym hebrajskim. Ten język można scharakteryzować jako

mieszaninę słów zaczerpniętą z tradycji pierwotnego liturgicznego hebrajskiego z dużą domieszką słów wywodzących się z języków europejskich. Współczesnym hebrajskim posługuje się większość obywateli Izraela. Wszędzie w urzędach dogadacie się z łatwością też po angielsku. Prawie wszyscy Izraelczycy go znają. Oczywiście Palestyńczycy mówią po arabsku. Wracając do religii, judaizm nie jest wierzeniem jednorodnym. I tutaj można wyodrębnić kilka nurtów. Do tych najliczniejszych zalicza się Żydów ortodoksyjnych. Łatwo ich rozpoznać po nakryciach głowy, gdyż na co dzień noszą jarmułkę albo ażurową kipę. W pełni przestrzegają praktyk religijnych. Są dobrymi obywatelami z głęboko zakorzenionym poczuciem obowiązku służenia ojczyźnie. Działają we wszystkich sferach życia kraju i chętnie odbywają służbę wojskową. Nurt następny to tak zwany judaizm reformowany. Przedstawicieli tego nurtu można nazwać postępowymi. Są otwarci na nowinki współczesnego świata. Walczą o prawa kobiet. Przestrzegają praktyk religijnych wraz z zasadami koszernej kuchni. Dużą grupę stanowią również antyklerykałowie. Nazywa ich się laickimi syjonistami. Brali udział w tworzeniu państwa Izrael. Nie przestrzegają zbyt rygorystycznie praktyk religijnych, chociaż kultywują tradycję koszernej kuchni i obchody żydowskich świąt religijnych. No i mamy jeszcze grupy chasydów − nasi sąsiedzi się do nich zaliczają. Oni też są ortodoksyjni, ale zostawiłem ich na koniec, ponieważ z nimi rzecz ma się całkiem inaczej. Od pozostałych wyznawców, oprócz

oczywiście charakterystycznego, łatwo rozpoznawalnego stroju – futrzanej czapy noszonej na głowie w święta lub czarnego kapelusza noszonego na co dzień oraz długich, kręconych pejsów u mężczyzn – różnią się przede wszystkim nieuznawaniem politycznej władzy państwa. Dla nich ziemia została im dana przez Boga i jest uważana za świętą. Żyją według surowych zasad zawartych w Talmudzie. Ich jedynym pośrednikiem w łączeniu się z Bogiem jest rabbi, co po hebrajsku oznacza mistrza. Jest to funkcja dziedziczna przechodząca z ojca na syna. Teraz najważniejsze święta. Szabat − jak wszyscy pewnie wiedzą, Żydzi uroczyście obchodzą każdą sobotę, tak jak chrześcijanie uznają niedzielę za dzień święty. Szabat rozpoczyna się od piątkowego zachodu słońca i trwa do sobotniej nocy. Szczególnie chasydzi obchodzą go niezwykle uroczyście. W piątek wieczorem zobaczycie pozapalane świece migoczące w ich oknach. Jest to oznaka nadejścia szabatu. Przed wieczornym posiłkiem mężczyzna odmawia modlitwę – kidusz − nad kielichem wina. Kolacja składa się z tradycyjnych, przygotowywanych specjalnie na tę okazję posiłków. Natomiast na zakończenie tego święta uroczyście dokonuje się ceremonii hawdali, oznaczającej oddzielenie dnia świątecznego i powrót do normalności. To święto obwarowane jest rygorystycznymi zasadami, zamieszczonymi w Talmudzie. Oprócz zakazu wszelkiej pracy obowiązują także między innymi zakaz wychodzenia na większą odległość z domu, rozpalania ognia czy zakaz zapalania światła z wyjątkiem świec. Jest to typowo

rodzinne święto. Kalendarz hebrajski wyznacza daty uroczystych obchodów świąt, które ustanowiono na pamiątkę ważkich wydarzeń, mających bezpośredni wpływ na historię ludu żydowskiego. Wymienić tutaj należy Sukkot − Święto Namiotów, ustanowione na pamiątkę wędrówki Izraelitów przez pustynię, ich koczowania w szałasach i powrotu na swoją ziemię. Obchodzone jest po zamknięciu cyklu prac rolnych. Trwa osiem dni. Wesołym świętem, z którego najbardziej cieszą się dzieci, jest Purim − Święto Losów. Upamiętnia ono wyzwolenie Żydów spod perskiego jarzma. Podczas niego korowody dzieci poprzebierane w zabawne stroje beztrosko hasają po ulicach miast. Kolejne to Rosz ha-Szana, Święto Trąbek, i Jom Kippur − Dzień Pojednania. Są to żydowskie święta noworoczne, będące symbolem Bożego panowania na ziemi. Występują w odstępie ośmiu dni. Dla wiernych jest to czas pojednania z Bogiem oraz czas pokuty. Wierzą, że w tych dniach Bóg dokonuje oceny ich uczynków. Następnie wspomnieć należy o popularnej Chanuce − Święcie Świateł. Podczas jego trwania codziennie przez osiem dni zapala się kolejno jedną świeczkę umieszczoną w dziewięcioramiennym świeczniku, dziewiątą świecą zapala się pozostałe. Ma to przypominać wyparcie wpływów hellenistycznych i przywrócenie nieskazitelnego kultu żydowskiego w Świątyni przez Judę Machabeusza w 164 roku p.n.e. Dalej wymienić należy znane nam także z Ewangelii święto Paschy ustanowione na pamiątkę wyjścia Izraelitów z Egiptu. Jego obchody też są obwarowane bardzo surowymi regułami. Nie bawiąc się

w szczegóły, warto jednak nadmienić, że pierwszy wieczór zaczyna się od tak zwanej uczty sederowej ze specjalnymi daniami i nestor każdej rodziny obowiązkowo czyta ze Świętych Pism opowieść o tym wydarzeniu. Ponadto, co się wam z pewnością spodoba, zwyczajowo biesiadujący mężczyźni są zobowiązani do wypicia przynajmniej czterech pucharków wina. Siedem tygodni po święcie Paschy obchodzone jest Szawuot − Święto Żniw. Tak na marginesie, to omawiając najważniejsze żydowskie święta obchodzone w Izraelu, nie można pominąć Jom Haacmaut − Dnia Niepodległości Izraela. Jest to izraelskie święto narodowe. W każdą rocznicę jego powstania, od 1948 roku, na plaży w Tel Awiwie-Jafie organizowana jest uroczysta defilada wojskowa i wspaniały pokaz fajerwerków. Naturalnie każda rodzina żydowska świętuje ważne wydarzenia zachodzące w jej życiu. Zwyczajowo uroczyście obchodzone jest narodzenie dziecka. W przypadku narodzin chłopca, szczególnie pierwszego potomka, ceremonia ma bardzo złożoną i niezwykle uroczystą oprawę. Składa się na nią przede wszystkim obrzęd obrzezania wraz z nadaniem imienia w synagodze z udziałem całej wspólnoty. Rodzina z tej okazji urządza przynajmniej dwa przyjęcia. Dodatkowo, jeśli jest to pierwszy potomek, to po trzydziestu dniach od jego narodzin religijnym obowiązkiem jest tak zwane wykupienie pierworodnego od służby kapłańskiej. Najogólniej mówiąc, ten obrzęd ustanowiono na pamiątkę wydarzeń opisanych w Torze. Po jego zakończeniu rodzina znowu jest zobligowana do wystawienia poczęstunku

w synagodze. Na szczęście ten poczęstunek ogranicza się do lekkich ciast i herbaty, zakrapianej jednak napojami wysokoprocentowymi. O wiele skromniej, a przy tym i taniej, obchodzone są narodziny dziewczynek. Tutaj cały ceremoniał zamyka się w ogłoszeniu jej imienia przez ojca podczas czytania Tory w pierwszy Szabat po jej przyjściu na świat bądź o narodzinach córki zawiadamia matka, kiedy przychodzi pierwszy raz po porodzie do synagogi. Walka jednak o równouprawnienie i tutaj się toczy, dlatego coraz częściej młodzi małżonkowie urządzają huczne przyjęcie także z okazji narodzin dziewczynki. Organizują je zazwyczaj parę tygodni po jej przyjściu na świat. Słyszeliście zapewne o bar micwie i bat micwie. Są to uroczystości obchodzone z okazji osiągnięcia przez dzieci wieku, w którym stają się one pełnoprawnymi członkami wspólnoty religijnej, odpowiedzialnymi za swe czyny i wypełnianie nakazów Tory. U chłopców jest to trzynaście lat, a u dziewczynek dwanaście. Osiągnąwszy ten wiek, chłopiec staje się synem przykazań. W pierwszy Szabat po jego trzynastych urodzinach w synagodze z tej okazji odbywa się uroczystość. Jej punktem kulminacyjnym jest odczytanie przez nowo przyjętego członka stosownego fragmentu Tory. Zwyczajowo na zakończenie obdarowywany zostaje prezentami w postaci modlitewnych akcesoriów, o nich też za chwilę opowiem. Z tej okazji rodzice także zobligowani są do wystawienia poczęstunku dla wszystkich zgromadzonych w synagodze i urządzenia w domu przyjęcia dla rodziny i przyjaciół. Bat micwa odnosi

się do dziewczynek i nie jest tak uroczyście celebrowana jak bar micwa chłopców. Religia żydowska ewidentnie faworyzuje mężczyzn. Ślub. Instytucja małżeństwa w tradycji żydowskiej jest niezwykle szanowana. Przez większość Żydów data jego zawarcia uważana jest za najważniejszy dzień w ich życiu. Dlatego przygotowania do tej ceremonii są długotrwałe i dotyczą zarówno sfery materialnej, jak i duchowej. Przyszli małżonkowie winni dogłębnie uświadomić sobie trafność wyboru oraz swą niezachwianą wolę wstąpienia w związek. Pomagają im w tym rytualne zażywanie kąpieli w basenie − mykwie – i post tuż przed ceremonią. Oczywiście fundamentalne znaczenie ma sfera finansowa. Jeszcze na długo przed ustaloną datą ślubu spisuje się kontrakt nazywany ketubą. W niej mąż zobowiązuje się do finansowego zabezpieczenia wybranki oraz określa jej materialne zabezpieczenie na wypadek swojej śmierci lub rozwodu. Według tradycji umowa ta spisywana jest w języku aramejskim, samo zaś jej podpisanie ma miejsce w dzień zaślubin. Przez to wszystkie śluby odbywają się zawsze w zwykły dzień tygodnia, a nie w Szabat lub w inne święta. Ogólnikowo opisując samą ceremonię, ma ona miejsce zawsze pod chupą, baldachimem ustawionym zazwyczaj na świeżym powietrzu na przykład w ogrodzie, albo też uroczystość ta może odbywać się w synagodze. Chupa wówczas stoi na bimie − podium w głównej sali synagogi. Narzeczony oczekuje pod baldachimem na swoją wybrankę, która ubrana na biało, z welonem zasłaniającym twarz, przybywa wraz z rabinem

i krewnymi. Jej welon stanowi symboliczną pamiątkę po Rebece, która z zasłoniętą twarzą oczekiwała Izaaka. Narzeczona obchodzi siedem razy swego wybranka, po czym mają miejsce zaręczyny traktowane jako akt prawny. To część pierwsza ceremonii. Publiczne odczytanie tekstu ketuby poprzedza drugą część – zaślubiny. Podczas niej młoda para pije wino z jednego kielicha oraz odśpiewywanych jest siedem błogosławieństw. Tę część ceremonii kończy pan młody rozbiciem szklanego kielicha, na który nadeptuje. W tym momencie goście weselni wiwatują na cześć młodych. To symboliczne tłuczenie szkła ma w ich tradycji przypominać o zburzeniu Świątyni. Przesłanie tego aktu jest następujące: nawet w najszczęśliwszych chwilach życia nie należy zapominać o krzywdach narodu. Podczas wystawnej uczty weselnej, której rozmach zależy oczywiście od zasobności portfeli rodziny, obowiązkowo spożywana jest chała i pite błogosławione wino. Pan młody wygłasza specjalnie na tę okazję przygotowaną mowę, odwołując się do Świętych Ksiąg. Dodać należy jeszcze, że pierwszym religijnym obowiązkiem młodych zaraz po wspólnym zamieszkaniu jest przybicie do drzwi mezuzy, zwitka pergaminu z wersetami z Pięcioksięgu. Wymagane jest, aby ten rytuał spełnić w obecności kilku pełnoprawnych członków wspólnoty religijnej. Trzeba też wspomnieć o zwyczajowym prawie lewiratu, funkcjonującym w judaizmie ortodoksyjnym. Według niego, jeśli mąż umrze, pozostawiając bezdzietną żonę, to jego brat ma obowiązek poślubić wdowę. Jeśli

zainteresowani nie chcą na to przystać, to urządzana jest ceremonia nosząca nazwę chalicy. W jej trakcie wdowa przy świadkach zdejmuje obuwie i w ten sposób uwalnia zarówno siebie, jak i jego od wstąpienia w niechciany związek. Jeśli chodzi o rozwody, są one dopuszczalne, jednak sądy rabiniczne zgadzają się na nie tylko w ostateczności, gdy wszelkie próby załagodzenia sporów między małżonkami okazują się zawodne.

Ojciec Jonasz zamilkł na chwilę, po czym powiedział:

– Uff! Ależ się nagadałem! Jeśli chcecie jeszcze słuchać, to dajcie mi chwilę odsapnąć.

Klapnął na podane mu krzesełko i uraczył się sporym łykiem swojej ulubionej coca-coli. Spojrzałam badawczo na siedzących wokół. Chciałam słuchać dalej, ale nie wiadomo, czy ktoś się nie wyrwie i usłużnie nie zaproponuje czegoś w rodzaju „Skoro ojciec się zmęczył, to może dokończymy jutro wieczorem”. To by mnie naprawdę rozsierdziło. Ku mojemu zadowoleniu spostrzegłam, że grupa przejawia zainteresowanie dalszą częścią wykładu. Tymczasem braciszek Tuck, pozbierawszy się nieco, od nowa przyjął pozycję prelegenta i kontynuował:

– Skończyliśmy na ślubach. Zostały nam jeszcze śmierć i ceremonia pogrzebowa. Zacząć należy od tego, że ważnym obowiązkiem religijnym jest opiekowanie się osobą umierającą. Przy czym jeśli umiera mężczyzna, opiekę nad nim sprawują mężczyźni, jeśli zaś kobieta, to ten obowiązek nakładany jest na grupę kobiet. W momencie zgonu zapala się świecę. Ciało zmarłego poddawane jest rytualnemu

oczyszczeniu, a następnie ubiera się je w białe szaty i zostaje złożone do trumny. W domu pogrzebowym rabin odmawia modlitwę nad trumną oraz wygłasza mowę pogrzebową. Następnie kondukt udaje się na cmentarz. Po złożeniu trumny do grobu i modlitwie rabina każdy z uczestników pogrzebu rzuca na nią trzy łopatki ziemi. Na koniec, już w cmentarnym pomieszczeniu, odmawiany jest przez żałobników kadisz i składane są kondolencje najbliższej rodzinie. Stypa urządzana jest przeważnie w domu zmarłego. Obowiązkowo spożywane są na niej gotowane jajka, które mają symbolizować odwieczny cykl życia – narodziny i śmierć. Najbliższą rodzinę obowiązuje żałoba. Jej rygorystyczne przestrzeganie odnosi się szczególnie do pierwszych tygodni po stracie bliskiego. To według mnie najistotniejsze wiadomości dotyczące religijnych praktyk judaizmu. Nie chciałem państwa za bardzo zanudzać. Pora jest już nieco późna i widzę, że niektóre panie zaczynają ziewać. To dla mnie znak, abym kończył to gadanie. Jednak zanim to uczynię, chcę jeszcze króciutko zaznajomić państwa z przedmiotami używanymi przez Żydów do modlitwy. Normalnie dla nas, gojów, te przedmioty nie są dostępne. Udało mi się je zorganizować dzięki uprzejmości mojego kolegi, Żyda, który w swoim czasie terminował u rabina. Przeszła mu na to chęć i obecnie jest renegatem. Dlatego zgadza się mi je od czasu do czasu wypożyczać, jeśli zaistnieje taka konieczność, jak właśnie dzisiaj. Oczywiście te przedmioty używane są przez

mężczyzn. To uwaga dla tych, którzy nie słuchali mnie uważnie.

Kolejny raz swoim wtrąceniem wywołał uśmiech na naszych twarzach.

– Jarmułkę znacie. Wspominałem, że na co dzień noszą ją ortodoksyjni Żydzi, w tym i chasydzi. Ci ostatni praktycznie się z nią nie rozstają, wkładając na nią jeszcze dodatkowo kapelusz lub futrzaną czapę. Natomiast przedstawiciele innych nurtów ograniczają się do jej wkładania tylko do modlitwy i religijnych obrzędów. Jej hebrajska nazwa to kipa. Noszenie jarmułki stanowi wyraz szacunku i służby w stosunku do Boga. Spotykane są kipy wykonane z jasnego płótna − to takie codzienne. No i czarne, jedwabne lub aksamitne, noszone okazjonalne. Aksamitna jarmułka często bywa ozdobiona haftem, tak jak ta, którą wam przyniosłem. Każdy Żyd podczas codziennej modlitwy obowiązkowo narzuca na ramiona lub głowę prostokątną chustę – tałes. Wyrażać ma to jego bojaźń w kontakcie z Bogiem. Jak widzicie, jest to jasna tkanina, na której umieszczono granatowe pasy. Te pasy oznaczają przynależność do synagogi. Ozdobne frędzle zwisające w rogach chusty nazywane cicit mają przypominać o Boskich Przykazaniach. Na najdłuższym z nich zawiązywane są supełki według ściśle określonych reguł. Ale w takie szczegóły nie będę już wnikał. Dodatkowo na tałes czasami narzucany jest taki długi pas. To atara. Zwróćcie państwo uwagę na piękny, misterny haft, jakim został on przyozdobiony. Wszystkie atary mają tego typu

zdobienia. Na koniec zostawiłem te zagadkowe pudełeczka, o które się państwo już przedtem dopytywaliście.

Brat porozumiewawczo łypnął w moją stronę i po krótkotrwałej pauzie podjął szczególnie frapujący mnie temat.

– Tefilin albo filakterie – tak nazywają się te przedmioty. Pierwsze określenie zaczerpnięte jest z języka aramejskiego i oznacza po prostu ozdoby, natomiast drugie pochodzi od greckiego słowa *phylakterion*, czyli „warta”, „straż” lub „amulet”. Każdy chłopiec żydowski po ceremonii bar micwy otrzymuje w ramach prezentu tefilin razem z tałesem. Odtąd traktowany jest jak dorosły mężczyzna i ma obowiązek używać tych przedmiotów podczas codziennej modlitwy. Jak widzicie, tefilin składa się z dwóch czarnych skórzanych pudełeczek, które wykonane są z jednego kawałka skóry, oraz z rzemyków, za pomocą których przymocowuje się je do ciała. Wewnątrz pudełek spoczywają fragmenty Tory spisywane odręcznie na pergaminie. Wymóg jest taki, że zarówno skóra użyta do wyrobu pudełek, jak i rzemyki oraz pergamin muszą zawsze pochodzić od czystego zwierzęcia, ubitego według zasad koszerności. Ponadto spoczywające w pudełeczkach fragmenty Tory przepisywane po hebrajsku sporządzić może tylko i wyłącznie skryba uprawniony do przepisywania świętych tekstów. One też muszą być koszerne. Trochę trwa, zanim młodzik posiądzie sztukę właściwego przymocowywania tefilin. Zasada polega na tym, że pudełeczko przymocowuje się jednym rzemykiem

na przedramieniu słabszej ręki, na wysokości serca. A następnie owija się ten rzemyk wokół przedramienia, schodząc w dół, z chwilą przerwy po dojściu do dłoni. Wówczas zakłada się drugie pudełeczko na czoło, przymocowując je na linii włosów. Następnie wraca się do ręki i końcówkę rzemyka okręca się wokół środkowego palca, wiążąc po wewnętrznej stronie dłoni ostatni węzeł. Tefilin umieszczony na wysokości serca ma spełniać pragnienie bycia jak najbliżej Boga, a drugi, na czole, umieszcza się w myśl zasady, że Boga należy mieć zawsze przed sobą. Łatwiej wówczas skierować na Niego myśli. Drodzy państwo, myślę, że na tym zakończymy. Wszyscy jesteśmy już porządnie zmęczeni. Czas do łóżek! Normalnie spytałbym, czy nie macie jakichś pytań lub uwag odnośnie do tematu, lecz tym razem to sobie daruję. Jutro trzeba wcześnie wstać i dotrwać jeszcze do późnego wieczora. − Ojciec Jonasz zakończył wykład, po czym skrzętnie pozbierał modlitewne akcesoria i bezzwłocznie udał się do swojego pokoju. Wyglądało na to, że ta prelekcja rzeczywiście nadwątliła jego siły.

Zosia wysnuła przypuszczenie, że może odezwały się u niego jakieś dolegliwości chorobowe. Zbeształam ją za to:

− Przestań od razu doszukiwać się chorób! Zmęczyło go to długie, wyczerpujące gadanie i tyle. Na jego miejscu też czułabyś się wypompowana. Zabieramy nasze krzesełka i wracamy do pokoju. Trzeba poczekać, aż wszyscy się rozejdą, i wtedy wrócimy.

Umówiliśmy się z naszym kolacyjnym towarzystwem na niewielką jeszcze wieczorną nasiadówkę. Ten pomysł zrodził się z tak zwanej wyższej konieczności. Wszystko przez to, że Gosia pomyliła kolejność stawiania kolacyjnego wina i je kupiła, gdy tymczasem według niepisanego porządku na nas spoczywał ten obowiązek. W rezultacie na naszym stole pojawiły się dwie butelki wina, którego ze względu na pośpiech w związku z planowaną prelekcją nie zdołaliśmy wypić. Trzeba było teraz nadrobić to zaniedbanie, bo a nuż wino zwietrzeje, jak to autorytatywnie skwitował Waldek.

Przed umówionym spotkaniem zdążyłam odwiedzić palarnię, ponieważ i pod tym względem miałam zaległości. Paląc, przeanalizowałam na spokojnie zapamiętane z prelekcji wiadomości. Żadne dodatkowe pytania odnośnie do religii żydowskiej mi się nie nasunęły. I tak podczas zwiedzania pewnie niektóre kwestie brat jeszcze dopowie. Z tą myślą opuściłam mój azyl.

Była to najwyższa pora. Całe grono już biesiadowało. Ze zdziwieniem spostrzegłam na ławie zamiast dwóch butelek wina aż cztery. No, no − pomyślałam − zanosi się na dłuższą libację. Niemniej rozmowa jakoś się nie kleiła. Każdy starał się unikać drażliwych, wywołujących nadmierne emocje tematów. Waldek swoim zwyczajem trochę dowcipkował, przekomarzając się najpierw z Tereską, a potem z Zenkiem, ale *suma summarum*, atmosfera stawała się przynudnawa. Zosia po wypiciu jednej lampki wina opuściła towarzystwo, tłumacząc się

zmęczeniem i późną porą. Ja najchętniej poszłabym w jej ślady, ale Zenek i Waldek warknęli na mnie, że chyba się wygłupiam:

– Jak to? Najmłodsza i zmęczona? Chcesz odejść, gdy na stole są jeszcze szlachetne trunki?! Nie puścimy cię!

Dałam się skusić na jeszcze jedną lampkę i gdy już po niej definitywne postanowiłam udać się spać, ni stąd, ni zowąd Ewka wyskoczyła z kierowanym bezpośrednio do mnie pytaniem:

– Co sądzisz o legalizacji związków homoseksualnych i o tym, aby takie pary miały prawo wychowywać dzieci?

Niech ją gęś kopnie! Co ona się tak mnie uczepiła? Przedtem ta Anna German, a teraz znowu związki homoseksualne! Nie chciało mi się podejmować wyzwania. Zresztą wiedziałam, że jakakolwiek moja odpowiedź wywoła znowu burzliwą dyskusję, która podzieli towarzystwo. Dyplomatycznie więc odparłam:

− Przepraszam cię, Ewo, ale na ten temat nie mam żadnego wyrobionego zdania, a w tej chwili jestem zbyt zmęczona, aby się nad tym głowić. Nie za bardzo orientuję się w temacie.

– Też coś! Nie oglądasz telewizji, nie czytasz gazet?! Wszyscy dookoła teraz o tym trąbią! − W jej głosie wyczułam gniewną nutę.

Wzruszyłam ramionami i się oddaliłam.

Prawda wyglądała całkiem inaczej. Oczywiście, że na bieżąco śledziłam falę dyskusji, jaka na ten temat przetoczyła się w polskich mediach. Wszystkie za i przeciw.

Zwłaszcza dobrze zapamiętałam wypowiedź Ryszarda Kalisza w którymś z programów publicystycznych. Opowiedział się w nim za legalizacją tychże związków, argumentując, że jeśli patrzeć z perspektywy dobra dziecka, to dla niego niezależnie od płci obojga rodziców liczy się przede wszystkim ich miłość i troska, jaką go otaczają. Jeśli szczęście dziecku potrafią zapewnić partnerzy będący w związkach homoseksualnych, to czemu nie przyzwolić im na to? Co z tego, że dziecko ma heteroseksualnych rodziców, jeśli przychodzi mu doświadczać na co dzień różnego typu patologii, na przykład alkoholizmu któregoś z rodziców czy przemocy, lub nie są zaspakajane jego podstawowe potrzeby. Ten argument jak najbardziej dotarł do mnie. Chociaż po głębszym zastanowieniu doszukałam się i drugiej strony medalu, a mianowicie tego, że dziecko, którego opiekunowie są gejami lub lesbijkami, w polskich warunkach − przy naszej mentalności, kształtowanej między innymi przez kościół, zatwardziałego przeciwnika tego typu związków − od razu na starcie w szkole zostałoby wykluczone. Przejść musi parę pokoleń, abyśmy nauczyli się tolerancji w tej materii.

Gratulowałam sama sobie, że tak przytomnie się zachowałam i nie dałam się wciągnąć w dyskusję na ten temat. Przecież gdyby oni, zdeklarowani katolicy, usłyszeli moje stanowisko, z pewnością uznaliby mnie za kompletnego odszczepieńca.

Zosia po swoich wieczornych zabiegach pielęgnacyjnych jeszcze nie spała. Trochę czasu nam zeszło na wymianie spostrzeżeń o minionym dniu i oplotkowaniu poszczególnych osób. Ona, chodząc przez cały dzień w końcowej kolumnie naszej pielgrzymki, miała lepszą możność poznania ich *dossier* aniżeli ja, trzymająca się z przodu grupy. Wróciłam do incydentu z Danką i tego jej zwrotu „siostro”.

– Nic nie mów. Gadałam z Gosią. Ona razem z nią mieszka. Danka to klasyczny przykład daleko posuniętej dewotki. Wyobraź sobie, że odmawia różaniec dwa razy dziennie. I wścieka się na Gosię, że ta nie chce się razem z nią modlić.

– Może jest wdową i szuka pocieszenia w Bogu? − zastanawiałam się głośno.

– Gdzie tam. Zakompleksiona stara panna. Przypatrz się jej czarnym spódnicom. Bardziej nadaje się do klasztoru. Jest arogancka i bardzo szorstka w obejściu, jak skarżyła się Gosia.

– Chyba coś w tym jest. Ta jej burkliwa odpowiedź na moją próbę przedstawienia się nie świadczyła o niej najlepiej.

– Mówię ci, to taki świętoszkowaty typ. − Zosia zawyrokowała na koniec.

W taki sposób zaszufladkowałyśmy Dankę, nadając jej etykietkę świętoszkowatej. Postępek pani Eli w Grocie Mlecznej zgodnie uznałyśmy za bezmyślny gest starszej pani, z którego nie należy wyciągać pochopnych wniosków.

Niespodziewanie spadła na mnie jeszcze zaskakująca wiadomość. Zaczęło się od pytania Zosi:

– Jak my się jutro tak wcześnie rano obudzimy? Skoro zbiórka na mszę ma być za dwadzieścia szósta, to aby zdążyć się wygrzebać, muszę wstać już o wpół do piątej.

– Nastaw budzik w komórce. Ja na tę swoją nie mam co liczyć. Znowu dzisiaj rozładowała się od razu rano. Już w Ain Karem sfiksowała.

– Twoja do niczego, a tej swojej to ja nie jestem pewna. Po tym, jak żadne zdjęcia nie wyszły, boję się ją nastawić na budzenie. Najbezpieczniej będzie, jeśli poprosimy Zenka, aby nas obudził.

– Trochę głupio iść do niego z taką prośbą.

– Dlaczego? Przecież to mój brat. Jak go znam, to on zawsze budzi się o wiele za wcześnie. Idź ty do niego. Jeszcze siedzą. Narzuć tylko sweter na piżamę. Ja z tą nasmarowaną kremem buzią nie wyjdę.

– Coś ty powiedziała? Zenek jest twoim bratem i niczego przedtem nie mówiłaś? − zapytałam z niedowierzaniem, szybko przeszukując w pamięci, czy czegokolwiek głupiego nie palnęłam o nim przy niej. Wyszło mi na to, że nie. Szczegółów o naszym przedwczorajszym sporze polsko-polskim przed Zosią nie ujawniałam.

– Nie wiedziałaś? Myślałam, że twoja siostra ci o tym powiedziała − odpowiedziała Zosia zaskoczona na równi ze mną. I domyśliwszy się zapewne, co zaprząta moją głowę, szybko dodała: – Zenek jest moim bratem. Jestem matką chrzestną jego córki. Lecz sama wiesz, jak to w rodzinie

bywa. Utrzymujemy sporadyczne kontakty z okazji świąt lub innych rodzinnych uroczystości. A wtedy i tak najchętniej z bratową przesiaduję w kuchni. Nie cierpię, kiedy zaczynają się przy stole polityczne wynurzenia. Mam inne poglądy. Zresztą co do religii też. Nawet nie chodzę do polskiego kościoła, tylko od czasu do czasu odwiedzam położony blisko mnie austriacki. Kiedy Zenek zaproponował mi udział w tej pielgrzymce, zgodziłam się, bo podobnie jak ty chciałam zobaczyć Ziemię Świętą. Zdążyłaś się już chyba przekonać, że do bigotek nie należę. To by było na tyle. A teraz biegnij! Zgodzi się na pewno! Niech zadzwoni rano na moją komórkę. Numer ma. Jak wrócisz, to nie zapomnij nasmarować twarzy kremem na noc! Zostawiłam ci go na stole.

Sprawę budzenia załatwiłam pozytywnie. Leżąc w łóżku, w myślach beształam Beatę, że mnie nie uprzedziła o koligacjach rodzinnych Zosi. Jak to warto być jednak powściągliwą w mieleniu językiem. Znowu miałam możność się o tym przekonać… Zasnęłam.

~ DZIEŃ IV ~

Czwartek

Dźwięk komórki Zosi obudził mnie natychmiast. Miałam ten komfort, że mogłam poleżeć w łóżku jeszcze dobre pół godziny, zanim Zosia zwolni łazienkę. Pomimo tak wczesnej pory czułam się dobrze wyspana i całkowicie wypoczęta. Zastanawiałam się, czy to nie wpływ miejscowego klimatu. W domu zawsze mam trudności z wczesnym wstawaniem, a tutaj poza tą pierwszą zarwaną nocą śpi mi się i wstaje świetnie. Podzieliłam się tą refleksją z Zosią. Ona także odczuwała podobnie. Przed wyjściem ze względu na spodziewany chłód poranka przezornie włożyłyśmy wdzianka z długimi rękawami, lecz po wyjściu na zewnątrz okazało się to całkowicie niepotrzebne, ponieważ poranek był przyjemnie ciepły. Wszystko wskazywało na to, że zanosi się na kolejny gorący dzień.

Do bazyliki Grobu Świętego na mszę szliśmy znajomą drogą. Mijając obok przystanku autobusowego udających się do pracy Palestyńczyków. Czas oczekiwania na autobus umilali sobie grą w karty na stojąco, gestykulując i głośno wykrzykując. Patrząc na nich, uświadomiłam sobie, że

pewne zachowania ludzi są identyczne niezależnie od szerokości geograficznej. Zachowywali się tak samo jak robotnicy zakładów Hipolita Cegielskiego oczekujący na peronie dworca dębieckiego. O tak wczesnej porze handel leniwie zaczynał budzić się do życia. Kupcy arabscy niespiesznie rozkładali od nowa swoje towary na straganach.

W chłodnych murach bazyliki przyszło nam nieco poczekać, aż brat Jonasz przysposobi się do mszy świętej. Stojąc przed ikonostasem naprzeciw Grobu Świętego, mogłam teraz dokładnie przyjrzeć się masywnemu grobowcowi, przypominającemu swoim wyglądem solidną kapliczkę, wykonaną z grubych bloków marmuru i wzmocnioną po bokach stalowymi rusztowaniami. Fachowo tę budowlę określa się łacińskim mianem *aediculi* lub wymiennie edykułu, co dokładnie oznacza miniaturową kapliczkę − to akurat wiedziałam z lektur. Rząd lichtarzy stojących na kamiennych podestach wyznacza wejście do grobowca. Pokonawszy kilkustopniowe schody, dotarliśmy do przedsionka komory grobowej. To małe pomieszczenie nazywa się kaplicą Anioła. W świetle lamp wyłania się ołtarzyk. Tradycja głosi, że jest on wykonany z tego samego kamienia, którym zastawiono grób Jezusa. Pojedynczo przeszliśmy do najważniejszego pomieszczenia, jeszcze mniejszego od przedsionka, obudowanego płytami marmurowymi. Całą prawą część długości tej komory zajmuje ława, uważana za symboliczne miejsce złożenia ciała Chrystusa. Zenek poinformował wszystkich, że

podczas składania hołdu w tym uświęconym miejscu najwłaściwsze jest włożenie ręki do wnęki ściany znajdującej się nad marmurową płytą, na wprost wejścia do komory grobowej. Najprawdopodobniej pod nią ukryta jest jeszcze jedna kamienna płyta, zakrywająca tę właściwą komorę grobową.

Po złożeniu hołdu wycofałam się na skraj kaplicy Anioła. Ledwie wszyscy pomieściliśmy się w tych dwóch maleńkich pomieszczeniach. Brat Jonasz przed symboliczną kamienną ławą, spełniającą jednocześnie funkcję ołtarza, odprawił mszę.

Myśl o tym, że tak naprawdę do końca nie wiadomo, gdzie faktycznie złożono ciało Pana Jezusa do grobu, starałam się od siebie odpędzić. Lecz w trakcie mszy co jakiś czas natrętnie do mnie powracała. No bo ten cały edykuł wydaje się miejscem symbolicznym, zakorzenionym w tradycji chrześcijańskiej. Nie ma stuprocentowych dowodów, że to właśnie miejsce jest tym właściwym. Przecież gdy w 326 roku Helena, matka cesarza Konstantyna I Wielkiego − uznana później w chrześcijaństwie za świętą − przybyła do Jerozolimy w celu odszukania miejsc najświętszych dla chrześcijan, opisanych w Ewangeliach, to zastała tutaj jedynie pozostałości rzymskiej świątyni z posągiem Afrodyty w środku. Zaopatrzona przez syna w potężną kasę leciwa cesarzowa Helena, mająca już wówczas ponad siedemdziesiąt lat, od razu przystąpiła do działań. Nakazała zburzenie pogańskiej świątyni, uprzątnięcie rumowiska

i wtedy ukazały jej się uświęcone miejsca. Taka jest oficjalna wersja. Zastanawiające jest jednak to, że współczesny jej kronikarz Euzebiusz – zausznik cesarza Konstantyna I Wielkiego − nie opisuje tego ważkiego wydarzenia. Opowieść o odnalezieniu krzyży w tym miejscu i cudownym rozpoznaniu, który z nich jest krzyżem Pana Jezusa, pojawia się dopiero u Sokratesa Scholastyka na przełomie IV i V wieku. W 395 roku zamieszcza ją też biskup Ambroży w mowie pogrzebowej po śmierci cesarza Teodozjusza I Wielkiego. Pątniczka Egeria, relacjonująca podróż do Ziemi Świętej, którą odbyła w latach 381−384, odnotowuje, że podczas świąt wielkanocnych w bazylice Grobu Świętego wystawiano krzyż, ale w opinii uczonych był to tylko wówczas kult lokalny, obliczony na napływ pielgrzymów. Krzyż jako relikwia pojawia się dopiero od V wieku. Zatem rodzi się pytanie, czy nie były to zabiegi polityczne, opowieści pisane na zamówienie, wynikające z potrzeby zakorzenienia i utrwalenia chrześcijaństwa jako religii panującej w cesarstwie. Skoro cesarzowa Helena dokopała się do starych kamieniołomów i znalazła ślady pochówków, łatwo było uznać, że jest to ta właściwa Golgota, i umiejscowić w jej pobliżu grób Pana Jezusa. Prace archeologiczne prowadzone na tym terenie potwierdzają jedynie, że miejsce to było wapiennym kamieniołomem i grzebano tutaj zmarłych, ponieważ znajdowało się wówczas poza murami Jerozolimy. Tylko że takich miejsc mogło być więcej. Istnieją hipotezy lokujące grób Pana Jezusa w całkiem innej części Jerozolimy. Na

przestrzeni wieków sanktuarium wybudowane przez świętą Helenę było wielokrotnie niszczone i od nowa przebudowywane. Grób, w którym jestem, odbudowano po pożarze w XIX wieku, a ze źródeł historycznych wynika, że już w 1009 roku kalif Al-Hakim zburzył go całkowicie. Czy ty zawsze musisz powątpiewać? Inni bezkrytycznie przyjmują wszystko i są szczęśliwi, a ty, jak szalona, szukasz dziury w całym! − myślałam, pomstując sama na siebie.

W domu czekało już na nas śniadanie, które ojciec nakazał nam bezzwłocznie spożyć, gdyż niebawem mieliśmy wyruszyć w trasę. Zaopatrzeni dodatkowo w akcesoria niezbędne do kąpieli wsiedliśmy do autobusu.

Po przejechaniu przedmieść Jerozolimy za oknami autokaru ukazała nam się pofałdowana, pustynna przestrzeń, poprzecinana co jakiś czas siecią wystających na zewnątrz rur. Według objaśnień brata były to fragmenty systemów nawadniających tutejszą okolicę. Na mijanych pagórkowatych zboczach spostrzegliśmy małe skupiska beduińskich koczowników. Ich prowizoryczne domostwa wyglądem przypominały zabudowania slumsowych dzielnic wielkich miast. I tutaj wielorakość materiałów, jakie wykorzystano do budowy, była porażająca. Z kawałków płyt pilśniowych i falistej blachy sklecono szkielety konstrukcji. Do ich wypełnienia zaś wykorzystano fragmenty drewnianych sklejek, prymitywnie połączonych z odpadowymi tworzywami sztucznymi niewiadomego pochodzenia. Poutykane w otworach okiennych kartony

i stare gazety potęgowały wrażenie ubóstwa mieszkających w takich warunkach ludzi. Jakże groteskowo w tej całej scenerii wyglądały przymocowane do niektórych z tych siedlisk talerze anten satelitarnych. XXI wiek i takie ma oblicze − myślałam.

Autokar zjechał z głównej drogi w lewo i pokonawszy serpentynowate podjazdy, dowiózł nas na parking znajdujący się nad urwiskiem. Odchodził od niego kamienisty szlak, prowadzący przez kanion Wadi Qelt do klasztoru Świętego Jerzego. Patrząc na otoczony z obu stron nagimi stromiznami i nagrzany już przez słońce jak piekarnik parów, można było się domyślić, że aby pokonać pieszo tę drogę, przyjdzie nam wylać z siebie hektolitry potu. Szczęśliwym zrządzeniem losu coś mnie dzisiaj tknęło i wyjątkowo ubrałam się akurat w przewiewną, luźną suknię. Miała ona ten plus, że w spiekocie nie przyklejała się do ciała, a nawet lekko je chłodziła. W tych warunkach okazało się to bardzo przydatne. Podobnie jak kapelusz z dużym rondem, który natychmiast założyłam na głowę.

Ruszyliśmy na szlak. Większość zdecydowała się pokonać tę wyboistą trasę pieszo, nie ulegając natrętnym namowom beduińskich poganiaczy osłów, oferujących nam przewóz do klasztoru na grzbietach swoich zwierząt. Zaledwie parę naszych bardziej posuniętych w latach pań zdecydowało się skorzystać z tego oryginalnego środka lokomocji. Śmiesznie wyglądała korpulentna pani Wiesia, którą Beduin z niemałym trudem usadowił na grzbiecie swojego osła. Biedny osiołek znacznie zniżył się do parteru

pod jej ciężarem. Nieszczęśliwa mina zwierzaka niczym nie różniła się od miny jego beduińskiego poganiacza, ocierającego pot z twarzy połą swojej galabii − męskiego okrycia wierzchniego – a równocześnie poprawiającego na głowie przekrzywioną chustę. W każdej profesji bywają trudne przypadki − pomyślałam na wpół żartobliwie.

Zosia w gromadce zaczęła nudnie utyskiwać do wtóru z innymi na upał i na ciężką drogę, więc jak zwykle wysforowałam się do przodu. Bardzo szybko nasz zwarty szereg porozbijał się na małe grupki, drepczące w sporej odległości od siebie. Szło się naprawdę wyjątkowo paskudnie. Nie dość, że znajdowaliśmy się w pełnym słońcu, to do tego podłoże usiane było drobnymi, ostrymi kamieniami, wpadającymi do butów. Co jakiś czas musiałam się zatrzymywać, aby wytrzepać je z sandałów. Konwersacji podczas tego przemarszu nie dało się prowadzić. Każdy zaciskał zęby, marząc o tym, aby ta tortura dobiegła już końca. Po ominięciu potoku z resztkami akweduktu, pochodzącego jeszcze z czasów rzymskich, i przejściu na drugą stronę parowu Wadi Qelt naszym oczom ukazała się przyklejona do stromych zboczy, częściowo wykuta w skale bryła klasztoru. Jeszcze podejście po spadzistych, wysokich stopniach schodów i byliśmy wewnątrz, dysząc jak rozklekotane maszyny.

Zawiadomieni o naszej wizycie ortodoksyjni mnisi greccy – gospodarze tego monastyru – sprawili nam miłą niespodziankę, przygotowując dla nas lekki poczęstunek. Kiedy nieco ochłonęliśmy w chłodnych murach

i uraczyliśmy się herbatą z samowara, słodką jak ulepek kawą podaną w miniaturowych kubeczkach oraz kruchymi ciasteczkami, brat Jonasz streścił nam historię tego monastyru:

– Wszystko zaczęło się około IV wieku. Wówczas wiele osób z miast, porzuciwszy dotychczasowe swoje życie, udawało się na pustynię, aby tam podobnie jak Pan Jezus modlić się, medytować, pościć. Jednym słowem ofiarowywać resztę swojego życia Panu Bogu, prowadząc pustelniczy tryb życia, odcinając się całkowicie od otaczającego ich świata. Niektórzy z nich z biegiem czasu zaczęli tworzyć wspólnoty eremickie i zakładać klasztory. Mury tych klasztorów dawały eremitom poczucie bezpieczeństwa oraz pozwalały każdemu pustelnikowi na prowadzenie medytacji w osobnej celi. Tak rozwinęła się idea monastyczna na tych terenach. Na przestrzeni wieków cała Pustynia Judzka usiana była monastyrami. Jednak do naszych czasów tu, na terenie Wadi Qelt, zachował się tylko jeden. W nim właśnie jesteśmy. Klasztor Świętego Jerzego powstał w V wieku. W wyniku kolejnych zawieruch wojennych był on kilkakrotnie niszczony i od nowa odbudowywany. Obecny kształt zawdzięcza XIX-wiecznej przebudowie. Zwiedzimy jego niektóre budynki. W kościele zwróćcie państwo uwagę na mozaikę podłogową datowaną na VI wiek. Zobaczycie także nisze grzebalne pierwszych mnichów męczenników. Oczywiście obejrzyjcie dokładnie unikatowe ikony. Po spacerze toaleta i powrót do autobusu, tą samą drogą. Teraz zbierajcie się!

Gdy przechodziłam przez kolejne pomieszczenia klasztoru, opanowało mnie uczucie melancholii. Być może wywołane panującą tutaj wszędobylską ciszą i przytłumionymi płomykami wydobywającymi się z nielicznych lamp oliwnych. Poddając się temu nastrojowi, zadałam sobie pytanie, czy warto tak pędzić przez życie, szarpać, miotać się. O ile łatwiej byłoby zamknąć się w miejscu podobnym do tego i samodoskonalić się wewnętrznie, nie przejmując się niczym z zewnątrz. Szybko jednak się żachnęłam. Kretynko! Na to po pierwsze trzeba mieć niezachwianą wiarę, której ty nie posiadasz. Po drugie – niezwykłą odwagę, żeby ze wszystkiego dobrowolnie zrezygnować, tego też nie posiadasz. A po trzecie – gdyby większość ludzi tak postąpiła, świat stanąłby w miejscu. O jakimkolwiek rozwoju nie byłoby mowy. Trzecie przeważyło. Nastrój melancholii wraz z opuszczeniem klasztornych murów prysł. To nie znaczy, że z niemym podziwem nie popatrywałam na wykute w skale stare pustelnicze cele, które łączył ze światem jedynie cebrzyk przesuwany na wyciągu. Przy pomocy tego prymitywnego narzędzia, składającego się z żerdzi, przymocowanej do niej liny i kołowrotka, dostarczano posiłek eremitom przebywającym w skalnych celach.

U podnóża schodów klasztoru czekali na nas apiać Beduini ze swoimi osiołkami. Niezrażeni naszą poprzednią odmową przygnali za nami, licząc na to, że może teraz, w drodze powrotnej, uda im się na nas trochę zarobić. I rzeczywiście, tym razem nałapali więcej chętnych. Nawet

Ewka stwierdziła, że żal jej młodego beduińskiego chłopca, i zdecydowała się wsiąść na jego osiołka. Śmiałam się do łez, widząc nieporadne gramolenie się braciszka Tucka na chudego osła. Gdy się nieco uspokoiłam, doszło do mnie, że to dziwne, iż nasz oszczędny ojciec też korzysta z beduińskich usług. Żartobliwie poruszyłam tę kwestię:

– Z nas ojciec się śmieje, że kondycję mamy kiepską, a tu widzę, iż bratu też sił zabrakło.

– To nie tak, jak pani myśli − odparł zasapany. – Wsiadłem na tego osła z czystej premedytacji. Chodzi o to, że często przyjeżdżam tu swoim samochodem ze znajomymi i muszę auto zostawiać na parkingu, na którym rządzą się ci Beduini. Jeśli co jakiś czas daję im trochę zarobić, to oni w zamian pilnują mojego auta. W ten sposób mam pewność, że po powrocie zastanę zawsze mój samochód w nienaruszonym stanie. Obopólny interes, tak można to nazwać.

Zrozumiałam doskonale, w czym tkwi haczyk, i przestałam się dziwić.

Ponieważ kawalkada osiołków poruszała się bardzo wolno, to my, piesi, szybko zostawiliśmy ją w tyle. Doszedłszy jako jedna z pierwszych do parkingu, miałam dość czasu, aby ochłonąć.

Wyjazd opóźnił się nie tylko za sprawą uiszczania opłat za przewóz, ale także z powodu zamieszania wywołanego przez wędrownych sprzedawców. Ci beduińscy kramarze raptem, nie wiadomo skąd, pojawili się przy nas i otoczywszy szczelnym kordonem, poczęli napastliwie

wciskać nam wszelkiej maści wisiorki, medaliki, spinki, grzebienie, apaszki… Ledwie zdołałam wyswobodzić się z tej kotłowaniny, mężnie opierając się agresywnym namowom. Interes jednak kwitł. Największym powodzeniem cieszyły się białe chusty, niby to jedwabne − miałam co do tego wątpliwości. Rezultat był taki, że odtąd trzy czwarte naszego autobusu defilowało w białych chustach na szyjach, co trochę upodabniało nas do szkolnej kolonii. Zosia też sobie tę ozdobę sprawiła, sugerując mi, że za dwa dolary warto ją było kupić. Ja jednak nie chciałam. Gdyby była to taka oryginalna arafatka w kratę, jaką mieli na głowach Beduini, to może bym się i skusiła, lecz taka biała, gładka chustka nadawała się jedynie na letnią apaszkę, w których nie gustuję.

Po drodze w kierunku Jerycha ku mojej radości ojciec Jonasz zaproponował nam krótki przystanek w słynnym zimowym pałacu Heroda. Stwierdził, że będzie okazja kupić zbiorowy, dwutygodniowy bilet, pozwalający na zwiedzanie wszystkich parków przyrodniczych i rezerwatów archeologicznych na terenie Izraela.

− To bardzo intratna inwestycja. Teraz mamy duże pole do popisu. Wystarczy, jeśli odwiedzimy pięć, to szósty i wszystkie następne będą już gratisowe. Ma to istotne znaczenie, gdyż zwiedzanie miejsc powiązanych z historią Izraela i ciekawostkami przyrodniczymi jest płatne. Sporo na takim karnecie zaoszczędzimy – poinformował nas z satysfakcją ojciec.

Ruiny zimowego pałacu Heroda rozciągają się po obu stronach Wadi Qelt. Według słów brata:

– Była to ulubiona rezydencja króla. Na podstawie wykopalisk uważa się, że była to najbardziej okazała budowla czasów herodiańskich. Fragmenty odkopanych term, łaźni, fresków na ścianach, kolumn i podłogowych mozaik świadczą o wręcz zwalającym z nóg przepychu pałacu. Do dzisiaj współcześni znawcy zachwycają się niebywałym kunsztem urbanistycznym jego nadwornych architektów, gdyż potrafili oni połączyć rzymskie innowacje i dorobek hellenistyczny z rodzimą tradycją, tworząc oryginalny styl. Najważniejsze jest jednak to, że byli oni niedoścignionymi mistrzami wkomponowywania budowli w otoczenie. Musieli posiąść wręcz fenomenalną wiedzę techniczną, aby osiągać tak idealny efekt wtopienia się architektury w pejzaż. Jeśli macie państwo trochę przestrzennej wyobraźni, to sami możecie się o tym przekonać.

Zadowolona wysiadłam z autobusu i skierowałam swoje pierwsze kroki wraz z innymi paniami do toalety − wypita po spacerze przez Wadi Qelt woda dawała nieznośnie o sobie znać. W tym czasie nasze kierownictwo dokonywało zakupu karnetu. Pech chciał, że toaleta miała zaledwie trzy kabiny i trzeba było w kolejce swoje odstać. Fakt, zmitrężyłyśmy przez to trochę czasu, ale nie spodziewałam się, że nasz brat potraktuje zwiedzanie tego historycznego miejsca jedynie na zasadzie krótkiej ciekawostki. Po przejściu zaledwie paru odsłoniętych stanowisk

archeologicznych, z których niewiele dało się rozpoznać, i szybkim przejściu przez zrekonstruowany hol przyjęć, ozdobiony marmurowymi, pozłacanymi kolumnami, braciszek Tuck zarządził odwrót. Byłam wściekła. O żadnym przestrzennym wyobrażaniu sobie czegokolwiek i bliższym przypatrzeniu się pojedynczym eksponatom nie było mowy. Pomyślałam, że zatrzymaliśmy się tutaj jedynie po to, aby zakupić zbiorowy bilet. Na otarcie łez otrzymałam solenne zapewnienie brata, że Herodion i Masadę zwiedzimy bardziej szczegółowo.

– A jak to jest z tymi żydowskimi zabytkami, znajdującymi się na terenie Autonomii Palestyńskiej? Jaki jest stosunek do nich Palestyńczyków? − zagadnął ojca Waldek w drodze powrotnej. Ta kwestia też mnie nurtowała, dlatego przysunęłam się do nich, nie chcąc stracić ani słowa z odpowiedzi brata.

– Jest to naprawdę poważny problem. Nie chodzi tu bynajmniej o ludność palestyńską, która do zabytków żydowskich podobnie jak do naszych świętych miejsc ma stosunek zgoła obojętny, ale chodzi przede wszystkim o urzędników administracji palestyńskiej. Rząd izraelski co roku przekazuje odpowiednim organom palestyńskim subwencję na utrzymywanie ich zabytków w należytym stanie. Niestety skorumpowani urzędnicy palestyńscy dopuszczają się malwersacji części tych środków ku wściekłości władz izraelskich. Jak dotąd nie zdołano definitywnie ukrócić tego procederu. Podejmowane są przez Izrael próby przenoszenia cennych znalezisk

archeologicznych do muzeów przy okazji organizowania wystaw czasowych, ale wszystkiego przenieść się nie da. Tak w ogóle to wielka awantura rozpętała się nie tak dawno, kiedy to Muzeum Izraela w Jerozolimie zaprezentowało wystawę poświęconą Herodowi, na której zebrano eksponaty z Herodionu, leżącego na Zachodnim Brzegu Jordanu. Palestyńczycy podnieśli krzyk, że jest to naruszenie prawa międzynarodowego, natomiast muzeum broniło się, twierdząc, że ich działania podyktowane były troską o zabezpieczenie zabytków przed zniszczeniem. Sądzić należy, że nie tak szybko powrócą one na swoje pierwotne miejsce. Dobrze, to by było na tyle. Myślę, że zaspokoiłem pana ciekawość. Co do palestyńskiej korupcji, to przy wielu jeszcze okazjach będę musiał o niej wspominać.

Pokonawszy niewielką odległość, dotarliśmy do zachodnich przedmieść najstarszego miasta świata, osławionego Jerycha. Gorące, suche powietrze spowodowało, że zaraz po wyjściu z klimatyzowanego autobusu poczułam lekki zawrót głowy. Oprócz upału najprawdopodobniej dawała znać o sobie różnica ciśnienia związana z położeniem terenu. Znaleźliśmy się przecież na skraju najgłębszej depresji świata, sięgającej tutaj, w Jerychu, 276 metrów poniżej poziomu morza. Chwilę trwało, zanim zdołałam odzyskać kontrolę nad zmysłami i trzeźwo rozejrzeć się po okolicy.

Staliśmy na chodniku przelotowej ulicy arabskiej. Odrapane, szare palestyńskie domostwa oraz walające się

wokół nich zwały śmieci sprawiały przygnębiające wrażenie. Bieda ich mieszkańców wyzierała z każdego kąta. Drzewo sykomory Zacheusza, do którego skierował nas ojciec, rosło na środku skwerku oddzielonego od ulicy żelaznym parkanem. Uznałam, że to stare, rozłożyste drzewo figowe jest ciekawym pomnikiem przyrody, a wywód ojca Jonasza, że symbolizuje ono opisane w Ewangelii spotkanie Zacheusza z Bogiem, zakodowałam w swojej świadomości. Tak samo jak wzmiankę o tym, że opis pielęgnacji tej odmiany dzikiego figowca stosowany jest w chrześcijańskich przekazach jako popularna metafora. Hodowlę tej rośliny przyrównuje się do Bożych działań podejmowanych w stosunku do ludzi – Bóg celowo nas doświadcza, tak jak ogrodnik rani sykomorę, odcinając jej boczne, dzikie pędy po to, aby mogła rodzić szlachetniejsze owoce. Nie zaprzątałam sobie tym głowy, ponieważ czułam się dość niewyraźnie. Chciałam jak najszybciej z powrotem znaleźć się w chłodnym autobusie.

Wychodząc na ulicę, przy furtce natknęłam się na palestyńskiego chłopca, gorączkowo rozkładającego na ławce płaskie pudełka suszonych daktyli. W pierwszym odruchu chciałam go ominąć, domyśliwszy się, że jest to natrętny, młodociany sprzedawca − już zdążyłam się na nich uodpornić. Jednak jego nerwowe, zdesperowane ruchy, a przede wszystkim błagalny wzrok czający się w ślicznych brązowych oczach, spowodowały, że się zatrzymałam. A co mi tam. Niech się biedne dziecko cieszy. Jeśli ja kupię chociaż jedno pudełko, to idąca za mną grupa pewnie też

się zatrzyma. Przynajmniej napędzę mu trochę klientów. Za pięć dolarów kupiłam pudełko, rozkręcając tym samym ruch w interesie chłopca. Powstało zamieszanie. Skierowałam się do autobusu, ale starannie obejrzawszy celofanowy wierzch pudełka, stwierdziłam, że spoczywające w nim duże daktyle wyglądają nader apetycznie. Mogę je śmiało sprezentować Beacie, no i Jacek pewnie by się z nich ucieszył. Cofnęłam się po jeszcze jedno. Chłopiec zwijał się jak w ukropie, lecz nie był w stanie sam obsłużyć całej naszej grupy. Najgorsze, że momentalnie wyrosła mu konkurencja w postaci potężnego Araba, który siłą rzeczy zabrał mu część klienteli. Nie poszłam do konkurencji, cierpliwie czekałam, aż dziecko mnie ponownie obsłuży. W zamian otrzymałam cudowny uśmiech. Zrobiło mi się raźniej na duszy. Nawet ból głowy przeszedł. Obładowani pudełkami daktyli ruszyliśmy w dalszą drogę. Pomyślałam, że mobilność tych arabskich sprzedawców jest naprawdę szokująca. Skąd oni, do licha, są w stanie tak szybko się pojawiać?

– Drodzy państwo, jedziemy teraz nad Jordan, kierując się na wschód. Celowo na razie ominęliśmy Górę Kuszenia z XIX-wiecznym prawosławnym klasztorem greckim. Jeśli czas pozwoli, to zawitamy do niego w drodze powrotnej, a teraz zabieram was w mniej uczęszczane przez nasze pielgrzymki miejsce, a mianowicie do klasztoru Świętego Gerasimosa. W klasztorze Świętego Jerzego wspominałem już państwu o rozwoju ruchu monastycznego na tych ziemiach. Mówiłem, że do naszych czasów przetrwało

zaledwie kilka tego typu klasztorów. Zwiedziliśmy ten najbardziej znany w Wadi Qelt. Proponuję teraz odwiedzenie drugiego, pochodzącego też z tego samego okresu. Ten monastyr wraz z jaskiniami ławry oddalonymi w niewielkiej odległości od niego w 455 roku założył wraz ze wspólnotą eremicką liczącą około siedemdziesięciu mnichów pustelnik Gerasimos. Według tradycji wschodniego obrządku uznawany jest on za wielkiego przyjaciela zwierząt. Przekazy głoszą, że uleczył między innymi okaleczonego lwa, stąd też często przedstawiany jest na obrazach w towarzystwie tego zwierzęcia. Przekonacie się o tym na miejscu, w klasztorze. Pierwszy monastyr zbudowano w stylu bizantyjskim. Zniszczony przez Persów został odrestaurowany przez krzyżowców. W kolejnych wiekach ulegał wielokrotnie niszczeniu i od nowa się odbudowywał. Kształt obecny zawdzięcza XIX-wiecznej rekonstrukcji po trzęsieniu ziemi, jakie wówczas nawiedziło tę okolicę. Udało się odtworzyć dwupoziomową konstrukcję klasztoru i dzwonnicę w charakterystycznej dla krzyżowców odmianie stylu romańskiego. Jeśli to będzie możliwe, wejdziemy do krypt, w których przechowywane są szczątki ofiar masakry perskiej z początku VII wieku i wspomnianego wielkiego trzęsienia ziemi.

– Nie mam nic przeciwko wschodnim klasztorom. Ten w Wadi Qelt był ciekawy. Tylko byleby się nie okazało, że znowu przez cały dzień brat będzie nas po nich przeganiał. − Zosia cicho podzieliła się swoimi wątpliwościami.

– Nie kracz! Nie słuchałaś uważnie! W okolicy zachowało się ich niewiele. Jeśli nawet są jakieś inne, to wątpię, aby były udostępniane do zwiedzania. W końcu to zamknięte klasztory o surowej regule. Mówię ci, więcej − przynajmniej przedpołudniem − już nie będzie. Przecież mamy się kąpać w morzu, a niedługo obiadowa pora. − Przeprowadziłam szeptem ten według mnie ze wszech miar logiczny wywód, aby uspokoić nie tylko Zosię, lecz także i moje napływające niespokojne myśli. Nieco głośniej zaś, zmieniając temat rozmowy, spytałam:

– Chyba nic się nie stanie z tymi daktylami, jeśli będziemy je trzymać w foliowym worku w pokoju?

– Nic nie powinno się stać. Chociaż dla pewności można je schować do lodówki. Te twoje i moje zajmą trochę miejsca. Zobaczę wieczorem, czy się zmieszczą.

– O jakiej lodówce mówisz? − zapytałam zaskoczona.

– Gdybyś wieczorami nie łaziła zawsze na taras, to wiedziałabyś, że na korytarzu blisko naszego pokoju, w pomieszczeniu gospodarczym, stoi lodówka. Wszyscy z niej mogą korzystać. Tereska mi ją przedwczoraj pokazała, a wczoraj schowałam do niej sok. Dzięki temu pijesz dzisiaj chłodniejszą wodę. Myślałam, że o tym wiesz!

Nie wiedziałam. Bujam w chmurach. Racjonalne gospodynie, takie jak Tereska i Zosia, od razu o takich praktycznych sprawach pomyślały. Fakt, że jestem na wakacjach, mnie nie usprawiedliwiał.

Widząc znak drogowy, zorientowałam się, że jedziemy drogą numer dziewięćdziesiąt, z której po pokonaniu

niewielkiego odcinka zjechaliśmy w boczną, prowadzącą przez pustkowia. Z kamienistego, ceglastego podłoża wystawały liche kępki kolczastych krzewów i badyle suchych traw. Jeśli dodać do tego błękitne niebo bez jakiejkolwiek chmurki, na którym słońce świeciło niemiłosiernie, to taka sceneria nie zachęcała do wysiadania z autobusu. Kiedy autokar zaparkował przed klasztornym kompleksem, ociężale ruszyliśmy się z miejsc. Obwarowany jasnym murem klasztor wraz z dzwonnicą wydawał się na tym otaczającym go zewsząd pustkowiu zupełnie nierealną budowlą. Ci mnisi założyciele musieli być naprawdę zdeterminowani, żeby w takiej surowej okolicy się osiedlić − pomyślałam.

Bez entuzjazmu przekroczyliśmy niewielkie wejście do klasztornych zabudowań. Na schludnie utrzymanym zewnętrznym dziedzińcu naszą uwagę przykuła, oprócz okazałych donic z kwitnącymi roślinami, ekspozycja starych narzędzi i kamiennych naczyń. Te artefakty według słów ojca są tradycyjnymi zewnętrznymi elementami wystroju najstarszych greckich klasztorów. Często też symbolicznie nawiązują do związku człowieka z morzem. Duży obraz przedstawiający założyciela klasztoru, świętego Gerasimosa, w towarzystwie jego ulubionych zwierząt − lwa, wielbłąda i osła − umieszczony jest nad drzwiami prowadzącymi w głąb kompleksu. Dodatkowo malowidło zdobią zwisające po jego bokach flagi: grecka i cerkiewna. Minąwszy drzwi i wąski korytarz, dotarliśmy na wybrukowany dziedziniec wewnętrzny. W centralnym jego

punkcie usytuowana jest studnia, przyozdobiona też obrazem mnicha − tym razem w towarzystwie samego lwa. Brat poprowadził nas po schodach na wyższą kondygnację, gdzie przez zewnętrzną galeryjkę, wiodącą wzdłuż ściany budynku, weszliśmy do kościoła. Wystrój typowo cerkiewny. Potężny ikonostas pełniący funkcję barierki, odgradzający ołtarz od holu, przykuwa wzrok wielobarwnymi ikonami i malowidłami przedstawiającymi sceny biblijne. Są one osadzone w misternie rzeźbionych ramach. Główny ołtarz podobnie bogato przystrojony. Jak na mój gust całe wnętrze stanowczo przeładowane dekoracjami. Nie wzbudza to jednak we mnie emocji. Oglądając w tak krótkim czasie kilka poprzednich cerkwi, zdołałam już oswoić się z panującą w tych przybytkach tendencją do eksponowania obfitości zdobień. Nasuwające się pytanie, czy naprawdę Panu Bogu zależy na okazywanym przez ludzi uwielbianiu, wyrażającym się gromadzeniem bogactw w miejscach jego adoracji, pozostawiłam bez odpowiedzi.

W nawie bocznej podziwialiśmy freski. Na jednym z nich przez środek przechodzi szerokie pęknięcie. Pozostałość po trzęsieniu ziemi.

– Fresk ten specjalnie nie został odrestaurowany, gdyż ma przypominać wiernym o mierności i kruchości wszelkich ziemskich rzeczy – opowiadał ojciec.

Jak się to ma do nagromadzonych tutaj zbytków? − cisnęło mi się do głowy kolejne pytanie, na które nie sposób odpowiedzieć. Kruchość i marność naszego życia ukazana jest w tym klasztorze jeszcze w inny, dość oryginalny,

sposób. Na niższym poziomie obejrzeliśmy ludzkie czaszki i piszczele poukładane na przeszklonych półkach kunsztownie rzeźbionych drewnianych szaf. Kontrast pomiędzy pięknymi meblami a ich makabryczną zawartością jest tak szokujący, że na długo zapewne utrwali się w mojej pamięci.

Komercja i tutaj zawitała. Nie pomogły gniewne parsknięcia braciszka Tucka, kiedy to nasze panie odkryły butik z pamiątkami znajdujący się przy wyjściu i z zaskakującą energią zaczęły jego penetrację. Poszłam w ich ślady. W oko wpadła mi czerwona torebka z grubego, jutowego płótna, przyozdobiona haftowanymi arabskimi wzorami. Niestety jej cena okazała się zbyt wygórowana. Zrezygnowałam z jej zakupu. Zosia pocieszyła mnie:

– Może w innym miejscu uda się taką samą kupić taniej! Będziemy szukać!

Odtąd odwiedzając wszystkie sklepy pamiątkarskie, jakie się napatoczyły na naszej drodze, aż do końca pielgrzymki stale jej poszukiwałam.

Pobyt w tym klasztornym kompleksie zakończyliśmy skrótowym rekonesansem pobliskiej ławry. W miękkich wapiennych skałach niewysokich wzniesień, rozciągających się nieopodal klasztornego pustkowia, zastaliśmy wykute pustelnicze pojedyncze cele. Każda z nich łączy się z jaskinią usytuowaną w środku, tworząc zamknięty, owalny konglomerat. Według słów brata to jedne z najlepiej zachowanych do czasów nam współczesnych ruin eremickiej enklawy. Taki układ cel wraz z centralnie

położoną jaskinią, w której tylko okazjonalnie spotykali się mnisi, określa się właśnie mianem ławry. Chociaż dzisiaj tę nazwę stosuje się również jako ogólne określenie męskich klasztorów wschodniego obrządku.

Ból głowy znowu się odezwał. Musiałam sięgnąć po swój niezawodny ibum, sarkastycznie podejrzewając, że dolegliwość jest reakcją na wiadomość o tym, że czeka nas teraz ceremonia odnowy chrztu w wodach Jordanu.

Autokar pokonywał pustą, niezamieszkałą przestrzeń z wieżyczkami wartowniczymi i zasiekami. Co jakiś też czas mijaliśmy tabliczki informujące o polach minowych. Nie trzeba było być znawcą, aby odgadnąć, że przejeżdżamy przez teren graniczny z Jordanią. Po konflikcie izraelsko-jordańskim w 1967 roku władze izraelskie na całym obszarze Doliny Jordanu utworzyły strategiczny pas w ramach strefy C, czyli całkowitej kontroli administracyjnej i wojskowej władz izraelskich. Opowiadając o tym, brat dodał jeszcze jako ciekawostkę informację, że w przeważającej mierze granica jest obsadzona przez izraelskie oddziały kobiece, ponieważ dla żołnierzy jordańskich, będących muzułmanami, największą hańbą byłoby polec z ręki kobiety.

Nasze miejsce docelowe nazywało się Qasr al-Yahud. Dopiero całkiem niedawno władze izraelskie udostępniły wąski odcinek tego silnie ufortyfikowanego terenu do swobodnego zwiedzania. Z pewnością kierując się bardziej myślą o turystycznym *prosperity* aniżeli altruizmem w stosunku do chrześcijan chcących odwiedzić to miejsce.

Nowoczesny parking. Akcentem chrześcijańskim jest duża drewniana wiata z ławkami i krzyżem, służąca jako prowizoryczna kaplica. Jednak ulokowany po przeciwnej stronie pamiątkarski sklepik wraz z kawiarenką i toaletami raczej wskazywał na to, że znaleźliśmy się przed kolejną typową komercyjną atrakcją turystyczną, a nie w uświęconym przez chrześcijan miejscu nad Jordanem, w którym Jan Chrzciciel ochrzcił Pana Jezusa. Brat poprzestał na odczytaniu stosownego fragmentu Ewangelii, zawierającego opis tego wydarzenia, i skierował nas od razu nad rzekę. Uznał zapewne, że dodatkowy komentarz odnośnie do tego miejsca dla praktykujących chrześcijan jest zbędny. Niestety, czując w związku z tym niedosyt, zaczęłam gorączkowo przeszukiwać zakamarki swojego mózgu, aby wyłowić z nich zapamiętane informacje.

Chrzest ten jest bezspornym faktem historycznym i sam w sobie nie wzbudza żadnych kontrowersji. Nie do końca jednak rozstrzygnięto zagadnienie, w którym miejscu nad Jordanem faktycznie się odbył. Badacze Biblii twierdzą, że Pan Jezus przyszedł nad rzekę od strony wschodniej, czyli wskazują na wschodni brzeg rzeki, znajdujący się obecnie po stronie Jordanii. Raczej jej nie przekroczył. Znaleziska archeologiczne prowadzone na tym brzegu rzeki zdają się potwierdzać tę hipotezę. W świetle powyższego za najbardziej prawdopodobne miejsce, w którym Jan Chrzciciel dokonywał chrztu, powinno uznawać się okolice wschodniego brzegu rzeki, niedaleko jej ujścia do Morza Martwego, nazywane Betanią za Jordanem. Wynika z tego,

że stojąc na zachodnim brzegu Jordanu, po izraelskiej stronie, jestem właściwie w miejscu symbolicznym, a nie tym autentycznym. Ostatecznie to nieważne – dumałam, mocząc wraz z innymi nogi w tej świętej rzece. Nawet jeśli do tego dodać fakt, że w czasach Jana Chrzciciela Jordan na pewno inaczej meandrował i nie był leniwą, mętną strugą, w której przyszło mi brodzić, to i tak rzeka jest historycznie ta sama. Dla ludzi głęboko wierzących nie ma znaczenia, czy jesteśmy w miejscu autentycznym, czy symbolicznym. To ja jak zwykle mam obiekcje.

Ceremoniał odnowy chrztu ojciec odprawił nad wyraz sprawnie. Po odmówieniu krótkiej modlitwy wyjął z kieszeni habitu jednorazowy kubek i napełniwszy go rzeczną wodą, poprzestał na skropieniu nią głów osobom znajdującym się najbliżej. Moje obawy, że ta ceremonia będzie miała bardziej uroczysty przebieg, włącznie ze zbiorową modlitwą i śpiewem, się nie sprawdziły. Wyglądało na to, że brat potraktował ten chrzest jedynie jako tradycyjny pielgrzymkowy obowiązek, który należy spełnić. Podejrzewałam, że plastikowy kubek, służący jako naczynie chrzcielne, został po prostu wyjęty z kosza. Nikt się tym nie przejął.

Jeszcze ostatnie spojrzenie na Jordanię, aby móc się chwalić, że się ją widziało. W rzeczywistości oznaczało to zlustrowanie przeciwległego brzegu rzeki − tak samo porośniętego zaroślami tamaryszku jak ten izraelski. Niczego więcej ponad wystającą gęstwiną krzaków nie dało się wypatrzeć.

No i wreszcie udaliśmy się na obiad. Informację brata, że franciszkańskie sanktuaria, znajdujące się w okolicy Jerycha, odwiedzimy, jeśli damy radę, w drodze powrotnej do Jerozolimy, przyjęłam ze spokojem. Kiedy jednak przejeżdżaliśmy obok obszaru biblijnego Jerycha i się nie zatrzymaliśmy, ponieważ większość grupy nie chciała, krew się we mnie wzburzyła. Wyjaśnienia brata, że tak na dobrą sprawę nie ma tam co oglądać, gdyż większość terenu nie jest udostępniona do zwiedzania i nie ma tam żadnej stałej ekspozycji archeologicznej, jeszcze bardziej mnie rozsierdziły. Być tak blisko i nie dotknąć murów, a ściślej starożytnych, suszonych cegieł wykonanych z ziemi, łajna oraz słomy, które, jak głoszą zapisy, rozpadły się od dźwięku świętych trąb kapłanów Jozuego, to naprawdę wstyd! Nas też odtąd można nazywać trąbami jerychońskimi! Humoru nie zdołał poprawić mi nawet widok restauracji, przed którą zaparkował nasz autokar, *vis-à-vis* tellu − pagórka skrywającego ruiny Jerycha. Na białej tablicy nad wejściem fantazyjny napis arabski, a pod nim większy, półkolisty w języku angielskim głosiły, że przybyliśmy do Pokusy.

– Zobaczymy, czym nas tu będą kusić − warknęłam gniewnie do Zosi.

– Nie indycz się. Widziałaś przecież, że nikt z grupy nie pałał w tym upiornym słońcu chęcią włażenia pod górę i oglądania odkopanych jam. Wszyscy chcą odpocząć i coś zjeść. Ja też się do nich zaliczam! Lepiej sobie zapal. Zajmę ci miejsce przy stole.

Zrobiłam, jak kazała, a następnie dołączyłam do reszty. Na piętrze znaleźliśmy się w dużej sali, z centralnie rozstawionymi dwoma rzędami stołów zastawionych jedzeniem. Restauracja działała na zasadzie szwedzkiego bufetu.

Wybór potraw był tak duży, że chociaż starałam się nałożyć tylko odrobinkę z każdej, to i tak w połowie musiałam już spasować, gdyż na talerzu zabrakło miejsca. Kawałki kurczaka przyrządzone na różne sposoby ominęłam, koncentrując się na apetycznie wyglądającym szaszłyku i drobno siekanej baraninie w orientalnym sosie. Z surówkami, na które przeznaczyłam deserowy talerzyk, było identycznie. Samych moich ulubionych, bakłażanów duszonych w różnych zalewach, naliczyłam cztery rodzaje, a marynowanych oliwek – sześć. Na te zbliżone do naszych krajowych, typu marchewka, kapusta czy buraki, nie raczyłam nawet spojrzeć. Wyjątek stanowiły dwie różyczki kalafiora. Sięgnęłam po nie ze względu na kolory. Chciałam sprawdzić, jak smakuje kalafior gotowany z kurkumą, dzięki której zabarwił się na żółto, i wiśniowy, gotowany najprawdopodobniej w burakach. Dołożyłam do tego jeszcze po łyżce pasty zielonej i czerwonej. Deser ograniczyłam do kompotu z mieszanki egzotycznych owoców, podejrzewając, że więcej nie będę w stanie w siebie upchać. Zosia zdziwiła się, zobaczywszy moje przeładowane talerze. U niej skromnie. Mikrych rozmiarów udko z frytkami, trochę bakłażana jako surówka i to wszystko.

– Zjesz tyle? − zapytała z niedowierzaniem.

– Nie wiem. Jest okazja popróbowania tylu orientalnych potraw, więc chcę ją wykorzystać. Jeśli coś mi nie będzie smakować, to zostawię.

– Jesteś odważna. Przy moich dolegliwościach żołądkowych nie mogę sobie na takie eksperymenty pozwolić.

Siedzący przy sąsiednim stoliku ojciec uśmiechnął się ze zrozumieniem, usłyszawszy tę naszą wymianę zdań, spojrzał na zawartość mojego talerza i począł objaśniać:

− Te dwie kulki to słynne falafele – arabskie kluski z ciecierzycy i sezamu, smażone w głębokim oleju. Czerwona pasta to marokańska sałatka z pomidorów i czerwonej papryki z ziołami. Jest łagodna w smaku. Uważać za to na tę zieloną! To piekielnie ostra harissa z papryczek chili! Radzę tylko delikatnie jej spróbować.

Degustację zaczęłam od falafeli, ale mi nie smakowały. Dobrze, że przezornie umieściłam obok nich garsteczkę frytek. Siekana baranina smaczna, lecz sos, w jakim była zanurzona, zostawiłam. Jak na moje podniebienie zawierał za dużo aromatycznych przypraw. Barwione kalafiory nie zachwyciły mnie. Ostrzeżona przez ojca, liznęłam tylko zieloną harissę i już jej miałam dosyć. Poratowałam się bezzwłocznie słodkim kompotem. Za to szaszłyk i łagodna sałatka marokańska razem z bakłażanami smakowały wybornie.

Po tej uczcie przyszła pora na zaplanowany wypoczynek nad Morzem Martwym, na plaży w niewielkiej odległości od

restauracji. Brat zapewnił, że są na niej znośne warunki. Rzeczywiście, plaża zaopatrzona była w przebieralnię z natryskami, barek serwujący zimne napoje i gratisową wypożyczalnię plastikowych krzeseł, umieszczoną wśród pojedynczych palm, dających nieco cienia. Wszystko prezentowało się całkiem nieźle oprócz fatalnego zejścia nad samo morze. Aby znaleźć się w wodzie, trzeba było pokonać stromo opadającą skarpę usypaną z ostrych jak brzytwa okruchów skalnych, do tego jeszcze tak nagrzanych, że niepodobieństwem było stąpanie po nich bosymi stopami. Spacer w kąpielowych klapkach okazał się nie lada wyzwaniem.

Obydwie z Zosią pokonałyśmy dzielnie tę niedogodność i wylądowałyśmy wraz z pozostałymi na błotnistym brzegu morza. Ze względu na strój postanowiłam ograniczyć się jedynie do brodzenia w przybrzeżnym mule, uważając, aby słona woda nie sięgała mi powyżej ud. Nie poszłam w ślady innych pań, które uznały, że jednorazowe natarcie ciała błotnistą mazią i całościowa kąpiel przyniosą natychmiastową, cudowną odnowę biologiczną. Te ich zabiegi mnie śmieszyły. Koncentrując się na tym, co dzieje się wokół, nieopatrznie stąpnęłam i zaklinowałam się w błocie. Pech chciał, że za radą Zosi wlazłam w to błoto w laczkach. Stopy uwolniłam szybko, ale lewy laczek ugrzązł na dobre. Machnęłabym na niego ręką i go nie szukała, lecz jak dojść boso po tych parzących kamieniach? Aż taka odporna na ból to ja nie jestem. Moje gorączkowe poszukiwania z pomocą Zosi zakończyły się połowicznym

sukcesem. Klapek w końcu zdołałam wydobyć z błota, tylko że pasek podtrzymujący stopę naderwał się w trzech czwartych długości mocowania. Po tym epizodzie miałam już serdecznie dosyć kąpieli w Morzu Martwym. Jak ostatni paralityk, szkaradnie kuśtykając, dowlekłam się do naszego grajdołka, pozostawionego pod czujnym okiem braciszka Tucka. Klapki wylądowały natychmiast w koszu, a ja, unikając zdziwionego wzroku ojca, zaraz po nałożeniu sandałów udałam się pod prysznic. Resztę czasu przeznaczonego na odpoczynek nad Morzem Martwym zmuszona byłam spożytkować na wylegiwanie się wśród lichych palm, bacznie uważając, aby na bezpośrednie działanie promieni słonecznych narażone były tylko dolne części mojego ciała. Już i tak narobiłam sobie kłopotu z twarzą. Wprawdzie lekko zaczynała brązowieć, lecz nie chciałam mieć więcej z nią problemów.

Zaobserwowałam, że nasz ojciec wykonał kilka gorączkowych telefonów, po których przybrał wesołą minę. Łatwo było się domyślić, że szykuje nam jakąś następną − miałam nadzieję, że ciekawą − atrakcję. I istotnie, gdy tylko dotarli już wszyscy, zadowolony oznajmił:

– Drodzy państwo, zbierajcie się szybko, gdyż udało mi się załatwić wstęp do Muzeum Mozaik w Gospodzie Dobrego Samarytanina. Wprawdzie jest już późno, ale obiecali, że nieco na nas poczekają. Zewnętrzną ekspozycję można zwiedzać po zamknięciu głównego budynku, lecz warto, żebyśmy, chociaż szybko, zobaczyli ciekawe zbiory zgromadzone wewnątrz. W autobusie dopowiem wam

więcej. W takim układzie franciszkańskie sanktuaria będziemy musieli ominąć. Zresztą zobaczymy, jak będzie z czasem. Zostawiliśmy przecież jeszcze na później Górę Kuszenia nieopodal Jerycha! Zgadzacie się?

Ku mojej radości tym razem nie było żadnych sprzeciwów.

W miarę sprawnie dostosowaliśmy się do zaleceń brata. Sądząc po nastrojach, nikt nie pałał chęcią dłuższego pobytu nad morzem.

Zaraz po wyjeździe na główną drogę prowadzącą z Jerycha do Jerozolimy brat przykazał nam bacznie zlustrować mijaną okolicę, tłumacząc, że chociaż nie ma stuprocentowej pewności, to najprawdopodobniej w takiej scenerii, na tym pustkowiu otoczonym kamienistymi, pustynnymi wzgórzami, rozegrała się znana biblijna przypowieść o miłosiernym Samarytaninie, opisana w Ewangelii świętego Łukasza. Opowiada o człowieku pobitym przez bandytów, któremu pomocy nie udzielili ani przechodzący kapłan, ani lewita. Tylko miłosierny Samarytanin ulitował się nad nieszczęśnikiem i opatrzył jego rany, a następnie pomógł dotrzeć do przydrożnej gospody. Tyle Biblia, a co do faktów historycznych, to już w czasach bizantyjskich istniał tutaj zajazd dający schronienie pielgrzymom zmierzającym z Jerozolimy i Galilei nad Morze Martwe. Krzyżowcy od nowa go odrestaurowali. Dobudowując do niego dla zwiększenia bezpieczeństwa warowną wieżę strażniczą z występujących w tej okolicy kamieni o charakterystycznym czerwonym

odcieniu. Jej ruiny zachowały się do dzisiaj. Kilka lat temu narodziła się idea, aby to miejsce specjalnie wyróżnić, tworząc unikatowe Muzeum Mozaik. W nawiązaniu do biblijnej przypowieści postarano się zgromadzić ekspozycję, w skład której weszły odkopane przez archeologów w różnych miejscach Izraela i Palestyny mozaiki oraz części płaskorzeźb. Pochodzą one zarówno z antycznych synagog żydowskich i samarytańskich, jak i z pierwszych bizantyjskich kościołów chrześcijańskich.

Ze względu na późną porę nasze zwiedzanie wewnętrznej ekspozycji okrojone zostało do minimum. Ledwie dałam radę odczytać nikłe objaśnienia, znajdujące się pod poszczególnymi mozaikami. A i tak nie za bardzo można się na ich podstawie było zorientować, z jakiej synagogi bądź kościoła faktycznie pochodzą. Pozostawało jedynie podziwianie kunsztu wykonawstwa i oryginalnego wzornictwa. Na zewnątrz żałowałam, że przyszło nam oglądać te unikatowe artefakty bez przewodnika − ojciec gdzieś się zawieruszył. Patrząc na pięknie odrestaurowane mozaiki, nie można było uwierzyć, że przeleżały w ziemi taki szmat czasu. Całkiem nie tak dawno wydobyto je na światło dzienne z kamienistej Judei i Samarii oraz z piaszczystej, nadmorskiej Gazy. Przynajmniej tak wywnioskowałam ze skąpych informacji, widniejących tylko pod niektórymi mozaikami. Wchodząc z powrotem do autobusu, miałam znowu poczucie, że w niewielkim tylko stopniu wykorzystałam ciekawą historyczną gratkę, jaką było niewątpliwie zwiedzanie tego muzeum. Powoli

zaczynało docierać do mnie, że będąc w grupie pielgrzymkowej, jestem w większości przypadków skazana tylko na takie pobieżne oglądanie. Cóż, muszę się z tym pogodzić. Nie ma innej możliwości!

Długo się nad tym nie zastanawiałam, gdyż nasz braciszek uraczył nas w drodze sporą porcją kawałów o tematyce żydowskiej. Tłumacząc, że ma to być preludium do wieczornego spektaklu. Nie można się było zżymać i zawracać sobie głowy, że czegoś się tam dogłębnie nie poznało, jeśli usłyszało się między innymi coś takiego:

„Dzwoni Żyd do swojego przyjaciela.

– Mosze, ile to jest dwa razy dwa?

Mosze zamyślił się i pyta:

– A kupujesz czy sprzedajesz?”.

Lub:

„Lejb Sobel ożenił się i do znudzenia wychwala kolegom zalety swej urodziwej żony. Pewnego dnia spotyka przyjaciela. Ten bierze go pod ramię i szepce do ucha:

– Daj spokój z tym gadaniem. Śmieją się z ciebie. Czy ty nie wiesz, że twoja żona ma czterech kochanków na boku?

– I co z tego? – Sobel uśmiecha się beztrosko. – Wolę mieć dwadzieścia procent w dobrym interesie niż sto procent w złym!”.

Albo:

„Rachela zwraca się do rabina z prośbą o rozwód.

– Bój się pani Boga! – odpowiada rabin. – Przecież ma pani takiego porządnego męża! Czy ma pani coś mu do zarzucenia?!

– Rebe, ja podejrzewam mojego męża, że to ostatnie dziecko, które mamy, że to nie jest jego”.

Nawet nie zauważyliśmy, że autokar, zamiast wieźć nas do Jerozolimy, dowiózł nas z powrotem do Jerycha. Na nasze pełne zdziwienia miny brat odpowiedział z szelmowskim uśmiechem na ustach:

– A co? Myśleliście, że podaruję wam wizytę w klasztorze na Górze Kuszenia? Odpoczywaliście już przecież nad morzem, a trochę wysiłku przed kolacją jest jak najbardziej wskazane. Specjalnie zostawiłem ten klasztor na sam koniec, bo słońce już tak nie doskwiera. Czeka nas trochę wspinaczki pod górę, ale to podejście jest znacznie krótsze i nie tak męczące jak do klasztoru w Wadi Qelt. Ruszajmy zatem! Na miejscu dopowiem wam więcej o tym klasztorze, też należącym do prawosławnych Greków.

Zacisnęliśmy zęby. Nie było innej rady. Najpierw strome podejście po średnio utwardzonej ścieżce, a później dobrych parę pięter schodów w górę. Sukienka zaczęła mi się nieprzyjemnie kleić. O naiwności! Gorzko połajałam siebie, przypominając sobie przedobiadową rozmowę z Zosią i moje kategoryczne stwierdzenie, że na dzisiaj już więcej nie będzie pustelniczych klasztorów. Sromotnie się pomyliłam! Mogłam przewidzieć, że brat – wytrwały przewodnik − nie odpuści. Ja jak ja, ale nawet bałam się pomyśleć, co o tym myśli nasze starsze grono, już naprawdę porządnie zmęczone.

Przed wejściem, podobnie jak w poprzednich klasztorach, trzeba było narzucić na gołe ramiona chustkę.

Wyjęłam z mojej torby wymiętą już jak nieszczęście apaszkę, przechodząc bez zatrzymywania się między szpalerem sklepikarzy, którzy tu, na schodach przed wejściem do świętego przybytku, rozłożyli swoje towary w postaci dewocjonaliów i biżuterii oraz suszonych owoców. Z ulgą zapuściłam się w chłodne mury klasztoru, bacznie przedtem otaksowana wzrokiem przez młodego zakonnika, wpuszczającego nas do środka. Strój musiał przyzwoicie okrywać wystające części ciała.

Udaliśmy się do groty, w której według chrześcijańskiej tradycji Pan Jezus miał znaleźć schronienie, poszcząc przez czterdzieści dni, kuszony trzykrotnie przez Szatana. Opis tego wydarzenia zawarty w Ewangelii świętego Mateusza odczytał nam brat w grocie obok przedsionka prowadzącego do zakonnych cel. Następnie przeszliśmy do właściwej, przestronnej groty, przekształconej na kaplicę z misternie ozdobionym ikonostasem. Z niej schodami ulokowanymi przy samym skraju groty doszliśmy do mikroskopijnej kapliczki, która zawiera najważniejszą relikwię tego miejsca, a mianowicie Kamień Chrystusa, spoczywający pod ołtarzem wykutym we wnęce skały. To na tym kamieniu miał siadać nasz Zbawiciel.

Sceptycznie podeszłam do tej relikwii. W swoim czasie naczytałam się aż nadto o różnych matactwach i handlu podmienianymi świętymi przedmiotami i doczesnymi szczątkami świętych. O ile wiem, i Watykan jest pod tym względem niezwykle ostrożny. Nagminne fałszerstwa relikwii, mające miejsce od czasów Średniowiecza,

spowodowały, że nie przydaje im się już takiej rangi jak na przestrzeni minionych wieków. Wobec powyższego przyjęłam postawę niedowierzającego Tomasza i szybko wycofałam się na mały taras przylegający do kapliczki. Z niego roztaczał się przepiękny widok na Jerycho i okolice, a jeśli odwróciło się tyłem do panoramy miasta, podziwiać można było wyższe partie klasztoru, niedostępne dla zwiedzających. Schodząc do głównej kaplicy, za schodami zauważyłam kamienny zbiornik, przykryty żelazną, przyozdobioną greckimi napisami klapą z solidnym uchwytem na środku. Nad nią zwisał mały cebrzyk przymocowany łańcuchem. Pomyślałam, że to pewnie baptysterium. Wyglądało na bardzo stare, być może pochodzące jeszcze z XII wieku. Z tego, co brat wyjaśnił, wynikało, że klasztor w obecnym kształcie powstał w wieku XIX, ale zbudowano go na ruinach tego poprzedniego, dlatego nie jest wykluczone, że ta zabytkowa chrzcielnica ostała się jako relikt przeszłości.

„Ostateczny” powrót do Jerozolimy przebiegł już bez żadnych niespodzianek.

Po kolacji brat Jonasz zarządził ciszę, radząc naszym starszym paniom, aby w tym czasie udały się na przynajmniej godzinną drzemkę, gdyż na pewno są zmęczone po wczesnej pobudce i całym dniu, a jeszcze czeka nas wieczorne wyjście do Wieży Dawida. Nie wiem, ile z nich posłuchało rady ojca, ale mnie sen nie był dany. Czas oczekiwania na zbiórkę wykorzystałam na nieudaną próbę dodzwonienia się do domu oraz na przymusowy,

znacznie wydłużony pobyt w mojej samotni. Przymusowy za sprawą Zosi, która miała wręcz maniakalną skłonność do zamykania drzwi od wewnątrz. Skutek był taki, że kiedy chciałam wrócić do pokoju, nie mogłam się do niego dostać, gdyż Zosia, robiąc pranie, co chwilę puszczała wodę w łazience i najzwyczajniej w świecie nie słyszała mojego delikatnego ze względu na zarządzoną ciszę pukania. Dopiero po pewnym czasie dotarło do niej, że pewnie chcę też nieco odpocząć w naszym pokoju. W samą porę! Zostało mi ledwie tyle czasu, aby się nieco ogarnąć i przebrać w długie spodnie.

Wieczór podobnie jak poranek okazał się zaskakująco ciepły. Z przyjemnością szybkim krokiem przeszliśmy niewielką odległość dzielącą Dom Sióstr od Wieży Dawida. Pomimo dość wczesnej pory brat zalecił nam pośpiech ze względu na to, że bilety nie miały numeracji miejsc, więc najkorzystniej było ustawić się w pierwszej kolejności przy wejściu, aby zająć najlepsze miejsca. Miał w tym względzie doświadczenie, ponieważ już trzeci raz przyszło mu oglądać ten spektakl. Dlatego po sprawdzeniu biletów poprowadził nas od razu do lewego sektora prowizorycznego amfiteatru, nakazując zająć miejsca w górnym rzędzie. Patrząc na wprost, mieliśmy doskonały widok na lewą stronę ściany wieży, która na potrzeby widowiska w całości została zaadaptowana na gigantycznych rozmiarów ekran. Był to najlepszy wybór, ponieważ widowisko zmontowano w ten sposób, że poszczególne sceny rozpoczynały się z lewej strony ekranu, a dopiero później przesuwały się ku

środkowi i dalej w prawo. Dzięki temu mogliśmy je najdłużej śledzić. Z tyłu, za naszymi plecami, znajdowała się aparatura najnowszej generacji – różnej wielkości reflektory i głośniki, przy pomocy których operatorzy tworzyli to wirtualne widowisko.

Efekt był niesamowity. W ciągu czterdziestu pięciu minut przed naszymi oczyma przetoczyły się monumentalne sceny opowiadające burzliwą, trwająca ponad cztery tysiące lat historię Jerozolimy. Od jej zarania i króla Dawida, poprzez podboje rzymskie, islamskie, królestwa krzyżowców, Sulejmana Wspaniałego… do czasów nam współczesnych. Seans kończyła optymistyczna scena, pokazująca wspólnie bawiące się dzieci żydowskie i palestyńskie, nad którymi krążył biały gołąbek, symbol pokoju.

Dla mnie była to naprawdę wyjątkowo żywa lekcja historii. Siedząc obok ojca, z zapartym tchem śledziłam przesuwające się kolejno obrazy. On także, pomimo że oglądał już ten spektakl parę razy, sprawiał wrażenie wyraźnie podekscytowanego. Można więc sobie wyobrazić, jaka była nasza konsternacja, gdy w pewnym momencie doleciały do naszych uszu odgłosy miarowego pochrapywania. Parsknęliśmy śmiechem. W pierwszym odruchu chciałam obudzić nasze śpiące panie, ale ojciec mnie powstrzymał.

– Niech sobie śpią, skoro je to nudzi!

Do dzisiaj zachodzę w głowę, jak można było w trakcie oglądania czegoś tak fajnego po prostu zasnąć. Dopiero

gromkie brawa, jakimi nagrodziliśmy na koniec spektakl, przebudziły kobiety.

Po jedenastej w nocy wróciliśmy do pokoi. Ja pełna wrażeń, z wypiekami na i tak czerwonej buzi, oraz przejawiająca o wiele mniejszy entuzjazm po spektaklu Zosia. Nabrałam podejrzeń, że ona także podzieliła los naszych pań i przysnęła, lecz widząc mnie w skowronkach, nie chciała się do tego przyznać. Wolałam nie drążyć tej kwestii i dobrodusznie zawyrokowałam:

– Widzę, że jesteś już bardzo zmęczona, więc idź pierwsza do łazienki. Ja mogę poczekać, ale wieczorne plotkowanie zostawimy już chyba na jutrzejszy wieczór.

– Będę ci dozgonnie wdzięczna! – odparła.

Kiedy zapakowałam się ostatecznie w bety po uprzednim sprawdzeniu zgodnie z zaleceniami Zosi, czy drzwi na pewno są zamknięte, i po zgaszeniu światła, ona zdążyła już zasnąć. Niezwłocznie poszłam w jej ślady.

~ DZIEŃ V ~

Piątek

Zaczęłam dzień pracowicie − od przepierki stroju kąpielowego i sukienki. Słusznie przewidując, że jeśli pogoda się w najbliższych dniach nie zmieni, będę tych rzeczy jeszcze potrzebować. Zdążyłyśmy z Zosią zauważyć, że dużym plusem mieszkania u sióstr jest to, że mokre rzeczy tutaj wyjątkowo szybko schną. Wystarczy je rozwiesić z rana w pobliżu uchylonego okna, a wieczorem można już wysuszone ściągać. Tak samo z sandałami, które każdego wieczora szoruję i rano są suche.

Kiedy się z tym uporałam, zastałam Zosię w trakcie podwijania nogawek spodni. Włożyła dzisiaj nową, ciemnopo-pielatą parę ze sztywnej dzianiny, na której zakładki podwinięcia nie chciały się trzymać. Posypały się, cholery.

– Najlepiej byłoby spróbować zaprasować je żelazkiem. − Ośmieliłam się poradzić.

– Nie będę teraz z rana biegała do sióstr po żelazko. Przyjdzie mi je czymś przypiąć. Mam tylko jedną agrafkę. Może znajdziesz u siebie drugą?

– Zobaczę! – Wcale nie byłam pewna, co faktycznie zawiera mój podróżny przybornik. Pamiętałam tylko, że odruchowo zapakowałam go bez zaglądania w domu, u Beaty zaś wrzuciłam przybornik do kieszeni walizki, ponownie nie trudząc się ze sprawdzaniem jego zawartości. Wewnątrz znalazłam tulejkę z nawiniętymi białą i czarną nitką, a gdy ją odkręciłam – na stół wysypały się dwie igły, kilka szpilek i pożądana agrafka. Wprawdzie była ona dość miniaturowych rozmiarów, ale z braku innych egzemplarzy musiała wystarczyć. Wybawiłam Zosię z opresji.

Pod koniec śniadania w drzwiach stołówki ukazał się wypoczęty braciszek Tuck. Dziarsko przemierzył odległość do centralnego stołu. Zgodnie z utartym już zwyczajem poinformował wszystkich o planach na ten dzień:

– Mamy go spędzić w całości w Jerozolimie. Za dwadzieścia minut zbiórka. Dotrzemy na górę Syjon. Czeka nas dzisiaj piesza wędrówka. Przy Wieczerniku odprawiona zostanie codzienna msza święta. Po niej zwiedzimy znajdujący się prawie w bezpośrednim sąsiedztwie grób Dawida i sam Wieczernik. Później chrześcijańskie kościoły rozlokowane w tej okolicy. W następnej kolejności przewidziane jest zwiedzenie Dzielnicy Żydowskiej i Ściany Płaczu. Czeka nas także spacer rzymskim Cordo i zaległe od wtorku szczegółowe oprowadzenie po bazylice Grobu Świętego. W międzyczasie oczywiście obiad. Dzisiaj będziemy mieli okazję spróbować kuchni ormiańskiej.

Całość zapowiadała się nad wyraz interesująco. Zacierałam ręce z ukontentowania. Nawet utyskiwania Zosi

przed kaplicą podczas oczekiwania na mszę – znowu na temat tego, że za dużo wszystkiego do oglądania jak na jeden dzień i do tego ciągle w takiej spiekocie − nie zdołały mi zepsuć humoru. Zniecierpliwiona po raz enty huknęłam na nią:

– Przestań biadolić, w końcu po to przyjechałyśmy, aby jak najwięcej zobaczyć. Będziemy przecież wchodzić często do różnych wnętrz. To nie to co wczoraj nad Morzem Martwym! − Nie wiem, czy do niej dotarło, ale się uciszyła.

Po wejściu do kaplicy przy Wieczerniku uderzyła mnie prostota jej wnętrza. Oprócz centralnie usytuowanej metalowej kompozycji, przedstawiającej misterium Ostatniej Wieczerzy, i wyjątkowo miniaturowego ołtarza właściwie nie było na czym innym zatrzymać wzroku. Po dokładniejszym zlustrowaniu przedstawienia Ostatniej Wieczerzy stwierdziłam, że w zarysach nie odbiega ono znacząco od najsłynniejszego wizerunku tejże sceny autorstwa mistrza Leonarda da Vinciego. Uczciwie przyznać muszę, że panujący w tym wnętrzu klimat pewnej tajemniczości i powagi, uzyskany przy użyciu tak oszczędnych środków, zrobił na mnie wrażenie. A może odniosłam to wrażenie po wczorajszym dniu oglądania prawosławnych przybytków?

Głowiłam się nad tym w trakcie mszy, która jakoś dzisiaj wyjątkowo długo się wlekła. Być może też tylko tak mi się wydawało ze względu na to, że z niecierpliwością oczekiwałam na kolejne punkty naszego zwiedzania.

Co więcej, moja cierpliwość wystawiona została na ciężką próbę po wyjściu z kościoła. Jak to często już bywało, zamiast dalej natychmiast maszerować trzeba było poczekać na panie, które udały się na poszukiwanie toalety. Wśród nich była Zosia. Spiesznie obdarowała mnie swoim małym plecaczkiem, mówiąc stanowczo:

– Jak nie idziesz, to popilnuj! − I pognała za resztą. Cóż, zgrzytanie zębami nic nie pomoże. Oparłam się o kamienną balustradę schodów kaplicy, no i przyszło mi czekać razem z bratem oraz pozostałymi. Z braku innych zajęć poprosiłam ojca, aby wyjaśnił nam, jak faktycznie ma się sprawa z Wieczernikiem. Mamy go przecież zwiedzić!

– Pani to zawsze musi mi wiercić dziurę w brzuchu, ale dobrze. Jest teraz czas, bo potem, na miejscu, ze względu na duży tłok nie będzie na to warunków. Ci, co poszli, niech żałują. Otóż, moi drodzy, niewątpliwie podążamy śladami naszego Pana. Góra Syjon zawsze uważana była za święte miejsce. Sądzić należy, że to tutaj Pan Jezus obchodził święto Paschy. Taki przynajmniej wniosek można wysnuć z tradycji przekazywanej przez pierwszych wyznawców judeochrześcijańskich. Faktem jest, że archeolodzy odkryli tutaj ślady synagogi judeochrześcijańskiej z początku I wieku n.e. oraz są świadectwa o istnieniu kościoła, którego biskupi nosili greckie imiona, czyli musiał być to kościół chrześcijański. W IV wieku powstała wspaniała bazylika bizantyjska nazywana Świętym Syjonem, w której najważniejszym miejscem był Wieczernik. Zburzyli ją Persowie w 614 roku. Krzyżowcy po przybyciu od nowa ją

odbudowali, umieszczając pod salą Wieczernika domniemany grób Dawida, będący pozostałością znajdującej się w pobliżu żydowskiej synagogi z IV wieku. Wyszli z założenia, że królowi Dawidowi, jako protoplaście Jezusa Chrystusa, należy się także oddawanie czci. Nie przypuszczali zapewne wówczas, że ten akt stanie się zarzewiem sporu toczącego się przez następne wieki między wyznawcami trzech największych religii.

Zacząć należy od tego, że powracający z wygnania do Jerozolimy Żydzi przejęli zapoczątkowany przez krzyżowców kult Grobu Dawida na górze Syjon. W ich tradycji to miejsce stało się świętą namiastką zniszczonej Świątyni. Od tej pory gromadzą się tutaj na modlitwie. Po Ścianie Płaczu jest to drugie ich najważniejsze religijne miejsce. Chociaż doskonale zdają sobie sprawę z tego, że to tylko symbol. Nawiasem mówiąc, oryginał znajdował się we wschodniej części Wzgórza Świątynnego Salomona i najprawdopodobniej został zniszczony podczas drugiego powstania żydowskiego Bar Kochby w latach 132–135 n.e. Wracając do średniowiecznej historii, po zdobyciu Jerozolimy przez Saladyna i wyparciu krzyżowców grób Dawida ocalał, ponieważ w islamie króla Dawida uważa się też za jednego z proroków. Jednak znajdujący się nad nim chrześcijański Wieczernik stopniowo zamieniał się w ruinę. W XIV wieku zdołano go wykupić i został odrestaurowany przez franciszkanów. Sprawowali oni nad nim pieczę do pierwszej połowy XV wieku. Później wybuchł konflikt o ten przybytek pomiędzy przedstawicielami trzech wyznań.

W jego rezultacie franciszkanie zmuszeni zostali do opuszczenia Wieczernika. Na tym jednak nie koniec, bo w połowie XVI wieku muzułmanie, mający władzę na całym terytorium, wyparli także wyznawców mojżeszowych, zamieniając przybytek na meczet proroka Dawida. To tak mniej więcej w uproszczeniu wyglądało. Sytuacja uległa zmianie dopiero po zdobyciu Jerozolimy przez wojska izraelskie. Wówczas to grób Dawida zamieniono na synagogę, która od tego czasu traktowana jest jako miejsce kultu narodowego, a zabytkowe wnętrze Wieczernika udostępniono do zwiedzania. Taki stan rzeczy istnieje do dnia dzisiejszego. Po nieudanych próbach powrotu do Wieczernika w latach trzydziestych XX wieku franciszkanie wybudowali naprzeciw Wieczernika kościół nazwany ad Coenaculum, czyli „przy Wieczerniku”. Został on gruntownie odrestaurowany w latach sześćdziesiątych. W nim, poniekąd w zastępstwie właściwego Wieczernika, sprawowane są nasze liturgie. Widzę, że wszyscy chyba już się stawili, to czas ruszać dalej. Muszę się tylko nieco przysposobić − zakończył ojciec Jonasz.

Chętnie bym dopytała o więcej szczegółów odnośnie do tego konfliktu, lecz widząc zniecierpliwioną minę brata, nie odważyłam się o nic więcej nagabywać. Trochę było śmiechu, gdy po chwili wygmerał ze swojej czarnej raportówki składany metalowy maszt z przytroczonym biało-czerwonym proporczykiem. Rozkładając go, uszczypliwie skomentował:

– Teraz macie znak rozpoznawczy. Myślę, że żadna owieczka w tłumie się nie zgubi, nawet te czarne stawią się we właściwym czasie. − Tutaj wymownie obrzucił wzrokiem panie Hanię i Wandę, którym zdarzyło się już kilka tego rodzaju wpadek.

Przedarłszy się przez rzesze turystów zdążających nieprzerwanym korowodem ciasną uliczką, udało nam się w końcu dotrzeć do synagogi Grobu Dawida. W jej wnętrzu ściśnięci w tłumie zmuszeni byliśmy stawać na palcach, aby cokolwiek móc zobaczyć.

Niewielkich rozmiarów synagoga składa się z dwóch pomieszczeń. W pierwszym znajduje się kamienny sarkofag, przed którym judaiści zbierają się na modlitwach. Drugie pomieszczenie przeznaczone jest do przechowywania zwojów Tory i modlitewnych przedmiotów. Tyle przynajmniej zdołałam wywnioskować, zapuściwszy tam żurawia.

Do pomieszczenia z sarkofagiem prowadzą osobne wejścia dla kobiet i mężczyzn. Kiedy w końcu je przekroczyłam, zdziwiłam się wielkością grobowca. W małym pomieszczeniu wydawał się kolosem, a spoczywająca na nim fioletowa narzuta ozdobiona złotym haftem i tajemniczymi napisami potęgowała jeszcze to niesamowite wrażenie. Wyobraźnia zrobiła mi psikusa, podsuwając przed oczy obrazy zapamiętane z horrorów: otwieranie się grobowców, pękanie ścian, trzaskanie murów… Ciarki przeszły mi po plecach. Aby się od tego uwolnić, zmuszona byłam wyjść na zewnątrz.

Znacznie później doczytałam się, że tajemnicze hebrajskie napisy na narzucie oznaczają „Dawid, król Izraela, żyje wiecznie” i „Jeruzalem, jeśli zapomnę o tobie, niech uschnie moja prawica”. A także że akurat w tej synagodze praktykowany jest wschodni zwyczaj, polegający na nakładaniu jednej narzuty na drugą, jeśli poprzednia uległa zniszczeniu. Ponoć na samym spodzie, bezpośrednio na kamieniu sarkofagu, nadal leżą szczątki narzuty umieszczonej tam jeszcze przez krzyżowców.

Kiedy kalejdoskop upiornych scen przestał przetaczać się w mojej głowie, wróciłam myślami do ubiegłorocznego pobytu w Pradze, a konkretnie do jej Dzielnicy Żydowskiej z najlepiej zachowanym kompleksem synagog w Europie.

Nie zostały one zburzone przez Niemców, ponieważ w ich nieludzkich planach po całkowitej eksterminacji Żydów budynki synagog miały stać się w przyszłości siedzibą nazistowskiego Muzeum Wymarłej Rasy. Z tego powodu konsekwentnie gromadzili w nich przedmioty należące wcześniej do Żydów, zrabowane z okupowanych krajów. Paradoksalnie dzięki tym ich zabiegom te przedmioty w nienaruszonym stanie można podziwiać do dnia dzisiejszego.

Jakiekolwiek porównanie, dajmy na to, synagogi Klausa lub synagogi Hiszpańskiej z synagogą Grobu Dawida w Jerozolimie wydało mi się kompletnie absurdalne. Poza nazwą i takim samym przeznaczeniem nie dostrzegłam więcej podobieństw. Przestronne, majestatyczne wnętrza praskich synagog stwarzały klimat powagi i nawet pewnego

mistycyzmu, z kolei mroczny, średniowieczny Grób Dawida oddziaływał przytłaczająco, wręcz odstręczająco − doświadczyłam tego na własnej skórze. Dziwne wydało mi się, że właśnie to miejsce, wyłącznie symboliczne, na przestrzeni wieków w tradycji wyznawców mojżeszowych stało się jednym z najważniejszych.

Doszłam do konkluzji, że skoro i w religii żydowskiej czci się tego typu symbole, to nie ma co za bardzo wnikać, czy odwiedzane przez nas miejsca święte dla chrześcijan są autentyczne, czy jedynie symboliczne. Pora zmienić tę swoją postawę niedowiarka. Łatwo powiedzieć, trudniej wykonać. Wiedziałam doskonale, że drzemiący we mnie złośliwy chochlik dociekania prawdy znowu przy najbliższej okazji da o sobie znać.

– Źle się czujesz? − Tym pytaniem Zosia wyrwała mnie ze smętnych rozważań.

– Nie. Nic mi nie jest. Tam w środku było duszno i dlatego wyszłam na zewnątrz. − Do koszmarnych wizji nie miałam ochoty się przyznawać. Mogłaby uznać, że ze mną coś nie tak. I tak jest przewrażliwiona na punkcie wszelkich chorób.

Miotający się zamaszyście biało-czerwony proporczyk przerwał naszą dalszą konwersację. Brat tym sposobem dawał znak, że pora przemieścić się do Wieczernika.

Gotycka obszerna sala Wieczernika, wyłożona jasnym kamieniem, z krzyżowo-żebrowymi sklepieniami spoczywającymi na solidnych filarach, przypominała wnętrze sali rycerskiej średniowiecznego zamku.

Taka sceneria znacząco odbiegała od moich dotychczasowych wyobrażeń odnośnie do tego miejsca, ukształtowanych na podstawie ewangelicznych opisów. Mimo szczerej chęci trudno było uwierzyć, że właśnie tutaj według chrześcijańskiej tradycji odbywały się tak znaczące wydarzenia, jak umycie nóg uczniom przez Jezusa, Ostatnia Wieczerza, zesłanie Ducha Świętego i wygłoszenie kazania przez świętego Piotra w dniu Pięćdziesiątnicy. Krzyżowcy starali się to miejsce uczcić w najlepszy sposób, w jaki potrafili, stawiając na nim taką solidną budowlę. Może w średniowieczu spełniała ona dobrze swoją funkcję, budziła powszechny respekt, lecz obecnie jej klimat kompletnie się zatracił. Przynajmniej takie wrażenie odniosłam.

Pod naporem następnych grup turystycznych, oczekujących na wejście do sali Wieczernika, brat zakomunikował, że kto chce, może jeszcze na chwilę oddać się kontemplacji, a kto nie czuje takiej potrzeby, może udać się schodami na wyższą kondygnację i stopniami umieszczonymi wewnątrz wieży dotrzeć na dach, aby podziwiać roztaczający się dookoła widok.

− Jesteśmy w końcu na najwyższym wzgórzu starożytnej Jerozolimy. − Wypowiadając te słowa, uśmiechnął się zagadkowo.

Starsze panie, niezrażone panującym tutaj rozgardiaszem, zdecydowały się pozostać. Ja po dokładniejszym otaksowaniu kamiennego mihrabu,

niezaprzeczalnego świadectwa bytności tutaj muzułmanów, skierowałam się jako ostatnia na górę.

Zagadkowy uśmiech brata bardzo szybko dał się rozszyfrować, ponieważ wejście po schodach nie stanowiło zbyt łatwego zadania. Wijące się spiralnie wokół mrocznej wieży, strome i niezwykle wąskie stopnie im wyżej, tym bardziej się zwężały. To sprawiało, że pokonanie ich w pozycji wyprostowanej stawało się niewykonalne. Co więcej, ciasne schody wymuszały poruszanie się tylko ruchem wahadłowym, więc dotarcie na dach się przedłużało. Kiedy w końcu stanęłam u celu, przekroczywszy miniaturową bramkę, zamocowaną bezpośrednio w kopule zamykającej wieżę, Zenek i Waldek szykowali się już do zejścia. Tego dnia nie pałali chęcią do podziwiania widoków. Może i im wczorajszy wieczorny spektakl dał się we znaki? − pomyślałam. A niech to! Muszą już wracać? Ja też chcę chociaż rzucić okiem na roztaczającą się wokół panoramę Jerozolimy. Szczególnie na podobno dobrze stąd widoczne wzgórze Ofel, będące kolebką Jerozolimy − wspomniał o tym ojciec, kierując nas na górę.

Z tą nazwą spotkałam się już wcześniej i wiedziałam, że na nim znajdowały się pałace królewskie hebrajskich monarchów. No i znowu sporna kwestia dotycząca nazewnictwa. Według badaczy rzeczywistym starotestamentowym Syjonem, opisanym przez biblijnych autorów, jest wzgórze Ofel, a nie to wzgórze zachodnie, na którym jestem, współcześnie nazywane górą Syjon,

z chrześcijańskim Wieczernikiem. Dzisiejsza nazwa tego wzgórza, góra Syjon lub Chrześcijański Syjon, wzięła się ze złej lokalizacji. W przeszłości błędnie mniemano, że właśnie tutaj znajdowało się starożytne Miasto Dawida. Chrześcijańskie tłumaczenie, że określenie „Syjon” nie odnosi się do konkretnej nazwy geograficznej, lecz jest pojęciem teologicznym oznaczającym kościół ogólnie, jako miejsce zamieszkania Boga, jakoś nie przemawia do mnie. Wydaje mi się, że ktoś chyba kiedyś popełnił błąd i tak już zostało. Nie mam jednak wiedzy, aby tę kwestię rozstrzygać.

Zostawiłam to moje mędrkowanie, usiłując znaleźć chociaż trochę wolnego miejsca wśród oblegających barierki dachu. Szkoda, że braciszek Tuck nie pofatygował się z nami. Jak tu, u licha, odnaleźć się w tej panoramie? Gdzie szukać tego wzgórza Ofel? Za punkt orientacyjny obrałam mieniącą się w ostrym słońcu złotą kopułę Na Skale. To przecież Wzgórze Świątynne – wschodnia Jerozolima. Za nim, dalej jest Dolina Cedronu, którą podziwiałam z Góry Oliwnej. W takim razie gdzieś obok niej, na południu, powinno być to wzgórze. Ojciec coś mówił, że jest ono za murami starej Jerozolimy. Wytypowałam nawet takie miejsce, lecz głowy do dzisiaj nie dam, czy akurat trafnie. W tak gęstej zabudowie topografia terenu się rozmywa. Z nękającym mnie coraz większym poczuciem, że poruszam się jak dziecko we mgle, zeszłam na dół.

Od tego uczucia nie mogłam się uwolnić nawet po przekroczeniu progów bazyliki Zaśnięcia Najświętszej Marii Panny.

Kiedy większość grupy podziwiała jej podłogowe mozaiki, przedstawiające Trójcę Świętą, apostołów i okalający je krąg znaków zodiaku, oraz, po zejściu w dół, kryptę wraz z posągiem zasypiającej Matki Bożej, mnie znowu naszło. Nic nie mam przeciwko tej neoromańskiej budowli pochodzącej z 1910 roku, tylko że kontekst polityczny jej powstania − który akurat dobrze znałam − nie wzbudzał mojej sympatii. Wiedziałam, że budowla ta jest efektem wizyty cesarza niemieckiego Wilhelma II w Jerozolimie w 1898 roku. Wilhelm II spotkał się z oficjelami Imperium Osmańskiego w celu pozyskania ich jako sprzymierzeńców w planowanych przyszłych działaniach zbrojnych wymierzonych przeciwko carskiej Rosji, Wielkiej Brytanii i państwom zachodnim, co w niedalekiej przyszłości zaowocowało w konsekwencji wybuchem I wojny światowej w 1914 roku. Cesarz obiecywał wówczas modernizację armii osmańskiej z wyposażeniem jej w najnowszą broń włącznie. Dotrzymał słowa. W zamian Turcy podarowali mu parcelę na górze Syjon. To na niej powstała bazylika Zaśnięcia Najświętszej Marii Panny, administrowana do dzisiaj przez niemieckich benedyktynów.

A tak na marginesie, przypomniała mi się również informacja o tym, że podczas tej cesarskiej wizyty w Jerozolimie odbyło się spotkanie Wilhelma II z ojcem

współczesnego państwa izraelskiego, Teodorem Herzlem. Ten wybitny twórca był autorem idei utworzenia państwa, które gwarantowałoby godność i bezpieczeństwo Żydom z całego świata. Chcąc uzyskać poparcie dla swej idei, Teodor Herzl spotykał się z różnymi ówczesnymi możnowładcami, politykami. Wykorzystując pobyt cesarza niemieckiego w Jerozolimie, spotkał się także i z nim. Uważa się, że Wilhelm II był antysemitą, chociaż niby popierał ideę utworzenia niepodległego państwa Izrael. Skończyło się to jednak tylko i wyłącznie na pustych deklaracjach. Przybywającym wówczas do Palestyny osadnikom niemieckim powierzył całkiem inne cele, lecz to już zupełnie odrębna opowieść.

W duchu przyłączyłam się do głosów utyskiwań na wiadomość, że teraz zmierzamy w kierunku wschodniego zbocza Syjonu, aby zwiedzić kolejny kościół. Znaną w całym katolickim świecie słynną świątynię świętego Piotra in Gallicantu, co dosłownie oznacza „tam, gdzie piał kogut” lub „podczas piania koguta”.

– Dobrze, że to już chyba ostatni kościół na tej górze. Nudne się to staje!

– Podobnie jak na Górze Oliwnej, ale tam było ich jeszcze więcej. Ja obejrzę tylko przez chwilkę wnętrze i uciekam na papierosa. – Porozumiewałam się z Tereską szeptem.

– Chętnie ci potowarzyszę. Męczące jest takie zwiedzanie monotematyczne. Wieczorem to i tak niczego już nie będę pamiętać.

Ona dzisiaj była podwójnie biedna. Ta jej niemoc, jak mi się przyznała, wynikała z faktu, że po wieczornym spektaklu na chwilę wstąpił do ich pokoju Zenek, no i znowu się zasiedzieli. Szklanki też poszły w ruch. Dopiero grubo po drugiej mogła się położyć. Teraz wiem, skąd u Waldka i Zenka taki spadek zainteresowania widokami – pomyślałam.

In Gallicantu to dwupoziomowy kościół pochodzący z 1931 roku. Na zewnątrz wzrok przykuwa widniejąca na nim wieżyczka z krzyżem, do którego przymocowano wyrzeźbionego koguta. Według słów ojca znak ten ma być przestrogą dla wszystkich, aby nigdy nie wypierać się Pana, tak jak to najprawdopodobniej gdzieś w tej okolicy trzykrotnie uczynił święty Piotr.

Wnętrze wypełnione niezliczoną ilością mozaik zlustrowałam nadzwyczaj pobieżnie, uznając, że lepiej czym prędzej wyjść na zewnątrz, żeby móc ze spokojem zapalić i nie przepuścić okazji zobaczenia znajdujących się zaraz obok ruin dawnej zabudowy miejskiej. Brat obiecał, że po wyjściu z kościoła oprowadzi nas po nich. Spodziewałam się dłuższego spaceru, a tu znowu zawód.

Spacer ograniczył się do pokazania nam jedynie wyjątkowo dobrze zachowanych schodów pochodzących z czasów Jezusa. Odnaleziono je i odgruzowano dopiero w XIX wieku. Według tradycji tymi schodami schodził Pan z Wieczernika do Getsemani oraz potem, po pojmaniu, był prowadzony do pałacu Kajfasza. Po tych zdawkowych

wyjaśnieniach nasz braciszek Tuck spojrzał na zegarek i zawyrokował:

– Moi drodzy, dzisiaj mamy rekordowo dobry czas. Nareszcie nikt się nie ociągał! Jeszcze parę dni, a staniemy się naprawdę zgraną paczką! Obym tylko nie zapeszył! Lepiej już na tym poprzestanę. − Uśmiech od ucha do ucha zagościł na jego okrągłej facjacie. − Wracając do meritum, proponuję, żeby ten nadliczbowy czas spożytkować na odwiedziny pobliskiego chrześcijańskiego cmentarza. Na nim oprócz naszych żołnierzy z czasów II wojny światowej został pochowany zgodnie ze swoją ostatnią wolą Oskar Schindler. Kojarzycie państwo tę postać? Tym, którym w tym upiornym słońcu szare komórki nieco szwankują, podpowiadam, że Oskar Schindler, pracując jako przedsiębiorca na usługach hitlerowskich Niemiec w czasie II wojny światowej, zdołał uratować od zagłady ponad tysiąc Żydów. Zatrudniał ich w swojej fabryce naczyń emaliowanych w Krakowie, która później została przekształcona w fabrykę amunicji. Historię Schindlera opisał Thomas Keneally w książce pod tytułem *Schindler's Ark*, *Arka Schindlera*, a na jej podstawie Steven Spielberg wyreżyserował głośny film *Lista Schindlera*. Większość scen do tego filmu nakręcono w Polsce. Oskar Schindler zmarł w 1974 roku w Niemczech. Po sprowadzeniu zwłok do Izraela uroczysty kondukt pogrzebowy przeszedł najważniejszymi ulicami Jerozolimy. W 1993 roku instytut Jad Waszem uhonorował go tytułem „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata". Chyba wiecie, że

jest to w Izraelu najwyższe odznaczenie przyznawane osobom pochodzenia nieżydowskiego za pomoc okazywaną Żydom w czasach Holokaustu. Resztę dopowiem wam, gdy będziemy zwiedzać Jad Waszem. Jeśli chcecie, to możemy tam wstąpić w najbliższych dniach, póki jeszcze mieszkamy w Jerozolimie. Teraz idziemy na cmentarz!

Chociaż widziałam, że niektórym dodatkowe łażenie w pełnym słońcu było nie w smak, z ochotą ruszyłam za ojcem.

– Lepszy cmentarz od kolejnego kościoła – wyszeptałam stojącej obok Teresce.

– Mnie już wszystko jedno. Najchętniej wróciłabym do pokoju i poszła spać – usłyszałam w odpowiedzi.

Chrześcijański cmentarz na Syjonie podobnie jak ten żydowski na Górze Oliwnej rozciągał się na zboczu, które jednak tutaj wydawało się o wiele bardziej pochyłe niż tamto. Główna, kamienista ścieżka, prowadząca od wejścia, stromo opadała. Wiele rzędów kwater tworzyło pojedyncze segmenty tarasów, w całości kojarzące się z antycznym amfiteatrem. Wszystkie mogiły wyglądały prawie identycznie. Na kamienne obramowanie nałożono wykutą także w kamieniu poziomą płytę, zakrywającą w całości grób. Tak na dobrą sprawę, to gdyby nie chrześcijańskie krzyże wyryte na płytach, rozszyfrowanie, na jakim akurat cmentarzu się znaleźliśmy, nastręczałoby trudności.

Mniej więcej po przebyciu jednej trzeciej powierzchni cmentarza ojciec skierował nas między rząd mogił

znajdujących się po prawej stronie ścieżki. Wśród nich na mikroskopijnym placyku odszukaliśmy tę właściwą.

Na płycie grobu poniżej wyrytego czarnego krzyża umieszczono imię i nazwisko zmarłego wraz z datami urodzenia oraz śmierci. Pod tym standardowym napisem widniała trójczłonowa hebrajska inskrypcja. W dolnej zaś części płyty adnotacja w języku niemieckim, którą Waldek przełożył następująco: „Wybawiciel tysiąca dwustu prześladowanych Żydów". Bardziej interesujące od samych napisów wydały mi się różnej wielkości kamyki starannie poukładane na brzegach płyty. Wiedziałam, że jest to żydowski zwyczaj. Duża liczba kamyków świadczyła o tym, że bardzo często grób Schindlera jest odwiedzany przez wyznawców mojżeszowych. Braciszek dodał, że chociaż do czasów nam współczesnych znacznie wykruszyła się liczba Żydów, którzy Schindlerowi zawdzięczają życie, to jednak ich bezpośredni potomkowie nie zapomnieli o jego heroizmie.

– Obecnie kładąc kamyk na grobie, judaiści symbolicznie wyrażają szacunek dla zmarłego. A szukając genezy tego obyczaju, najprawdopodobniej należałoby ją powiązać z przykazaniem Tory, które nakazuje grzebanie bliskich zaraz po śmierci i obowiązkowo zabezpieczenie grobu przez nakrycie go kamieniem. Było to szalenie ważne w dawnych czasach, kiedy zwłoki grzebano przede wszystkim na pustyni. Istniało wówczas realne zagrożenie, że niezabezpieczone kamieniami miejsca pochówku

rozgrzebane zostaną przez dzikie zwierzęta. Stąd w tradycji żydowskiej przetrwał ten obyczaj.

Skierowaliśmy się do wyjścia. Brnąc teraz pod górę, raz po raz ktoś zatrzymywał się i zamaszystym ruchem wycierał pot z twarzy. Słońce stało w zenicie. Upał sprawił, że nasze złożenie hołdu przy polskich grobach trwało dosłownie kilka sekund. Pragnęliśmy jak najszybciej opuścić tę patelnię.

Kiedy w końcu stłoczyliśmy się w ciaśniejszą gromadkę w lekko zacienionym miejscu, wszyscy jednogłośnie oświadczyli, że czas najwyższy na jakiś dłuższy odpoczynek! Myślałam, że braciszek Tuck pozostanie nieugięty i nie przystanie na to, ale akurat dzisiaj mile nas zaskoczył, oznajmiając:

– Doskonale wyczuliście moje intencje, bo właśnie chciałem wam zakomunikować, że dzisiaj nieco wcześniej niż zazwyczaj został dla nas zamówiony obiad w ormiańskiej restauracji. Całkiem niedaleko. Przejdziemy przez bramę Syjonu, a za nią do knajpy. To jak rzut kamieniem. E, znowu kamienie! – Prychnął żartobliwie. – Tylko w trakcie obiadu sprężajcie się! Chciałbym was w miarę szybko przeprowadzić przez Dzielnicę Żydowską do Ściany Płaczu. I jeszcze dobra wiadomość: kawę podadzą nam w ramach obiadu. Nie musicie indywidualnie zamawiać. Ruszajmy!

Tak pomyślnego dla nas obrotu sprawy nikt się nie spodziewał. Grzecznie poczłapaliśmy za ojcem.

Planowany przez niego szybki obiad rozciągnął się nieco w czasie, ponieważ gdy dotarliśmy do ormiańskiej restauracji, przed wejściem nieoczekiwanie poinformowano nas, że musimy trochę poczekać. Niemieccy pielgrzymi zbyt długo się zasiedzieli i personel nie zdążył po nich jeszcze posprzątać, a reszta lokalu jest zajęta. Proszą o wyrozumiałość. Ojcu mina zrzedła. Nakazał paniom i panom udać się bezzwłocznie do toalet, aby później nie marnować czasu. Mnie to pasuje − pomyślałam.

Zdążyłam się zorientować, że lokal składa się z dwóch sal, mogących pomieścić dużą liczbę gości, a dodatkowo na wewnętrznym podwórzu urządzono restauracyjny ogródek. Z popielniczkami na stolikach. Takiej okazji nie mogłam przepuścić.

Oczekiwanie nie trwało długo. Niebawem zajęliśmy uprzątnięte w pośpiechu sześcioosobowe stoły. Kelnerki uwijały się szybko, jednak nie były w stanie równocześnie obsłużyć całej grupy. Od strony stołu, przy którym zasiadły nasze starsze matrony, dobiegł pomruk dezaprobaty. Niezadowolenie wynikało z faktu, że kelnerki donosiły na każdy stół pojedyncze talerze z poszczególnymi potrawami i nie wiadomo było, czy już można zabierać się do jedzenia, czy lepiej poczekać, aż się ze wszystkim uporają.

Przy naszym stole siedział znawca ormiańskich potraw w postaci Tereski, więc kiedy doniesiono najpierw surówki, kategorycznie zakazała nam ich konsumowania. Mamy czekać, aż doniosą inne potrawy. Posłuchaliśmy. Trochę trwało, zanim kelnerka ustawiła wazę aromatycznej,

czerwonej zupy z pływającymi w niej dużymi kawałkami mięsa. Fajnie, tylko że Tereska nadal radziła czekać, twierdząc, że jest to ormiańska zupa narodowa, gotowana na jagnięcinie, którą należy jeść razem z lawaszem, czyli cienkim podpłomykiem, wypiekanym w tradycyjny sposób w ziemnych piecach, a jego, *notabene*, kelnerki nam jeszcze nie doniosły. Uf! Mnie już się naprawdę chciało jeść. Żartowałam z Waldkiem, że czujemy się jak w ekskluzywnej restauracji, bo tam też trzeba długo czekać na podanie kolejnych dań. Wreszcie oczekiwany lawasz wylądował na naszym stole. A potem znowu dłuższa pauza. Pomyślałam, że po zjedzeniu zupy śmiało zdążyłabym zapalić papierosa. Na drugą część obiadu składał się obfity półmisek grillowanego mięsa wraz z miską ugotowanego na sypko czerwonego ryżu. Rzuciliśmy się na znakomity ormiański szaszłyk, no i w końcu na te surówki, na które od początku miałam chrapkę. Tereska nie była zadowolona, ponieważ nie podano basturmy. Objaśniła nam, że to suszona polędwica wołowa z dodatkiem specjalnej mieszanki ziół – największy ormiański rarytas. Nie narzekałam. Po spałaszowaniu zupy i sporej porcji szaszłyka, który zdążył stać się moim podstawowym daniem, ledwie mogłam zmieścić kawałek baklawy z pysznego ciasta listkowego z dużą ilością orzechów, migdałów i miodu podany na deser wraz z naparstkiem czarnej, też bardzo słodkiej, kawy. Braciszek jako przewodnik grupy otrzymał w prezencie kartonik karmelizowanych fig, którymi nas poczęstował. Naprawdę palce lizać!

Humory, jak zawsze po obiedzie, wszystkim się poprawiły. Dziarskim krokiem wyruszyliśmy pod Kotel, czyli Ścianę Płaczu, przedtem poinstruowani przez ojca, że mamy iść w miarę szybko, bez zbędnego rozglądania się.

− Dzielnica Żydowska, a szczególnie okolice Ściany Płaczu, z oczywistych względów są pod wzmożoną kontrolą patroli izraelskiego wojska. Nie lubią, aby im się przyglądać. Proszę, abyście szli zwartą grupą. Nie róbcie zdjęć! Dla ostatnich znakiem rozpoznawczym będzie proporczyk. Przed wejściem musimy się rozdzielić. Panie przejdą prawą bramką, a panowie lewą. Wasze manele i wy sami zostaniecie prześwietleni. Jak na lotnisku. Apeluję, aby przy tych czynnościach wstrzymywać się od wszelkich komentarzy i dowcipów, które byłyby w takiej sytuacji wysoce nie na miejscu. Po wejściu na uświęconą ziemię jeszcze raz proszę o godne zachowanie się. Podobnie jak Żydzi możecie wetknąć w bloki ich Świętej Ściany karteczki z intencjami. Kto sobie nie przygotował, może to uczynić wewnątrz.

Braciszek Tuck, nie zważając na dobiegające z tyłu głosy sprzeciwu, narzucił forsowne tempo marszu. Dosłownie jak pershingi przemknęliśmy wąskimi uliczkami Żydowskiej Dzielnicy, zostawiając zabytkowe kamieniczki bez należytego oglądu. Wyjątek stanowił skwerek miejski w pobliżu Zachodniej Ściany. Spotkała nas tam miła niespodzianka. Na parkowej ławce rozłożyła się uliczna kapela, specjalizująca się w odgrywaniu hymnów narodowych. Gdy tylko na horyzoncie dostrzegli nasz biało-

czerwony proporczyk, z ich instrumentów zaczęły płynąć takty *Mazurka Dąbrowskiego*. Przyjemnie zrobiło się na duszy. W samym centrum Izraela usłyszeć tak znajome takty to naprawdę coś! Nie żałowaliśmy datków, chociaż ojciec ponaglał do odejścia.

Lekki dreszcz wzruszenia mnie przeszedł, kiedy po skrupulatnej kontroli stanęłam przed Ścianą Płaczu. Od zawsze pragnęłam zmierzyć się z tym zabytkiem oko w oko.

Mur zbudowany z wielkich, nieobrobionych kamieni, piętrzący się do wysokości dziewiętnastu metrów, i stojące przed nim w modlitewnym skupieniu kobiety podziałały na moją wyobraźnię. Poczułam podziw dla tego narodu, który wbrew wszelkim przeciwnościom potrafił przetrwać, czerpiąc siłę witalną z modlitwy w tym miejscu. Mój podniosły nastrój szybko jednak diabli wzięli, kiedy to nasze panie rozpoczęły gorączkowe poszukiwania długopisu i świstka papieru, żeby spisać intencje. Skoro tu już jesteśmy, nie można przepuścić okazji. Może ten żydowski Jahwe tam z góry też zerknie przychylniej? Taki mniej więcej był ich tok rozumowania.

– Co się tak gapisz jak urzeczona? Masz kawałek kartki i spisz swoje intencje. Pospiesz się, pożyczyłam długopis od Ewki. – Zosia skutecznie sprowadziła mnie na ziemię.

Z rozczulania się nad ocalałym fragmentem murów otaczających niegdyś Świątynię Salomona zostały nici − ściśle mówiąc, to podmurowanie jest z epoki biblijnego króla, a kamienie w murze to pozostałość Drugiej Świątyni. Zła na moje towarzyszki z trudem przypominałam sobie

historię tego wyjątkowego miejsca. Jak to faktycznie z tymi zburzeniami i odbudowaniami Świątyni było?

W wieku X p.n.e. Król Salomon na świętym wzgórzu Moria zbudował Pierwszą Świątynię. Z opisów Biblii wynika, że w jej wnętrzu istniało miejsce święte świętych, w którym znajdowała się Arka Przymierza. Ten przybytek zburzył władca Babilonii Nabuchodonozor II w 587 roku p.n.e. Później go odbudowano w bardziej okrojonym kształcie. To była Druga Świątynia, ale nie przechowywano już w niej Arki Przymierza, tylko wyznaczono święte miejsce oddzielone zasłoną, do którego miał dostęp tylko arcykapłan jeden raz w roku. W II wieku p.n.e. nastąpiła profanacja Świątyni. Seleucydzi − dynastia władców hellenistycznych panująca w monarchii syryjskiej − podbijając Jerozolimę, w świętym żydowskim przybytku wprowadzili kult greckiego boga Zeusa. Kres temu położył Juda Machabeusz, który w 164 p.n.e. wyparł Seleucydów z Jerozolimy i od nowa poświęcił Świątynię − ojciec mówił, że na pamiątkę tego właśnie wydarzenia ustanowiono żydowskie święto Chanuki. Herod Wielki około 20 roku p.n.e. rozebrał tę istniejącą do jego czasów Świątynię i na jej miejscu postawił o wiele bardziej okazałą budowlę, którą przyjęło się nazywać Świątynią Heroda. Zburzyli ją Rzymianie w 70 roku n.e. po nieudanym powstaniu żydowskim. Od tego czasu Żydzi zbierali się wśród ruin, aby opłakiwać zniszczenie Świątyni. Po upadku kolejnego żydowskiego powstania Bar Kochby w 135 roku n.e. Rzymianie ograniczyli wyznawcom mojżeszowym dostęp do

ich świętych ruin tylko do jednego dnia w roku. Mogli się tam spotykać jedynie w rocznicę zburzenia świątyni. Kiedy na miejscu ruin w VII wieku zbudowano muzułmańską kopułę Na Skale, Żydom do modlitwy pozostała tylko ściana muru dawniej okalającego ich święty przybytek. W XVI wieku stała się ona najważniejszym religijnym miejscem. Do tego dodać jeszcze trzeba, że w okresie od 1948 do 1967 roku Żydzi nie mieli dostępu do Ściany Płaczu. Jerozolima podzielona była wówczas na dwie strefy: Jerozolimę Zachodnią, należącą do Izraela, oraz Wschodnią (ze Starym Miastem i Ścianą Płaczu włącznie), administrowaną przez Jordańczyków. Władze jordańskie odmawiały praw dostępu zarówno Żydom, jak i chrześcijanom do ich świętych miejsc. Dopiero w wyniku wojny sześciodniowej w 1967 roku i zajęcia Jerozolimy Wschodniej przez wojska izraelskie wyznawcy mogą w nich swobodnie przebywać.

Ściskając zabazgrany świstek w ręce, podeszłam wraz z innymi bezpośrednio pod Kotel i opuściwszy z szacunkiem głowę, gorączkowo zastanawiałam się, co tu dalej robić. Oczywiście żadne słowa modlitwy nie cisnęły mi się na usta… Wydawało mi się to absolutnie niedorzeczne. Zamiast tego przyszła mi do głowy myśl, że koniecznie muszę dowiedzieć się od braciszka Tucka, co dzieje się z tymi wszystkimi karteczkami ciasno poutykanymi w szczeliny między kamieniami. Było ich tak dużo, że dłuższą chwilę zajęło mi znalezienie maleńkiej wolnej luki, do której włożyłam swoją intencję. Kiedy dopełniłam tej czynności, wycofałam się, uważając, aby nie odwracać się

plecami do Ściany, gdyż to oznacza brak szacunku. Spięta, w oczekiwaniu na pozostałe panie, przysiadłam na wolnym plastykowym krzesełku, które rzędem rozstawione były z boku, prostopadle do Ściany. Na kilku z nich siedziały młode Żydówki, bez reszty pochłonięte czytaniem świętych tekstów. Spąsowiałam, gdy nasze panie równocześnie odwróciły się plecami i odeszły. Jak oparzona wybiegłam im naprzeciw ze wściekłą reprymendą:

– Odwróćcie się! Trzeba wycofywać się przodem! Nie można iść plecami do Ściany! – warknęłam na tyle głośno, by wszystkie usłyszały.

– Trzeba nas było uprzedzić, jeśli o tym wiedziałaś! – wytknęła mi pani Janka.

– Byłam przekonana, że wszyscy o tym wiedzą!

Na granicy stref dla mężczyzn i kobiet połączyłyśmy się z męską częścią naszej pielgrzymki i razem wyszliśmy na zewnątrz.

– Moi drodzy, jestem wam winien przeprosiny za ten szybki marsz – usłyszeliśmy głos brata. – Wszystko dlatego, że obiad się wydłużył, i kiedy ruszyliśmy, zorientowałem się, że przecież dzisiaj jest piątek i po zachodzie słońca rozpoczyna się żydowski szabas. Judaiści z tej przyczyny już od wczesnego popołudnia gromadzą się na modlitwach przy Ścianie Płaczu. Bałem się, że zastaniemy mnóstwo modlących się, dlatego wolałem, abyśmy w miarę szybko się tam uwinęli. Sami chyba zauważyliście zwiększającą się z każdą chwilą liczbę ludzi. Obiecuję, że przez pozostałą

część dnia nie będę już was tak poganiać. A jakie wrażenia? Warto było się potrudzić?

Pomruk aprobaty wydobył się z naszych gardeł. Ośmielona tym, zapytałam:

– Braciszku, co oni robią z tymi wszystkimi karteczkami wkładanymi między kamienie? Przecież wystarczy trochę wiatru i przed Ścianą Płaczu wyrośnie sterta śmieci.

– Słuszna uwaga. Nie dopowiedziałem. − Ojciec w ogóle niczego nie objaśnił za wyjątkiem tego, jak mamy się zachować, i to nie do końca, ale to już wolałam przemilczeć. – Są strażnicy tego miejsca. Regularnie wybierają karteczki i je palą. Wyjątek stanowi kartka z modlitewną prośbą, którą tutaj zostawił nasz papież, Jan Paweł II, podczas swojej pielgrzymki. Na pamiątkę przechowuje się ją w sejfie − powiedział, po czym zmienił temat. – Nie lamentujcie tylko, ale teraz musimy się trochę cofnąć i przejść z powrotem Dzielnicę Żydowską, abym mógł wam pokazać rzymskie Cardo. Przemierzymy je spacerowym krokiem, a następnie skierujemy się do bazyliki Grobu Świętego. Mam nadzieję, że wyrobimy się czasowo. Między kamieniczkami i arkadami otaczać będzie nas przyjemny cień. Napijcie się wody i ruszajmy! Głowy do góry!

Kierując się poprzednimi doświadczeniami, wiedziałam, że w takiej sytuacji najkorzystniej jest iść zaraz za bratem i słuchać jego objaśnień odnośnie do mijanych budowli. Wlokąc się z tyłu wraz z Tereską, Zosią i Gosią, pozbawię

się tej możliwości, dlatego nie przejmowałam się ich kwaśnymi minami i przyspieszyłam kroku.

Dzięki temu zaraz po zanurzeniu się w kręte uliczki za Bramą Łańcucha i obraniu kierunku na ulicę Habad dowiedziałam się, że cała ta okolica faktycznie została od nowa odbudowana z ruin po 1967 roku. W pracach budowlanych duży nacisk kładziono na odtworzenie pierwotnego wyglądu dzielnicy z XIX wieku. Wszystkie prace przeprowadzane były pod czujnym okiem archeologów. Odkryte podczas tych prac artefakty można oglądać w Muzeum Archeologicznym Wohla, którego my niestety nie zwiedzimy, chociaż jest w pobliżu.

− Tego program pielgrzymki nie obejmuje − powiedział ojciec Jonasz.

– A co z synagogami? Skoro to jest Dzielnica Żydowska, to chyba muszą tu być? – zapytałam.

– Ale pani jest dociekliwa! – usłyszałam w odpowiedzi. – Oczywiście, że są, lecz ich nasz program zwiedzania też nie uwzględnia. Mogę tylko państwu dopowiedzieć, że w pobliżu bazyliki Grobu Świętego znajduje się znana synagoga Hurwa, należąca do gminy aszkenazyjskiej. Kiedyś, jako największa i najokazalsza, stanowiła symbol Starego Miasta. Zburzyli ją Jordańczycy. Przez długi czas z ruin wystawał tylko kamienny łuk, traktowany jako symboliczna pozostałość po historycznej budowli. Od tego łuku wzięła się nazwa placu i synagogi, gdyż w języku hebrajskim hurwa oznacza ruinę. Dzięki wysiłkom gmin aszkenazyjskich z różnych zakątków świata w 2005 roku

ruszyła odbudowa synagogi. Ukończono ją całkiem nie tak dawno, bo w marcu 2010 roku, starannie odtwarzając jej dziewiętnastowieczny wygląd – powiedział ojciec Jonasz. − Jeszcze wyjaśnienie odnośnie do Żydów aszkenazyjskich. Tym mianem określa się zwykle Żydów pochodzących z Niemiec, którzy wyemigrowali w swoim czasie do krajów Europy Środkowo-Wschodniej i zasymilowali się z tamtejszą społecznością żydowską. Posługiwali się oni jidysz, który ewoluując, stał się *lingua franca* wszystkich społeczności żydowskich z tej części Europy. Mówiąc o Hurwie, nie można nie wspomnieć o najstarszej jerozolimskiej synagodze, a mianowicie o Ramban. – Brat rozgadał się na dobre. Najwyraźniej historia i budowle Jerozolimy to jego konik. – Z dokumentów wynika, że postawił ją około 1267 roku wygnaniec z Aragonii, Rabbi Mosze Ben Nachman, od czego akronim to Ramban, stąd też nazwa tej synagogi. Pierwotnie usytuowana była poniżej poziomu ulicy ze względu na obowiązujące wówczas islamskie prawa, zabraniające wyznawcom innych religii stawiania budowli wyższych od meczetów. W trakcie swojej burzliwej historii, podobnie jak cała Jerozolima, niejednokrotnie była okradana, niszczona lub zmieniała swoje przeznaczenie. Na przykład w XVI wieku istniał w jej pomieszczeniach warsztat rzemieślniczy, a na początku XX wieku skonfiskowano należące do niej budynki, przekształcając je najpierw na młyn, a potem na wytwórnię serów. Zniszczona przez Arabów po 1948 roku, została odrestaurowana i ponownie otwarta w latach osiemdziesiątych XX wieku.

Warto dodać, że na Starym Mieście znajduje się duży kompleks synagog sefardyjskich. Jeśli ktoś nie wie, to dopowiem, że chodzi o Żydów pochodzenia hiszpańskiego. Po ich wypędzeniu z Hiszpanii w XVI wieku osiedlili się w Jerozolimie i je stopniowo zbudowali. Podzieliły one los tych poprzednich i zostały kompletnie zrujnowane przez Jordańczyków. Po 1967 roku Izraelczycy je też odbudowali. Ciekawostką jest fakt, że do ich odbudowy użyto gruzu z włoskich synagog, zburzonych przez nazistów w czasie II wojnie światowej − zakończył.

Po chwili zwrócił się bezpośrednio do mnie:

– Chyba teraz przynajmniej w części zaspokoiłem pani ciekawość!

Pokiwałam z aprobatą głową, chociaż wolałabym jednak je zobaczyć.

– Ale się przez panią nagadałem! – dodał z rozbrajającym uśmiechem. – Muszę nieco ochłonąć. Przecież jeszcze czeka mnie oprowadzenie państwa po Cardo i bazylice Grobu. Dochodzimy. Oto początek Cardo Maximus. Przy kopii mapy z Madaby muszę się napić coli, aby kontynuować.

Rzeczywiście, zasłuchana w opowiadanie braciszka, nie zwróciłam nawet uwagi, że znaleźliśmy się u celu, a mianowicie stanęliśmy przy odsłoniętym i udostępnionym do zwiedzania dwustumetrowym odcinku starożytnej drogi.

Brat po wypiciu sporego łyka swojego orzeźwiającego napoju rzucił nam o niej garść informacji. Trochę się niecierpliwiłam i zaczęłam przestępować z nogi na nogę,

ponieważ większość przekazywanych przez niego wiadomości była mi znana, a chciałam jak najszybciej, poetycko mówiąc, zanurzyć się w jej klimacie.

Wiedziałam, że Cardo Maximus powstało po upadku powstań żydowskich. Po klęsce pierwszego powstania w 70 roku i zniszczeniu Jerozolimy cesarz Hadrian w roku 132 przystąpił do zbudowania na jej gruzach nowego miasta nazwanego Aelia Capitolina. Jego planów nie pokrzyżował wybuch drugiego powstania żydowskiego Bar Kochby, które między innymi było wyrazem sprzeciwu Żydów wobec rzymskich planów zbudowania w ich mieście pogańskich świątyń ku czci rzymskich bóstw. Rzymianie w 135 roku, po krwawym rozprawieniu się z powstańcami i wygnaniu z Jerozolimy żydowskiej ludności, mogli bez przeszkód kontynuować swoje dzieło. Wytyczyli główną arterię Jerozolimy przebiegającą przez środek miasta. Była to wówczas szeroka na dwadzieścia dwa i pół metra ulica, wyłożona kamiennymi płytami, podzielona na trzy pasy. Dwa zewnętrzne, nakryte zacienionym portykiem, z dwurzędową kolumnadą, przeznaczone były dla ruchu pieszego. Na pasie środkowym zaś, wytyczonym rzędem kolumn, odbywał się ruch kołowy. W VI wieku Bizantyjczycy na podstawie rzymskich planów Aelia Capitolina zrekonstruowali Cardo Maximus, wytyczając jego trasę od Bramy Damasceńskiej po nowo wówczas zbudowaną Bramę Syjońską. Od VII wieku, kiedy Jerozolima przeszła pod panowanie muzułmańskie, okolice arterii zaadoptowane zostały na działalność handlową.

– Udostępniony do zwiedzania fragment tej rzymsko-bizantyjskiej drogi znajduje się sześć metrów poniżej poziomu istniejących obecnie ulic. Zarówno architekci, budowniczowie, jak i archeolodzy w tym miejscu w latach siedemdziesiątych XX wieku wykonali gigantyczną pracę. Nie chodzi tutaj jedynie o rzetelność odbudowy, ale o wypracowany między nimi konsensus, dzięki któremu możliwe stały się odrestaurowanie oraz budowa nowych budynków z zachowaniem dziewiętnastowiecznego stylu dzielnicy, podłączenie do mieszkań wszystkich użytkowych mediów, no i wyeksponowanie znalezisk archeologicznych, na które wówczas natrafiono. Pod czujnym okiem architektów cały ten obszar podzielono na parę sektorów. W każdym z nich pracowały ekipy budowlane, stawiające zadaszony pasaż handlowy na wzór tego, który istniał przy Cardo w czasach bizantyjskich, a równocześnie pod nimi prowadzono zakrojone na szeroką skalę prace wykopaliskowe.

Brat na chwilę zamilkł.

– Spójrzcie jeszcze – kontynuował po chwili − na umieszczony na murze zarys Starego Miasta z VI wieku z naniesionym na nim Cardo Maximus. To kopia fragmentu słynnej mapy z Madaby. Jej oryginał znajduje się na terenie dzisiejszej Jordanii, a konkretnie jest to mozaika podłogowa w cerkwi świętego Jerzego w miejscowości Madaba, stąd też wzięła się jej nazwa. Oryginał przedstawia całą mapę Bliskiego Wschodu z okresu bizantyjskiego, w tym i Ziemię Świętą wraz z Jerozolimą. Jak dotąd mapa z Madaby

uważana jest za najstarsze odnalezione przedstawienie kartograficzne całego tego obszaru.

Ruszyliśmy wzdłuż odkopanych i wspaniale zachowanych kolumn, mając pod nogami kawałki kamiennych bloków, stanowiących kiedyś nawierzchnię drogi. Widok był zniewalający. Bez większego wysiłku, nie patrząc na umieszczone przy niej malowidło, sama wyobraziłam sobie antyczną arterię – z pędzącymi rydwanami mijającymi ciężkie wozy wyładowane towarami. A obok nich lektyki zamożnych patrycjuszy dźwigane na barkach niewolników, przeciskających się wśród rzeszy plebejuszy tłumnie oblegających zacienione portyki… Mogłabym tak jeszcze długo stać nad tymi ruinami, puszczając do woli wodze fantazji, ale moi współtowarzysze nie przejawiali takiej chęci. Po kilku zbiorowych ochach i achach skierowali swoją uwagę na znajdujący się nad nami pasaż ze sklepikami. Wkrótce i braciszek Tuck, spojrzawszy na wyświetlacz komórki, stwierdził, że pora udać się do bazyliki Grobu Świętego. Wyszliśmy na górną część ulicy i na kilka kolejnych odsłoniętych rzędów kolumn Cardo Maximus popatrzyliśmy już tylko z góry.

Zostałam nieco w tyle, pożyczając Zosi chusteczki higieniczne, no i przegapiłam wyjaśnienia brata, dotyczące odkopanych fragmentów starych fortyfikacji z okresu Pierwszej Świątyni, na które się natknęliśmy już u wylotu ulicy. Usłyszałam tylko końcówkę jego objaśnień, że w stosunku do takich pozostałości używa się terminu *in*

situ, co oznacza, że zabytek nie został przemieszczony z miejsca, w którym go odkryto.

– To tak w ramach ciekawostek z zakresu archeologii – powiedział, kończąc swoją wypowiedź.

Ostatni odcinek trasy do bazyliki Grobu Świętego, nie większy niż półkilometrowy, przeszliśmy, klucząc w ciasnych uliczkach, szczelnie przylegających do sanktuarium. Po minięciu paru zaułków, przy których kompletnie straciłam orientację, brat zaprowadził nas po schodach na zagracone podwórze. Okazało się, że dotarliśmy na tyły bazyliki i od tego miejsca zaczniemy jej szczegółowe oglądanie.

– Dziedziniec, na którym stoimy, to pozostałość średniowiecznego klasztoru krzyżowców wzniesionego przez nich na ruinach konstantyńskiej bazyliki. Jej fragmenty zachowały się również wewnątrz. Obecnie jest to teren klasztoru etiopskiego, a ta wystająca kopuła na środku to górna część krypty Świętej Heleny, należąca do wspólnoty ormiańskiej. Pokażę wam według mnie te najbardziej znane i ciekawe kaplice bazyliki, dlatego trochę będziemy kluczyć. Gdybyśmy chcieli gruntownie ją zwiedzić, to dobre pół dnia by nam zeszło. Jeszcze uwaga! W niektórych kaplicach mogą odbywać się akurat modlitwy, dlatego proszę, aby w takim przypadku cicho przejść. Przez kościół koptyjski bez zatrzymywania się, idąc schodami w dół, dotrzemy w okolice głównego wejścia bazyliki. Zwróćcie tylko uwagę na obrazy wiszące na ścianach ich kościoła. Przedstawione na nich twarze świętych mają

wyjątkowo jasne kolory, co trochę kłóci się z ich wierzeniami. Ale to tylko taka złośliwa franciszkańska uwaga. Idziemy!

Gdy znaleźliśmy się wewnątrz bazyliki, ojciec poprowadził nas najpierw pod tak zwany Katolikon, ulokowany w centralnej części bazyliki. To wybudowany przez krzyżowców kościół, pozostający obecnie we władaniu greckiego patriarchatu prawosławnego, potocznie nazywany także Chórem Greków. Bogaty wystrój typowy dla kościołów wschodniego obrządku, ostro kontrastujący z surowością grubych murów bazyliki. Ścianę będącą w bezpośrednim sąsiedztwie Grobu Pańskiego ozdabia rzeźbiony ikonostas. Brat pokazał nam pokryte bizantyjskimi mozaikami sklepienie chóru oraz zwrócił uwagę na stojący marmurowy postument w kształcie kielicha z półokrągłym kamieniem w środku. Wytłumaczył nam, że jest to słynny Pępek Świata, a wziął się on z żydowskiej, a później ze średniowiecznej kosmologii, która to miejsce, czyli bazylikę Grobu Świętego, uznawała za tradycyjne, przynajmniej duchowo, centrum świata.

Coś tam mi w głowie zaświtało. O jakimś podobnym kamieniu w starożytnej greckiej świątyni, chyba ku czci Apolla, kiedyś czytałam. Czyżby tutaj dokonano zapożyczenia ze starożytnych wierzeń?

Otoczony kolejką wiernych Grób Pański ominęliśmy, kierując się ku jego tylnej części. Brat poinformował przyciszonym głosem, że mamy spojrzeć w górę na rotundę nad grobem. Opowie o niej nieco później. Teraz zwiedzimy

kaplicę Syryjczyków i może uda nam się dyskretnie zajrzeć do kaplicy Koptów przylegającej do Grobu.

– Tylko po cichutku, ponieważ mnisi koptyjscy trwają tam w nieustającym czuwaniu przy tylnej części skały, w której wykuty jest Grób. Nie ładujcie się tylko do środka! – ostrzegł zapobiegliwie.

Mijając kaplicę Koptów, oprócz przyciemnionego wnętrza i ponurych, zatopionych w modlitewnych medytacjach zakonników niewiele więcej zdołałam dostrzec. Za to mój zmysł węchu, chociaż nieco przytępiony przez papierosy, wyraźnie zarejestrował unoszącą się w tym pomieszczeniu ostrą woń kadzidła. Jak oni mogą w tych oparach wytrzymywać? Być może to wyzwala jakiś modlitewny trans? Nasunęły mi się retoryczne pytania.

W zniszczonej przez pożar kaplicy Syryjczyków ledwie można było dostrzec szczątki ołtarza, ikon i fresków. Wszystko spowite grubą warstwą sadzy wymieszanej z kurzem. Obraz opustoszałej kompletnie ruiny. Ojciec, korzystając z tego, że byliśmy w tym wnętrzu sami, z szeptu przeszedł na normalny głos i opowiedział nam ciekawą historię tego miejsca:

– Macie tutaj państwo przykład złych skutków obowiązującego w bazylice prawa *status quo*. Kościół syryjski jest zbyt biedny, aby sam mógł podjąć się renowacji tej kaplicy po pożarze, ale odrzuca przyjęcie jakiejkolwiek pomocy od innych wspólnot w tym zakresie. Robi tak dlatego, że zdaje sobie doskonale sprawę, iż przyjęcie pomocy związane by było z ograniczeniem jego praw do

tego miejsca i oznaczałoby podporządkowanie się wspólnocie, która wsparłaby go materialnie. Wobec tego wolą użytkować tę kaplicę w opłakanym stanie samodzielnie aniżeli uzależniać się od kogokolwiek. To takie polityczne wewnętrzne rozgrywki. Przyprowadziłem państwa tutaj, gdyż, jeśli się dobrze przyjrzycie, to zobaczycie fragmenty murów pochodzące z IV wieku. Najciekawsze jest jednak to niskie wejście po lewej, które prowadzi do skalnego tunelu, korytarza. W nim odkryto komory grobowe pochodzące z I wieku przed i I wieku po Chrystusie. Jest to świadectwo, że było to miejsce pochówku w czasach Jezusa, gdy Golgota nie została jeszcze włączona w obręb miasta. Według tradycji tutaj znajduje się grób Józefa z Arymatei. Popatrzyli? To idziemy dalej, do części łacińskiej!

Kaplica Najświętszego Sakramentu, czyli kościół franciszkański został wzniesiony w XI wieku, a krzyżowcy połączyli go z główną częścią bazyliki w XII wieku. Najpierw w zakrystii obejrzeliśmy miecz i ostrogi Gotfryda z Bouillon, a potem brat powiódł nas wprost pod wnękę obok ołtarza, w której umieszczony jest fragment kolumny.

– Uważa się, że jest to pręgierz, przy którym był biczowany Pan Jezus. Najprawdopodobniej zachowała go jedna z pierwszych wspólnot judeochrześcijan, gromadząca się w Wieczerniku. Relikwię tę zapewne musiano przechowywać w tajemnicy, gdyż według prawa nie wolno było wnosić w obręb murów miasta niczego, co miało styczność ze zwłokami. Uważano, że jest to nieczyste.

W połowie XVI wieku kolumnę z Wieczernika przewieziono do bazyliki i od tego czasu jest tutaj wyeksponowana.

Następnie, obok kaplicy Świętej Marii Magdaleny, zatrzymaliśmy się przed potężnymi kolumnami. Braciszek Tuck wyjaśnił, że to, co widzieliśmy nad Grobem Pańskim, jest współczesną wersją rotundy nazywanej Anastasis, czyli Zmartwychwstanie. Rotunda ta ma cechy oryginalnej konstrukcji rzymsko-bizantyjskiej, ale w ciągu minionych wieków była ona wielokrotnie przebudowywana i przegradzana. Oryginalna rotunda wyglądała inaczej. Była bardziej przestronna. Właśnie odrestaurowane w ostatnich latach kolumny, przed którymi stoimy, są jej pozostałościami. O imponujących rozmiarach budowli świadczą szczególnie te dwie kolumny, usytuowane najbliżej ołtarza Marii Magdaleny, gdyż przypuszcza się, że są to dwie części jednej kolumny olbrzymich rozmiarów, pochodzącej z budowli wzniesionej przez Konstantyna albo, jeszcze wcześniej, przez Hadriana, który w tym miejscu postawił świątynię ku czci Afrodyty w II wieku po Chrystusie.

Starałam się przez cały czas słuchać uważnie objaśnień ojca, lecz gapiąc się co rusz dookoła i na stojące nieopodal kolumny, ni w ząb nie mogłam sobie wyobrazić pierwotnego kształtu Anastasis. Może to dlatego, że − jak brat nadmienił − kiedyś za kolumnami rozciągała się wolna przestrzeń, a teraz jest ona kompletnie zabudowana, z niesamowitą liczbą drzwi, drzwiczek prowadzących nie wiadomo gdzie? Ostatecznie dałam sobie z tym spokój. I bez tego w mojej

głowie zaczynał robić się mętlik od tych wszystkich fragmentów, pozostałości oraz dobudówek z różnych okresów historycznych. Jeszcze trochę, to zupełnie pogubię się w chronologii dziejów. A to dopiero część bazyliki!

Zatrzymaliśmy się na moment przed kaplicą Więzienia Jezusa nazywaną Ciemnicą. Stoją tu wyeksponowane kamienne dyby. Brat objaśnił ściszonym głosem, że ta kaplica została częściowo wydrążona w skale i kojarzy się z pomieszczeniem więziennym, jednak brakuje jakichkolwiek podstaw historycznych do uznania jej za właściwe miejsce przetrzymywania Jezusa przed ukrzyżowaniem.

W prawosławnej kaplicy Longinusa trwały medytacje, więc ominęliśmy ją.

Kolej na część ormiańską. Zeszliśmy do krypty Świętej Heleny. Wzdłuż schodów krzyże wyryte przez krzyżowców. Jeszcze w dół, do kaplicy Znalezienia Krzyża Świętego, utworzonej w miejscu odnalezienia fragmentów rzymskiej cysterny, w której to według tradycji święta Helena miała odnaleźć krzyż Pana Jezusa. Koptowie nie uznają tego miejsca. Uważają, że krzyż, na którym ukrzyżowano naszego Pana, został odnaleziony w cysternie pod ich klasztorem. Jeszcze rzut okiem na kaplicę świętego Wardana i Ormiańskich Męczenników, znaną z zachowanych w niej fragmentów rzymskiej świątyni z czasów cesarza Hadriana.

– I tak oto z grubsza obejrzeliśmy część ormiańską – poinformował nas ojciec. – Idziemy teraz jeszcze pod

Golgotę. Tam w kaplicy Adama pokażę wam dolną część skały Golgoty.

O ile na samej Golgocie górny fragment świętej skały jest mało widoczny, to w tej kaplicy jej przeszklona dolna część jest dobrze wyeksponowana. Widać na niej solidne pęknięcie. Ze słów brata dowiedzieliśmy się, że to miejsce w tradycji żydowskiej uznawane było za grób Adama, stąd też nazwa tej kaplicy. Chrześcijanie dawniej, jeszcze w średniowieczu, wierzyli, że to pęknięcie wyżłobiła po ukrzyżowaniu krew Pana Jezusa spływająca wprost na czaszkę Adama. Miał to być symboliczny znak odkupienia ludzkości.

− Tyle tradycja, a realnie patrząc na to pęknięcie, wydaje się najbardziej prawdopodobne, że jest to efekt trzęsień ziemi, które w przeszłości często tutaj odnotowywano. Wychodzimy na zewnątrz! Poczekajcie na dziedzińcu. Tam jeszcze trochę wam dopowiem.

Po wyjściu posłusznie poczekaliśmy na ojca, który swoim zwyczajem chwilkę zagadał się z prawosławnym mnichem, przechodzącym właśnie obok nas. Miny wszystkich bez wyjątku wyrażały zmęczenie. Nikt nie kwapił się do wymiany jakichkolwiek uwag odnośnie do oglądanego obiektu. Etatowych, miejscowych fotografów – Palestyńczyków, którzy usiłowali namówić nas na zrobienie nam grupowego zdjęcia, oczywiście za odpowiednią opłatą – odprawiliśmy z kwitkiem. Ciężkie czasy na nich teraz przyszły − pomyślałam sobie ze współczuciem. Ich profesja się kończy. Każda grupa pielgrzymkowa zaopatrzona jest

w odpowiedni sprzęt do fotografowania, przez co staje się samowystarczalna. Prawie nikt już nie jest skory do korzystania z ich usług. O miłosierdziu pielgrzymów nie ma co gadać!

– No dobrze, już was dzisiaj nie będę więcej męczył. − Brat uraczył nas uśmiechem od ucha do ucha. − Widzę, że miny macie nietęgie. Żebyście zachowali jednak pełen obraz bazyliki, a ja czyste sumienie, że należycie pokazałem wam wszystko, co istotne, odwróćcie teraz jeszcze głowy w lewo, patrząc od wejścia. Widzicie tę budowlę w górze ze stromymi schodami, przylegającą do muru? To kaplica Franków. Zbudowali ją krzyżowcy. Kiedyś bezpośrednio połączona była z Golgotą. Sama nazwa kaplica Franków jest nawiązaniem do rycerzy krzyżowych, których lokalna społeczność potocznie zwała Frankami. Tam znajduje się dziesiąta stacja Drogi Krzyżowej. U podnóża schodów odkryto na początku XX wieku grobowiec angielskiego krzyżowca Filipa d'Aubigny. Na prawo widzicie kaplice wybudowane w XI wieku, aktualnie należące do prawosławnych Greków. Środkowa – kaplica Świętego Jana − stoi na miejscu konstantyńskiej chrzcielnicy. Nad nimi wznosi się dzwonnica. Jej górną część na początku XVIII wieku rozebrano, ponieważ groziła zawaleniem. − Ojciec Jonasz zakończył oprowadzanie. – Macie dosyć! Wracamy do domu. Nie ma sensu, abyśmy czekali na zamknięcie bazyliki. Widzieliście ten obrządek już pierwszego dnia. Siostry i tak się zezłoszczą, że znowu tak długo muszą

czekać na nas z kolacją. Myślę, że pół godziny po powrocie na odświeżenie się wam wystarczy.

Znajomą drogę z bazyliki do domu przeszliśmy w znacznie wolniejszym tempie niż ostatnio. Nawet ojciec swój sprężysty, marszowy krok zamienił na bardziej powłóczysty. Odpędziłam nabiegające mi do głowy niepokojące pytania, ile naprawdę niepodważalnych faktów upamiętnia bazylika Grobu Pańskiego, a ile jest wynikiem kultywowania ukutych w Średniowieczu i wymieszanych z żydowskimi wierzeniami tradycji. Takie rozmyślania możesz snuć sobie po powrocie, i tak do niczego nie dojdziesz! − skarciłam się po raz wtóry.

Zosia z naszym kluczem do pokoju dreptała na szarym końcu kolumny. Nie mając innego wyboru, postanowiłam usadowić się na kanapie stojącej na werandzie i poczekać, aż dotrze. Dla moich bolących nóg było to jak najbardziej wskazane. Nic jednak z tego nie wyszło, ponieważ zaraz po przekroczeniu progu zauważyłam, że cały nasz holik z wygodną kanapą i fotelami został zamieniony na przenośny sklepik dewocjonaliów. Na dotychczasowych siedziskach piętrzyły się pudełka z medalikami, różańcami, świętymi obrazkami, widokówkami… Doglądał ich starszy arabski jegomość. Braciszek, zobaczywszy nasze zaskoczone miny, skwapliwie począł wyjaśniać:

– To taka mała niespodzianka dla was. Siostry przy okazji goszczenia większych grup pielgrzymkowych w ich ostatnich dniach pobytu tutaj udostępniają ten kącik zaprzyjaźnionemu arabskiemu sprzedawcy. Dla niego jest to

dodatkowa możliwość zarobku, a dla was okazja, aby dokupić coś jeszcze z pamiątek. Ceny nie są wygórowane.

Też mi niespodzianka! Chce mi się siedzieć! Żadnych pamiątek nie mam zamiaru kupować! Taka sama tandeta jak wszędzie! Niech już nareszcie ta Zosia dojdzie! – pomstowałam w myślach. Dodatkowo podałam w wątpliwość fakt, że siostry tak bezinteresownie zgadzają się na ten kramik wewnątrz swojej siedziby. Sądząc po marży, jaką nakładały na kupowane od nich wina i inne napoje, skłonna byłam zawyrokować, że sklepikarz także płaci za wynajem. Głupio było zweryfikować ten mój osąd, poprzestałam więc na domysłach. Kręcąc się z konieczności w kółko, nie odrywałam wzroku od drzwi wejściowych. Ledwie pojawiła się w nich Zosia, napadłam na nią z furią:

– Gdzieś tak długo lazła! Czekam i czekam!

– O, mamy sklepik. – Zosia kompletnie zignorowała mój wybuch. – Jest coś ciekawego? Oglądnęłaś?

– No pewnie. Co miałam przez ten czas robić? Daj mi wreszcie klucz do pokoju, żebym mogła w końcu klapnąć na czterech literach! Nogi bolą mnie jak diabli!

– Po coś cały czas szarżowała z przodu? Trzeba było wolniej z nami iść.

– Wówczas bym nic nie słyszała – burknęłam, doprowadzona tą jej uwagą do szewskiej wręcz pasji.

Kiedy wygmerała upragniony klucz, zakomenderowała:

– Zmiataj na górę, ja tu trochę jeszcze pomyszkuję.

Zezłoszczona całą tą niefortunną sytuacją, przekręcając klucz w zamku, obmyślałam krwawą zemstę na Zosi.

Ciekawe: jak by się miała z pyszna, gdybym tak na przykład zamknęła drzwi i udawała, że nie słyszę jej pukania? Uśmiechnęłam się do tej myśli, lecz szybko rozsądek przeważył. To by była perfidna złośliwość z mojej strony. Zosia przecież w niczym nie zawiniła. O wczorajszym wieczorze nie ma co wspominać. To był tylko nieszczęśliwy dla mnie splot wypadków. Nie zrobiła tego celowo.

Ściągając sandały, definitywnie porzuciłam myśl o zemście. Ważniejsze stały się moje nogi, których objętość niepokojąco wzrosła. Spuchły mi stopy i łydki, a uda co jakiś czas przeszywał ostry ból. Przez to dzisiejsze całodniowe chodzenie nadwyrężyłam je porządnie. Po kolacji muszę jakoś temu zaradzić. No i pójść wcześniej spać, aby jutro być w dobrej formie. Teraz szybki prysznic i zejście na posiłek.

– Nic ciekawego tam na dole! Widziałam, że tylko Ewka kupowała kilka widokówek, a reszta popatrzyła i poszła – informowała mnie Zosia, przekrzykując szum wody z prysznica. – Już nie zdążę wykąpać się przed kolacją. Zrobię to zaraz po i pójdę spać. Jestem skonana!

– Słuchaj − podjęłam temat, wychodząc z łazienki − akurat dzisiaj chciałabym też zaraz po kolacji umyć głowę i jeszcze raz trochę dłużej stanąć pod prysznicem ze względu na nogi. Zobacz, jak mi napuchły!

Okiem znawcy oceniła stan moich nóg i orzekła:

– Rzeczywiście. Najlepiej by było je dobrze wymoczyć w misce z wodą i z mydłem. Zapytam się, czy siostry nie

mają jakiejś wolnej na stanie. Chociaż wątpię, bo już wczoraj słyszałam, że wszystkie krążą rozdane po pokojach.

– E tam, obejdzie się bez miski. Wymoczę je solidnie pod prysznicem i to, plus wcześniejsze położenie się do łóżka, powinno wystarczyć.

– Jak uważasz, łazienkę masz wolną po kolacji! Tylko najpierw się wymocz i umyj głowę, a dopiero później łaź na dach! Zgoda?

– Jasne!

Naczelnym tematem przy kolacji okazał się opłakany stan naszych nóg. Nie ja jedna cierpiałam z ich powodu. Podobnie czuły się Ewka i Gosia, nawet Zenek narzekał. Baliśmy się jutrzejszej marszruty. Wprawdzie według planu powinniśmy poruszać się autokarem, lecz i tak będzie dużo chodzenia. Dlatego przyjęliśmy z ulgą lakoniczne stwierdzenie brata, że ponieważ dzisiaj był ciężki dzień, na jutro zaplanował mniej uciążliwy program, uwzględniając dwugodzinny relaks na plaży Morza Śródziemnego.

Uporawszy się zgodnie z umową z zabiegami w łazience włącznie z natarciem nóg kremem, którego życzliwie użyczyła mi opiekuńcza Zosia, nie zapomniawszy także o nasmarowaniu nadal purpurowej twarzy, udałam się do mojej samotni. Przyrzekając sobie, że mój pobyt w niej skrócę do minimum.

Znowu nie dotrzymałam obietnicy. Jak tu się pospieszyć, kiedy na tle zapadającego zmroku widzi się migocące w oknach pozapalane świece? Rozpoczynał się szabas. Aura magicznego świętowania oblekła całą naszą

ulicę. W nastrojowej ciszy, jaka panowała wokół, dwóch przemykających chyłkiem między kamienicami młodzieńców w odświętnych kapotach zdawało się być intruzami, burzącymi ten widok. Uznałam, że z pewnością spieszą się na mającą rozpocząć się już niebawem szabasową kolację.

Będąc pod wrażeniem zastanego widoku, bezwiednie sięgnęłam po następnego papierosa, ale w porę się powstrzymałam. Dosyć na dzisiaj! Najwyższa pora iść spać! − pomyślałam.

Cichutko wsunęłam się do pokoju. Zosia spała, przewracała się akurat na drugi bok. Gdy myłam zęby, doszło do mnie, że i dzisiaj obejdzie się bez plotkowania. A swoją drogą to ona musi być też porządnie zmęczona, skoro już skończyła wieczorne smarowania i zdążyła na dobre zasnąć. Poszłam w jej ślady.

~ DZIEŃ VI ~

Sobota

Zaspałyśmy. Nie wiem, jak to się stało, ale obudziły nas dopiero kroki na korytarzu. Nasi współuczestnicy schodzili już na śniadanie. W pośpiechu zerwałyśmy się, narzuciłyśmy na siebie to, co jako pierwsze wpadło nam w ręce, i po niezbędnej, śladowej toalecie udałyśmy się na dół.

Trudno! W zaistniałej sytuacji będzie trzeba się sprężyć po śniadaniu, aby odpowiednio przysposobić się do całodniowej wędrówki. Oznacza to, że nie dane mi dziś poranne odwiedzenie dachu. Jak rozpocząć dzień bez papierosa? Zasępiłam się na samą myśl. Może jednak wygospodaruję chociaż pięć minut do czasu zbiórki? Stanę na głowie, by to zrealizować! Tego typu myśli absorbowały mnie do końca śniadania.

Brat zupełnie podciął mi skrzydła informacją, że mamy być gotowi już za dwadzieścia minut i że oprócz codziennych rzeczy musimy zabrać jeszcze dodatkowo wszystko, co niezbędne do kąpieli. Bo zgodnie

z wczorajszymi planami po południu mamy wypoczywać nad Morzem Śródziemnym.

– Niech to szlag trafi! − syknęłam Zosi do ucha. – Nie zdążę zapalić i się spakować, do tego jeszcze woda!

– Bierz klucz i biegnij! Jeśli wyrobisz się w piętnaście minut, to z manelami zdążysz iść na dach. O wodę się nie martw, ja się nią zajmę. Mam mniej pakowania. Już wczoraj umówiłam się z panią Elą, że nie będziemy plażować, tylko znajdziemy jakąś kawiarenkę i posiedzimy przy dobrej kawie.

Poczciwa Zosia. Przychodzi mi z pomocą, wyręcza mnie, a ja wredna wczoraj obmyślałam na niej zemstę. Wstydzić się powinnam moich niecnych zamiarów. Swoją drogą dlaczego, u licha, zrezygnowała z dzisiejszego plażowania? Pojęcia nie mam! − myślałam, kiedy z zapakowaną torbą plażową raczyłam się papierosem w palarni na górze.

Autobus wyjątkowo nie czekał na nas bezpośrednio przed domem, tylko musieliśmy dojść do głównej ulicy, aby móc do niego wsiąść. Okazało się, że nasza chasydzka uliczka w dni szabasowe jest zamykana dla wszelkiego rodzaju ruchu kołowego. Doszedłszy do wylotu ulicy, zobaczyliśmy zamocowany solidny metalowy łańcuch, przeciągnięty przez jej całą szerokość. Obyło się bez zbędnych komentarzy.

Gdy usadowiliśmy się na swoich miejscach i zwyczajowo odśpiewane zostały pierwsze dwie zwrotki pieśni „Kiedy ranne wstają zorze”, ojciec żartobliwie

stwierdził, że jutro koniecznie będzie trzeba zmienić pieśń na bardziej adekwatną do pory dnia.

– Jest ósma – ranne zorze już dawno wstały! A wy i tak macie miny, jakbyście jeszcze chcieli spać. Nic z tego! Udajemy się dzisiaj na zachód od Jerozolimy. Pierwszy nasz przystanek to okolice wioski Abu Gosz. Zwiedzimy w niej chrześcijańskie sanktuaria. Wobec powyższego mam nadzieję, że te panie, które znowu przywdziały zbyt skąpy przyodziewek, mają chociaż te białe chusty do zakrycia. Obiecałem plażowanie, lecz popołudniową porą, a nie od rana. Myślałem, że wyraziłem się jasno, jednak z przykrością stwierdzam, że nie do wszystkich to dotarło. − Na twarzy brata pojawił się grymas niesmaku.

Popatrzyłyśmy na siebie i wokół. Ja i Zosia nie miałyśmy sobie nic do zarzucenia. Obydwie: cienkie T-shirty z krótkim rękawkiem i spodnie – moje do kolan, jej nieco dłuższe. Z kolei siedząca z drugiej strony pani Ula w sukni z gołymi plecami wraz z kilkoma innymi paniami w wydekoltowanych bluzkach gorączkowo przewracały zawartość swoich toreb w poszukiwaniu chust. Całe w pąsach, poirytowane.

– Znowu im się dostało! − Zosia podsumowała kąśliwie. – A niby takie święte i najlepiej wszystko wiedzące! Jak twoje nogi? − dodała.

– Przestań, bo jeszcze usłyszą. Nie przypominaj o nogach póki co, przez ten dzisiejszy pośpiech w ogóle o nich zapomniałam. Popatrz, opuchlizna jakby zeszła?

– No widzisz, ten lioton naprawdę pomaga. Dobrze, że go zabrałam!

Potwierdziłam, przewrotnie zastanawiając się, czy wystąpić może jakieś doraźne schorzenie, na które Zosia nie byłaby przygotowana. Autentycznie w to wątpiłam.

– Wracając do Abu Gosz. − Brat podjął przerwany wątek. – Odwiedzimy opactwo benedyktyńskie ze zrekonstruowanym w nim romańskim sanktuarium i kościół Najświętszej Marii Panny Arki Przymierza. Jeśli chodzi o kościół, powstał on w latach dwudziestych XX wieku, na gruzach bizantyjskiej świątyni, zniszczonej podczas perskiego najazdu w 614 roku. Zarówno ten współczesny, jak i bizantyjski kościół postawiono na pamiątkę ważkiego wydarzenia opisanego w Biblii. Mianowicie to miejsce według starotestamentowych przekazów było punktem granicznym oddzielającym terytoria plemienne Judy od terytoriów zajmowanych przez pokolenia Beniamina. W istniejącej w tym punkcie osadzie przez dwadzieścia lat przechowywano Arkę Przymierza, zanim Dawid przeniósł ją do Jerozolimy. Stąd wzięła się nazwa tego kościoła. Na początek zaczniemy jednak od opactwa benedyktynów. Dosyć ciekawa i zawiła jest historia tego miejsca. Cofnąć należy się do I wieku n.e. Stacjonujący w tej okolicy legion rzymski zbudował fort strzegący drogi prowadzącej od wybrzeża Morza Śródziemnego do Jerozolimy. Na użytek tego fortu, wykorzystując górzyste ukształtowanie terenu, wydrążono w skałach rezerwuar wodny, którego woda tryskała bezpośrednio ze skał. Od czasów dynastii

Abbasydów utworzono wokół niego karawanseraj, to jest miejsce postoju karawan zmierzających starą rzymską drogą. Przybyli tutaj w XII wieku nadgorliwi krzyżowcy, posługujący się łacińskim, nieprecyzyjnym przekładem Biblii uznali, że musi to być święte Emaus – miejsce ukazania się dwóm uczniom przy źródle zmartwychwstałego Jezusa. Zgodnie z Ewangelią świętego Łukasza, który bardzo szczegółowo opisał to wydarzenie, lokalizując je w odległości sześćdziesięciu stadiów od Jerozolimy, czyli jedenastu i pół kilometra. Źródło było, odległość też mniej więcej pasowała, więc krzyżowcy ogłosili światu odnalezienie biblijnego Emaus, stawiając w 1142 roku na pamiątkę tego wydarzenia kościół. Po upadku Królestwa Jerozolimskiego to miejsce kultu przeżywa regres, zresztą już wcześniej krzyżowcy właściwie je opuścili. Przyczynił się do tego fakt, że w latach następnych szlak handlowy między wybrzeżem a Jerozolimą wytyczono drogą położoną bardziej na północ. Pielgrzymom nie było po drodze zapuszczanie się w te okolice. Należało odnaleźć i bardziej precyzyjnie zlokalizować nowe Emaus. Szczegóły dopowiem wam później. Teraz wypada wspomnieć, że współczesna nazwa tej miejscowości, Abu Gosz, pochodzi od arabskiego kupca, który w XIX wieku, pobierając opłaty od karawan przy istniejącym jeszcze wówczas karawanseraju, dorobił się znacznej fortuny. Znacznie później zamieszkująca w tej miejscowości ludność pochodzenia arabskiego wyróżniła się utrzymywaniem dobrosąsiedzkich stosunków z żydowskimi

osadnikami i zasłynęła swoją postawą neutralności wobec konfliktu arabsko-izraelskiego w 1948 roku. Od 1992 roku Abu Gosz funkcjonuje na zasadach samorządu lokalnego. Rozwinę ten temat podczas jazdy do Latrun, bo widzę, że za chwilę zjedziemy z autostrady. Po drodze do Abu Gosz mijać będziemy teren Parku Narodowego Ein Hemed. Korzystając z naszego zbiorowego biletu, możemy się tam na krótko zatrzymać. Pokażę wam zachowane fragmenty średniowiecznej wiejskiej posiadłości.

Przez to zamieszanie z powodu ubioru i wyjaśnień brata odnośnie do sanktuarium, które mamy dzisiaj obejrzeć, nie przypatrywałam się mijanym widokom. Dopiero po wyjściu z autobusu zobaczyłam, że znaleźliśmy się w pagórkowatej krainie, tworzącej nad wyraz malowniczy krajobraz. Zalesione szczyty pagórków, poprzecinane strugami wodnymi, mieniły się w słońcu pełną gamą odcieni brązu i zieleni, kontrastując wyraziście z okalającymi je plantacjami oraz pastwiskami. Porzucone w takiej scenerii ruiny, obok wijącego się strumienia, były jakby żywcem wyjęte z ram obrazów romantycznych malarzy. Na miejscu dowiedziałam się, że owszem, są to ruiny wiejskiej posiadłości krzyżowców, która została zbudowana na terenie dawnego rzymskiego obozowiska X legionu, nazywanego Aqua Bella, co tłumaczy się jako „Piękna Woda”. Widocznie już w czasach starożytnych doceniano piękno tego miejsca.

Wewnątrz grubych warownych murów fortecy krzyżowców zachowała się sala z beczkowym sklepieniem

i dużym kamiennym koliskiem, będącym podstawą tłoczni oliwy. Ten artefakt dowodził, że w tej sali mieściła się wytwórnia oliwy. W górnej kondygnacji zachowały się pozostałości holu z krzyżowym sklepieniem.

– Przypuszcza się, że urządzony tu był przytułek dla chorych, a pielęgnujący ich mnisi mieszkali w dolnych pomieszczeniach. Natomiast po wschodniej stronie, sądząc po odkrytych resztkach apsydy, musiała istnieć kaplica. Funkcje pozostałych zachowanych pomieszczeń nie zostały na sto procent określone. Jak każda tego typu budowla historyczna, i ta warownia ma swoją ciekawostkę.

Przy wyjściu brat pokazał nam fragment ściany zbudowanej z kamieni, na których wyryte zostały różne znaki. Najprawdopodobniej robotnicy pracujący w kamieniołomach za pomocą odpowiednich nacięć na kamieniach oznakowywali swój urobek. Jego wielkość decydowała o wysokości ich wynagrodzenia. Na koniec pobytu w tym urokliwym miejscu braciszek Tuck powiódł nas jeszcze do południowej ściany warowni, skąd popatrzeć mogliśmy z pewnej odległości na wysokie dęby palestyńskie, rosnące na starym muzułmańskim cmentarzu, uważane za najwyższe okazy rosnące na Wyżynie Judejskiej.

– No nie! Mieliśmy tu wpaść tylko na chwilkę, a zmarudziliśmy ponad godzinę. Jedziemy już teraz prosto do Abu Gosz! Jeśli się tam w miarę sprawnie uwiniemy, to może w drodze do Latrun dłużej będziemy mogli przypatrzeć się Sza’ar ha-Gaj. Ruszajmy!

Wzruszyłam ramionami. Nazwa Sza’ar ha-Gaj nic mi nie mówiła. Chętnie pobyłabym w tej urokliwej krainie dłużej, lecz jak zwykle pielgrzymka rządziła się swoimi prawami.

Brat bez zbędnego zatrzymywania się poprowadził nas od razu do zrekonstruowanego kościoła krzyżowców – Emaus − należącego do opactwa benedyktynów. Unikatowe freski, zdobiące kolumny podtrzymujące sklepienie kościoła, oraz fragmenty malowideł widoczne na jego bocznych ścianach przykuły naszą uwagę.

– Wiele wysiłków ze strony konserwatorów wymagało przywrócenie tych oryginalnych, romańskich zabytków do dzisiejszego stanu. Nie dość, że zostały obrzucone kamieniami i kompletnie przez muzułmanów zdewastowane w imię zasady, że nie można przedstawiać postaci ludzkich, gdyż jest to czcze bałwochwalstwo, to jeszcze wilgoć osadzająca się na nich poczyniła wielkie spustoszenie. W krypcie na dole znajduje się źródło, z którego woda przepływała w sąsiedztwie tych fresków grubymi kanałami do wspomnianego już prze ze mnie arabskiego karawanseraju, stąd ta wilgoć. Odnośnie do konserwacji tychże zabytków, wypada wspomnieć, że w ich częściowym odtworzeniu pomogły rysunki sporządzone przez francuskich badaczy jeszcze w 1873 roku. Na ich podstawie odtworzono między innymi twarz Abla i Jakuba. Jeśli nie macie pytań, to schodzimy do krypty!

Zaciekawieni tym niezwykłym miejscem na komendę brata bez sprzeciwu udaliśmy się za nim. Źródło, czyli rzymski rezerwuar, wokół którego toczy się historia tego

miejsca, tryska między filarami podtrzymującymi podłogę kościoła. W podłodze krypty widać odsłonięty jego zaledwie niewielki fragment. Lecz to nie ma w sumie najmniejszego znaczenia, kiedy człowiek uświadomi sobie, że ma przed sobą doskonałe dzieło ludzkie sprzed dwudziestu wieków, które nadal nie zatraciło swojej pierwotnej funkcji. Przynajmniej ja tak je odebrałam.

Z całkiem innymi odczuciami wyszłam po obejrzeniu kościoła Najświętszej Marii Panny Arki Przymierza na wzgórzu. Wprawdzie górująca nad nim, w tylnej części sanktuarium, ogromnych rozmiarów statua Najświętszej Marii Panny z Dzieciątkiem wykonana z jasnego kamienia robi wrażenie, lecz samo wnętrze kościoła mnie akurat nie zachwyciło. Utrzymane w białej tonacji ściany, które − tak przynajmniej sądzę − podkreślać miały bajecznie kolorowe sklepienie nawy głównej i częściowo naw bocznych, jak na mój gust stwarzały dość zimny klimat. Trudno w kościele cały czas zadzierać głowę, aby podziwiać poukładane w misterne wzory chrześcijańskie symbole. Wolałam wycofać się na zewnątrz. W pięknie utrzymanym ogródku klapnęłam na kamienny murek, mając za sobą roztaczający się ze wzgórza widok na okolicę. Znowu upał dawał się we znaki. Wymarzona pogoda na plażowanie – pomyślałam. Oby tylko nic nie pokrzyżowało popołudniowych planów! Inni po wyjściu z kościoła wyrazili podobną opinię. Najchętniej pojechalibyśmy od razu nad morze. Tylko Zosia niezrozumiale dla mnie kręciła nosem.

– Co z tobą? − natarłam na nią zaraz po ponownym ulokowaniu się w autobusie. – Cały czas narzekasz na upał, a dzisiaj, kiedy będzie można się kąpać i plażować, to z tego nie chcesz skorzystać?

– E tam. Też mi plażowanie. Tylko dwie godziny. Nie opłaca się nawet przebierać w strój kąpielowy. Sama widziałaś, jak było nad Morzem Martwym. Jeśli byłby nam dany cały dzień, to i owszem, bardzo chętnie. A tak propozycja pani Eli, aby w tym czasie znaleźć knajpkę i poplotkować przy dobrej kawie, wydała mi się bardziej kusząca.

Zaskoczona tą jej argumentacją, która wydała mi się kompletnie irracjonalna, ucięłam dalszą wymianę zdań stwierdzeniem:

– Jak uważasz! Ja akurat nie przepuszczę okazji popluskania się w Morzu Śródziemnym, nawet gdyby miało to trwać krótko.

Nie mieściło mi się w głowie, że można przedkładać pobyt w kawiarni nad kąpiel w ciepłym i nie bardzo słonym morzu. Może ze mną coś nie tak? Zbyt ostre słońce albo jeszcze coś innego? Albo po prostu dziwactwo Zosi.

– Moi drodzy, następny nasz przystanek to Latrun. Ucieszy was zapewne wiadomość, że urzędujący w nim mnisi znani są z produkcji doskonałych win. Trapiści sprowadzili w XIX wieku szczepy winorośli z Francji i założyli na stoku wzgórza winnicę, która w tutejszym klimacie bardzo dobrze zaowocowała. Od tego czasu parają się tym zajęciem. Produkują wina według starej, tradycyjnej

receptury. Wyspecjalizowali się przede wszystkim w produkcji win wytrawnych. Będziecie mieli możliwość ich zakupu, ponieważ zakonnicy prowadzą swój sklep na terenie opactwa. Przed kupnem można każdego spróbować, degustując je z maleńkich kubeczków. Mam nadzieję, że nie będziecie zbyt gorliwi w tym zajęciu i w jakim takim stanie wyruszymy w dalszą trasę. Widzę, że od razu poweseleliście. Zanim jednak tam dotrzemy, przejeżdżać będziemy obok Sza’ar ha-Gaj. Autobus wówczas zwolni, abyście mogli zobaczyć porozrzucane wzdłuż drogi wraki samochodów i uszkodzone części sprzętu wojskowego, które celowo pozostawiono na pamiątkę ostrych starć, jakie tam miały miejsce w 1948 roku, w trakcie trwania konfliktu izraelsko-arabskiego. W Sza’ar ha-Gaj, na wąskim odcinku jedynej istniejącej wówczas drogi, prowadzącej z wybrzeża Morza Śródziemnego do oblężonej Zachodniej Jerozolimy, wojska arabskie urządzały ustawiczne zasadzki na żydowskie konwoje. Chociaż konwoje przemierzały ten odcinek nocą, na zgaszonych światłach, to i tak przeważnie dostawały się pod silny obstrzał nieprzyjacielski. Przepadały całe transporty żywności, paliwa, sprzętu, ginęli ludzie. Sytuacja Żydów w Zachodniej Jerozolimie, pozbawionych regularnych dostaw żywności, lekarstw, z dnia na dzień pogarszała się. Hagana − żydowska tajna organizacja wojskowa − zmuszona była wytyczyć nową trasę dla konwojów, tak aby omijać rozlokowane w rejonie Latrun silnie ufortyfikowane pozycje arabskie. Stała się nią słynna − nazwana tak na cześć drogi łączącej Birmę

z Chinami w czasie drugiej wojny chińsko-japońskiej − Droga Birmańska. W tajemnicy przystąpiono do jej budowy, pacyfikując przy okazji parę wiosek arabskich, znajdujących się na wytyczonej trasie. W morderczym tempie, pracując nocami, zdołano przedrzeć się przez góry, szeroką pętlą omijając fortyfikacje Latrun, i dotrzeć do Zachodniej Jerozolimy. Haganie bardzo długo udawało się utrzymać ją w tajemnicy. Nie wykryły jej wojska arabskie. Nawet po zawieszeniu broni stacjonujący tutaj żołnierze ONZ byli przeświadczeni, że Droga Birmańska dochodzi jedynie do Sza'ar ha-Gaj i wszystkie transporty są skrupulatnie kontrolowane przez rozmieszczone w tej okolicy posterunki UNTSO, Organizacji Narodów Zjednoczonych do spraw Nadzorowania Rozejmu. Tymczasem w rzeczywistości ta droga omijała kontrolne punkty Sza'ar ha-Gaj, dzięki czemu można było przemycać nielegalne transporty broni do Zachodniej Jerozolimy. A to z kolei miało ogromne znaczenie dla dalszego utrzymywania się żydowskiej ludności w tej części miasta… Ale to już są szczegóły dla miłośników historii. Nie ma sensu się dalej nad nimi rozwodzić! Właśnie dojeżdżamy! Przypatrzcie się!

Akurat po naszej prawej stronie pobocze drogi było mniej usiane wrakami wojskowego sprzętu. Lewa strona pielgrzymki mogła zobaczyć więcej. W istocie to nie miało znaczenia, bo popatrując raz w jedną, raz w drugą stronę pobojowiska, bez specjalnego wysiłku wyobraźni w głowie tworzył się obraz stoczonych tutaj zaciętych walk.

Przypomniały mi się urywki starego amerykańskiego filmu *Exodus* z Paulem Newmanem w roli głównej. Film opowiada o napływie nielegalnych, żydowskich osadników do Palestyny, łamaniu angielskich blokad, walce z Anglikami i formowaniu się państwa izraelskiego oraz pierwszym konflikcie żydowsko-arabskim w 1948 roku. Mogę się mylić, głowy nie dam, lecz wydaje mi się, że w jednym z jego wątków pokazana została historia budowy tej wspomnianej przez ojca Drogi Birmańskiej. Stąd też, przynajmniej z grubsza, wiedziałam, o czym brat mówi. Z kolei sama nazwa Sza'ar ha-Gaj do tej pory nic mi nie mówiła. Warto ją sobie odtąd przyswoić. Zaabsorbowana tym umysłowym wysiłkiem ani się spostrzegłam, kiedy w Latrun zajechaliśmy na parking i padła komenda, by wysiadać.

W kościele opactwa trapistów właśnie odbywały się uroczystości religijne, dlatego zrezygnowaliśmy z obejrzenia jego wnętrza, nie chcąc zakłócać przebiegu modlitw ponad trzydziestoosobowej grupy poprzez wtargnięcie do kościoła. Poprzestaliśmy na zewnętrznym obejrzeniu potężnego gmachu kościoła i zrobieniu zbiorowej fotki na jego wysokich schodach, które idealnie się do tego celu nadawały, no i przeprowadzeniu bezzwłocznego szturmu na zakonny sklep z winami. Odkryliśmy go zaraz przy bramie wejściowej do sanktuarium. Trudno było go nie zauważyć, gdyż oblegany był już przez inne grupy pielgrzymkowe.

Przeciskając się między kupującymi, zdołałam z Zosią dokładnie obejrzeć porozkładane na stołach wśród dekoracyjnie udrapowanej tkaniny butelki z kilkunastoma rodzajami win. Oczywiście obydwie nie miałyśmy bladego pojęcia co do ich rodzaju i jak zawsze przy wyborze skoncentrowałyśmy się przede wszystkim na cenie. Ostatecznie wybrałyśmy po dwie butelki czerwonego i białego z tak zwanej dolnej półki. Mając wątpliwości co do ich smaku, zaproponowałam:

– Słuchaj, a może najpierw ustawimy się w kolejce do degustacji i spróbujemy troszeczkę, by wiedzieć, czy w ogóle da się je wypić? Może to jakieś wytrawne paskudztwo?

– Nie zawracaj sobie głowy. Nie warto sterczeć w tasiemcowej kolejce po mały naparstek i to bez gwarancji, że na pewno naleją ci to, które chcesz kupić! Zazwyczaj te tańsze są jednorocznymi, słabymi sikaczami. Bez otrząsania się można je pić. To masz jak w banku. Lepiej pomyśl o przygotowaniu forsy! U mnie w portmonetce zostało zaledwie kilka dolarów. Muszę sięgnąć głębiej do plecaka, a nie chcę się z tym afiszować. Będziesz musiała mnie zasłonić… Ty też pewnie niewiele masz na wierzchu?

– Coś tam mam, ale może nie wystarczyć. Wszystko przez to zaspanie i późniejszy pośpiech. Stańmy lepiej w kącie i wygrzebmy pieniądze.

Te nasze konspiracyjne zabiegi zwróciły uwagę braciszka Tucka. Zbliżył się i zobaczywszy, czym jesteśmy

zajęte, fuknął:

– Od pierwszego dnia upominałem, aby większą gotówkę i paszporty zostawiać w pokoju! Mija już szósty dzień, a panie wloką się ze wszystkim! Do tego jeszcze teraz w takim tłoku wyjmują plik banknotów. Wymarzona okazja dla złodziei! Boże, Ty widzisz i nie grzmisz! Tylko na plaży dawać mi od razu pod pachę te swoje torby, abym miał na nie należyte baczenie.

– Spokojnie, bracie. Poradziłyśmy sobie. Dzięki, że brat przy nas stanął i swoją posturą szczelnie od ciekawskich odgrodził − wypaliłam bez zastanowienia.

Zbity z pantałyku braciszek, oddalając się, z nutą bezsilności w głosie wymamrotał:

– No nie. Z panią to nie tak łatwo dojść do ładu. Oj, ciężko, ciężko…

– Chyba się nie obraził? Chlapnęłam tym ozorem może za ostro?

– Bez przesady. Sam doskonale wie, że jest gruby. Nie słyszałaś, jak stroił sobie z tego żarty?

– Diabli wiedzą. Co innego, jak ktoś się sam z siebie śmieje, a inaczej się odbiera, jeśli jest się obiektem cudzych żartów.

– Nie sądzę, aby był taki obrażalski. A swoją drogą on miał rację z tą forsą. Najlepiej byłoby już wieczorem się pakować i szykować pieniądze na następny dzień.

– Tak by było najbezpieczniej. Odtąd należy się tego trzymać!

Brzdęk butelek w foliowych siatkach towarzyszył nam w drodze powrotnej do autobusu. I znowu okazało się, że nasze zakupy są bardzo skromne w porównaniu ze sprawunkami reszty grupy. Niektórzy targali i po pięć flaszek w jednej siatce. Ojciec pokiwał z dezaprobatą głową, rzucając retoryczne pytanie:

– Zostawiliście jeszcze coś dla innych czy cały sklep ogołociliście dokumentnie? Jestem ciekaw: czy w Kanie Galilejskiej też tak się zaopatrzycie?

– Do Kany Galilejskiej te dzisiejsze zapasy się wyczerpią! − odpowiedziało z przekonaniem kilka głosów.

– Ja do tego ręki nie przykładam! Wasza sprawa. Liczę tylko, że nie zaczniecie od razu w autobusie konsumpcji − skomentował, po czym już łagodniej powiedział: – Moi drodzy, zmierzamy teraz w kierunku zachodnim, w stronę Jafy. Po drodze zatrzymamy się w Emaus Nikopolis, tam odprawię mszę. Za chwilę wam przybliżę to miejsce, a teraz spójrzcie przez okna, bo z drogi widać północne zbocze Latrun z wybudowanym na nim fortem Tegart. W tym strategicznym miejscu wznieśli go Anglicy w 1941 roku. Strzegł on skrzyżowania drogi wiodącej z wybrzeża do Jerozolimy z drogą ze Strefy Gazy do Ramallah. Początkowo znajdowały się w nim posterunek policji i tymczasowy areszt. Podczas konfliktu arabsko-żydowskiego wojska arabskie przejęły kontrolę nad tą okolicą i stąd następował obstrzał żydowskich konwojów. To tytułem uzupełnienia informacji odnośnie do Sza’ar ha-Gaj. Obecnie budynki fortu są filią izraelskiego muzeum wojsk pancernych.

Fajnie, ale braciszek Tuck bombardował nas tymi informacjami akurat w momencie, gdy większość była pochłonięta ostrożnym wkładaniem siatek z winem do koszyków za fotelami. Nie dało się tego robić przy jednoczesnym spoglądaniu w okno, dlatego tylko nieliczni zobaczyli wzmiankowany obiekt − ja niestety nie zaliczyłam się do tego grona. Uwolniwszy się nareszcie od przeszkadzających w swobodnym siedzeniu butelek wina, mogłam z uwagą przysłuchiwać się dalszym słowom ojca.

– Zdziwiliście się zapewne, słysząc, że znowu jedziemy do Emaus. Przecież już w Abu Gosz byliśmy w benedyktyńskim sanktuarium noszącym taką samą nazwę. Otóż, moi drodzy, na Ziemi Świętej aż trzy miejsca roszczą sobie prawa do uznania ich za biblijne Emaus. To w Abu Gosz, to, do którego teraz zmierzamy, czyli Emaus Nikopolis, oraz tak zwane Emaus al-Qubeibeh z franciszkańskim kościołem z 1902 roku. Ono pojawia się najpóźniej w przekazach, gdyż dopiero od końca XIII wieku. Zahaczymy o nie w drodze powrotnej. Całe to nieporozumienie odnośnie do faktycznego usytuowania tego miejsca wzięło się po prostu z różnych tłumaczeń dotyczących odległości od Jerozolimy. Ewangelista Łukasz opisał Emaus jako wieś oddaloną od miasta o sześćdziesiąt stadiów i na tej podstawie oparli się krzyżowcy w Abu Gosz, natomiast większość starochrześcijańskich pisarzy podaje odległość stu sześćdziesięciu stadiów, czyli około trzydziestu kilometrów od Jerozolimy. Odpowiada to usytuowaniu Emaus Nikopolis, do którego zmierzamy.

Starożytne źródła żydowskie, w tym i pisma Flawiusza, zdają się potwierdzać tę lokalizację. Wzmiankują one o istnieniu tylko jednej osady o takiej nazwie i sytuują ją w zachodniej części doliny Ajalon, na żyznej równinie Szefela. Przypuszcza się, że na przestrzeni wieków kolejni kopiści Biblii w celu ułatwienia jej zrozumienia przeinaczali jej tekst. Można zatem sądzić, że i co do odległości byli nieprecyzyjni. Za twierdzeniem, że Emaus Nikopolis jest tym właściwym biblijnym Emaus, zdaje się przemawiać także fakt, że już w starożytności to miejsce znane było jako oaza zasobna w wodę dobrej jakości. Nazwa Emaus wywodzi się prawdopodobnie od słowa hebrajskiego oznaczającego gorące źródła. Dodane w III wieku z języka greckiego Nikopolis oznacza Miasto Zwycięstwa.

Chrześcijański kult tego miejsca rozwinął się jeszcze w czasach rzymskich − tak przynajmniej sądzą archeolodzy. W okresie Cesarstwa Bizantyjskiego wybudowano bazylikę, która podobno miała stać na miejscu domu świętego Kleofasa – jednego z uczniów Jezusa. Samarytanie zniszczyli ją w VI wieku. Krzyżowcy i tutaj postawili w XII wieku świątynię, która po opuszczeniu przez nich Palestyny została zburzona. W XIX wieku ten teren wykupił karmelitański klasztor z Betlejem, a u schyłku XX wieku opiekę nad nim roztoczyła powstała we Francji Wspólnota Błogosławieństw. Po dotarciu na miejsce będziecie mogli trochę pospacerować wśród ocalałych pozostałości bazyliki, a ja w tym czasie z panem Zenkiem przysposobię się do

mszy świętej. Wśród ruin kościoła krzyżowców, na powietrzu, urządzono nadające się do tego celu miejsce.

Znowu po tej obszernej wypowiedzi brata w mojej głowie zaczęły rodzić się wątpliwości. Jak mantra powróciło kolejny raz pytanie, gdzie faktycznie leży prawda − w tym wypadku: które Emaus jest tym autentycznym? Wprawdzie przemówiły do mnie argumenty brata odnoszące się do Emaus Nikopolis, ale w takim razie czym kierowano się, stwarzając trzecie, to franciszkańskie, Emaus? Musiały chyba w grę wchodzić jakieś względy polityczne lub roszady w łonie kościoła. Brat pewnie ma na ten temat swoje zdanie, lecz wątpię, aby zechciał się nim podzielić. Jest zobligowany do trzymania się franciszkańskiej linii. Ciekawe: jakich argumentów użyje, aby przekonać nas do sensu istnienia tego Emaus al-Qubeibeh?

Nie spieszyłam się z wyjściem z autobusu, bo skoro mamy mieć czas na spacer, to warto to wykorzystać i przed metalową bramą, prowadzącą do kompleksu wykopalisk, jeszcze zapalić. Zostałam w towarzystwie naszego palestyńskiego kierowcy, który też sięgnął po papierosy. Bariera językowa okazała się niestety nie do pokonania i dlatego cała nasza konwersacja ograniczyła się do mowy niewerbalnej, polegającej głównie na wymianie wzajemnych uśmiechów, choć lepsze to niż palenie w samotności. Przyjaznym machnięciem ręki wyraziłam na koniec swoją wdzięczność za dotrzymanie mi towarzystwa i niespiesznym krokiem podążyłam na poszukiwanie grupy.

Między odsłoniętymi stanowiskami archeologicznymi wytyczona została ścieżka, zataczająca pętlę. Umieszczone na niej strzałki informowały o kierunku zwiedzania. Skierowałam się w przeciwną stronę, tak samo jak prowadzący grupę brat. Minąwszy po drodze kilka fragmentów murów zaopatrzonych w tabliczki wskazujące, że są one pozostałością fundamentów bizantyjskiej bazyliki, dotarłam do dużego rumowiska. Sterczące w nim kikuty grubych ścian z licznymi otworami tworzyły labirynt. Nie trzeba było być znawcą, aby domyślić się, że stanęłam przed ruinami romańskiej świątyni. Wewnątrz zastałam wydzieloną przestrzeń z kamiennym postumentem, służącym jako ołtarz. Tutaj miała się odbyć nasza msza. Część starszego grona, niezainteresowana spacerem wśród ruin, porozsiadała się na plastykowych krzesełkach w oczekiwaniu na nabożeństwo. Ja postanowiłam spenetrować jeszcze teren. Za labiryntem dołączyłam do Waldków. Razem obeszliśmy jeszcze raz całą pętlę, złorzecząc na bardzo skąpe informacje umieszczone przy poszczególnych stanowiskach. Bizantyjskie pozostałości baptysterium potrafiliśmy sami zidentyfikować, ale ciąg stert kamieni stanowił dla nas zagadkę. Przydałby się przewodnik! Nawet szkic architektoniczny bizantyjskiej bazyliki wraz z zaznaczonymi na nim konturami świątyni krzyżowców, wybudowanej na gruzach tej pierwszej, niewiele mógł nam pomóc. Zniechęceni weszliśmy do znajdującego się i tutaj sklepu pamiątkarskiego. Ja uczyniłam to bardziej dla zabicia czasu – czerwonej torebki

nie zauważyłam – lecz u Tereski pojawiła się w oczach niebezpieczna żądza kupowania. Nie wiadomo, czym by się to skończyło, gdyby nie interwencja jej męża. Waldek, zobaczył przez szybę, na co się zanosi, wtargnął z impetem do sklepu i oznajmiając, że za chwilę trzeba wracać na mszę, zdołał wyperswadować jej te zapędy.

Spóźniliśmy się. Msza już trwała. Nie pozostało nic innego jak tylko chyłkiem prześlizgnąć się przez jedną z dalszych szczelin, tak aby od razu usiąść w ostatnim rzędzie bez zwracania czyjejkolwiek uwagi. Udało nam się, chociaż siedząca przed nami Zosia już w trakcie czytania intencji nie wytrzymała i odwróciwszy głowę w moją stronę, zaszczebiotała według mnie stanowczo za głośno:

– Gdzieś polazła? Denerwowałam się, czy przypadkiem nie pobłądziłaś.

– Cicho bądź! Wszyscy usłyszą! Byłam z Waldkami! A ciebie gdzie poniosło? Nigdzie po drodze się nie spotkałyśmy, ciebie też tutaj na początku nie było!

– Nie chciało nam się oglądać tych starych skoli. Siedziałyśmy w sklepie pamiątkarskim, ale w porę wyszłyśmy i się nie spóźniłyśmy jak ty.

– Jakie skole? Co ty mówisz?

– Ach tak, ty z Wielkopolski, to nie wiesz, że u nas w górach tak mówi się na kamienie i skały.

W ostatniej chwili powstrzymałam się od głośnego parsknięcia śmiechem. Siedzący obok Waldek też z całej siły zakrył usta, aby stłumić śmiech. Oczywiście nici z zachowania powagi do końca mszy. Skuliliśmy się

w swoich krzesełkach, tak by nikt nie zauważył naszej wesołości. Chciałam szybko nakierować myśli na jakiś poważniejszy temat, ale bezskutecznie. Rozbawienie nie chciało mnie opuścić i jeszcze dodatkowo się wzmogło, kiedy uświadomiłam sobie, że musiałam przyjechać aż do Izraela, żeby dowiedzieć się, jak górale nazywają kamienie. Przy najbliższej okazji muszę koniecznie napomknąć Zosi o naszych poznańskich kamlotach, jak my je nazywamy. Zrewanżuję się za te jej skole. Jej reakcja powinna być identyczna jak moja.

Mój dobry nastrój podtrzymał braciszek Tuck, oznajmiając w autobusie, że teraz bez dodatkowych przystanków pojedziemy autostradą do Jafy, obecnie wchodzącej administracyjnie w skład metropolii Tel Awiwu-Jafy. Jest to stara dzielnica portowa licząca ponad cztery tysiące lat. Opisana w Biblii jako miejsce, z którego wypłynął w morze prorok Jonasz. Tu znajdował się także dom Szymona Grabarza i miało miejsce wskrzeszenie dziewczyny – Tabity − przez świętego Piotra, spisane w Dziejach Apostolskich. W Jafie w pierwszej kolejności zjemy obiad, spacerkiem po starych uliczkach dojdziemy do kościoła Świętego Piotra na wzgórzu, a stamtąd już autokar bezpośrednio zawiezie nas nad obiecane morze.

– Wszystkie żydowskie restauracje są dzisiaj nieczynne z powodu szabatu, ale kuchnia arabska jest równie dobra. Mamy w Jafie zamówiony obiad w małej arabskiej restauracyjce. Mam nadzieję, że staną na wysokości zadania i będziecie zadowoleni. Szkoda, że już przed

południem bawiliśmy w Abu Gosz i nie dało się tam zorganizować obiadu. Tamtejsze restauracje znane są w całym Izraelu z przyrządzania doskonałego humusu. Część z was pewnie zna ten bliskowschodni specjał, robiony z ciecierzycy i pasty sezamowej z dodatkiem ziół i przypraw, który upowszechnił się już i w Polsce. A zatem teraz na obiad!

Niestety akurat tego dnia arabska restauracja nie spełniła naszych oczekiwań. Palestyńscy kelnerzy guzdrali się niemiłosiernie. Według mnie brak im było takiego wyuczonego drygu, zacięcia. Ich stosunek do klientów przypominał obsługę w naszych restauracjach w czasach komuny. Odniosłam wrażenie, że podobnie jak wówczas u nas, klienta traktują jak zło konieczne. Zosia i pani Ela okrutnie zrzędziły na opieszałość obsługi, co stawało się irytujące i odbierało chęć do jedzenia. Mój humor dodatkowo się pogorszył w momencie skubnięcia odrobiny buraczków mocno przyprawionych mieszanką curry z dużą ilością kminu rzymskiego, którego nie znoszę. Nie mogłam się doczekać, kiedy obok surówek na naszych stołach znajdzie się coś bardziej konkretnego do jedzenia. Talerzyki z humusem podano nawet w znośnym czasie, ale na pitę do niego − okrągły, cienki chleb pszenny – czekało się i czekało. Po interwencji brata krępy kelner wypełzł z zaplecza z koszem pełnym chleba i zaczął go nam tłustymi paluchami, nie używając serwetki, rzucać bezpośrednio na talerze. Zbulwersowana tym widokiem pani Ela gwałtownie wstała, oświadczając, że brzydzi ją taka niehigieniczna

obsługa. Woli już kupić sobie suchą bułkę aniżeli cokolwiek jeść w tym lokalu. W jej ślady poszła od razu kapryśna Zosia. Zostałam sama przy stoliku. Aż taka przewrażliwiona na punkcie higieny to ja nie jestem. Trzeba przecież mieć na względzie różnice kulturowe. Niemniej po tym zajściu jedzenie w gardle stawało mi kołkiem i nie mogłam od siebie odpędzić widoku nieapetycznych łap kelnera. Chociaż humus był naprawdę dobry − odtąd, kiedy tylko była okazja, zawsze po niego sięgałam w pierwszej kolejności. Ostatecznie jako pierwsza zakończyłam posiłek.

Przez wąskie, kręte uliczki Starej Jafy, oznaczone znakami zodiaku, udaliśmy się na wzgórze portowe, z górującym przy nim kościołem Świętego Piotra, mijając po drodze znany dwunastowieczny meczet Mahamoudia wraz z należącą do niego dziwną, zupełnie niearabską wieżą zegarową.

Na dłużej przystanęliśmy przed unikatową fontanną, wybudowaną specjalnie dla pielgrzymów. Jej wyjątkowość polega na tym, że woda wylewa się z kamiennych figurek symbolizujących znaki zodiaku. Widocznie ta dzielnica upodobała sobie ten motyw zdobniczy. Moja spostrzegawczość została wystawiona na wielką próbę, ponieważ nieszczęsna waga, jako jedyny znak nieożywiony, upchnięta została między krzyżujące się ze sobą strumienie wody, wypływające z figurek panny i skorpiona. Dlatego trudno było się jej doszukać. Na placyku obok fontanny porozkładały się arabskie kramiki z biżuterią oraz pamiątkami wykonanymi z muszli. Szklane paciorki i inne

świecidełka nie zachwyciły nikogo. Wyjątkowo nasze panie okazały się bardzo wstrzemięźliwe w zakupach.

– Co do tych znaków zodiaku − zaczął ojciec Jonasz − to zobaczyć można je też na tutejszym moście. Są one jego atrakcją turystyczną. Legenda mówi, że jeśli się tam dobrze obejmie dwoma rękami swój znak i spojrzy w stronę Tel Awiwu-Jafy, to spełni się każde wypowiedziane życzenie. My jednak nie będziemy tego próbować, bo most w soboty jest zamknięty. A poza tym szkoda czasu, aby tam specjalnie łazić. Najwyższa pora, abyśmy stanęli w kościele Świętego Piotra, skoro chcecie plażować.

Argument nie do podważenia. Chociaż mając do wyboru te dwie opcje, wybrałabym most. Ale to pielgrzymka.

Potężny kościół z czerwonej cegły, ozdobiony białymi, kamiennymi przyporami i wysoką dzwonnicą, zbudowany został w XIX wieku na miejscu średniowiecznej cytadeli. Kiedy do niego doszliśmy, okazało się, że trzeba trochę poczekać, bo jeszcze trwa sjesta. Niezrażony tym faktem nasz braciszek zaproponował nam wejście po schodach na znajdujący się w bliskim sąsiedztwie punkt widokowy. Z ociąganiem przystaliśmy na to. Wprawdzie widok na stary port i morze oraz na roztaczającą się w przeciwnym kierunku panoramę nowoczesnych budynków Tel Awiwu-Jafy był naprawdę zniewalający, ale tak prawdę powiedziawszy, wszyscy w tym wspaniałym słońcu woleliby się już znajdować na plaży. Po wykonaniu paru fotek włącznie z ponownym pozowaniem do zbiorowego zdjęcia padło hasło powrotu.

Pozostała jeszcze tylko krótka wizyta w kościele, który według objaśnień brata powstał na pamiątkę ważkiego biblijnego wydarzenia, jakie miało miejsce w Jafie.

– To tutaj święty Piotr w domu garbarza Szymona podczas modlitwy na dachu miał widzenie. W jego trakcie apostołowi objawiła się Boska Prawda, że także nie-Żydzi mogą przyjmować Ducha Świętego i być członkami chrześcijańskiej wspólnoty. Główne malowidło kościoła świętego Piotra przedstawia to zdarzenie.

We wnętrzu budowli wysokie sklepienie zdobią duże okna wypełnione misternymi witrażami. Ściany zaś przystrojone zostały marmurowymi płytami w tonacji ceglasto-białej. Całość przypomina do złudzenia wnętrza europejskich katedr. Uwagę przykuwa ciekawa ambona w kształcie rozłożystego drzewa. Obok niej przechodzi się do bocznych kaplic, w których mogą odbywać się równolegle msze.

No i upragniona plaża wreszcie miała się ziścić. Wolałam od razu udać się do autobusu aniżeli rozczulać się nad kopią starej armaty, nieomylnym symbolem istnienia tutaj w przeszłości cytadeli. Nasze męskie grono przystanęło jednak przed nią na dłużej, wywołując tym postępkiem pomruk niezadowolenia kobiecej części pielgrzymki.

Jedziemy na plażę!

Autokar nużąco długo pokonywał nadmorski bulwar. Na całej jego długości z jednej strony rozciągały się położone poniżej plaże, oddzielone od ulicznego zgiełku jedynie

wąskim pasem zieleni. Druga zaś jego strona, jak przystało na prestiżowy kurort, w całości zabudowana została luksusowymi hotelami i apartamentowcami. Podejrzewałam, że w głowie braciszka zrodził się pomysł wywiezienia nas na głębokie peryferie. Dzięki temu zminimalizowane zostaną koszty postoju autokaru i zaoszczędzi się na opłacie za plażę. Stąd taka długa jazda. Wynudzona popatrywaniem przez okno, nie mogąc doczekać się końca trasy, zagadnęłam Zosię:

– Żałuj! Niepotrzebnie się zerwałaś i wyszłaś z knajpy. Ten humus był całkiem dobry. Teraz pewnie siedzisz głodna?

– Zapchałam się słodką bułką, którą Arab podał mi przynajmniej przez serwetkę, a nie jak ten w knajpie obmierzłymi paluchami. Boję się, żeby w nocy mi się one nie przyśniły.

– Przesadzasz, jesteś przewrażliwiona. Pani Ela jeszcze bardziej. Wasze ostentacyjne wyjście nie podobało się nikomu.

– Mam to w nosie. Nikt mnie nie zmusi do jedzenia w takich ohydnych warunkach. Niech gadają sobie, co chcą! A humus znam. Jadłam go już w zeszłym roku w Turcji, a później kupowałam też w domu. Smakuje mi. Mam nadzieję, że w następnych dniach, w lepszym lokalu, będę mogła skosztować tutejszego. Zobaczę, może w którejś z tych plażowych kawiarenek wraz z kawą skuszę się jeszcze na jakiś słodki ichni rarytas albo porcję lodów.

– Jak uważasz. Tylko sprawdź najpierw ceny, bo jak znam życie, to w takich plażowych kafejkach zawsze płaci się podwójnie, niezależnie od szerokości geograficznej.

– Raz sobie mogę pozwolić. W końcu bibelotów żadnych nie mam zamiaru kupować. Nie będę świeciła oczami przed panią Elą.

Poprzestałam na stwierdzeniu „Zrobisz, jak zechcesz!”, chociaż miałam ochotę jej wypalić, że ten mariaż z panią Elą zaczyna przynosić zgubne skutki. Jeśli tak dalej będą postępować, to zostaną uznane przez grupę za dwie dziwaczki.

– Szybko wysiadajcie z plażowymi manelami! – zagrzmiał ostro głos brata, kiedy autobus zatrzymał się w końcu przy trotuarze. – Tutaj można stać tylko parę minut! Kierowca musi zjechać na boczną ulicę. Mam nadzieję, że zdoła zaparkować w pobliżu.

Bez dodatkowej zachęty w miarę sprawnie wypełzliśmy z autokaru i po przecięciu pasa zieleni brnęliśmy już po żółtym, piaszczystym nabrzeżu, okalającym ciemnoturkusową taflę Morza Śródziemnego, rozpostartą aż po horyzont. Leniwie uderzające o plażę grzbiety fal wydawały niegłośny, przyjemny dla ucha poszum. Zastaliśmy tłok. Była to przecież sobota. Dla większości dzień wolny od pracy. Znaleźć wolną przestrzeń do rozłożenia się naszej całkiem sporej grupy nie było wcale łatwo. W rezultacie zostawiliśmy brata z torbami na ławce nieopodal nieco mniej obleganej przebieralni. A sami po nałożeniu kąpielowych strojów, z ręcznikami, rozdzieliliśmy

się na małe grupki w poszukiwaniu dogodnego miejsca do plażowania.

– Macie całe dwie godziny laby! O siedemnastej meldujcie się tutaj z powrotem! – Na odchodnym padła przestroga: − Maruderzy zostaną ukarani przymusowym kupnem wina do kolacji. Zmykajcie!

Zgodnie z poprzednim zaleceniem brata wcisnęłam mu pod łokieć swoją torebkę z paszportem wraz z całą gotówką − aprobująco pokiwał głową − i pomknęłam z naszym kolacyjnym towarzystwem w głąb plaży. W tym czasie Zosia i pani Ela ulotniły się jak kamfora. Domyśliłam się, że przeprowadzają rekonesans po skupisku plażowych kafejek, rozlokowanych jakieś niecałe dwieście metrów od przebieralni. Wzruszyłam ramionami. Są dorosłe. Wiedzą, co robią.

Niebawem doszłam do przekonania, że ten zaledwie dwugodzinny pobyt na plaży będę mogła zapisać jako jedno z najprzyjemniejszych wrażeń, jakie wyniosłam z pielgrzymki. Wszystko za sprawą morskiej wody. Początkowo weszłam do morza z pewną rezerwą, mając na uwadze doświadczenia z Bałtyku, gdzie zawsze po chwili moje ciało oblekało się gęsią skórką i siniało z zimna. Tutaj nic z tych rzeczy. Zanurzanie się w cudownie ciepłej śródziemnomorskiej wodzie, skakanie z towarzystwem na napływające fale oraz samo taplanie się w morzu okazało się niebywałą przyjemnością. Nie chciało się absolutnie wychodzić z wody. Do tego palące słońce powodowało prawie natychmiastowe osuszanie ciała bez konieczności

używania ręcznika. W takich komfortowych warunkach czułam się naprawdę świetnie − rozluźniona, odprężona. Pozytywnie nastawiona do całego otaczającego świata. Żadne złe myśli nie kołatały mi się w głowie. Dwie godziny zdecydowanie za szybko przeszły!

Innego zdania była Zosia, którą zastałam siedzącą obok ojca na ławce. Z jej kwaśnej miny wywnioskowałam, że coś poszło nie tak.

– Miło było przy kawie? − zagadnęłam.

– Widzisz przecież, że nie jestem jak ty w skowronkach! Wszystko pięknie, ale miałaś rację z tymi wyśrubowanymi cenami. Mała kawa kosztowała prawie tyle samo co na lotnisku. A za porcję lodów waniliowych po przeliczeniu z szekli zapłaciłam prawie dziesięć dolców. Jeszcze podano mi na wpół rozmrożoną breję, składającą się przede wszystkim z wody i z cukru, wanilii nie wyczułam! Nie dziw się, że humor mam wisielczy!

– Jednym słowem masz dzisiaj wyjątkowego jedzeniowego pecha. − Starałam się żartobliwie skomentować, ale to tylko biedną Zosię jeszcze bardziej rozzłościło.

– Nie przypominaj mi! Gdybyś wlazła w moją skórę, to czułabyś skręcanie się kiszek z głodu. Mogłam w Jafie kupić sobie jeszcze przynajmniej dwie bułki. Zamiast liczyć na dobry deser tutaj!

– Mogę cię pocieszyć, że ja po kąpieli też jestem głodna. Nie miałabym nic naprzeciw temu, abyśmy od razu wrócili na kolację do sióstr, lecz czeka nas jeszcze przystanek

w tym Emaus al-Qubeibeh − dodałam już w drodze do autokaru.

– No właśnie.

Ciężko wzdychając, potruchtałyśmy w jego kierunku.

Senną atmosferę, jaka zapanowała w drodze powrotnej, starał się rozładować niezmordowany braciszek Tuck. Wyjątkowo nie sprostał temu zadaniu. Po kilku nieudanych próbach rozbudzenia nas śląskimi żarcikami jego mikrofon zamilkł na dłużej. Ciche pomrukiwania dochodzące pomimo warkotu silnika wskazywały, że część osób zasnęła. Starałam się pójść w ich ślady, jednak głośne burczenie wydobywające się z brzucha Zosi, do którego zaraz dołączył i mój brzuch, uniemożliwiło mi to. Obydwie zaczęłyśmy wiercić się na wszystkie strony, próbując stłumić te niekontrolowane hałasy, ale efekt okazał się mizerny. Senność za to przestała nas nękać. Na wiadomość, że dojeżdżamy do celu, zareagowałyśmy błyskawicznym opuszczeniem autobusu, łudząc się, że w pozycji stojącej nasze brzuchy przestaną koncertować. Dla bezpieczeństwa postanowiłyśmy trzymać się na uboczu. Dlatego doszły do mnie tylko urywki informacji brata dotyczące Emaus al-Qubeibeh.

– Znajdujemy się jedenaście kilometrów na północny zachód od Jerozolimy, w miejscu usytuowanym na drodze do Liddy Roman. Czyli jeśli chodzi o odległość, to jest ona prawie zgodna z Ewangelią świętego Łukasza − sześćdziesiąt stadiów. Jednak kult tego miejsca, jako świętego Emaus, rozpowszechnili dopiero krzyżowcy

w końcu XIII wieku, kiedy to chrześcijanie nie mogli korzystać z głównej drogi, prowadzącej z wybrzeża do Jerozolimy, a tym samym docierać w okolice Abu Gosz. Szlak pielgrzymkowy został przesunięty bardziej na północ. Była już o tym mowa. Gdy w tym miejscu krzyżowcy znaleźli osadę biegnącą wzdłuż starej rzymskiej drogi i odkryli pozostałości rzymskiej twierdzy, nazwali tę okolicę Emaus. Zbudowali kościół i swoją osadę. W XIV wieku to sanktuarium przejęli franciszkanie. W 1902 roku na fundamentach kościoła krzyżowców powstał kościół franciszkański świętego Kleofasa, który idziemy obejrzeć. Dzisiaj przez większość badaczy to miejsce traktowane jest jako symboliczne. Nie ma dowodów, że tutaj doszło do spotkania zmartwychwstałego Pana Jezusa z uczniami. W I wieku ta okolica nosiła całkiem inną nazwę. Poza tym badania archeologiczne nie potwierdziły tezy, że w czasach Chrystusowych to miejsce zamieszkiwane było przez ludność żydowską. To sprawa wiary. Osąd pozostawiam wam samym. Oprowadzę was po wnętrzu kościoła i pokażę fragment odkopanej starej rzymskiej drogi, a dalej zobaczymy. Ruszajmy.

Symbol, znowu symbol – świdrowało mi w głowie. Swoją drogą dobrze, że brat szczerze nam to wyłuszczył, a nie wciskał kitu. Mógł jeszcze dodać, że po prostu potrzeba chwili wymogła na krzyżowcach stworzenie kolejnego Emaus jako miejsca pielgrzymowania nowym szlakiem. A może coś pokręciłam, bo nie wszystko dobrze dosłyszałam? Nie mogłam dłużej się nad tym rozwodzić,

ponieważ właśnie wchodziliśmy po schodach do środka kościoła.

W tym potężnym, trzynawowym kościele główny ołtarz zdobi malowidło przedstawiające zmartwychwstałego Jezusa siedzącego za stołem wraz z dwoma swoimi uczniami. Brat podpowiedział, że to Kleofas i Szymon. Następnie poprowadził nas do bocznej nawy, gdzie za szkłem wyeksponowane zostały antyczne fundamenty domostwa, symbolizujące pozostałości domu świętego Kleofasa. Na koniec obeszliśmy witraże naw bocznych, przedstawiające po kolei poszczególne sceny mającego się jakoby tu rozegrać wydarzenia, opisanego w Ewangelii świętego Łukasza. Z drugiej strony kościoła, wejściem ozdobionym w górze mozaiką pokazującą Jezusa z dwoma uczniami w drodze, wyszliśmy bezpośrednio na ruiny wioski krzyżowców. Między nimi widać fragment odkopanej starej rzymskiej drogi, która w tradycji została uznana za tę wymienianą przez ewangelistę.

Brat, zobaczywszy nasze nikłe zainteresowanie ruinami, zadecydował:

– Jesteście już porządnie zmęczeni, to chyba na tym zakończymy. Wprawdzie chciałem was jeszcze zaprowadzić na pobliski punkt widokowy, skąd widać Tel Awiw-Jafę i Morze Śródziemne, ale to sobie możemy darować.

– Głodni jesteśmy! Kiszki grają nam marsza! − wypalił Waldek. Inni dołączyli do wtóru. Porozumiałam się z Zosią bez słów. Zawsze dobrze wiedzieć, że nie jest się samotnym w cierpieniu.

– To tym bardziej zabierajmy się już stąd! Uprzedzę siostry, że wracacie dzisiaj z wilczymi apetytami. Niech przygotują dodatkowe porcje chleba. Ta kąpiel w morzu tak na was podziałała. Przynajmniej szybko pójdziecie spać i nie będziecie mieli chęci na próbowanie wina z Latrun.

– Tego nie byłbym taki pewny – odpowiedział poważnym głosem Zenek.

Parsknęliśmy śmiechem, a braciszek teatralnym gestem rozłożył ręce, kierując w górę spojrzenie.

Szybko pokonaliśmy ostatni odcinek powrotnej drogi. Nawet w samej Jerozolimie o tej porze ruch samochodowy był minimalny – pewnie przez weekend i szabas. Wysiedliśmy przy tej samej zatoczce, przy której rano wsiadaliśmy, gdyż nasza ulica nadal pozostawała przegrodzona metalowym łańcuchem. Za nim spotkała nas niespodzianka. Na naszej do tej pory cichej i pustej uliczce roiło się od spacerujących w odświętnych strojach żydowskich rodzin. W tym skądinąd dla nas całkiem nowym widoku uderzała przede wszystkim liczba dzieci plączących się przy rodzicach. Każda rodzina tworzyła gromadkę, składającą się z co najmniej pięciu pociech, przeważnie w wieku przedszkolnym lub pierwszych klas podstawówki, oraz wózka z przynajmniej jednym niemowlęciem. Przecieraliśmy oczy ze zdumienia. Wychodzi na to, że dla chasydzkich kobiet rodzenie co roku dziecka jest obowiązującą normą. Rzecz u nas całkiem niepojęta! Ojciec ograniczył się jedynie do komentarza, że właśnie w taki

sposób chasydzcy Żydzi spędzają szabasowy czas, w całości poświęcając go na wspólne, rodzinne świętowanie.

Prowizoryczny sklepik w naszym holu nie cieszył się żadnym powodzeniem. Biedny arabski sprzedawca smętnie zwiesił głowę. Najważniejsza dla nas na tę chwilę była kolacja. Wszyscy na nią wyjątkowo bez spóźniania się zeszli. Zawartość zastawionych półmisków poznikała też wyjątkowo w całości i do tego w zastraszającym tempie. Po obfitym posiłku zadowolone razem z Zosią, że nasze brzuchy przestały się odzywać, sącząc leniwie kolacyjne wino, wysłuchałyśmy komunikatu ojca odnośnie do kolejnego dnia:

– Twierdza Masada przed południem i wcześniejszy obiad zaraz po niej, później Qumran i Herodion, a jeśli czas pozwoli, to krótki pobyt nad Morzem Martwym i może jeszcze jakieś wyjątkowe miejsce. Do końca nie jest zaplanowana jutrzejsza msza święta. Wszystko zależy od tego, jak długo zabawimy w Masadzie. Jeśli nie uda jej się zorganizować po drodze, to ostatecznie odprawi się ją wieczorem tutaj, w kaplicy u sióstr. Ze względu na dłuższy dojazd do Masady wyjeżdżamy już przed siódmą rano. Śniadanie o wpół do siódmej. Radzę wam już dzisiaj się przygotować. Spakować dodatkowo rzeczy nad morze i iść wcześniej spać. Jutro czeka nas naprawdę wyczerpujący dzień.

Masada, Qumran i Herodion to te miejsca, na które od początku pielgrzymki niecierpliwie czekałam. Powinnam się cieszyć. Tylko, do diabła, dlaczego tak wcześnie trzeba

wstać? Będę musiała znowu kombinować jak koń pod górkę, aby z rana wygospodarować pięć minut na papierosa.

– Możemy w nocy na korytarzu oglądać mecz piłki nożnej o mistrzostwo Bundesligi? − zapytał ojca Krzyś, jak się okazało, zapalony kibic piłki nożnej. – Gra Borussia Dortmund z FC Bayernem Monachium.

– Jeśli zdołacie uruchomić ten stary telewizor i znaleźć w nim transmisję, to czemu nie! Bylebyście zanadto nie hałasowali i nazajutrz wstali. Lepiej powstrzymajcie się od picia alkoholu. Obiecujecie?

– Tak jest! − odpowiedziała męska część naszego stołu.

Oby ich pokręciło! − pomyślałam w duchu. Przecież telewizor wraz z kącikiem rekreacyjnym stoi za cienką ścianą przy moim łóżku. Wszystko będę słyszała! Nie zasnę! Przydałyby się jakieś zatyczki do uszu. Skąd je wziąć? Nawet waty nie mam! Może Zosia jakoś temu zaradzi? Wino przestało mi smakować. Właśnie miałam wstać od stołu i pożegnać towarzystwo, kiedy z ulicy dobiegły dźwięki skocznej melodii.

– Najprawdopodobniej w pobliżu obchodzona jest uroczystość bar micwy − zawiadomił nas braciszek i życząc nam dobrej nocy, opuścił jadalnię.

Muzyka nasilała się z każdą sekundą, a po chwili przez duże okna jadalni ujrzeliśmy wolno przetaczającą się kawalkadę samochodów. Na pierwszym umieszczony był głośnik – to z niego wydobywała się muzyka − a za nim tanecznym krokiem sunęli sami mężczyźni w żydowskich

uniformach, z nieodłącznymi czarnymi kapeluszami na głowach. Poprzedzali oni następne samochody, udekorowane girlandami z kwiatów i po brzegi wypełnione gośćmi. Nie namyślając się długo, ile sił w nogach pobiegłam na taras, aby stamtąd lepiej widzieć ten barwny korowód. Inne panie w dość swobodnych strojach sięgnęły po aparaty fotograficzne i wybiegły bezpośrednio na ulicę… Z tarasu zobaczyłam najważniejszą osobę tej uroczystości, a mianowicie chłopca, sztywno siedzącego na bogato przyozdobionym fotelu, przypominającym tron, który został umieszczony dodatkowo na podwyższeniu podłogi pikapa. Za kolumną samochodów szły dostojnie starsze kobiety, na końcu zaś maszerowały matki z dziećmi i młode dziewczyny. Miało się wrażenie, że hierarchia narzucona przez religię obowiązuje. Każdy zna doskonale swoje miejsce. I jak tu mówić o równouprawnieniu kobiet? Taka oto dygresja nasunęła mi się w pierwszej chwili. Sądząc po liczbie gości i okazałości korowodu, na podstawie wiedzy przekazanej nam przez ojca można było stwierdzić, że tę bar micwę wyprawia bogata rodzina żydowska.

Od razu postanowiłam skorzystać z tarasu, aby nie łazić jeszcze raz dodatkowo. Z mocnym postanowieniem, że udam się szybko spać, zeszłam do pokoju.

– Będziesz dzisiaj chyba miała ciężką noc przez ten ich paskudny mecz. − Tym stwierdzeniem powitała mnie już przebrana w piżamę Zosia, rozkładająca na stole swoje mazidła.

– No! Nie masz niczego do zatkania uszu?

– Tym razem ci nie pomogę. Niczego nie mam. Najlepiej zrobisz, jak najszybciej kładąc się do łóżka, tak żeby zasnąć, zanim oni zaczną oglądać ten mecz. Łazienkę masz wolną, ja w niej już skończyłam i spakowałam się też już na jutro. Zostawiam ci kremy. Nie zapomnij o nasmarowaniu nóg!

– Dzięki. Szybko się uwinęłaś! Nie oglądałaś do końca korowodu?

– Nie. Jestem strasznie zmęczona. Szkoda mi było czasu. Zaraz się kładę. Streszczaj się!

Przepuścić coś takiego to naprawdę ciężki grzech. Ta myśl jako ostatnia przed zaśnięciem zaświtała mi tego wieczora w głowie.

~ DZIEŃ VII ~

Niedziela

Niedzielny poranek Zosia rozpoczęła od utyskiwań.

– Dobrze spałaś! − usłyszałam jej głos. − Zazdroszczę ci! Niczego nie słyszałaś! Ja zasnęłam prędko, ale przebudzili mnie tym meczem. No i potem wierciłam się przez pół nocy. Nie będę dzisiaj w dobrej formie. Wstawaj, już czas!

– Niczego nie słyszałam! Chyba przez to wczorajsze taplanie się w morzu tak mocno spałam. − Błogo przeciągnęłam się, odpowiadając.

– Wyskakuj z łóżka. *À propos* kąpieli, to nie zapomnij spakować stroju. Zdążył wyschnąć. Dzisiaj też będziesz mogła się pluskać.

– W Morzu Martwym, w tej nieruchomej, słonej brei? Nie chcę! Szkoda stroju. Spakuję tylko ręczniki. Zawsze mogę wleźć do niego tylko po kolana.

– A lecznicze działanie?

– Nie rozśmieszaj mnie! Urwałaś się z choinki? Naprawdę wierzysz, że takie jednorazowe wytaplanie się przyniesie od razu efekt?

– Nie wiem, ale skoro jest okazja, to ja ją wykorzystam.

– Kąp się, kąp. Jak najbardziej. Może przynajmniej dzięki temu dobrze będziesz spała, tak jak ja po wczorajszym

pluskaniu…

I nie będziesz tak od rana zrzędziła. – To ostatnie zdanie dopowiedziałam w myślach.

Zdążyłyśmy się wyszykować przed śniadaniem. Nie tak jak wczoraj, w zabójczym pośpiechu. Wykalkulowałam sobie wobec powyższego, że zaraz po śniadaniu wygospodaruję pięć minut na palarnię. Ten drobny szczegół poprawił mi nastrój.

Do śniadania usiadłyśmy przy naszym stole pierwsze. Znacznie później dołączyła Gosia, w tej swojej przypominającej story sukni i w fikuśnych laczkach.

– Jestem taka niewyspana! Zachciało mi się gapić do końca na mecz. O, widzę, że inni też po nim jeszcze nie mogą się obudzić! – oznajmiła Gosia, siadając. Kończyłyśmy pierwszą filiżankę kawy, kiedy w drzwiach jadalni dopiero pojawili się Zenek i Waldki, ale Krzyśków nadal nie było.

– Może trzeba iść i ich obudzić? Mogę się pofatygować, zaraz dopiję kawę! − rzuciłam głośno propozycję.

Poparła mnie ziewająca Tereska, a Zenek burknął, że chyba nie ma innej rady. Właśnie wstawałam od stołu, kiedy do stołówki wpadł Krzyś. Nie bawiąc się w żadne tłumaczenia, na stojąco naszykował trzy kanapki na talerz i pognał z nimi z powrotem do pokoju. W przelocie informując nas, że zaraz wraca.

Zosia wymownie pokiwała głową i puściła do mnie oko. Wiedziałam, co najprawdopodobniej chce mi przekazać: „Widzisz, jaki kochający, troskliwy małżonek?! Miałam rację, że Ewka zrobiła z niego pantoflarza!”.

Na schodach do palarni minęłam zziajanego Krzysia, gnającego apiać do stołówki.

Szabas po zachodzie słońca się skończył, zatem mogliśmy wsiąść do autobusu bezpośrednio sprzed domu. Wczesnym porankiem ulicę zalegała kompletna cisza, aż trudno było uwierzyć, że wczoraj było na niej tak gwarno i kolorowo.

Brat zaintonował swoim utartym zwyczajem „Kiedy ranne wstają zorze”. Na dobiegające z autobusu głosy sprzeciwu odparł, że akurat ze względu na dzisiejszą wczesną porę nie ma powodu zmieniać repertuaru. A następnie, dostrajając odpowiednio mikrofon, stwierdził:

– Jedziemy do Masady. Trasa wiedzie najpierw przez dość monotonny odcinek drogi na wschód, a później skręca na południe i przechodzi w ciekawszą drogę numer dziewięćdziesiąt, biegnącą wzdłuż wybrzeża Morza Martwego. Nią dotrzemy już bezpośrednio do celu. Ponieważ czeka nas dość długi odcinek do pokonania, ustaliłem z panem Zenkiem, że w ramach przystanku po drodze zrobimy sobie postój w rezerwacie En Gedi. Musimy przecież maksymalnie wykorzystywać nasz zbiorowy bilet wstępu. Godzinny spacer wśród urokliwego krajobrazu oazy, gdzie panuje specyficzny mikroklimat, przyda się nam wszystkim przed zabrnięciem w serce jałowej Pustyni

Judzkiej. Mam na myśli Masadę. Możecie ten postój potraktować jako niespodziankę, którą przygotowałem wam na dzień dzisiejszy. − Szeroki uśmiech zagościł na jego twarzy.

Roztoczona przez ojca wizja spaceru mnie się osobiście spodobała, jednak z tyłu dosłyszałam nieśmiałe pojękiwania. To starszym paniom ten pomysł nie bardzo przypadł do gustu. Biedny ojciec − pomyślałam. Dogodzić każdemu z trzydziestoosobowej grupy jest sztuką niewykonalną.

Zaraz po opuszczeniu Jerozolimy Danka znowu domagała się opuszczenia rolety w oknie, czym doprowadziła mnie do szewskiej pasji. Nie ustąpiłam. Kategorycznie oświadczając, że jeśli ją razi słońce, gdy siedzi zaraz za nami, to przecież może się przesiąść do dalszej części autobusu. Tam są wolne miejsca i może zasłaniać okno według własnych upodobań. My chcemy oglądać zmieniające się widoki. Trudno, uprzejmość z mojej strony ma też pewne granice.

Absolutnie poczułam się usprawiedliwiona, kiedy zauważyłam, że krajobraz za oknem z wolna się zmienia. Na początku mijaliśmy zielone, różnorodne plantacje i ciągnące się gigantycznymi rzędami tunele foliowe z warzywami, potem duże cytrusowe sady, które stopniowo ustępowały miejsca połaciom ziemi z coraz rzadszą, uboższą roślinnością. Pustynia Judzka pokazała się na horyzoncie.

Duży parking przed bramą rezerwatu ze względu na wczesną porę zastaliśmy jeszcze całkiem pusty. Do otwarcia En Gedi pozostało dobre pół godziny. Na szczęście pracownicy obsługi byli już na miejscu i zgodzili się wpuścić nas przed czasem. Zadowolony z takiego obrotu sprawy braciszek zarządził natychmiastowe wyjście z autobusu, bo przecież szkoda każdej minuty przed dotarciem do Masady! Zmierzając szybkim krokiem do wejścia, zdobył się jeszcze na zwięzły komentarz:

– Przywiodłem państwa w to miejsce, abyście zobaczyli oazę En Gedi, która jest zielonym ogrodem pośród jałowego tła Pustyni Judzkiej. Ci z was, którzy przez okno autobusu oglądali ostatni odcinek drogi, zauważyli, że przejeżdżaliśmy przez okolice ubogie w roślinność, a tu dzięki odpowiedniemu mikroklimatowi w samym sercu pustyni bujnie rozwija się roślinność zarówno pustynna, jak i tropikalna i wodna. Oaza znana jest z występowania w niej także ciekawej fauny. Nawet mają tutaj pantery. Chodźcie! Po drodze dopowiem wam więcej.

Ruszyliśmy kamienistą ścieżką, wijącą się pod górę. Słońce zaczęło dawać znać o sobie, dlatego nałożyłam mój sfatygowany kapelusz. Skoro Gosia maszeruje w fikuśnej sukni i tenisówkach, to i ja mogę się wyróżniać.

– Co do fauny, to wymienić należy w pierwszym rzędzie koziorożce, mające tutaj swoje rewiry wśród skał, oraz rzadki gatunek kruka, niespotykany w żadnej innej części kraju. Wspomnieć wypada także o góralkach skalnych. Są to liczne gromady gryzoni żerujące nocą, a za dnia

wylegujące się na słońcu. Chyba uda nam się je zobaczyć. Ciekawostką są ich palce zbudowane podobnie jak u słonia. A to, co przemyka o tam, pod krzakami, to duża egipska jaszczurka. Wypatrujcie góralków! Flora jest też szalenie urozmaicona…

Jak katarynka brat zaczął teraz wymieniać nazwy poszczególnych roślin, obok których właśnie przechodziliśmy, ujawniając przy tym swoje zamiłowanie do botaniki. Z tych całkiem dla mnie obcych nazw zapamiętałam jedynie putorię (jakąś tam), a to ze względu na delikatne, bladoróżowe kwiatki i na to, że jej liście wydzielają nieprzyjemny zapach. No i akacje różniące się wielkością i barwą kwiatostanu od naszych. Nie wiedziałam, że istnieją jej odmiany o żółtych kwiatach. Góralka w końcu też wypatrzyłam, schowanego za akacją.

Doszliśmy do wodospadu, a po wdrapaniu się skalnymi blokami na jego szczyt trafiliśmy na urokliwą grotę ze źródełkiem, w którym nie omieszkaliśmy się trochę pomoczyć. Podobnie jak reszta poprzestałam na brodzeniu w cudownie letniej wodzie. Zosia zrezygnowała nawet z tego, tłumacząc się dość mętnie, że nie lubi takiej wody, i stanęła z boku razem z Tereską, której pozaklejane plastrami nogi nie pozwalały na tę przyjemność. Podejrzewałam, że nie chce jej się po prostu odsznurowywać solidnych tenisówek i ściągać skarpetek. Wszystkich zadziwiła ekscentryczna Gosia. Po zrzuceniu wierzchniej sukienki ukazała nam się w dwuczęściowym stroju kąpielowym, zażywając całościowej kąpieli.

Zwiedzenie groty, w której według biblijnych przekazów miał się schronić król Dawid, zakończyło nasz wypad na łono przyrody. Braciszek Tuck obiecał, że najprawdopodobniej powrócimy jeszcze do tego parku i zwiedzimy znajdujące się w nim cenne znaleziska archeologiczne. Teraz jednak czeka na nas Masada.

Po ponownym rozlokowaniu się w autobusie dostaliśmy polecenie, aby teraz pilnie patrzeć w okna, ponieważ niebawem przejeżdżać będziemy bezpośrednio wzdłuż tafli Morza Martwego.

– Podziwiajcie wspaniałe pustynne krajobrazy!

Kiedy dotarliśmy do zapadni Morza Martwego, z jednej strony w dole rozpościerała się wśród skał jego nieruchoma tafla, a z drugiej wypiętrzały się pofałdowane, pustynne wzniesienia. Widok był naprawdę niesamowity.

Szturchnęłam Zosię, która na tę krótką chwilę zdążyła zasnąć.

– Obudź się! Przegapisz takie cudowne widoki!

– Co? Już dojeżdżamy? − Zosia przetarła oczy.

– Pewnie za chwilę będziemy na miejscu. Teraz gap się w okno!

Wymownie westchnęła, ale mnie posłuchała.

– Wiecie, że wysokości tych całkiem sporych wzniesień podawane były na niektórych starych mapach ze znakiem minus? I odnośnie do nich używa się skrótu „p.p.m.”, czyli poniżej poziomu morza, a nie jak wszędzie − nad poziomem. Jest to skutek depresji. Znajdujemy się

w najniższym i największym rowie na kuli ziemskiej – poinformował nas braciszek.

Masada – legendarna twierdza żydowska. Ujrzeliśmy ją na horyzoncie jeszcze przed przekroczeniem bramy z napisem „Park Narodowy – Masada”. Na stromym zboczu ogromnej ostrogi skalnej, dostojnie górującej nad całą okolicą, wyraźnie odcinały się pozostałości fortecy. Wystawały one z gigantycznych stopni, wyżłobionych w litej skale. Z dołu można do niej dotrzeć zainstalowaną kolejką linową.

Podczas czekania na wagonik ostro świecące słońce już nieznośnie dawało nam się we znaki pomimo jeszcze wczesnej pory. Znowu sięgnęłam po swój kapelusz. Nie było innej rady. Dodatkowo braciszek swoim stwierdzeniem „Oj, czeka nas dzisiaj naprawdę ciężki dzień! Na górze nie znajdziemy ani skrawka cienia i będziemy się tam smażyć jak na patelni!” nie nastroił nas optymistycznie. Kilka starszych pań zrezygnowało z wjazdu na górę. A ja się żachnęłam. Do diabła, przecież słońce nie może odebrać mi przyjemności zwiedzenia twierdzy. W końcu nie jestem z lodu i się nie roztopię! − pomyślałam.

Załapałam się wraz z garstką naszych do pierwszego wagonika. Reszta miała dołączyć następnym. Dostaliśmy polecenie, aby na miejscu się nie rozchodzić, tylko cierpliwie czekać na pozostałych. W ścisku zapełnionego do granic możliwości wagonika podziwianie widoków było niewykonalne. Jedynie na moment Tereska i Waldek, wciśnięci bokiem przy oknie, odsłonili mi jego dolny

fragment. Wagonik akurat pionowo zaczął pokonywać skalną ostrogę i przez ułamek sekundy zobaczyłam na niej wytyczoną ścieżkę, wijącą się zakosami w górę. Od razu przed oczami stanął mi mój Jacek – zapalony miłośnik chodzenia po górach. Gdybyśmy byli tutaj razem, oczywiście nie z pielgrzymką, to bez dwóch zdań maszerowałabym tą ścieżką i w ogóle nie przyśniłoby mi się, żeby wsiąść do kolejki. Podzieliłam się tą refleksją z Waldkami. Tereska stwierdziła, że jej by się nie chciało, ale Waldek przyznał się, że całkiem na poważnie rozważał taką możliwość, bo gdzieś wyczytał, że to piesze podejście zajmuje zaledwie około godziny. Niestety w grupie takie indywidualne fanaberie nie wchodzą w rachubę.

Czas oczekiwania na dojazd całej grupy postanowiłam spożytkować na odświeżenie w głowie szczątkowych wiadomości o fortecy, bo jakoś brat do tej pory niczego na jej temat nie powiedział. Może teraz opowiada tym, co zostali jeszcze na dole? A jeśli tak się dzieje, to przecież nie będzie sobie drugi raz strzępił języka dla nas. Lepiej samemu trochę pogłówkować. Stojąc pod daszkiem tarasu, do którego dowiózł nas wagonik, i mając przed sobą do zlustrowania ciągnącą się aż po widnokrąg połać pofałdowanej pustyni, poprzecinanej licznymi jarami kamieni w beżowo-szarych odcieniach, zaczęłam intensywnie myśleć. Przypomniałam sobie, że to miejsce, ważne ze względu na strategiczne położenie, już w II wieku p.n.e. funkcjonowało jako umocniony garnizon, ale dopiero Herod przekształcił je w potężną warownię i wewnątrz jej

murów nakazał dobudować pałac. Najprawdopodobniej miała to być jego tajna kryjówka, która ewentualnie uchroniłaby go przed zamachem stanu lub atakiem egipskiej królowej, Kleopatry. Jednak najsłynniejszą swoją kartę w historii Masada rozegrała w czasie I powstania żydowskiego przeciwko Rzymianom. Od momentu jego wybuchu w 66 roku n.e. forteca została opanowana przez fanatycznych nacjonalistów – sykariuszy. Nie złożyli oni broni po upadku Jerozolimy w 70 roku i aż do 73 roku stawiali zbrojny opór oblegającym twierdzę Rzymianom. Ostatecznie zobaczywszy beznadziejność kontynuacji dalszej walki, popełnili zbiorowe samobójstwo. Taki przynajmniej przebieg zdarzeń przedstawił Józef Flawiusz w kronice *Wojna żydowska*. A przeprowadzone w XX wieku badania archeologiczne częściowo je potwierdziły. Masada w świadomości Izraelczyków stanowi żywą, narodową legendę, symbolizującą opór. Świadczy o tym między innymi rota przysięgi składana tutaj co roku przez adeptów wojsk pancernych, która kończy się zawołaniem „Masada nigdy już nie padnie”.

Tyle wiedziałam. Resztę miałam nadzieję usłyszeć od brata podczas zwiedzania.

Tak jak przypuszczałam, ojciec zaraz po dotarciu z resztą grupy bez żadnego wstępu powiódł nas do tak zwanego Pałacu Zachodniego, w którym zastaliśmy częściowo odkopane i zrekonstruowane, piękne pomimo upływu tylu wieków, ścienne herodiańskie mozaiki. Następnie pokonaliśmy krótki odcinek piekarnika − jedynie

tak można określić nasłonecznioną część płaskowyżu – i dotarliśmy do usytuowanych w jego wnętrzu, wykutych w skale zbiorników wodnych. Herod wybudował w fortecy oryginalny system kanałów, którymi spływały wody z wadi − suchych pustynnych dolin napełniających się nią w porze deszczowej, gromadząc je w wyciosanych do tego celu skalnych cysternach.

– Między innymi dzięki temu obrońcy Masady tak długo mogli w niej wytrwać – wyjaśnił braciszek.

Piekło rozpętało się na dobre od chwili opuszczenia przyjemnie chłodnych zbiorników. Na bezwietrznej przestrzeni temperatura sięgała około czterdziestu stopni. Poczęliśmy się intensywnie wachlować tym, co kto miał w rękach, lecz to nie na wiele się zdało. Pomimo usilnych starań braciszka, aby należycie pokazać nam większość odkrytych tutaj obiektów, nasze zainteresowanie oglądanymi ruinami z minuty na minutę malało. Mnie niestety też dopadła rezygnacja. Ledwie zarejestrowałam, że widniejące na horyzoncie ciemne kontury są pozostałościami szańców rzymskiego obozowiska. Nie inaczej rzecz się miała z rumowiskiem kolumbarium, zbiorowego grobowca, przy którym niespodziewanie doszło do komicznej sytuacji.

Braciszek w paru zdaniach objaśnił nam, że budowla pierwotnie miała kształt kulisty i wypełniona była urnami. Rzymianie nazywali te grobowce kolumbariami od łacińskiego słowa *columba*, czyli „gołębica”. Stojąca z boku

pani Genia widocznie usłyszała tylko to ostatnie słowo i głośno wypaliła:

– E, gdzie tam na tej patelni uchować miałyby się gołębie!

Parsknęliśmy śmiechem. Braciszek zaś dobrotliwie wyjaśnił:

– Ja właściwie nie o tym, ale skoro padło hasło „gołębie”, to muszę państwa uświadomić, że już od II wieku p.n.e. w Egipcie, a podejrzewam, że również tutaj, znany był zawód hodowcy gołębi. Są na to naukowe dowody.

Chwila wesołości nie zdołała jednakże wykrzesać z nas entuzjazmu do pokazywanych przez ojca – ociekającego podobnie jak my rzęsistym potem – następnych zabytków. Najszybciej, jak się tylko dało, obejrzeliśmy pozostałości murów południowo-wschodnich, kwaterę zelotów – powstańców żydowskich, którzy schronili się w Masadzie po upadku Jerozolimy – oraz znajdujące się w centralnej części pozostałości kościoła bizantyjskiego. Widniejące po przeciwnej stronie płaskowyżu sterty kamieni, według słów brata będące niegdyś synagogą i salą rękopisów, przeszliśmy właściwie bez zatrzymywania się. Najchętniej na tym byśmy poprzestali, ale do obejrzenia pozostała jeszcze północna część upiornego piekarnika. Mamrocząc pod nosem przekleństwa, udaliśmy się i tam.

Zaczęliśmy od ruin magazynu. Dla archeologów to miejsce okazało się przysłowiowym El Dorado. W magazynie znaleziono doskonale zachowane fragmenty ceramiki, skórzane sandały, które przetrwały nietknięte

w tym suchym klimacie, monety, sprzęty gospodarstwa domowego, zabawki i dużą ilość zapieczętowanych glinianych dzbanów z ziarnem w środku. Na tej podstawie można domniemywać, że powstańcy nie cierpieli na brak żywności, więc i nie to było przyczyną ich zbiorowego samobójstwa. Magazyn bezpośrednio graniczył z częściowo odkopanymi i zrekonstruowanymi luksusowymi łazienkami dla królewskich urzędników oraz pomieszczeniem zaadaptowanym na publiczną łaźnię. Do nich bieżąca woda dostarczana była rurami z podziemnych cystern. Na koniec została nam perełka herodiańskich architektów, a mianowicie Pałac Północny, usytuowany na trzech skalnych występach. Na podstawie niewielu pozostałości nie za bardzo można było wyobrazić sobie jego faktyczne kształty. Na szczęście makieta dobrze oddawała pierwotny wygląd pałacu. Porównując ją z zachowanymi szczątkami na skalistych tarasach, doszłam do wniosku, że kunszt herodiańskich budowniczych naprawdę może zachwycać. Wystarczy uzmysłowić sobie, ile precyzji wymagało wybudowanie na tych skalnych podestach samych królewskich komnat, a do tego połączenie ich idealnie wpasowanymi w skałę krytymi schodami.

Uff! Masadę zaliczyliśmy!

Zjeżdżając na dół, podzielałam radość reszty, że nareszcie opuszczamy ten piekarnik, chociaż w głębi duszy odczuwałam pewien niedosyt. Wprawdzie spełniło się moje marzenie i obejrzałam legendarną Masadę, ale… No właśnie. Może trzeba było nie poddawać się tak szybko

i bardziej wnikliwie przyglądać się poszczególnym obiektom, aby je lepiej móc zapamiętać? Następna okazja pewnie się nie powtórzy. Stało się! Zabytki zabytkami, lecz zdrowie jest cenniejsze. Pulsowanie głowy, niezawodnie w moim przypadku zwiastujące migrenę, przecięło moje smętne rozważania.

Z zażyciem niezastąpionego w takich przypadkach ibumu musiałam poczekać do wejścia do autobusu, ponieważ w fortecy zdążyłam opróżnić całą zawartość pierwszej butelki, a drugą, naszą wspólną z Zosią, zostawiłyśmy za siedzeniem w koszu. Starając się zignorować nasilający się ból, zagadnęłam człapiącą obok, zziajaną Zosię:

– Żyjesz?

– Przestań, ledwie dycham. Niech szlag trafi takie łażenie! Odwodnić się można lub nabawić jakiegoś innego choróbska! I czym się tam było zachwycać?

– Nie podobały ci się kamloty? − spytałam, akcentując dobitnie ostatni wyraz w rewanżu za te Zosine skole.

Zosia popatrzyła na mnie uważnie i zawyrokowała:

– Od tego słońca to z tobą coś nie tak. Język ci się plącze! I w ogóle bledniesz w oczach.

Zaśmiałam się.

– Widzisz, złapałam cię. Tak jak wy mówicie na kamienie „skole”, to u nas mówi się „kamloty”. A całkiem poważnie, to głowa mnie rozbolała i dlatego pewnie pobladłam. Podobnie miałam w Jerychu.

– Z pewnością to przez tę depresję i różnicę ciśnień. Widocznie jesteś na to wyczulona. Ja dzięki Bogu nie, ale pić to mi się chce okrutnie. Zaraz na początku, tam, na górze, wypiłam wszystko. Teraz dosłownie mogłabym oddać królestwo za łyk wody.

Nigdy przedtem nie było nam tak tęskno do autobusu. Na szczęście już na nas czekał.

– Ale w kość dostaliśmy wszyscy w tej Masadzie! – stwierdził brat, lustrując uważnie nasze zmizerniałe twarze. – Musimy odpocząć! Długo przez tę kolejkę zamarudziliśmy w fortecy. Dochodzi prawie trzynasta, a na trzynastą trzydzieści jest dla nas zamówiony obiad. Zjedzmy go zatem najpierw! − To było właśnie to, co chcieliśmy wszyscy usłyszeć.

W hostelu niedaleko Masady czekał na nas szwedzki stół. Nie był on może tak wystawny jak ten w Jerychu, ale w zupełności zaspakajał nasze oczekiwania. Nawet kapryśne panie, Ela i Zosia, bez szemrania grzecznie sięgnęły po talerze. Tak naprawdę to za bardzo nie odczuwałam głodu. Zaspokoiwszy pragnienie, głównie ze względu na tabletki przeciwbólowe, postanowiłam zmusić się do zjedzenia fileta z kurczaka oprószonego kolorową panierką, odrobiny frytek i sałaty. Jedzenie szło mi opornie. Za to inni pałaszowali swoje porcje ze zdwojoną energią. Pozostawało im jej pozazdrościć. Przygaszona bólem głowy dzisiaj nie odważyłam się nawet wyjść na papierosa po skończonym posiłku. Cierpliwie czekając, aż rozleniwione towarzystwo ruszy się nareszcie z miejsc, przekonywałam

samą siebie, że ból głowy powinien za jakiś czas ustąpić i nie mogę z tego powodu zaprzepaścić danej mi możliwości zobaczenia na przykład Qumran. Wstając, poczułam uporczywe świdrowanie w głowie i zobaczyłam mroczki przed oczami. Apogeum migreny. Zacisnęłam zęby. Nic to! Za żadne skarby się nie poddam!

– Zmiana planów! – zaryczał mikrofon brata zaraz po zajęciu miejsc w autokarze. – Po konsultacji z panem Zenkiem doszliśmy do wniosku, że nie warto zanadto nadszarpywać waszej kondycji i wracać ponownie do En Gedi. Wprawdzie miałem zamiar pokazać wam tam jeszcze rezerwat Nahal Arugot, w którym oprócz wijącego się wodospadu i strumieni całkiem nie tak dawno odkryto ciekawą jaskinię. Wszystko wskazuje na to, że w jej wnętrzu ukrywali się w 132 roku n.e. powstańcy żydowscy Bar Kochby. Jednak trudno, może kiedyś traficie jeszcze w to miejsce. Ja jestem usprawiedliwiony, bo miałem szczere chęci. Ostatecznie wy też możecie mówić, że zwiedziliście En Gedi. Nieważne, że tylko zaliczyliśmy jego mały wycinek. Jedziemy teraz plażować! Między En Gedi a Qumran znajdziemy całkiem przyzwoitą plażę.

No tak, brat ma rację. Byliśmy przecież już rano w tym całym En Gedi. Na śmierć zapomniałam. Delirium kompletne! Ból głowy nie ma tu nic do rzeczy. To moje szare komórki szwankują! Wszystko zbyt szybko się dzieje. Za dużo miejsc i obco brzmiących nazw. Gubię się. Należałoby je sobie spisać. Przestań biadolić – zganiłam się

po chwili w myślach. Inni też rozdziawili gęby ze zdziwienia. Nie tylko ja w tym upale cierpię na sklerozę!

Całe szczęście, że od hostelu do plaży jechaliśmy zaledwie parę kilometrów, ponieważ pod koniec tej trasy niebezpiecznie zaczynała unosić mi się zawartość żołądka. Zbierało mi się na torsje. Kolejny objaw wstrętnej migreny. Blada jak ściana wyskoczyłam na zewnątrz.

– Chodź jak najszybciej do wody! Ochłodzisz się! Może poczujesz się lepiej! – Zosia pociągnęła mnie gwałtownie za rękę natychmiast po zrzuceniu tobołków na plażę.

– Spokojnie. Już powoli przechodzi. Idź się najpierw przebrać w strój. Poczekam pod przebieralnią. Tam jest trochę cienia.

– Jak chcesz, tylko mi nie padnij! – przykazała.

Dwie zażyte tabletki zaczęły zbawiennie działać. Gniecenie żołądka i mroczki przed oczami ustąpiły, a świdrowanie pod czaszką stopniowo zamieniało się w tępy ból. Mogłam przytomniej rozejrzeć się dookoła.

Plaża wydała mi się prawie identyczna z tamtą z okolic Jerycha. Przebieralnia była, jakiś tam bufecik przy wejściu też, tylko zamiast składziku plastykowych krzesełek tu i ówdzie stały drewniane piknikowe stoły z ławkami. Zejście do morza także podobne, a mianowicie ze stromej skarpy, przy czym tutaj usiane było nieco większymi kamieniami, spomiędzy których wystawały drobne kępki trawy.

Zosia nawet w miarę prędko wynurzyła się zza prowizorycznych drzwi przebieralni, marudząc:

– Nie ma pryszniców! W czym niby mamy spłukać z siebie słoną wodę? Lepiej ci?

– Już znośnie! Dziękuję. Popatrz w dół, przy samym morzu stoi natrysk! – Wskazałam jej metalową rurę zakończoną sitkiem i kurkiem. Byłam mądra, bo przed chwileczką spostrzegłam, że ktoś z niego korzystał. Inaczej pewnie nie domyśliłabym się przeznaczenia tej metalowej rury tkwiącej w betonowym podeście, robiącym za brodzik.

– Ale prowizorka. I tak będzie trzeba maszerować w kostiumie na górę, żeby się przebrać.

– A czegoś się spodziewała na chyba bezpłatnej plaży? Chodźmy wreszcie! Najwyżej zasłonię cię ręcznikiem, jak będziesz chciała dokładniej się spłukać.

– Dobrze.

Niemiła niespodzianka spotkała nasze panie po dotarciu na brzeg. Zamiast odmładzającego i uzdrawiającego błota zastały pas małych, oszlifowanych przez wodę i wyostrzonych jak diabli kamyków. Przejście przez nie nie należało do przyjemnych doznań. Pomna na wcześniejsze doświadczenia zostawiłam swoje sandały na skraju plaży i ostrożnie stąpając boso, przebyłam tę niefortunną zawalidrogę. Za nią niecka morza gwałtownie się obniżała i momentalnie znalazłam się w brei sięgającej kolan. Ponieważ nie chciałam zmoczyć ubrania, pozostawała mi do brodzenia tylko niewielka przestrzeń. Parę kroków w jedną stronę i z powrotem, w drugą. Część naszego towarzystwa z Zosią na czele wlazła głębiej, taplając się aż po pas w słonej wodzie, a grupka starszych

pań – ku mojemu zdziwieniu − zabrała się z niespotykaną werwą do napełniania plastykowych butelek pływającymi przy samym brzegu grudkami morskiej soli. Zastanawiałam się, po co im to. Ta wiara w lecznicze właściwości morskiej soli znad Morza Martwego osiągnęła już chyba absurdalne rozmiary. Ale to nie mój problem. Po jakimś czasie takie monotonne dreptanie mi się znudziło. Dałam Zosi znak, że pasuję, a ona odkiwnęła mi ze zrozumieniem. Z sandałami w ręce podeszłam pod natrysk, chcąc spłukać zapiaszczone i brudne od soli nogi. No i sobie narobiłam kłopotu. Najpierw wydało mi się, że woda cieknie zbyt małym strumieniem, więc nieopatrznie odkręciłam bardziej kurek, zapominając na moment, iż stoję pod rurą w ubraniu. Zanim zdążyłam odskoczyć, rzęsisty strumień oblał mnie dokumentnie. Parskając, poczołgałam się na drewnianą ławkę i wystawiłam do słońca w nadziei, że zdążę wyschnąć do wejścia do autobusu. I jak tu miło wspominać pobyt nad Morzem Martwym? Najpierw nieszczęsne klapki, a teraz głupie zmoknięcie. Jedyny plus to taki, że migrena przestała mnie nękać.

Do zwiedzania Qumran mogłam przystąpić już w całkiem dobrej kondycji.

Było to dla mnie szczególnie ważne, gdyż w swoim czasie żywo zainteresowałam się znaleziskiem zwojów znad Morza Martwego. Przeczytałam na ten temat parę artykułów i kilka rozpraw oraz książek popularnonaukowych. Lecz co innego czytać, a co innego mieć możliwość bezpośredniej konfrontacji. Byłam ciekawa,

czy moje wyobrażenia o tym miejscu się potwierdzą, czy raczej zastana rzeczywistość mnie rozczaruje. Początek nie zapowiadał się optymistycznie. Stanęliśmy przed współczesnym budynkiem i brat, kierujący nas do wejścia, zdobył się jedynie na stwierdzenie:

– Drodzy państwo, przybyliśmy do Qumran, w którym swoją osadę założyła żydowska społeczność esseńczyków. Była to grupa mnichów prowadząca tutaj, na Pustyni Judzkiej, pustelniczy tryb życia. Odcięci od zewnętrznego świata podejmowali praktyki religijne oraz parali się pisaniem tekstów. Stąd też nazywamy ich kronikarzami. Lata działalności esseńczyków zbiegają się częściowo z okresem ziemskiego bytowania naszego Pana Jezusa, dlatego odnalezione w jaskiniach rękopisy mają dla nas, chrześcijan, znaczenie. Ich odszyfrowanie pozwoliło lepiej poznać tamtą epokę i jej uwarunkowania historyczne.

Sprytnie – pomyślałam. Żadnej wzmianki o tym, że esseńczycy kopiowali księgi biblijne i zamieszczali do nich swoje własne komentarze. Wynika z nich niezbicie, że nie uznawali oni żadnej władzy i wręcz namawiali do występowania przeciwko niej. Snuli oni apokaliptyczną wizję świata, uważając, że koniec świata rychło nastąpi i wówczas wszelkie zło, w tym przede wszystkim panowanie Rzymu w Judei, się zakończy. Dobro zatryumfuje. Znawcy przedmiotu idą nawet dalej, stawiając hipotezę, że treść tych przekazów pokrywa się z wizją nadejścia Królestwa Bożego, roztaczaną w kazaniach przez Jezusa, które spisane zostały w Ewangelii świętego Mateusza. To

oznaczałoby, że Chrystus był z nimi w jakiś sposób powiązany. A tak w ogóle – o tym też braciszek nie wspomniał – wokół interpretacji treści odczytanych zwojów w świecie naukowym toczyła się polemika. Najsłynniejszy był spór między angielskim badaczem qumrańskich tekstów, Johnem Allegro, a kapłanem biblistą, Józefem Milikiem. Oni byli członkami pierwszego międzynarodowego zespołu ekspertów, powołanego w celu odszyfrowania zwojów w 1953 roku, kierowanego przez dominikanina Rolanda de Vaux. W latach późniejszych Milikowi jako największemu autorytetowi w dziedzinie znajomości tekstów zwojów niejednokrotnie zarzucano, że nie chce udostępniać materiałów z Qumran, do których on sam miał tylko dostęp. Uznano, iż jest to działanie celowe, powodowane obawą, aby te materiały nie zostały wykorzystane przeciwko Kościołowi, a ściślej, aby nie stały się podstawą podważania nauki o boskości Jezusa Chrystusa. Milik lekceważył innych badaczy, uznając, iż posiadł większą wiedzę od nich. Nawet nie odpowiedział na ofertę współpracy z tak szacowną instytucją jak Izraelski Departament Starożytności. Dopiero w latach siedemdziesiątych, gdy nie był już duchownym, zdecydował się upublicznić swoje materiały, pracując we francuskim Centre national de la recherche scientifique − Krajowym Centrum Badań Naukowych. No tak, wszystko fajnie, ale przecież nie mogę wymagać od braciszka, aby przekazywał takie wiadomości w trakcie oprowadzania po Qumran katolickiej pielgrzymki − szybko uświadomiłam sobie.

Weszliśmy do środka. W dwóch średniej wielkości salach, w przyściennych witrynach zobaczyliśmy kopie zwojów. Oryginały są przechowywane w Jerozolimie, w Muzeum Izraela i w Muzeum Rockefellera. Wyeksponowano głównie kopie skórzane i papirusowe. Chciałam koniecznie ujrzeć kopię słynnego Zwoju Miedzianego, bo wiedziałam, że na nim sporządzono intrygującą listę miejsc ukrycia skarbów pochodzących ze Świątyni Jerozolimskiej, odczytaną przez ekspertów, którzy jednak nie mają pojęcia, gdzie te miejsca współcześnie można zlokalizować. Być może był on wśród innych kopii, niestety braciszek na oględziny tychże eksponatów poświęcił zbyt mało czasu. Zaraz po informacji, że właśnie tak wyglądają zwoje przypadkowo odnalezione przez pasterza w pobliskiej jaskini na początku 1947 roku i że to znalezisko dało początek szeroko zakrojonym pracom archeologicznym prowadzonym do roku 1956, w rezultacie których w jedenastu grotach odkryto ponad osiemset rękopisów zamkniętych w glinianych dzbanach, kazał nam przejść do sali kinowej. Dopowiedziałam sobie, że esseńczycy całą swoją bibliotekę ukryli w grotach przed Rzymianami, którzy w trakcie pierwszego powstania żydowskiego w roku 68 n.e. zajęli i zburzyli siedzibę wspólnoty.

Puszczono nam krótki filmik pokazujący scenki z codziennego życia eremickiej społeczności. W jednej z jego odsłon poruszono wątek przynależności Jana Chrzciciela do tej sekty. Pada tam stwierdzenie: „On był

jednym z nas, ale odszedł. Wybrał inną drogę". Zatem uzyskałam potwierdzenie, że przynależność Jana Chrzciciela do esseńczyków stanowi niezaprzeczalny fakt. Wobec powyższego hipotezy o zbieżności treści przekazów Pana Jezusa z przekazami esseńczyków wydają się jak najbardziej prawdopodobne. Ogniwem je łączącym jest postać Jana Chrzciciela. On przecież nie tylko ochrzcił Jezusa w wodach Jordanu, ale także mógł przekazać spuściznę duchową esseńczyków. Całkiem możliwe, że przynajmniej w jakiejś części miał wpływ na głoszone przez Jezusa nauki – myślałam. Końcowe dokumentalne ujęcia, obrazujące przebieg prac wykopaliskowych, przerwały moje mędrkowanie.

Większość niechętnie opuszczała klimatyzowaną salę kinową po to, aby w nadal wściekle palącym słońcu zwiedzić ruiny Qumran. Ja pognałam zaraz za ojcem. W odległości paru kilometrów od odkopanej osady, po prawej stronie, majaczył ciąg wzniesień. Wewnątrz nich, w wapiennych i marglowych jaskiniach, odkryto zwoje. Kluczyliśmy między częściowo odkopanymi fragmentami budynków o różnym gospodarczym przeznaczeniu, aż dotarliśmy do łaźni napełnianej wodą doprowadzaną akweduktem ze wzgórz. Tym, którzy niezbyt się orientowali, brat objaśnił, że w religijnym życiu esseńczyków ablucja odgrywała istotną rolę. Kilkakrotnie w ciągu dnia w ramach przygotowań do modlitwy kronikarze poddawali się rytualnemu oczyszczeniu, zanurzając swoje ciała w mykwach. Nie tylko jednak mykwy

spełniały funkcję rytualnych obiektów. Niedaleko łaźni brat kazał nam się zatrzymać przy fragmentach niskiego czworoboku i polecił przypomnieć sobie kilka kadrów filmiku, pokazujących brodatych eremitów odzianych w nieskazitelnie białe szaty w trakcie modlitwy. Według jego słów te modlitwy, a ściśle rytualne błogosławieństwo, które rozpoczynało każdy wspólny posiłek esseńczyków, odbywały się właśnie w tym pomieszczeniu, nazywanym ze względu na jego przeznaczenie salą Proskynesis, co w wolnym tłumaczeniu oznacza salę pokłonów, składania hołdów. Ciekawe, nie spotkałam się jak dotąd z tą nazwą. Następnie na nieco dłużej zatrzymaliśmy się przy fragmentach izby, w której archeolodzy odkryli duży stół oraz zapasy kałamarzy i niezapisanych zwojów. Dzięki temu zidentyfikowano tę pozostałość jako ówczesne skryptorium. Pod nim znajduje się wydrążona grota, być może mieściła się w niej główna biblioteka esseńczyków. To był ostatni punkt naszego zwiedzania Qumran. Być może brat chciał pokazać nam coś więcej, ale nasze starsze panie, ku mojemu niezadowoleniu, zaczęły głośno biadolić, że już mają dosyć oglądania ruin.

Znowu, psiakrew, to samo! Jeśli mnie coś faktycznie interesuje, to większość grupy nie ma ochoty tego oglądać. Pielgrzymka pielgrzymką, ale nie można się ograniczać tylko do przebywania w kościołach, jeśli jest okazja zobaczenia tylu arcyciekawych, historycznych miejsc. Skóra mi cierpnie na myśl o tym, że braciszek ulegnie presji naszych matron i na zasadzie tylko pobieżnego wglądu

pokaże nam Herodion. Ale przecież obiecał! W razie czego przypomnę mu to!

Z takim nieugiętym postanowieniem, bojowniczo nastawiona wsiadłam do autokaru. Sprawiedliwie rzecz ujmując, jak do tej pory brat dobrze wywiązywał się ze swojej funkcji przewodnika zarówno w Masadzie, jak i w Qumran, starał się nam pokazać wszystko, co najistotniejsze. Może i Herodion tak samo potraktuje? – pomyślałam, po czym nieco się uspokoiłam.

Przez pozostały odcinek trasy próbowałam zaszufladkować sobie w głowie wrażenia z Qumran. Na gorąco doszłam do wniosku, że w sumie ani się nimi zbytnio nie rozczarowałam, ani też nie zachwyciłam. Konfrontacja wyobrażeń z rzeczywistością wypadła właściwie pozytywnie. Chociaż może spodziewałam się ujrzeć tam bogatszą ekspozycję odkopanych artefaktów i przynajmniej kilka oryginalnych zwojów. Tego trochę mi zabrakło, no i bardziej szczegółowego komentarza o działalności esseńczyków, włącznie z ich udziałem w żydowskim buncie. Jednak nie mogłam wymagać, aby braciszek roztrząsał różne teorie spiskowe odnośnie do esseńczyków − w końcu musi się trzymać „jedynej słusznej linii”.

Tablica informacyjna „Park Narodowy − Herodion” przerwała moje dalsze dywagacje.

Jego zwiedzanie rozpoczęliśmy także od krótkiego seansu filmowego.

Wprawdzie puszczono nam film w wersji angielskiej, ale nawet przy mojej kiepskiej znajomości tego języka

zrozumienie treści filmiku nie nastręczało żadnych trudności. Najogólniej mówiąc, film pokazywał różne reakcje poddanych na wieść o śmierci króla Heroda Wielkiego. Z wyjątkiem najbliższych sług i dowódców wojskowych, którzy – wynikało tak przynajmniej z filmu − szczerze kochali swojego władcę i dlatego odczuwali smutek po jego odejściu, wszystkich pozostałych ucieszyła wiadomość o śmierci tyrana. Radość wyrażał prosty lud, okazywali ją urzędnicy, możnowładcy i kapłani. Nawet najbliższa rodzina. Finałowa scena przedstawia ostatnią żonę Heroda, najprawdopodobniej Elpis, tłumaczącą córeczce, Salome, że teraz nareszcie będą mogły czuć się bezpiecznie.

Odnośnie do tej sceny przypomniała mi się wzmianka, że Herod cierpiał na chorobę nerek. Podawano mu na tę dolegliwość silne środki, których działanie uboczne wywołało u niego chorobę umysłową. I stąd brało się jego obsesyjne wietrzenie wszędzie spisków, które mogłyby pozbawić go władzy. W efekcie zamordował swojego pierworodnego syna, jedną ze swoich żon i jej synów. Nie oszczędził nawet brata i matki. Prześladował możnowładców, a na lud nieustannie nakładał drakońskie podatki, w związku ze stawianiem kolejnych budowli. Dlatego nie ma się co dziwić, że jego śmierć w 4 roku p.n.e. powitano z radością. Herod doskonale zdawał sobie sprawę, że poddani go nienawidzą i nikt nie będzie go opłakiwał, dlatego nakazał uwięzić najstarszych synów z każdej żydowskiej rodziny i wydał rozkaz ich zgładzenia

w momencie swojej śmierci, licząc, że dzięki temu kraj pogrąży się w żałobie. Tego okrutnego rozkazu nikt jednak nie wykonał. Nieważne, że wkrótce po śmierci tyrana przez cały kraj przetoczyła się fala krwawych starć o schedę po nim. Historia nazwała je wojną Warusa, ale to już całkiem inny rozdział dziejów.

Dopiero po wyjściu z sali kinowej mogliśmy dokładniej przyjrzeć się miejscu, do którego dotarliśmy. Przed nami rozpościerała się góra ze ściętym wierzchołkiem i z widocznymi na nim ruinami murów, a u jej podnóża, gdzie właśnie stanęliśmy, też wszędzie dookoła rzucały się w oczy pozostałości antycznych zabudowań. Bez przewodnika nijak nie można było w tej plątaninie pozostałości się rozeznać. Na szczęście nasz braciszek i tym razem stanął na wysokości zadania. Upiwszy spory łyk nieodłącznej coca-coli, zaczął objaśniać:

– Moi drodzy, znajdujemy się na miejscu wielkiej i ostatniej budowli Heroda, na górze popularnie zwanej Górą Franków. Jest to miejsce, w którym Herod pobił wojska dynastii Machabeuszów, panującej w Judei, zapewniając sobie tym zwycięstwem zwierzchność nad nią – oczywiście za aprobatą Rzymu. Ku uczczeniu tego wydarzenia władca postanowił tutaj stworzyć imponujący zespół architektoniczny, który miał być zarazem pałacem, fortecą i jego pośmiertnym mauzoleum. Architekci króla zbudowali dwupoziomowy kompleks, składający się z miasta dolnego – to tu, gdzie stoimy − i z pałacu, będącego równocześnie fortecą rozciągającą się na

wierzchołku góry. W wyniku prac archeologicznych w dolnym mieście odsłonięto między innymi duży basen z resztkami kolistego pawilonu, znajdujący się pierwotnie w centralnej części ogrodów, otoczonych rzędami kolumnad. Pojedyncze ich fragmenty przetrwały do dzisiaj. Bezpośrednio za ogrodami odkryto pozostałości pałacu, magazynów i rzymskich łaźni. Na szczycie wzgórza za grubymi fortecznymi murami stał pałac letni. Dzisiaj już niewiele z niego pozostało. Wiadomo z opisów, że jego luksus przyćmiewał wszystkie dotychczasowe herodiańskie budowle. Od wschodu otaczał go imponujący dziedziniec, a od zachodu znajdowały się królewskie komnaty, ogromne sale i łazienki zaopatrywane w wodę z cystern wykutych wewnątrz, w skale, na głębokości piętnastu metrów pod pałacem. Do pałacu na górze prowadził sekretny korytarz, który celowo zamurowano po śmierci króla. Proponuję teraz państwu krótki spacer między pozostałościami dolnego miasta, a jeśli ktoś chce, może wejść na górę. Podejście trwa niespełna pięć minut. Z góry rozciąga się panorama od Morza Martwego aż po Jerozolimę. Dwadzieścia minut powinno wszystkim wystarczyć, zatem po upływie tego czasu proponuję zbiórkę w tym samym miejscu. Ja spróbuję w tym czasie podzwonić. Może uda nam się zorganizować wieczorną mszę w Betanii.

Pokręciłam się nieco wśród ruin na dole, oglądając między innymi resztki kolumn, będących niegdyś częścią dużej kolumnady. Według mnie ich styl przypominał joński, ale nie byłam pewna. Sądząc po pozostałościach głowic

przypominających zakręcone rogi i smukłym kształcie trzonu, można było przynajmniej tak domniemywać. Oj, przydałaby się na tę chwilę lepsza znajomość architektonicznych detali! Jednakże ta dziedzina wiedzy nigdy mnie nie pociągała.

Robiąc z Zosią kolejne kółeczko między pozostałościami, zobaczyłam Waldków i kilka innych osób zmierzających podejściem w górę. Zosia nie miała ochoty na wspinaczkę, a więc zostawiłam ją z moją torbą i szybciutko dołączyłam do nich. Tym późnym popołudniem słońce już jakby trochę odpuściło, dlatego wejście nie sprawiło nam aż takiej dużej trudności. Być może było to tylko złudzenie po prażeniu się w Masadzie.

Darowaliśmy sobie penetrację ruin i stanęliśmy przy wystającym kikucie wieży antycznej fortecy, aby móc podziwiać krajobraz. Urzekła nas cudowna panorama, roztaczająca się przed nami. Miała w sobie coś kuszącego, nastrajającego nostalgicznie. Myśli moje poszybowały w stronę domu. Poczułam się nagle bardzo samotna, rzucona w objęcia całkiem obcych mi żywiołów… Pociągały mnie one, czarując swoją innością, ale jednocześnie – tak jak w tej chwili − wywołały odczucie irracjonalnego lęku…

– Coś się tak zamyśliła?! Musimy już wracać! – Waldek sprowadził mnie na ziemię.

Miał słuszność. Pora była najwyższa. To ja straciłam poczucie czasu, oddając się nostalgicznym myślom. Też mi się zebrało na rozmyślania jak głupiej, małej gąsce, tęskniącej do tatusia – skarciłam samą siebie w myślach.

Jednak w głowie zakiełkowało mi mocne postanowienie, że wieczorem zadzwonię do Jacka.

Gdy schodziłam, moje nogi przypomniały znowu o sobie.

− Jeszcze to! – jęknęłam cicho.

Stanowczo za dużo jak na jeden dzień. Ledwie pożegnałam się przecież z migreną. Jeśli w następnych dniach moja kondycja się nie poprawi, będę truchtała do końca pielgrzymki w ostatnim szeregu wraz z wianuszkiem starszych matron. Taka perspektywa wydała mi się zatrważająca. Kolejny raz będzie trzeba sięgnąć po Zosiny lioton!

Na miejscu zbiórki usłyszeliśmy:

– Słuchajcie! Zorganizowałem mszę w Betanii. Niezwłocznie się tam udamy. W autokarze − mam nadzieję, że zdążę, bo to w sumie niedaleko − przeczytam wam fragmenty Ewangelii opisujące wydarzenia, jakie tam miały miejsce. Pospieszcie się!

– Ale jeszcze toaleta – odezwało się parę nieśmiałych głosów.

– Musicie wytrzymać! Przy kościele będziecie mogli z niej skorzystać, zanim przysposobię się do mszy. Teraz szkoda czasu.

Grunt to dyscyplina – pomyślałam. Reżim jak w wojsku. I z uśmiechem wsiadłam do autobusu. Ja byłam w komfortowej sytuacji i nie czułam potrzeby zaliczenia toalety, w przeciwieństwie do Zosi, która przez całą drogę podczas czytania ojca wierciła się ze zbolałą miną.

Brat rozpoczął od przeczytania ustępu Ewangelii świętego Łukasza, opisującego wizytę Pana Jezusa wraz z uczniami w gościnnym domu dwóch sióstr, Marty i Marii, a następnie przeszedł do fragmentów zaczerpniętych z Ewangelii świętego Jana, opisujących wskrzeszenie Łazarza. Wspomniał także, że w tym miejscu według tego ewangelisty odbyła się uczta z udziałem naszego Pana na sześć dni przed Paschą. Zakończył słowami:

– Tyle o Betanii mówią Ewangelie. Dziś powszechnie nazywa ją się al-Azarije, co stanowi arabskie zniekształcenie chrześcijańskiej nazwy Lazarium, pochodzącej z IV wieku od kościoła wzniesionego nad grobem Łazarza. Resztę dopowiem po mszy. Właśnie dojeżdżamy.

Czas oczekiwania na mszę spędziłam w miniaturowym przykościelnym ogródku, pięknie utrzymanym przez ojców franciszkanów – gospodarzy tego obiektu. Gdy do niego dochodziłam, w oko wpadły mi duże krzyże jerozolimskie zdobiące drzwi i mur sanktuarium. Trochę się zdziwiłam, że dopiero teraz się na nie natknęłam. Być może na innych obiektach je po prostu przegapiłam, a przecież są one charakterystycznym emblematem Ziemi Świętej.

Ten krzyż składa się z równych ramion zakończonych szerszą, prostopadłą linią. I dodatkowo w przestrzeni między ramionami umieszczone są cztery małe, proste krzyże greckie. Różne są interpretacje tego symbolu. Niektórzy twierdzą, że ma on być odwołaniem do Chrystusa i czterech Ewangelii lub czterech kierunków świata,

w których rozeszło się Jego nauczanie z Jerozolimy. Dla innych oznacza on Ziemię Świętą i cztery królestwa, z których wywodzili się rycerze I krucjaty. Faktem jest, że krzyżowcy obrali go za godło Królestwa Jerozolimskiego, a obecnie stanowi on między innymi symbol franciszkańskiej Kustodii Ziemi Świętej.

W kościele Wskrzeszenia swoim zwyczajem wybrałam dość odległe od ołtarza miejsce, sadowiąc się na drewnianym składanym krzesełku, dostawionym za kilkoma rzędami ławek w nawie głównej. Miałam pecha, bo nieopatrznie klapnęłam na krzesło niemiłosiernie skrzypiące przy każdym gwałtowniejszym ruchu i dlatego moje oglądanie świątyni w trakcie mszy musiało się ograniczyć jedynie do tego, co mogłam zobaczyć, przekręcając samą głowę.

Uderzył mnie brak okien w bocznych ścianach, pokrytych w całości mozaikami przedstawiającymi sceny zaczerpnięte z tych fragmentów Ewangelii, które brat nam czytał w autobusie. Jedna z mozaik uwieczniała rozmowę Jezusa z Martą i Marią, inna wskrzeszenie Łazarza, a jeszcze inna, jedna z ostatnich, namaszczenie Jezusa na uczcie. Dostęp światła do wnętrza zapewniał tylko przeszklony otwór, umieszczony w kopule świątyni, co wywoływało nieco ponure wrażenie. Trochę jak w grobowcu. Uwaga brata jeszcze przed wejściem do kościoła, że zamierzeniem architekta było zaprojektowanie tego przybytku w taki sposób, aby swoim kształtem

przypominał kontury rzymskiego grobowca – w nawiązaniu do grobu Łazarza – tutaj, we wnętrzu, się potwierdzała.

Zaraz po mszy braciszek zgromadził nas na przykościelnym placu, gdzie wyeksponowano fragmenty mozaik pochodzące z IV wieku, z istniejącego tu wówczas w pobliżu kościoła Lazarium. Według słów brata:

– Betania już od pierwszych wieków chrześcijaństwa była celem licznych pielgrzymek. Zarówno Euzebiusz z Cezarei, jak i święty Hieronim w swoich pismach wymieniają to miejsce. W XII wieku krzyżowcy zbudowali tutaj dwa kościoły. Jeden wznieśli nad grobem Łazarza, a drugi w miejscu, gdzie według tradycji mieścił się dom Marty i Marii. W XVI wieku na ruinach tego pierwszego powstał meczet, natomiast grunt z pozostałościami drugiego kościoła w XIX wieku zakupiła Kustodia Ziemi Świętej i w XX wieku zbudowała nowe sanktuarium wraz z przylegającym do niego klasztorem. Przejdziemy się teraz parę kroków ulicą i zobaczymy kryptę Grobu Łazarza. Pomimo późnej pory udało mi się załatwić pozwolenie na pokazanie wam jej. Z tą kryptą wiąże się ciekawa historia. Wspomniałem już, że w XVI wieku muzułmanie na ruinach kościoła Świętego Łazarza wybudowali meczet, odcinając tym samym dostęp do grobu świętego chrześcijańskim pielgrzymom. Zaradził temu na początku XVII wieku ówczesny Kustosz Ziemi Świętej, który wykupił od islamistów prawo wykucia w skale odrębnego przejścia, prowadzącego bezpośrednio do krypty Łazarza. Chodźmy zatem!

Puściutka prawie zupełnie o tej porze dnia uliczka, w całości wyłożona kamiennymi, nadgryzionymi zębem czasu płytami, łagodnie wspinała się w górę. Przeszliśmy nią obok meczetu, którego minaret dumnie wznosił się w sąsiedztwie kościelnej dzwonnicy, i stanęliśmy przed miniaturowej wielkości drzwiami, osadzonymi bezpośrednio w fundamencie kamiennego murku. Z poziomu ulicy ledwie je można było zauważyć. Ze względu na małe rozmiary groty brat kazał nam podzielić się na kilkuosobowe grupki i ostrzegając, abyśmy trzymali nisko głowy, przekroczył z pierwszą grupką drzwi. Ja byłam wśród nich. Zaraz za drzwiami rozpoczynały się wykute w skale schody prowadzące w dół pieczary. Nimi dotarliśmy do przedsionka grobu. W tym niskim pomieszczeniu należało zgiąć kręgosłup tak bardzo, jak to tylko możliwe, po to, żeby prawie na czworakach przecisnąć się ciasnym wejściem do komory grobowej i pokonać ostatnie trzy stopnie. W półmroku poza kamienistą jamą i wnęką wyżłobioną w jednej z jej ścian niczego więcej nie zauważyłam. Braciszek, poinformowawszy, że pierwotnie komora grobowa zastawiona była kamieniem tarasującym wąskie przejście, nakazał nam odwrót. On sam pozostał w pieczarze, oczekując na wahadłowe zejście kolejnej grupki. Przy jego posturze zrobienie paru rund w górę i w dół byłoby nie lada wyczynem. Taka kpiąca myśl zaświtała mi w głowie w trakcie opuszczania krypty.

Tuż po wyjściu Zosia, która nie pałała chęcią zobaczenia grobu Łazarza, pociągnęła mnie za spodnie,

komenderując:

– Chodź szybko obejrzeć buty!

Dopiero teraz zorientowałam się, że uliczka nie jest taka całkiem wymarła, jak początkowo mi się zdawało. Wprawdzie przechodniów ani żadnych pojazdów nadal nie dostrzegałam, ale za to parę metrów od nas, po przeciwnej stronie, stał samotny stragan z obuwiem, oczywiście czynny i oczywiście budzący żywe zainteresowanie naszych pań. Pewnie stary Arab, właściciel tego kramiku, liczył w niedzielę na zrobienie dobrego interesu na grupach pielgrzymkowych. Niestety chyba się przeliczył, przynajmniej w stosunku do nas. Panie, owszem, żywo się zainteresowały, oglądały, pytały o cenę, uśmiechały się, słysząc Araba zachęty do kupna, lecz do portfeli nie sięgnęły. Wyjątek stanowiła „siostra” Danka, która po kilku przymiarkach zdecydowała się kupić parę domowym sposobem wykonanych sandałów. Miałam obawy co do ich jakości, lecz w końcu to nie moja sprawa. Wszechwiedząca Zosia szepnęła mi na ucho, że naszej „siostrzyczce” całkowicie rozpadły się dwie pary tenisówek i na domiar złego bardzo poobcierała sobie w tym upale nogi, dlatego zmuszona była kupić te sandałki. Całej tej sytuacji wolałam przypatrywać się, stojąc w pewnej odległości.

– No, na dzisiaj dosyć! Pora najwyższa wracać na kolację! – wysapał zziajany braciszek po wynurzeniu się z krypty. – Za chwilę powinniśmy być w domu! Miniemy tylko przedmieścia Jerozolimy, przejeżdżając obok wschodnich zboczy Góry Oliwnej, a stamtąd zostanie nam

zaledwie parę ulic do pokonania. Nie ociągajcie się tylko z zejściem na kolację, bo znowu czeka mnie bura od sióstr za zbyt późny powrót.

W pełni dostosowaliśmy się do prośby ojca i już po piętnastu minutach od przyjazdu w komplecie stawiliśmy się w stołówce. Wszyscy byli, lecz braciszka miejsce pozostawało jeszcze bardzo długo puste. Dopiero w środku posiłku pojawił się, zasiadając z zasępioną miną do stołu. Coś poszło nie tak? – przeszło mi przez myśl, gdy ukradkiem obserwowałam posilającego się niedbale brata. Widać było wyraźnie, że jest wzburzony. Atmosfera zagęściła się, kiedy ojciec poprosił, abyśmy po kolacji zostali jeszcze przez chwilę, bo ma nam coś ważnego do zakomunikowania. W milczeniu oczekiwaliśmy na komunikat, wróżąc z tonu brata, że nie będzie to dla nas przyjemne. Nie myliliśmy się. Po pauzie brat wyłuszczył:

– W niezłą chryję kilka naszych pań wpakowało mnie i Bogu ducha winne siostry swoim niefrasobliwym zachowaniem wczoraj wieczorem, podczas podglądania orszaku bar micwy. Co was, do licha, podkusiło, żeby wybiegać wprost na ulicę, prawie w negliżu, a do tego beztrosko obfotografowywać uroczystość? Przecież już pierwszego dnia prosiłem, apelowałem i ostrzegałem, aby tego nie czynić! Powtarzałem to także i przy innych okazjach, jednak wy to zignorowałyście. Mówiłem, że dla nich takie zachowania równoznaczne są z obrazą ich uczuć religijnych i należy to uszanować, a nie mieć w nosie. Skutek jest taki, że zaraz po naszym porannym wyjeździe

siostry zastały przyklejony do bramy list, w którym chasydzi wyrazili swoje oburzenie z powodu wysoce niestosownego zachowania damskiej części pielgrzymki. Posunęli się nawet do gróźb, że w razie powtórzenia się tego typu incydentu w rewanżu zafundują siostrom – jak to już kiedyś miało miejsce − kilka nieprzyjemnych dla nich ekscesów. Obawiam się, że mogą dotrzymać słowa. No i po co było narażać niepotrzebnie siostry? Pojutrze przecież opuszczamy już Jerozolimę, a siostry muszą tu żyć nadal! Trudno, stało się! Nie ma sensu dalsze roztrząsanie tego tematu. Mam nadzieję, że do końca pobytu nic podobnego nie będzie miało miejsca. Idźcie się wcześniej położyć, bo pewnie odczuwacie skutki dzisiejszego przebywania w żarze Masady. Jutro trochę dłużej możecie spać. Wyjedziemy po śniadaniu, które planuję na wpół do ósmej. Co do szczegółów odnośnie do planowanego zwiedzania, to poinformuję was o nich też jutro rano. Mam w zanadrzu kilka propozycji, lecz muszę je jeszcze trochę dopasować. Życzę wam dobrej nocy!

Nie miałam ochoty wysłuchiwać komentarzy po reprymendzie od brata. Mnie absolutnie ona nie dotyczyła. Wczoraj po kolacji ubrana byłam stosownie. Trudno, aby zza balustrady tarasu na dachu kogoś mogły obrazić moje nagie łydki. Zosia tym bardziej nie poczuwała się do winy, ponieważ ona w ogóle nie zainteresowała się żydowską uroczystością. Wobec powyższego mogłyśmy nie przejmować się całym zajściem. Niemniej jednak doszłyśmy do wniosku, że wstyd nam jest przed bratem i siostrami za

takie nieodpowiedzialne zachowanie naszych niektórych współtowarzyszek.

Zrobiło się przeraźliwie późno. Zosia od razu pomaszerowała do pokoju, twierdząc, że jest kompletnie padnięta i swój łazienkowy pobyt ograniczy jedynie do niezbędnego minimum. Dla mnie oznaczało to oczekiwanie około dwudziestu minut. Akurat tyle, żeby odbyć krótką rozmowę z Jackiem i ewentualnie zaliczyć jeszcze palarnię.

Krzepiący głos męża w słuchawce poprawił moje samopoczucie. Gdzieś rozwiało się popołudniowe wrażenie osamotnienia i związanych z nim bezzasadnych lęków. Gwiaździste niebo, rozpostarte w tę noc nad Jerozolimą, po rozmowie z mężem wydało mi się wyjątkowo urokliwe. Oczy jednak oraz pozostałe części ciała domagały się rozpaczliwie odpoczynku.

Kiedy cichutko wślizgnęłam się do pokoju, Zosia już spała. Nareszcie stanęła na wysokości zadania i zmieściła się w czasie. Z korytarza też nie dochodziły dzisiaj wyjątkowo żadne dźwięki, więc bez przeszkód, najszybciej, jak tylko zdołałam, położyłam się i momentalnie zasnęłam.

~ DZIEŃ VIII ~

Poniedziałek

– Ciekawa jestem: w czym nasze panie dzisiaj wystąpią? – Tym pytaniem Zosia powitała mnie na dzień dobry.

– Mam nadzieję, że po tej drace nareszcie poszły po rozum, do głowy i przestaną się tak skąpo ubierać – odparłam gramoląc się z łóżka, a po solidnym przeciągnięciu się dodałam: – Chyba dotarło do nich, że według planu pielgrzymki przewidziane były tylko trzy pobyty nad morzem, które wczoraj już zrealizowaliśmy. Nie będą mogły się tłumaczyć ubiorem na plażę.

– Obyś miała rację! Spójrz jednak w okno. Znowu zapowiada się piekielnie gorący dzień. Na sto procent włożą bluzki na cieniutkich ramiączkach. Mogę się założyć!

– Zobaczymy!

Ku niezadowoleniu Zosi nie chciałam rozwijać tego tematu, ponieważ do śniadania pozostało już niewiele czasu i sama miałam problem, w co się tego dnia ubrać, bo oczywiście wieczorem sobie niczego nie przygotowałam. Biała, batystowa bluzka, wprawdzie przezroczysta, ale z krótkim rękawkiem, na którą się natknęłam zaraz po

otwarciu walizki, wydała mi się odpowiednia. Wolałam się jednak upewnić.

– Może być. To nic, że trochę się pomięła. Na grzbiecie się wyprostuje!

Posłuchałam autorytatywnego stwierdzenia Zosi.

Szybki prysznic, niezbędna reszta, no i byłam gotowa stawić czoło następnemu pielgrzymkowemu dniu.

Przy śniadaniu głównym tematem rozmowy stała się dobrze przez wszystkich przespana noc. Ja to wiedziałam najlepiej, gdyż żadnej nasiadówki za ścianą nie słyszałam. Czułam, że Zosia pali się do oplotkowania wieczornego zajścia, lecz zobaczywszy, że nasze towarzystwo taktownie unika tej kwestii, powstrzymała się. W ciągu całego dnia znajdzie zapewne niejedną okazję, aby się z panią Elą o tym nagadać.

– Szczęść Boże, moi drodzy. – Brat z dobrodusznym uśmiechem przywitał nas w drzwiach stołówki. Na szczęście pogoda ducha po wieczornym zgrzycie nie opuściła go. – Mam dla was dzisiaj same dobre wieści. Przede wszystkim odstąpimy od planowanego wyjazdu na pustynię Negew. Po wczorajszym pobycie w Masadzie, w tym żarze, doszły mnie słuchy, że macie już serdecznie dosyć prażenia się na pustyni. Dlatego zdecydowałem się was zabrać przed południem w bardziej przyjazną okolicę, a mianowicie do grot Mareszy. Na obiad nasz kierowca przygotował nam niespodziankę. Nie zdradzę jaką! Po nim zaś, przychylając się do państwa sugestii, wrócimy do Jerozolimy. W ostatni dzień pobytu w tym mieście będziecie

mogli przynajmniej przez dwie godziny sami po nim pochodzić. Mszę odbędziemy dzisiaj wyjątkowo na miejscu, w kaplicy u sióstr. Jeszcze jedna istotna sprawa: czy większość chce zobaczyć Jad Waszem? Jeśli tak, to podjedziemy tam, zaczynając od niego dzisiejszą wędrówkę.

Nie było sprzeciwu.

Na zbiórce przed autobusem wszystkie panie stawiły się w porządnych strojach. Część z nich nagie ramiona szczelnie okryła „kolonijnymi" chustkami, dzięki temu obyło się bez przykrych uwag. Jednak Zosia co do tych ramiączek miała w zupełności rację – pomyślałam uszczypliwie.

Z mikrofonu brata, ku zdziwieniu wszystkich, zamiast zwyczajowych *Rannych zórz* popłynęły wdzięczne takty *Jak szczęśliwa Polska cała*. Po tej odmianie z uwagą wysłuchaliśmy informacji ojca o miejscu, do którego zmierzamy:

– Jad Waszem, czyli Instytut Pamięci Męczenników i Bohaterów Holokaustu, powstał w 1953 roku na mocy przyjętej przez Kneset ustawy o pamięci. Nazwa oznacza „miejsce i imię" lub „pomnik i imię". Jest to obecnie ogromny kompleks położony na kilku hektarach Jerozolimy. W skład jego wchodzą między innymi Nowe Muzeum Historyczne, przedstawiające historię ludobójstwa dokonanego na narodzie żydowskim, wraz z Ogrodem Sprawiedliwych Wśród Narodów Świata. A dalej rozlokowane zostały jeszcze: synagoga, archiwum, biblioteka oraz galerie sztuki. Swoją siedzibę ma tu także Międzynarodowa Szkoła Nauczania o Holokauście.

Wspomnieć należy również o pomnikach upamiętniających martyrologię Żydów, wykonanych przez światowej sławy rzeźbiarzy, które rozmieszczone są na dziedzińcu muzeum oraz w poszczególnych sektorach kompleksu. We wnętrzu muzeum znajdują się Izba Pamięci oraz tak zwana Sala Imion. W niej przechowywane są szczegółowe dane o ofiarach Holokaustu. Podobnie rzecz się ma w działającym przy muzeum archiwum, gdzie pomimo tylu lat od czasu zakończenia wojny te dane ciągle są uzupełniane. Biblioteka Jad Waszem posiada największe na świecie zbiory książek i artykułów omawiających tematykę eksterminacji narodu żydowskiego. Jeśli zaś chodzi o nadawanie zaszczytnego medalu „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata", to Instytut Jad Waszem przyznaje go od 1963 roku. Wspominałem już nad grobem Schindlera, że jest to honorowy tytuł przyznawany osobom, które z narażeniem życia ratowały Żydów podczas II wojny światowej. Na medalu wytłoczona jest sentencja „Kto ratuje jedno życie, ratuje cały świat". Na początku każdy Sprawiedliwy symbolicznie zasadzał drzewko na terenie kompleksu i w taki sposób powstał Ogród Sprawiedliwych. Obecnie z braku miejsca sadzenie drzewek zamieniono na umieszczanie nazwisk Sprawiedliwych na specjalnej ścianie pamiątkowej. Nadmienić muszę, że dumni powinniśmy być z faktu, iż wśród tej masy drzewek aż tyle zostało posadzonych rękami naszych rodaków. Szczególnie jedno ma wyjątkowe znaczenie, a mianowicie to, które posadzili w 1963 roku profesor Władysław Bartoszewski i Maria

Kann w imieniu Rady Pomocy Żydom – Żegoty, konspiracyjnej organizacji społecznej. Oczywiście ten zaszczytny tytuł Instytut przyznaje na wniosek osób, które dzięki bohaterskiej pomocy zdołały przetrwać Holokaust. Wymagane jest autentyczne świadectwo ich samych lub też ich najbliższych krewnych. Instytut przeprowadza szczegółową weryfikację tych świadectw i na tej podstawie przyznaje medal. Niestety czasów nam współczesnych większość bohaterów już nie doczekała, dlatego obecnie honoruje się ich pośmiertnie. Moi drodzy, wydaje mi się, że nie ma sensu zwiedzanie całego rozległego kompleksu. Chciałbym poprzestać na pokazaniu wam kilku sal Nowego Muzeum Historycznego, tych najbardziej zapadających w pamięć, i ewentualnie obejrzeniu rzeźb na dziedzińcu. To i tak będzie dla większości poruszające przeżycie. Ci, którzy nie czują się na siłach, aby czegoś takiego doświadczyć, mogą pozostać w westybulu muzeum, tam zdaje się jest czynna mała kawiarenka. Zwiedzanie nie powinno zająć więcej niż pół godziny.

Po tym wstępie nogi mi się trochę ugięły. Zaczęłam się bać, czy zdołam opanować wzruszenie. Znając siebie, wiedziałam, że zaraz w pierwszej sali łzy napłyną mi ciurkiem i nie będę mogła ich w żaden sposób opanować. Do tej pory starałam się unikać tanatoturystyki. Kiedy w Polsce kilka razy przejeżdżałam obok Oświęcimia i Sztutowa, to zawsze brakowało mi odwagi, aby tam się zatrzymać. Teraz też spanikowałam. W pierwszym odruchu po wejściu do szklanego wnętrza muzeum chciałam się

wycofać i przeczekać w kawiarence. Jednak jakaś wewnętrzna siła, podparta zdroworozsądkowym myśleniem, że jest to być może jedyna szansa zobaczenia tego miejsca, popchnęła mnie ostatecznie do zwiedzania.

Stało się. Już w pierwszej sali, z symbolicznie umieszczonymi kamieniami, zaopatrzonymi w napisy o liczbie zamordowanych Żydów w poszczególnych krajach, wzruszenie ścisnęło mnie za gardło. W drugiej, będącej ponurym archiwum, zawierającym około trzech milionów kart informacji o zmarłych, poczułam przyspieszone tętno. Lecz to było nic w porównaniu z Podziemnym Pomnikiem Dzieci, symbolizującym zagładę najmłodszych. Tutaj ciemną przestrzeń pomieszczenia rozjarzają setki maleńkich światełek, palące się nieustannie na cześć ofiar, a z zainstalowanego głośnika wydobywa się monotonna, wyprana z wszelkich emocji lista z ich imionami, wiekiem i krajem pochodzenia. Symbolika tego miejsca jest porażająca. Od razu wyobraźnia podsuwa obrazy niewinnych dzieci, zapędzanych do komór gazowych. Rozbeczałam się na dobre.

Gdy wyszłam, odłączyłam się od grupy. Musiałam ochłonąć. W tej chwili nie interesowały mnie żadne rzeźby, chociaż wiedziałam, że warto byłoby zerknąć na Niemy Krzyk czy pomnik Ofiar Obozów Śmierci. Pospieszyłam na parking, trzymając bezwiednie paczkę dodatkowych chusteczek, które Zosia, widząca, co się ze mną dzieje, wcisnęła mi na odchodnym. Na przemian wycierając oczy i nos oraz wściekle zaciągając się papierosem, powoli

dochodziłam do siebie. Cóż, jestem naprawdę miękkie, zbyt łatwo wzruszające się jajo. Nic na to nie poradzę. Jedynym rozwiązaniem jest po prostu unikanie w przyszłości wszelkich tego typu wyciskaczy łez. Zdawałam sobie sprawę, że odtąd wizja tego miejsca zapadnie mi już do końca życia w pamięć.

Silne wrażenia odmalowały się na twarzach wszystkich powracających do autobusu. W kompletnej ciszy, z opuszczonymi głowami usiedliśmy na miejscach. Każdy na swój sposób starał się otrząsnąć i dojść do równowagi po szoku, którym było obejrzenie Jad Waszem. Pomógł nam w tym poważny ton brata:

– Moi drodzy, przewidziałem taką właśnie waszą reakcję. Wiem, że Jad Waszem nawet najbardziej emocjonalnie twardych ludzi potrafi rozkruszyć. Dobrze się stało, że od niego zaczęliśmy i teraz będziemy mogli nie tyle zapomnieć, bo tego się nie da, ale przynajmniej nieco rozproszyć te przygnębiające wrażenia, podziwiając przez pozostałą część dnia piękno przyrody. Udajemy się teraz do telli w okolicach Mareszy, czyli obieramy kierunek południowo-zachodni od Jerozolimy. Po drodze mamy jeszcze na Wyżynie Judejskiej rezerwat Avshalom z jaskinią Sorek. To urokliwe miejsce przypadkowo znaleźli robotnicy pracujący w kamieniołomach. W 1968 roku na skutek kruszenia skał materiałami wybuchowymi odkryli oni spoczywającą do tej pory wewnątrz wzgórza pieczarę z różnorodnymi formacjami naciekowymi, które zostały ukształtowane przez wody powierzchniowe w jej miękkim,

wapiennym wnętrzu. Na początku istnienie groty utrzymywano w tajemnicy i dopiero po dziewięciu latach udostępniono ją do zwiedzania. Jej osobliwość wiąże się z tym, że na stosunkowo małej powierzchni, gdyż ma ona zaledwie nieco ponad osiemdziesiąt metrów długości i sześćdziesiąt metrów szerokości, a jej wysokość nie przekracza piętnastu, natura wyrzeźbiła niesamowitą ilość form. Tak dużej koncentracji stalaktytów nie spotyka się nigdzie indziej. Zresztą nie ma sensu, abym opowiadał wam więcej, niebawem sami się o tym przekonacie.

Tymczasem autokar opuścił już okolice Wzgórza Herzla i willowe przedmieścia Jerozolimy i zanurzył się w „przyjazne okolice” – jak rano określił je braciszek – Wyżyny Judejskiej. Mijaliśmy poprzecinane bujnymi pastwiskami i częściowo zalesione pagórki, plantacje warzyw i sadów, a następnie po pokonaniu odcinka utwardzonej, skalistej drogi, biegnącej wśród kamiennych wyrobisk, dotarliśmy do celu.

Po przekroczeniu bramy u podnóża wzniesienia, wyglądem przypominającej wejście do podziemnego bunkra, znaleźliśmy się w bajkowym świecie. Dzięki odpowiedniemu oświetleniu z półmroku spozierały na nas barwne stalaktyty i stalagmity, których niesamowite kształty przyprawić mogły o zawrót głowy. Niektóre tworzyły wspaniałe, zagęszczone kompozycje, wypełniające w całości ściany groty, a niektóre, niczym fantastyczne, faliście powyginane kotary, zwisały ze sklepienia, wytyczając oddzielne przestrzenie. W nich natura

porozmieszczała dodatkowo pojedyncze nacieki o futurystycznych formach, tworząc oryginalny wachlarz kształtów. W zależności od wyobraźni każdy mógł je odczytywać na swój sposób.

Gapiłam się na te osobliwości przyrody jak urzeczona. Szczególnie długo przy formie będącej według mnie gigantycznych rozmiarów meksykańskim sombrero, chociaż Zosia twierdziła, że jej bardziej przypomina drapacz chmur, z kolei braciszek dopatrzył się w nim kształtu fabryki z dużym kominem. Nie dałam za wygraną, dla mnie był to kapelusz i basta.

Ta jaskinia wydała mi się wyjątkowa także z innych względów. Mianowicie we wszystkich jaskiniach, jakie do tej pory zwiedziłam, było o wiele zimniej – na przykład w naszej Jaskini Niedźwiedziej czy w czeskiej Macosze. Ponadto wszędzie tam rygorystycznie stosowano zasadę, że może w nich przebywać jednocześnie zaledwie kilkuosobowa grupa. Zdziwiłam się, że tutaj wpuszczają bez ograniczeń całe tabuny zwiedzających, światło pali się przez cały czas i jak na jaskinię ze stalaktytami jest wyjątkowo ciepło. Nie przypuszczałam, żeby był to wynik niefrasobliwości zarządzających, raczej takie postępowanie ma jakieś racjonalne podstawy, ale jakie? Nie wiedziałam, zwróciłam się więc z tą kwestią do wszechwiedzącego ojca.

– Trafnie pani zauważyła − odpowiedział − że i pod względem funkcjonowania ta jaskinia jest zupełnie wyjątkowa. Jej niezwykłe wapienne podłoże oraz zastosowanie w niej specjalnego oświetlenia, które nie tylko

dodaje blasku uformowanym naciekom, ale przede wszystkim je ochrania, według ekspertów pozwala na utrzymanie stosunkowo znośnej temperatury, niespotykanej w innych jaskiniach, i przebywanie w niej nielimitowanej liczby osób.

– Skoro tak orzekli eksperci, to nie ma powodu się niepokoić o zachowanie tej unikatowej ekspozycji, a swoją drogą o wiele przyjemniej jest się poruszać we wnętrzu, nie zgrzytając zębami z zimna, jak to miało miejsce u nas – powiedziałam, pogodnie podsumowując braciszkowe wyjaśnienie.

Po opuszczeniu jaskini, już w nieco raźniejszych nastrojach, rozlokowaliśmy się ponownie w autobusie. Zwiedzenie urokliwego zakątka przyrody okazało się odżywczym balsamem na nasze skołatane serca po wrażeniach z Jad Waszem. Sprzyjał temu też widok za oknami, ponieważ autokar zaraz po pokonaniu kamienistej nawierzchni wjechał na asfaltową drogę, kierując się na południe wśród rozpostartej dookoła zieleni.

– Znaleźliśmy się w centralnej części Idumei – kontynuował brat − historycznej krainy, gdzie ze względu na dogodne warunki życie nieprzerwanie toczy się od zarania dziejów. Jej południowe krańce stykają się z wypaloną przez słońce pustynią Negew, ale na szczęście my dzisiaj nie dojedziemy do niej, poprzestając na wizycie w Parku Narodowym Bet Guwrin i ponownie wykorzystując nasz zbiorowy bilet. – O tym poinformował nas braciszek Tuck, wyraźnie ucieszony z tego faktu.

Zwiedzanie rozpoczęliśmy od labiryntu jaskiń, częściowo wydrążonych przez naturę, a częściowo wykutych ręką człowieka, w tellu Goded, nieopodal Bet Guwrin. Ten ciąg jaskiń został przez UNESCO wpisany na listę światowego dziedzictwa. Brat dodał jeszcze, że szczególną rolę odegrały one podczas powstania Bar Kochby, kiedy to stały się schronieniem dla setek powstańców ocalałych z rzymskiego pogromu. Badacze datują powstanie najstarszych jaskiń na IX wiek p.n.e. Zachowały się nieliczne ślady ich użytkowania pochodzące z III i II wieku p.n.e. Przy czym na przestrzeni dziejów ten labirynt sukcesywnie powiększano. Niektóre z jaskiń wykuto znacznie później, bo około VI wieku naszej już ery. Jako spichlerze i miejsca tłoczni oliwy wykorzystywano je jeszcze w okresie od X do XII wieku.

Mieliśmy nieco komicznych sytuacji, kiedy to bardziej puszysta część naszej pielgrzymki, ciężko sapiąc i dysząc, no i przy tym złorzecząc na swoje obfite kształty, ledwie przeciskała się przez wąskie przejścia oddzielające poszczególne pieczary. Szczególnie dużo wysiłku kosztowało strome i kręte zejście do jednej z nich w kształcie dzwonu. Ale warto było. Fantastyczne, jasnobeżowe ściany groty z wyciosanymi na środku gigantycznymi filarami podtrzymującymi sklepienie są w naturalny sposób rozświetlane dzięki dużej, okrągłej dziurze wykutej w suficie. Efekt jest niesamowity. Wymarzona dekoracja do kręcenia wszelkich filmów o poszukiwaczach skarbów.

Na obrzeżach kibucu Bet Guwrin ojciec zarządził krótki postój po to, aby pokazać nam pozostałości rzymskiego amfiteatru, zbudowanego w II wieku n.e. przez stacjonujący tutaj rzymski legion, biorący udział w stłumieniu buntu Bar Kochby, oraz ruiny bizantyjskiej świątyni pod wezwaniem Świętej Anny. Ze świątyni pozostała jedynie absyda. Ciekawe, że zachowały się na niej jeszcze całkiem dobrze rozpoznawalne fragmenty fresków. W czasach świetności na pewno musiała imponować swoją okazałością. Podobnie jak rzymski amfiteatr, przy ruinach którego chętnie postałabym znacznie dłużej, lecz nikt za bardzo nim się nie interesował. Zdołałam jedynie wyciągnąć informacje od ojca, że − jak przystało na tego typu rzymski przybytek − odbywały się na jego arenie walki gladiatorów. Pod areną przechodził podziemny owalny korytarz, łączący pojedyncze galerie, w których przebywali gladiatorzy oraz przechowywano akcesoria do pojedynków. Z tego korytarza schodami można było dotrzeć bezpośrednio na arenę i kamienne trybuny. Widzowie wchodzili do środka schodami usytuowanymi na zewnątrz. Amfiteatr mógł pomieścić, bagatela, do trzech i pół tysiąca widzów! Całkiem sporo, jeśli wziąć pod uwagę, że był to tylko prowincjonalny przybytek.

Z ciągu podziemnych pomieszczeń wchodzących w skład tellu Mareszy najlepiej zapamiętałam kilka, których ściany przyozdobione były malowidłami przedstawiającymi postaci kojarzące mi się z grecką mitologią. Lecz skąd, u licha, wzięłyby się tutaj helleńskie motywy? Czyżby te

artefakty były pozostałościami po podbojach Aleksandra Wielkiego? Nie miałam zielonego pojęcia. Zagadkę wyjaśnił brat, który już w trakcie opuszczania tych ze wszech miar intrygujących pomieszczeń zdobył się na spóźniony komentarz. Zdołałam wywnioskować, że są to komory grobowe bogatych helleńskich mieszkańców starożytnej Mareszy.

– Według słów brata Maresza jeszcze przed podbojem Aleksandra Macedońskiego uległa silnym wpływom greckim i w rezultacie stworzyła coś na kształt miasta-państwa, na wzór helleńskich polis. W takim stanie przejęli to miasto Rzymianie. Ostateczny jego upadek nastąpił około 40 roku p.n.e. po najeździe Partów, zamieszkujących w starożytności tereny dzisiejszego północno-wschodniego Iranu, i już nigdy potem nie zostało ono odbudowane. Oczywiście jest to duże uproszczenie, ale nie ma sensu, abym zanudzał państwa jakimiś szczegółowymi opisami – dodał cicho.

Akurat mnie te szczegóły wcale nie nudziły, chętnie bym posłuchała, co przesądziło o tym, że obywatele starożytnego Izraela przekształcili swoje miasto na wzór helleńskiego polis, lecz nie mogłam za wiele wymagać.

W innych pomieszczeniach ślady bytności ludzi były także widoczne. Oprócz wydrążonych cystern natknęliśmy się na kompletne prymitywne tłocznie oliwy, pozostałości nisz − klatek, w których najprawdopodobniej hodowano gołębie – i jaskinię grzebalną z dużym kolumbarium. Na filarze jednej z jaskiń wyryty orzełek i napis „Polonia”,

a pod nim „Warszawa” stanowią niepodważalny dowód obecności w tym miejscu polskich żołnierzy z armii Andersa, stacjonujących w Palestynie w 1943 roku.

Czas płynął dzisiaj nadspodziewanie szybko. Po wyjściu z podziemnych ruin Mareszy ze zdziwieniem zauważyliśmy, że dawno już minęło południe i dochodzi godzina czternasta − najwyższa pora, aby zjeść obiad. Tylko gdzie i co?

Poranne słowa ojca o niespodziance wywołały w naszych głowach różne domysły. Ktoś głośno stwierdził, że chyba wrócimy od razu do Jerozolimy i wyjątkowo siostry uraczą nas w ostatni dzień obiadem. Reszta to podchwyciła, bo braciszek nie zanegował, uśmiechając się tajemniczo.

– Wolę już obiad u sióstr aniżeli w jakiejś arabskiej knajpie – oznajmiła Zosia, siadając obok mnie.

– Nie przesadzaj. Poznawanie całkiem innej kuchni ma przecież swoje uroki.

– Może dla twojego żołądka tak, ale nie dla mojego! – warknęła opryskliwie.

– Z tym obiadem u sióstr to byłabym ostrożna. Przecież brat mówił, że niespodziankę szykuje nam kierowca. Wątpię, aby robił to w porozumieniu z siostrami. Może on zawiezie nas pod swoją chałupę i jego żona uraczy nas ichnimi potrawami? Byłoby oryginalnie!

– Przestań roztaczać mi tutaj takie czarne wizje! − żachnęła się Zosia.

– Nie denerwuj się na zapas! Wkrótce sprawa się wyjaśni! – odpowiedziałam polubownie.

Obserwując mijane widoki, zdziwiłam się, gdy po przejechaniu paru kilometrów asfaltową drogą skręciliśmy w wąską ścieżynkę, prowadzącą w głąb zalesionego pagórka. Po ujechaniu nią odległości nie większej niż kilometr znaleźliśmy się na leśnej polance ze zbitymi z desek stołami i ławkami. Ocieniona drzewami znajdowała się na tyłach jakiegoś ośrodka rekreacyjnego. Padła komenda „Wysiadać!”.

Nasz palestyński kierowca, do tej pory dość flegmatyczny w obejściu, zaczął z niespotykaną u niego wcześniej energią wypakowywać z luków autobusu plastykowe skrzynki pełne suchego prowiantu. Urządził nam piknik na powietrzu!

Wszystkim się to spodobało, bo w wytaszczonych przez niego pojemnikach znajdował się świeży arabski chleb, kilka rodzajów pokrojonych wędlin, serów, świeżych i kiszonych warzyw, owoców oraz humus. Nie zabrakło soków, a nawet piwa. Zaopatrzeni w plastykowe sztućce i talerzyki raźnie zabraliśmy się do pałaszowania, okupując drewniane stoły.

Napchałam do wnętrza pity humusu, sera i warzyw. Nieważne, że gdy jadłam w taki sposób przygotowaną kanapkę, jej zawartość spływała mi po rękach. Innym też się to przytrafiło. Humory dopisywały. Nawet Zosia i pani Ela nie kręciły nosami.

Gorzej było z brakiem toalety, lecz ostatecznie jednorazowe skorzystanie z krzaczków nie spowodowało wyrządzenia szkody naturze.

Objedzeni do granic możliwości leniwie wgramoliliśmy się z powrotem do autobusu, żartując, że przydałaby się jeszcze przynajmniej godzinna sjesta na łonie przyrody.

– Byłoby to możliwe, gdybyście nie chcieli ganiać sami po sklepach Jerozolimy. To dlatego musimy już wracać! – Ton głosu braciszka był stanowczy.

Umówiłyśmy się z Gosią i z panią Elą oraz z „siostrzyczką" Danką, że za około pół godziny po powrocie, wykorzystane na krótkie odświeżenie się, wyjdziemy razem do miasta. Inni też poumawiali się w małych grupkach w myśl zasady, że zawsze jest bezpieczniej wałęsać się po obcym mieście w kilka osób aniżeli samemu.

Z Zosią stawiłyśmy się punktualnie, lecz na Gosię trzeba było czekać. Zebrało jej się akurat na grzebanie w aparacie fotograficznym. Coś tam poprzestawiała i nie mogła dojść z nim do ładu. Najchętniej wyruszyłybyśmy bez niej, jednak ona jako jedyna w naszej grupce znała dobrze język angielski i miała pełnić funkcję naszego tłumacza przy ewentualnych zakupach. Przyszło nam uzbroić się w cierpliwość. W rezultacie jako ostatnie opuściłyśmy dom sióstr, tracąc mnóstwo cennego czasu.

Skierowałyśmy się od razu w stronę bazaru, który niejednokrotnie mijaliśmy w drodze do bazyliki Grobu Świętego. Ja już dawno upatrzyłam sobie mały arabski sklepik pod arkadami, z wyrobami tytoniowymi. Czas najwyższy uzupełnić zapasy papierosów, tym bardziej, że ich ceny okazały się zbieżne z tymi w Austrii − sprawdziłam

to już pierwszego dnia pobytu. Wolę mieć lekką nadwyżkę na powrót do Wiednia. Kupując je w Izraelu, nie będę zmuszona wysłuchiwać utyskiwań Beaty, że marnuję pieniądze na to paskudztwo.

Zosia, pani Ela i Danka pozostały na ulicy, a ja pewnie otworzyłam drzwi i przekroczyłam próg sklepiku, mając za sobą Gośkę w roli tłumacza. I konsternacja. Wnętrze sklepiku zapełnione było samymi ciemnolicymi mężczyznami. Najprawdopodobniej sklepik był miejscem spotkań mieszkających w pobliżu Palestyńczyków. Poczułam gwałtowne szarpnięcie do tyłu – to Gośka przerażona widokiem tylu mężczyzn chciała się wycofać. Ja nie dałam za wygraną. Przeleciało mi przez głowę, że po pierwsze jest ich za wielu, aby tak od razu przyszły im na myśl jakieś niecne zamiary w stosunku do nas, a po drugie oni sami byli zszokowani naszym widokiem w tym miejscu. Byłyśmy pewnie pierwszymi kobietami, które ośmieliły się przekroczyć próg tej spelunki, i do tego jeszcze białymi. Najlepszy był sklepikarz, który z wrażenia zamienił się w przysłowiowy słup soli, chociaż jednocześnie ręce mu jakoś dziwnie zaczęły drgać, a do tego oczy wytrzeszczył w dwójnasób, co w jego przypadku nie było wcale łatwą sprawą, gdyż cierpiał na okrutnego zeza. Śmiało podeszłam do lady i na migi pokazałam, o co mi chodzi. Tłumacz okazał się zbędny. Ledwie dokonałam transakcji i otrzymałam resztę z banknotu, który podałam, Gosia bezzwłocznie popchnęła mnie do wyjścia.

– Wariatka jesteś i tyle! Włazić do takiej speluny, jakby nie można było dostać papierosów na bazarze! To było igranie z losem! – Gosia kipiała z oburzenia na mój postępek.

– Przynajmniej dostarczyłam ci mocnych wrażeń. Ich rozdziawionych gęb do końca życia nie zapomnisz – odparłam ze spokojem, przeliczając wydaną przez sklepikarza resztę. Wyszło mi, że otrzymałam o dwa dolary za dużo. Kiedy im o tym powiedziałam, solidarnie mocno ujęły mnie pod łokieć, przykazując:

– Ani się waż włazić tam znowu. Zmiatamy stąd jak najszybciej, zanim się sam doliczy.

Wyszło na to, że przeżyłam przygodę, a w kieszeni zostały mi jeszcze nadliczbowe dwa dolary.

Po przejściu na drugą stronę ulicy i pokonaniu paru stopni w dół znalazłyśmy się na minibazarze. Z należytą uwagą zlustrowałyśmy stragany uginające się pod stosami warzyw i cytrusów. Podziwiałyśmy dorodne bakłażany, kiście dużych żółtych i ciemnych winogron, czerwone granaty, pęczki o wiele większych niż u nas natek przeróżnych ziół, no i luzem sprzedawane bezpośrednio z worków kolorowe, orientalne przyprawy, których aromat podrażniał nozdrza nawet ze sporej odległości.

Następnie zanurzyłyśmy się w otchłań ulicznych sklepików z upominkami i ciuchami.

Pani Ela z obrażoną miną stwierdziła:

– Myślałam, że pójdziemy gdzieś do centrum handlowego z markowymi sklepami, a nie do tego barachła.

Wolę już się pomodlić w bazylice aniżeli marnować czas na łażenie tutaj. – Tym stwierdzeniem zaskoczyła nas zupełnie.

Nie mieściło mi się w głowie, że można przedkładać chodzenie po markowych butikach z taką samą odzieżą jak w każdym europejskim mieście nad kluczenie wśród tych orientalnych różności. Znowu miałam możliwość przekonać się, że gusty bywają dziwaczne.

Do pani Eli dołączyła też Danka. Ta z kolei stwierdziła, że kupiła już wystarczającą ilość pamiątek, nie stać jej na więcej i aby nie kusić losu również woli udać się do kościoła.

W taki sposób zostałyśmy tylko we trójkę.

Całkiem przyjemnie wspominam ten spacer wśród stert orientalnych dywanów, różnych części garderoby, wyrobów jubilerskich, galanteryjnych i pamiątkarskich. Tandeta tutaj miała swój urok. Bawiłyśmy się znakomicie, nakłaniając Gośkę do przymierzania różnych strojów i próbując wykłócać się o cenę, bo oczywiście nic tu nie jest z góry ustalone, wszystko opiera się na targowaniu. Zosia po wyczerpującym targu, w którym we trzy brałyśmy udział, sprawiła sobie jedwabną apaszkę w pastelowych szaro-zielonych barwach, twierdząc, że będzie ona idealna do ciemnopopielatego żakietu. Ja trochę byłam zawiedziona, ponieważ nigdzie nie natknęłam się na tę moją czerwoną torebkę. Owszem, były prawie takie same, ale wszędzie albo niebieskie, albo czarne.

Na kupnie soczystych kiści winogron zakończyłyśmy to mile spędzone popołudnie.

Ostatnie wyszłyśmy do miasta i ostatnie z niego wróciłyśmy. Siostra ochmistrzyni z przyganą oznajmiła nam w holu, że w kaplicy na piętrze zaczyna się już msza. Nie pozostawało nic innego, jak od razu się tam udać, z tymi owocami w ręce. Trochę obciach, ale trudno. Cichutko zajęłyśmy ostatnią ławkę, nawet nikt nie zauważył.

W trakcie mszy przypomniał mi się poranek i pobyt w Jad Waszem. Aby rozproszyć ponure wizje, spojrzałam w duże okno kaplicy, przez które migotały ostatnie tego dnia promyki słońca. Nie był to dobry pomysł, bo od razu przed oczami stanął mi pomnik zamordowanych dzieci żydowskich i tak już zostało do końca mszy. Na szczęście nie rozbeczałam się, lecz zaraz po zakończeniu nabożeństwa miałam dodatkowy pretekst, aby udać się do palarni.

Uwolniłam się od tych przygnębiających wizji dopiero podczas kolacji, dzięki Waldkowi, który w komiczny sposób opowiedział swoje i Tereski perypetie podczas wypadu do miasta. Autentycznie zabłądzili w plątaninie uliczek wokół bazyliki Grobu Świętego. Podziwiając architekturę starych kamieniczek, znaleźli się w ślepym zaułku, z którego nie mogli się wydostać, dwukrotnie wracali w to samo miejsce. Nie pomógł im stary Arab, który wskazał całkiem przeciwny kierunek. W końcu wściekła Tereska, która przede wszystkim chciała dotrzeć do uliczki ze sklepikami, zatrzymała młodszego przechodnia. Na szczęście znał on na tyle angielski i zakamarki ulic, że potrafił wskazać im właściwą drogę.

– Nigdy więcej nie posłucham Waldka! Turysta się znalazł, psiakrew! Przez niego rozbolały mnie tylko nogi i nie zdążyłam pomyszkować po sklepikach! – skarżyła się Tereska.

– A to ostatnie wyszło nam tylko na dobre – spuentował Waldek, wywołując nasz wybuch śmiechu.

Przed opuszczeniem stołówki dowiedzieliśmy się, że jutro znowu czeka nas wczesna pobudka. Opuszczamy na dobre Jerozolimę i na ostatnie cztery dni udajemy się do Galilei i północnego Izraela. Z tym że bagaż należy tak spakować, aby w osobnej torbie mieć wszystko niezbędne do przespania jednej nocy w klasztorze na górze Tabor, do której dotrzemy jutro wieczorem. Ostatnie trzy noclegi spędzimy w domu pielgrzyma w Tyberiadzie.

– Ta niedogodność związana z jutrzejszym noclegiem wynika z faktu, że nasz duży autokar nie dojedzie z bagażami na szczyt góry. Dotrzemy na nią małymi busikami, które regularnie tam kursują. Nie ma sensu, abyśmy mieli brać dodatkowy transport na bagaże i słono za niego płacić. Dlatego autokar z bagażami pozostanie u podnóża góry – wytłumaczył ojciec Jonasz. − Nie musicie się o nie bać. Kierowca będzie ich nocą pilnował. Apeluję, żebyście już dzisiaj się spakowali, a nie na wariata dopiero jutro rano. Ostrzegam także, że po zapakowaniu bagaży do luków nie będzie już w ciągu całego dnia możliwości, aby się do nich dostać, a więc nie zapomnijcie niczego! Proponuję, abyście się szybko spakowali i prędzej poszli spać, a nie biesiadowali do późna na korytarzu. Życzę

wszystkim dobrej nocy! − Z tymi słowami brat opuścił stołówkę.

Hola, hola z tym wczesnym kładzeniem się do łóżka. Mamy przecież jeszcze wino z Latrun, a taszczyć je do Galilei, gdzie jest przecież Kana Galilejska, nie ma najmniejszego sensu. Musimy je jeszcze dzisiaj wypić! Tak solidarnie zadecydowało kolacyjne towarzystwo.

Uporawszy się z pakowaniem, co akurat dla mnie i dla Zosi nie stanowiło problemu, gdyż i tak prawie wszystkie nasze rzeczy leżały w walizkach, zameldowałyśmy się z naszym winem w kąciku na korytarzu. Zosia przezornie zadecydowała, że weźmiemy na początek tylko jedną butelkę, bo jeśli wszyscy inni też przytaszczą swoje, to zrobi się balanga do rana. W razie czego doniesiemy drugą butelkę. Z niechęcią przystałam na to. Bałam się, że komuś zaświta w głowie, że chcemy wykpić się tanim kosztem.

Nasiadówkę przy winie zdominował temat złego stanu zdrowia naszego organisty. Już od wczorajszego wieczora czuł się na tyle źle, że postanowił pozostać przez cały dzień w łóżku. Nie pojechał z nami do Mareszy i nie pojawił się nawet na wieczornej mszy. Zaczęło się podobno od torsji i biegunki, a dzisiaj przez cały czas gorączkował. Zażył wszystkie dostępne lekarstwa, ale widocznej poprawy nie było. Oby tylko do jutra się wykurował! Zenek, jego współlokator, podejrzewał, że zaszkodzić musiało mu coś, co zjadł na obiad w stołówce pod Masadą. Nie podzielaliśmy jego opinii, uznaliśmy, że gdyby tam podano coś nieświeżego, to inni też by się rozchorowali, a przecież

tak się nie stało. Najwidoczniej podłapał już wcześniej jakieś bakteryjne zapalenie, które teraz wyłazi. Taki był ostateczny werdykt. Ja miałam podejrzenia, że wczoraj odbyła się mała libacja w ich pokoju z trunkami mocniejszymi od wina i dzisiaj nasz organista nieznośnie odczuwa jej skutki, lecz wolałam głośno tego nie roztrząsać.

Ku mojemu zadowoleniu Ewka wyjątkowo nie naprzykrzała mi się z kłopotliwymi pytaniami. Siedziała cicho z markotną miną. Wszystkowiedząca Zosia szepnęła mi do ucha:

– Z pewnością ma ciche dni z mężem.

W odpowiedzi dałam jej kuksańca w bok i dodatkowo przewróciłam wymownie oczami, aby, na miłość boską, się zamknęła.

Zrozumiała, ale jej pogardliwe wzdrygnięcie ramion powiedziało mi „Czego się czepiasz! Widać to przecież jak na dłoni! Prawdę mówię!”. Miałam nadzieję, że reszta towarzystwa nie spostrzegła naszej mimiki.

Wieczór dobiegł końca wraz z opróżnieniem czwartej butelki wina. Więcej nikt już nie chciał, zasłaniając się późną porą i koniecznością jutrzejszej wczesnej pobudki. Nasza rezerwowa butelczyna ostała się w nienaruszonym stanie. Trzeba będzie ją jednak targać do Galilei.

Po przypomnieniu swemu bratu o konieczności obudzenia nas, do czego Zenek już tak naprawdę się przyzwyczaił, Zosia opuściła towarzystwo. Zaraz po niej inni też udali się do swoich pokoi.

Zmitrężyłam jeszcze trochę czasu w palarni, czekając, aż Zosia zwolni łazienkę.

Kiedy się nareszcie położyłam, znowu przypomniał mi się pobyt w Jad Waszem. Po raz kolejny przeklinałam siebie, że się odważyłam tam pójść. Upragniony sen uwolnił mnie w końcu od tych makabrycznych wrażeń.

~ DZIEŃ IX ~

Wtorek

Okazało się, że nie do końca, bo kiedy obudziłam się jeszcze przed głuchaczem Zenka, poczułam, że cała jestem zlana potem, a przed oczyma wirowały mi druty kolczaste i wynędzniali ludzie w pasiakach. Chwilę trwało, zanim odpędziłam od siebie te senne majaki, powracając do rzeczywistości. Weź się w garść! – rozkazałam sobie. Nie można tak przeżywać! W końcu to przecież odległa przeszłość, której w żaden sposób bezpośrednio nie doświadczyłaś! Jeśli nie przestaniesz o tym myśleć, to zatrujesz sobie wszystkie przyjemności ostatnich dni pobytu tutaj! Takie łajanie samej siebie pomogło, chociaż miałam wątpliwości, czy do mojej pokręconej natury w pełni to dotarło. Z tego kłębowiska myśli wyrwał mnie dopiero sygnał Zosinej komórki. Spod przymkniętych powiek obserwowałam wygrzebującą się współlokatorkę. Zosia, usiłując wyłączyć wydzierającą się komórkę, zawadziła ręką o kant nocnego stolika. Stojąca na nim szklanka z niedopitą wodą przewróciła się i zmoczyła róg

jej poduszki. Obudzona Zosia parsknęła z irytacją, a ja roześmiałam się głośno.

– Co tak szczerzysz zęby od rana? Mnie wcale nie do śmiechu! – powiedziała. − Dobrze, że woda wylała się na poduszkę, a nie na piżamę, bo musiałabym ją mokrą pakować! A tak w ogóle to spać mi się jeszcze chce jak diabli, a trzeba już się zwijać.

– Woda cię przynajmniej postawiła na nogi, ale jeśli chcesz poleżeć, to bardzo proszę, ja mogę dzisiaj pierwsza zająć łazienkę. Zyskasz dzięki temu przynajmniej piętnaście minut. Zawsze coś! – odparłam i nie czekając na jej odpowiedź, ruszyłam do drzwi.

Prysznic w letniej wodzie zmył nie tylko lepkość mojej skóry, ale i resztki nocnych majaków.

Po ostatecznym spakowaniu się i przejrzeniu wszystkich zakamarków pokoju włącznie z zaglądnięciem pod łóżka w obawie, że mogłoby się tam zawieruszyć coś z naszych rzeczy, miałam jeszcze dosyć czasu, aby przed śniadaniem zdążyć pożegnać się z moją samotnią.

Zosia zajęta kończeniem toalety przyjęła ten mój pomysł ostentacyjnym wzruszeniem ramion, dodając z przyganą:

– Jeśli musisz, to biegnij, ale takie kopcenie na czczo i do tego tak wcześnie rano woła o pomstę do nieba!

– Nie zrzędź! − odparowałam rozdrażniona. – Wiesz dobrze, że zaraz po śniadaniu mamy się zwijać, to niby kiedy mam zdążyć zapalić?

– Dobrze, już dobrze! Nie chciałam ci nadepnąć na odcisk.

Rzeczywiście, nadepnęła. Nie cierpię wszelkich połajanek dotyczących mojego palenia. Może to wynika z faktu, że w domu jestem nieustannie z tego powodu besztana i dlatego jak tylko mam dogodne warunki, to staram się je wykorzystać, paląc często z lęku, że później nie będę już miała okazji.

Na śniadaniowym stole, przy każdym nakryciu, zastaliśmy równiutko ułożone drewniane miniaturki dziesiątki różańca. To pożegnalny prezent dla nas od sióstr. Zawsze miło, sympatycznie. Chociaż moja złośliwa natura zaraz podszepnęła mi, że siostry z pewnością nabyły je od tego starego Araba w naszym prowizorycznym sklepiku. A może te różance były jedną z form zapłaty za wynajem pomieszczenia? Przywołałam się do porządku. W końcu przecież to mnie nie powinno nic obchodzić, to nie moja sprawa!

Tak jak przypuszczałam, dostaliśmy polecenie, aby bezzwłocznie po posiłku znieść bagaże do autokaru, który już na nas czekał.

Na pożegnanie siostry w komplecie stawiły się na korytarzu, życząc w imię Boże każdemu z osobna wszelkiej pomyślności i szczęśliwego powrotu do domu. Nawet siostra ochmistrzyni na koniec obdarzyła mnie całkiem miłym uśmiechem. Widocznie poczuła ulgę, że się wraz z innymi wynoszę.

Zwyczajowa modlitwa i adekwatne do dzisiejszej pory dnia „Kiedy ranne wstają zorze” rozpoczęły naszą podróż do północnego Izraela. Autokar w żółwim tempie przedzierał się przez kolejne ulice Jerozolimy, co chwilę stając na zbyt szybko zmieniających się światłach. Trafiliśmy akurat na poranny szczyt – zmorę wszystkich kierowców. I tak mimo wszystko byliśmy w lepszej sytuacji, opuszczając Jerozolimę, od tych, którzy chcieli się dostać do jej centrum. Ich pas jezdni był kompletnie zakorkowany. Odetchnęliśmy z ulgą, kiedy nareszcie dotarliśmy do autostrady numer jeden, która później przechodzi w autostradę numer dwa, ciągnącą się wzdłuż wybrzeża Morza Śródziemnego aż po Hajfę. Teraz mogliśmy jedynie ze współczuciem patrzeć na długie sznury samochodów, oczekujących w bocznych zjazdach na wjazd na zakorkowaną jedynkę do Jerozolimy. W pewnym momencie usłyszeliśmy głos brata:

– Nasunęła mi się pewna myśl. Korzystając z tego, że czeka nas teraz dość długi i monotonny odcinek trasy, zamiast jak zwykle zabawiać was porcją kawałów wprowadzę pewną innowację i podzielę się z wami moimi spostrzeżeniami odnośnie do stosunków palestyńsko-izraelskich. Z racji tego, że mieszkam już tutaj ładnych parę lat, mam możliwość przypatrywania się tym stosunkom niejako od środka…

Postawiłam uszy na baczność. Zafrapowana tym, co ciekawego ma nam brat do przekazania. Mojego zainteresowania nie podzielała Zosia, która podłożywszy

sobie pod zagłówek ręcznik, zapadła na ten czas w drzemkę. Jej strata.

– Wiadomo, że te stosunki dalekie są od dobrych i co jakiś czas wybuchają różne krwawe incydenty − kontynuował brat. − Tego wszystkiego nie neguję, żebyście mnie państwo źle nie zrozumieli. Pragnę jedynie zwrócić waszą uwagę na fakt, że wiele z tych mających rzeczywiście miejsce zdarzeń jest momentalnie podchwytywanych i rozdmuchiwanych do absurdalnych granic przez żądne sensacji środki masowego przekazu. Często mamy do czynienia z manipulacją oraz przejaskrawieniem przez nie faktów. Moją intencją jest uzmysłowić to państwu. To pierwsza, zasadnicza kwestia. Następna wynika bezpośrednio z moich obserwacji. Zapewniam was, że przeciętny palestyński zjadacz chleba obecnie nie jest zainteresowany polityką i prowadzeniem zbrojnych działań. Jego główną bolączką jest zapewnienie godziwego bytu swojej licznej rodzinie. I tu mówiąc o rodzinie, mam na myśli nie tylko dzieci, ale też dziadków oraz inne osoby starsze, należące do rodziny, a niemogące już pracować na swoje utrzymanie. Dzieje się tak dlatego, że w świetle prawa zwyczajowego, obowiązującego w całej Palestynie, syn ma obowiązek utrzymywać do końca życia swoich antenatów. Nie ma tutaj takiej instytucji jak ZUS, wypłacający co miesiąc emerytury. Poza tym, jak już pewnie wspominałem, całą Palestynę zżera korupcja. Jeśli w jakiejkolwiek błahej sprawie zwrócić się do obojętnie której instytucji rządowej, wszędzie trzeba uiścić tak zwany

bakszysz, czyli łapówkę. Te dwa czynniki, plus szerzące się w zastraszającym tempie bezrobocie na i tak słabym pod względem rozwoju gospodarczego terytorium Autonomii Palestyńskiej, wymusiły na Palestyńczykach szukanie z bogatszymi Izraelczykami nieformalnych układów, które przynoszą obopólne korzyści. Dobrym tego przykładem jest sfera usług. Weźmy warsztaty samochodowe. Izraelczycy wolą przekroczyć granicę i w palestyńskich warsztatach naprawiać swoje samochody aniżeli u siebie. Raz, że zapłacą w nich o połowę mniej, a dwa − jakość tych usług nie odbiega od poziomu oferowanego im przez rodzimych fachowców. Z kolei palestyńscy mechanicy mają zapewnioną pracę i otrzymują za nią od razu gotówkę, co nie zawsze się im trafia, gdy obsługują swoich ziomków. Podobnie palestyńskie restauracje, cieszące się dużym powodzeniem wśród mniej religijnych Izraelczyków, przyjeżdżających tutaj często całymi rodzinami na weekendy. Tak mniej więcej wygląda współczesna proza życia − powiedział ojciec Jonasz, po czym się zamyślił.

– Nie chcę za bardzo rozwodzić się nad historią, bo to całkiem inny rozdział − kontynuował po chwili. − Niemniej jednak nie mogę się oprzeć, aby nie wspomnieć zamachów terrorystycznych przeprowadzanych z inicjatywy separatystycznego Hamasu. To palestyńskie zbrojne ugrupowanie wywodzi się bezpośrednio z Bractwa Muzułmańskiego. W imię świętej wojny z niewiernymi, dżihadu, obrali oni sobie za cel całkowite zniszczenie państwa Izrael i stworzenie niezależnej islamskiej

Palestyny, dążąc do tego celu poprzez podkładanie bomb w samochodach pułapkach i organizowanie samobójczych zamachów, na skutek których zginęły setki niewinnych ludzi. Tych terrorystów samobójców w ich kręgach uważa się za świętych męczenników. W praktyce jednak niewiele oni mieli wspólnego ze świętością. Rekrutację na zamachowca samobójcę przeważnie przeprowadzano w ten sposób, że jeśli w danej palestyńskiej wiosce jakiś delikwent nieco odstawał w swoich poglądach od reszty społeczności lub wręcz padło na niego podejrzenie o kontakty z Żydami, to przedstawiciele Hamasu stawiali mu twarde ultimatum. Albo zginie, podkładając bombę, i zostanie wówczas uznany za świętego męczennika, albo odmówi, ale wtedy w odwecie wymordowana zostanie cała jego rodzina. Nie ma się co zatem dziwić, że bojowników gotowych poświęcić własne życie Hamasowi nie brakowało. Gwoli prawdy muszę ogólnikowo nadmienić, że pierwsze powstanie palestyńskie, nazywane intifadą, wybuchło w 1987 roku. Ze Strefy Gazy szybko przeniosło się również na Zachodni Brzeg. Oprócz walk prowadzonych przeciwko izraelskiemu okupantowi toczył się wówczas także ostry konflikt między muzułmańskimi fundamentalistami z Hamasu a Organizacją Wyzwolenia Palestyny kierowaną przez Jasira Arafata. Zdarzały się przypadki walk bratobójczych. Nie wiadomo, czym zakończyłoby się to pierwsze powstanie, gdyby nie inwazja wojsk irackich na Kuwejt, którą nieopatrznie poparł Jasir Arafat. Wywołało to oburzenie światowej opinii publicznej, początkowo

pozytywnie nastawionej do powstania. Po rozgromieniu wojsk irackich w wyniku operacji „Pustynna Burza”, bez poparcia państw z zewnątrz, powstanie palestyńskie wygasło w 1991 roku. Od tego czasu rozpoczęły się długotrwałe negocjacje pokojowe. Jednak lokalne incydenty, akty przemocy, prowokowane głównie przez radykalne skrzydło Hamasu, zdarzały się aż do 2000 roku. Wówczas załamały się ostatecznie izraelsko-palestyńskie rozmowy pokojowe i Palestyńczycy znowu otwarcie chwycili za broń. Druga intifada trwała do 2004 roku i przygasła wraz ze śmiercią Jasira Arafata. Jednak to nie koniec rewolty. W 2006 roku wybory do palestyńskiego parlamentu wygrywa Hamas i zrywa wszystkie dotychczasowe porozumienia, które zaakceptował rząd palestyński wyłoniony z przedstawicieli partii Al-Fatah, wywodzącej się z OWP. Skutkuje to tym, że na Strefę Gazy zostają nałożone dotkliwe sankcje gospodarcze. Nikłym światełkiem w tunelu wydaje się być chęć zawarcia porozumienia zarówno przez Hamas, jak i Al-Fatah odnośnie do utworzenia wspólnego rządu po wyborach 2014 roku. Jest to podstawowy warunek, aby sankcje ekonomiczne nałożone na to państwo zostały zniesione. Czas pokaże, jak to się wszystko dalej tutaj potoczy. Tak jak już mówiłem, szarzy mieszkańcy zarówno po jednej, jak i po drugiej stronie konfliktu mają dosyć walk. Chcą pokojowego współistnienia. Najgorsze jest to, że ciągle do głosu dochodzą radykalni islamiści, wspierani teraz dodatkowo przez libański terrorystyczny Hezbollah. Pokojowego końca

nie widać. – Brat ciężko westchnął. – Miałem się nie rozgadywać, ale tak mnie jakoś naszło. Mam nadzieję, że nie przynudziłem za bardzo. Teraz dajcie mi odsapnąć.

Spojrzałam w okno z mocnym postanowieniem, że zaraz po powrocie do domu znajdę i przeczytam w Internecie wszystkie artykuły omawiające historię stosunków izraelsko-palestyńskich. Muszę ją lepiej poznać, aby wyrobić sobie swój pogląd na tę kwestię. Napływające dotąd szerokim strumieniem doniesienia z Palestyny umykały mojej uwadze. Jacek kwitował je zawsze lakonicznym stwierdzeniem „Ci się ciągle tłuką”. Tylko tyle było mi do tej pory wiadomo.

Tymczasem autokar z autostrady numer dwa zjechał w drogę sześćdziesiąt pięć i ku zaskoczeniu nas wszystkich stanął na dużym parkingu przed Parkiem Narodowym Cezarei.

Ojciec, zobaczywszy nasze zdziwione miny, powiedział z uśmiechem:

– A co? Nie czytaliście programu pielgrzymki? Jest tam przecież uwzględnione zwiedzanie Cezarei. Nie sądziliście chyba, że wam odpuszczę! Skoro mamy zbiorowy bilet, musimy go maksymalnie wykorzystać. Akurat tutaj naprawdę warto się zatrzymać.

Jednak na tym właściwie poprzestał. Żadnego komentarza, dlaczego warto zobaczyć to miejsce, przed wysiadką z autokaru nie usłyszeliśmy. Pokonując odległość z parkingu do wejścia na teren parku narodowego, błyskawicznie przetrząsałam moją mózgownicę

w poszukiwaniu chociażby strzępów informacji o starożytnej Cezarei Nadmorskiej. Poza tym, że to miasto zbudował Herod i nazwał je tak, aby przypodobać się rzymskiemu cesarzowi, i że była to ulubiona siedziba rzymskiego namiestnika Poncjusza Piłata, który wręcz nie znosił Jerozolimy i pojawiał się w niej tylko, jeśli było to absolutną koniecznością. Na przykład podczas obchodów święta Paschy, kiedy do Jerozolimy nadciągały z całej Palestyny rzesze pielgrzymów, co obligowało go do osobistego czuwania nad utrzymaniem porządku w Świętym Mieście…

Zostaw już tego Piłata. On i tak nie zastąpi wiedzy o Cezarei, której ty nie posiadasz. Coś w tym rodzaju kołatało mi w głowie. Jedyna rada to skłonić naszego przewodnika do nakreślenia chociażby pobieżnego szkicu historycznego tego miejsca. Tylko pytanie zasadnicze: czy braciszek zechce jeszcze strzępić język, skoro przegadał całą drogę z Jerozolimy, i czy inni będą też tym zainteresowani?

Będzie komentarz czy nie będzie? Kiedy zobaczyłam olbrzymie kontury antycznego teatru, wydało mi się już to mniej istotne. Ważne, że mam możliwość zobaczenia tych ruin, resztę mogę doczytać w domu.

Brat po przekroczeniu metalowej bramy wiodącej w głąb kompleksu zdecydował się podjąć narrację. Chociaż jej początek mnie akurat nie satysfakcjonował.

– Moi drodzy, znajdujemy się w południowej części dużego kompleksu, jakim jest Park Narodowy Cezarei −

powiedział nasz przewodnik. − Gdybyśmy chcieli go dokładnie zwiedzić, musielibyśmy poświęcić prawie cały dzień, a my mamy ledwie półtorej godziny. Dlatego zdecydowałem się pokazać wam jego antyczną, południową część. Niestety na część północną nie wystarczy nam czasu. Zrobimy pętlę dookoła odkopanych zabytków, znajdujących się w pobliżu teatru, dochodząc bezpośrednio do morza. Nie będziecie narzekać, że jest wam gorąco, bo o tej wczesnej porze jeszcze wyraźnie czuje się rześką bryzę od niego wiejącą. Dla nas, chrześcijan, Cezarea jest znana jako miejsce, w którym nauczali święci: Filip, Piotr i Paweł. Ten ostatni tutaj został osądzony i przez dwa lata przebywał w więzieniu. Dodać należy jeszcze, że od II wieku działała w mieście chrześcijańska biblioteka zawierająca dzieła filozoficzne i traktaty ojców kościoła. W niej pracowali między innymi: Orygenes, Pamfil i Euzebiusz. W czasach bizantyjskich Cezarea była siedzibą biskupstwa − powiedział ojciec Jonasz, zanim na krótko zamilkł.

− Co do historii tego miasta, zbudował je oczywiście Herod, na miejscu fenickiego portu, około 30 roku p.n.e. − kontynuował po chwili, a ja pomyślałam, że jednak się doczekałam. − Nazwał je Cezareą na cześć swojego protektora Oktawiana Augusta Cezara. W ciągu dwunastu lat powstało tutaj nowoczesne, jak na owe czasy, miasto z siecią krzyżujących się dróg, teatrem, amfiteatrem, placami miejskimi i komfortowymi willami. W 6 roku p.n.e. Cezarea stała się siedzibą rzymskich namiestników w Palestynie, w tym i Poncjusza Piłata. Miasto

zamieszkiwane było głównie przez Żydów i Greków. Często między tymi nacjami dochodziło do konfliktów, których największa eskalacja miała miejsce w 66 roku. Do jego stłumienia wykorzystano stacjonujący w Cezarei legion rzymski, a to z kolei spowodowało rewoltę przeciwko okupacji rzymskiej, która objęła swym zasięgiem cały kraj. Uważa się, że właśnie zamieszki w Cezarei były jednym z bezpośrednich powodów wybuchu I powstania żydowskiego. Po jego klęsce i zniszczeniu przez Rzymian Jerozolimy w 70 roku n.e. Cezarea stała się najważniejszym miastem w całym kraju. O tym, że historia lubi się powtarzać, może świadczyć fakt, że i podczas II żydowskiego powstania Bar Kochby w 132 roku n.e. to miasto odegrało też niepoślednią rolę. Mianowicie w Cezarei znajdowało się rzymskie centrum dowodzenia legionami zwalczającymi oddziały powstańcze, no i tutaj po klęsce powstańczego zrywu odbyła się kaźń najważniejszych żydowskich przywódców. W czasach bizantyjskich miasto traci na znaczeniu, a arabskie podboje w 640 roku n.e. powodują, że Cezarea wyludnia się i stopniowo popada w ruinę. Krzyżowcy próbowali ją odrestaurować w ramach tworzenia pasa umocnionych nadmorskich twierdz, które miały powstrzymywać muzułmańskie ataki od strony morza. W 1251 roku król Francji, Ludwik IX, wzniósł tu fortyfikacje. Nie uchroniło to jednak miasta przed armią mameluckiego sułtana Bajbarsa, który w 1265 roku ostatecznie zburzył Cezareę. Do XX wieku Cezarea pozostawała zapomniana. Wprawdzie

osiedlili się tutaj muzułmanie z Bośni, tworząc na gruzach miasta rybacką wioskę, ale ich potomkowie nie przetrwali, gdyż uciekli przed oddziałami Hagany w 1948 roku, a ich domy wyburzono. Współcześnie, jak widzicie, po przeprowadzeniu na tym obszarze szeroko zakrojonych prac archeologicznych rząd izraelski utworzył narodowy park. A na terenach do niego przylegających powstała współczesna izraelska Cezarea. Miasto ma charakter kurortu rekreacyjnego. Znajduje się w nim między innymi największe w Izraelu pole golfowe.

Brat wymownie przetarł ręką czoło i zakończył stwierdzeniem:

– No to chyba porozjaśniało wam się nieco w głowach? Podziwiajcie teatr! Jeśli macie jakieś pytania, to chętnie udzielę za chwilę odpowiedzi. Teraz muszę trochę odsapnąć.

Skinęłam mu z aprobatą głową. Dla mnie te skrótowe informacje były w zupełności wystarczające. Teraz przynajmniej wiedziałam, co konkretnie zwiedzamy.

Oglądane przez nas wnętrze antycznego teatru naprawdę zrobiło na mnie wrażenie. Stojąc obok kolistej sceny, z podziwem popatrywałam na wyciosane w kamieniu miejsca dla widowni i prowadzące do nich szerokie schody, tworzące razem kształt idealnego stożka. Pozostałości filarów, znajdujące się za sceną, według mnie mogły służyć jako tło. Widocznie na nich rozwieszano dekoracje w zależności od tematu sztuki. Chociaż z tego, co gdzieś wyczytałam − nie pamiętam już konkretnie gdzie −

wiedziałam, że wśród rzymskich patrycjuszy czasów Heroda największą popularnością cieszyły się krótkie scenki mimiczne, niewymagające dodatkowej oprawy plastycznej. Porozkładana na scenie współczesna aparatura dobitnie świadczyła o tym, że i teraz ten teatr spełnia swoją funkcję. Braciszek dopowiedział, że w okresie letnim w tym najstarszym amfiteatrze Izraela odbywają się przedstawienia, a odrestaurowana widownia może pomieścić około czterech tysięcy widzów, tak samo jak w starożytności.

– Idziemy dalej, bo czas nagli. Jeszcze mamy do zobaczenia kilka równie atrakcyjnych obiektów! – Brat nie pozwolił mi na snucie wizji antyku, pokierował nas teraz bezpośrednio nad brzeg morza.

Morze Śródziemne kusiło. Do zanurzenia się w nim zachęcały w ten ciepły poranek leniwie uderzające o brzeg fale i leciutki wietrzyk. Waldek głośno zaproponował:

– A może się trochę popluskamy, chociaż nie mamy strojów?

– Ani mi się ważcie! Tutaj jest to wykluczone! Kategorycznie zabraniam! − Brat się zaperzył. – Zobaczę, jak będziemy stali z czasem. Może uda mi się namówić kierowcę, aby w drodze na Karmel objechał park i przystanął przy akwedukcie znajdującym się na plaży. Wtedy będziecie mogli ewentualnie zamoczyć nogi, ale nic poza tym. Zamiast myśleć o kąpieli skupcie się na tym, co chcę wam przekazać!

Po tej reprymendzie opuściliśmy głowy.

– Zobaczcie, stoimy na wychodzącym w morze cyplu. Jest to pozostałość pałacu Heroda. Ta ogrodzona część morza niegdyś była ozdobiona kolumnadą i stanowiła wewnętrzny pałacowy basen. Uważa się, że było to gigantycznych rozmiarów akwarium. No przestańcie już tak tęsknie spozierać na morze! Postaram się dotrzymać słowa! − Brat obrzucił nas krytycznym spojrzeniem i kontynuował: – Przejdźmy teraz do arcyciekawego miejsca. Teraz wszyscy powinni być zadowoleni – dodał pojednawczo − a mianowicie do odkopanego herodiańskiego hipodromu.

Kiedy dotarliśmy do antycznego placu w kształcie litery U, usłyszeliśmy, że Herod zbudował go z przeznaczeniem na wyścigi konne i wyścigi rydwanów, ale jest całkiem prawdopodobne, że odbywały się na tym stadionie – hipodromie – także wszelkie inne zawody sportowe. Odkopany amfiteatr ma ponad dwieście pięćdziesiąt metrów długości i pięćdziesiąt metrów szerokości, a na dwunastorzędowych trybunach mogło się pomieścić około dziesięciu tysięcy widzów. Pozostałości trybun wraz ze starożytnym szaletem nadal są całkiem dobrze rozpoznawalne.

Przy tym wychodku zatrzymaliśmy się na chwilę. Nad rowem ustawiona została kamienna konstrukcja z rzędem otworów usytuowanych mniej więcej w jednakowych odstępach. Dobrze zachowane dziury przykryte były drewnianymi, archaicznymi klapami i nie były niczym od siebie ogrodzone.

– Macie namacalny dowód, że w starożytności ludzie nie czuli się tak skrępowani załatwianiem swoich potrzeb fizjologicznych, jak to ma miejsce współcześnie. Dopowiedzieć należy jeszcze, że w trakcie dokonywania tych czynności wspólnie prowadzono często nad wyraz ożywione dyskusje. Nikomu nie przeszkadzał unoszący się wokół nieprzyjemny fetor. Nie chcę wam obrzydzać przeszłości, lecz skoro tu się zatrzymaliśmy, to warto wiedzieć, że Rzymianie do podcierania się używali namoczonych gąbek wielokrotnego użytku. Papier toaletowy z Chin przywędrował i tutaj, podobnie jak do Europy, ładnych parę wieków później. E, teraz to naprawdę wam obrzydziłem! Obiecuję, że już więcej nie będę!

– A tak *à propos* toalety, tobym chętnie też z niej skorzystała. Jest tu gdzieś w pobliżu współczesna z papierem toaletowym? – Tereska, śmiejąc się, zagadnęła brata. Do jej głosu dołączył zaraz chórek innych pań.

– Jeśli musicie, to za hipodromem w odrestaurowanych starych murach jest na dole restauracja, a na piętrze bodajże galeria malarska. Pewnie tam powinno coś być. Skoro tak, to chodźmy tam już wszyscy, bo potem miną wieki, zanim się zbierzecie.

Restaurację z powodu wczesnej pory zastaliśmy zamkniętą, ale galeria już działała. Wstęp był wolny, więc w oczekiwaniu na grupę okupującą toalety pospieszyłam zerknąć na wystawione w niej prace. Bez większego zainteresowania obeszłam salę z martwą naturą i portretami wykonanymi temperą. O wiele ciekawsza

wydała mi się sala na poddaszu, w której prace o różnorodnej tematyce wykonane były specjalną techniką z materiałów odpadowych. Wzięłam nawet broszurkę informacyjną, łudząc się, że może kiedyś w wolnym czasie zagłębię się w ten temat. Tereska też wydawała się zainteresowana, Zosia natomiast ostentacyjnie oznajmiła, że wszelkie współczesne bohomazy woli omijać z daleka.

– No, dosyć już tego marudzenia − przywitał nas donośny głos ojca po wyjściu na zewnątrz. – Jeśli chcecie zahaczyć o akwedukt, to musimy już wracać. Poprowadzę was teraz drugą stroną, tak aby przynajmniej pobieżnie zobaczyć publiczne łaźnie i odkopaną sieć rzymskich ulic.

Pozostałości łaźni z fragmentami mozaik, których w przeciągu krótkiego czasu naoglądałam się całe mnóstwo, przestały mnie już tak fascynować jak zaraz na początku. Owszem, i te z bogatą geometrią kształtów mogły zachwycać, lecz niestety dla mnie ich widok spowszedniał. Pewnie inni też odczuwali podobnie, bo szybko opuściliśmy ten odcinek wykopalisk. Chociaż nieco zdziwiła mnie wiadomość, że z tych łaźni korzystać mogli wszyscy mieszkańcy Cezarei. Sądząc po odkopanych fragmentach ich bogatego wystroju, byłam pewna, że były to luksusowe łaźnie, przeznaczone tylko i wyłącznie dla krezusów.

Ciekawą rzecz podpowiedział nam braciszek odnośnie do usytuowania łaźni publicznych w stosunku do rozkładu domów w sieci rzymskich ulic, na które później nałożyły się bizantyjskie zabudowy. Otóż w Cezarei krzyżujące się ze sobą drogi oznaczano w ten sposób, że stawiano w miejscu

ich przecięcia się kilkupiętrowy dom czynszowy, nazywany insulą. Były to domy dla miejskiej biedoty, z czterech stron otoczone ulicami. Schody bezpośrednio z ulicy wiodły na kolejne kondygnacje. Parter i pierwsze piętro zazwyczaj zajmowali rzemieślnicy, a im wyżej, tym większa biedota. Wyższe kondygnacje takich insuli nie miały kanalizacji ani wody. Stąd też zazwyczaj w ich pobliżu budowano miejskie łaźnie, a wodę ich mieszkańcy czerpali z fontann. Inną jeszcze ciekawostką odnośnie do tych domów jest fakt, że w każdym z nich obowiązkowo przechowywano specjalny duży zbiornik wypełniony zawsze wodą, której używano do gaszenia pożarów.

Podróże jednak kształcą!

Braciszek dotrzymał słowa. Dojechaliśmy do akweduktu na plaży. Starożytna budowla z potężnymi arkadami, wspaniale zachowana, ciągnie się równolegle do morza.

– W czasach rzymskich i potem bizantyjskich zaopatrywała w wodę pitną Cezareę. Ten ciąg wodny transportował wodę w oparciu o zasadę stałego spływu ze źródeł znajdujących się w okolicach Karmelu. Jeszcze jedna uwaga: Rzymian uważa się za mistrzów budowy akweduktów, ponieważ doskonale opanowali technikę budowy arkad. Dzięki temu mogli przerzucać wodociągi nad dolinami i wszelkimi nierównościami terenu, skracając znacznie długość ich tras. Spadek w rzymskich akweduktach wynosił tylko kilkadziesiąt centymetrów na kilometr − powiedział, po czym dodał: – Teraz już zmykajcie! Macie dziesięć minut na zrobienie zdjęć, a kto

chce, może zamoczyć nogi w morzu, ale nic więcej! W mokrym ubraniu kierowca nikogo nie wpuści.

Nie trzeba nam tego było powtarzać. Chwilę poświęciłam na przyjrzenie się akweduktowi, będącemu niewątpliwie imponującym przykładem osiągnięć rzymskiej myśli inżynieryjnej, i pobiegłam wraz z innymi do morza. W końcu nie mogłam przepuścić ostatniej okazji zamoczenia chociażby nóg w cudownie ciepłym Morzu Śródziemnym! Zosia znowu zaczęła kręcić nosem, że nie chce jej się ściągać na te parę minut tenisówek i skarpetek, no i ostatecznie została na plaży.

− Wszystko, co dobre, jednak szybko mija. – Z takim smutnym stwierdzeniem zajęliśmy z powrotem nasze miejsca w autobusie.

Czekała nas teraz Hajfa, a ściśle mówiąc − góra Karmel z sanktuarium Stella Maris.

– Słuchajcie, moi drodzy! − Mikrofon brata zabrzmiał zaraz po opuszczeniu nadmorskiego parkingu…

Zosia szturchnęła mnie w łokieć i stwierdziła:

– Ten nasz braciszek od rana stanowczo za dużo się produkuje. Do wieczora może mu sił zabraknąć.

– Bzdury klepiesz! Doskonale wie chyba, co robi. Jesteś jak zwykle nadopiekuńcza. Poczekaj, mogę się założyć, że w kościołach odczyta fragmenty stosownych Ewangelii i da nam czas wolny, wówczas odpocznie.

– Tak myślisz?

– Jestem tego pewna! Zawsze tak robił! – odparłam jej z lekką irytacją, bo przerwała mi słuchanie komentarza

brata, który kontynuował:

– Potocznie używa się nazwy „góra Karmel”, chociaż tak naprawdę nie jest to pojedyncza góra, lecz potężny łańcuch ciągnący się na długości trzydziestu dziewięciu kilometrów od południowego wschodu, mniej więcej od miasta Dżanin aż do Hajfy, czyli północno-zachodniego Izraela, nad Morzem Śródziemnym. My dotrzemy do jego największego wzniesienia, znajdującego się na cyplu nad Zatoką Hajfy. Bliskość morza powoduje, że występują na tym obszarze duże ilości opadów. Z gór spływają dzięki temu strumienie, stanowiące, jak wspomniałem przy akwedukcie, źródło wody. Opady umożliwiają także rozwój roślinności śródziemnomorskiej. Najwyższe partie tego pasma są porośnięte lasami. Dominują dęby i sosny, przy czym drzewostany sosnowe są tutaj naturalne, co odróżnia je od pozostałych izraelskich lasów, będących efektem sztucznych nasadzeń. Cały ten obszar objęto ochroną, tworząc Park Narodowy Góry Karmel, a dodatkowo UNESCO uznało ten teren za rezerwat biosfery. Brytyjscy archeolodzy spenetrowali w latach dwudziestych XX wieku istniejące na Karmelu jaskinie i odkryli w nich ślady osadnictwa neandertalczyków oraz *homo sapiens*. Te jaskinie, traktowane jako stanowiska archeologiczne, zaświadczające o ewolucji człowieka, też wpisano na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Proponuję, abyście teraz pilnie przyglądali się mijanym widokom z prawej strony, bo już za chwilę Karmel powinien się nam pokazać. Przez dłuższy odcinek drogi będziemy obok niego przejeżdżać.

Patrzcie! A ja będę gadał dalej. Dżabal al-Karmal, bo tak brzmi jej arabska nazwa, którą dosłownie tłumaczy się jako „Winnica Boga”, albo też wymiennie używana przez Arabów nazwa Dżabal Mar Eljas, to jest „Góra Proroka Eliasza”, uznawana jest za święte miejsce w trzech religiach. Jeszcze starożytni Grecy uważali ją za Górę Zeusa, a także było to uświęcone miejsce dla wyznawców Baala. Do tego dodać trzeba wyznawców bahaizmu, ale o tych ostatnich dopowiem już tam, na miejscu. Skupmy się na nas, katolikach. W Starym Testamencie Karmel występuje jako symbol piękna. W opisie urody Oblubienicy w „Pieśni nad pieśniami” występuje porównanie do niej, a także jest ona wymieniana w Izajaszowej zapowiedzi wybawienia Izraela. Księga Królewska oraz starotestamentowa tradycja uznaje górę Karmel za miejsce działalności Eliasza i jego ucznia Elizeusza. To na niej miało dojść do zwycięskiego duchowego rozstrzygnięcia sporu Eliasza, wyznawcy Jahwe − Boga Jedynego – z kapłanami bożka Baala. Eliasz kierowany przez swojego Boga w cudowny sposób zdołał przekonać Izraelitów, że wszelkie susze i głód ich nękające biorą się z oddawania przez nich czci fałszywemu bóstwu. Po obaleniu kultu Baala do krainy Izraelitów powrócił dobrobyt. Nowy Testament Góry Karmel bezpośrednio nie wymienia, ale we wczesnym chrześcijaństwie w tutejszych jaskiniach rozwinął się ruch eremicki na wzór pustelniczego życia Eliasza i Jana Chrzciciela. Zachowana po tych pustelnikach z II i późniejszych wieków duchowa spuścizna, przede wszystkim kult maryjny podparty

symboliczną interpretacją Boskiego objawienia, jakie miał Eliasz, spowodowały, że w XIII wieku krzyżowcy na górze Karmel zakładają zakon, biorąc nazwę od tego miejsca. W taki sposób narodził się maryjny zakon karmelitów. Tradycja też głosi, że to tutaj zatrzymała się Święta Rodzina w drodze powrotnej z Egiptu do Nazaretu. Odnośnie do karmelitańskich zakonników, to łatwo ich było rozpoznać po charakterystycznym, brązowym szkaplerzu, jaki nosili. Jeśli ktoś się nie orientuje, to wyjaśniam, że jest to szeroki płat materiału z otworem na głowę, okrywający barki, pierś i spadający na plecy. Na szkaplerz nakładali pelerynę z przyszytym do niej kapturem oraz płaszcz. Od XX wieku zakonnicy ci mogą zamiast szkaplerza sukiennego nosić medalik szkaplerzny. Obydwa mają taką samą wartość duchową. Medalik musi być jednak wykonany z metalu i posiadać awers z wizerunkiem Pana Jezusa z Jego Najświętszym Sercem, natomiast na rewersie może znajdować się dowolne przedstawienie Matki Bożej.

Ostatnia część narracji brata dotyczyła już historii samego zakonu:

– Założony przez krzyżowców klasztor na Karmelu istniał do roku 1291, kiedy to Saraceni wymordowali mnichów, a ich klasztor spalili. Dopiero w XVII wieku karmelici mogli powrócić do swojej macierzystej siedziby. Z perypetiami wybudowali nowy klasztor przy wsparciu Francuzów. Podczas wyprawy Napoleona do Egiptu w 1799 roku wojska francuskie zajęły Hajfę, przekształcając budynki klasztorne Karmelu na wojskowy szpital. Po ich

odejściu Turcy w odwecie za pomoc udzieloną Francuzom napadli na klasztor. Wymordowali pozostawionych w nim rannych żołnierzy i zakonników, zaś sam klasztor zburzyli. Następnie dzięki interwencji francuskiego króla u sułtana niezmordowani karmelici w roku 1827 mogli po raz kolejny przystąpić do budowy swojej siedziby. Budowę potężnej fortecy wznoszącej się nad morzem ukończono w 1836 roku. W latach następnych udało się zakonowi wykupić cały szczyt góry Karmel i postawić obok klasztoru latarnię morską. Klasztor wówczas nazwano Stella Maris, czyli Gwiazda Morza. Obecnie latarnia uznawana jest za obiekt strategiczny i kontrolę nad nią sprawują izraelskie służby.

Dotarliśmy do cypla wciskającego się w Zatokę Hajfy ze szczytem Karmelu górującym nad okolicą. Widok na zatokę i położone na stoku miasto był przecudny. Po ochach i achach nad nimi z parkingu skierowaliśmy się do sanktuarium, przechodząc obok kawiarni, z której wydobywał się mocny aromat świeżo parzonej kawy. Pokusa była naprawdę duża.

Brat zdawał się tego nie dostrzegać. Poprowadził nas swoim energicznym krokiem do wnętrza klasztoru i od razu pokazał pomnik w kształcie piramidy, postawiony ku czci ofiar tureckiego mordu. Następnie odczytał fragment Starego Testamentu, którego treści dokładnie nie słyszałam, bo w tym czasie oddaliłam się nieco od grupy, przypatrując się latarni morskiej, stojącej naprzeciw kościelnego placu. Okalające ją kolczaste ogrodzenie i powiewająca izraelska flaga nie pozostawiały żadnych

wątpliwości, że jest to obiekt wojskowy. Dziwnie kontrastowała z nim strzelista figura Matki Bożej umieszczona nieopodal jego wejścia. Wracając do grupy, dosłyszałam uwagi brata na temat tego, co w kościele jest warte obejrzenia, a mianowicie groty Eliasza w prezbiterium i górującej nad nią figury Najświętszej Marii Panny Gwiazdy Morza, wykonanej z drewna cedrowego, malowideł na kopule przedstawiających proroków oraz Świętą Rodzinę, jak również tablic w nawie głównej z wizerunkami świętych karmelitańskich. Po tej wyliczance nastąpiło to, co przewidziałam, czyli dostaliśmy pół godziny wolnego czasu na obejrzenie wnętrza przybytku i indywidualną modlitwę. Braciszek zostawiając nas, zaznaczył:

– Tylko nie róbcie mi obciachu i chociaż na chwilę wejdźcie do kościoła, a nie biegnijcie od razu do tej knajpy na kawę!

Posłuchaliśmy. Grzecznie weszliśmy wszyscy do kościoła, lecz po pobieżnym oglądzie i króciutkiej modlitwie przed grotą nadspodziewanie szybko nasza grupa zaczęła się wykruszać. I to w pierwszej kolejności odeszły nasze starsze panie, te najbardziej bogobojne.

Zosia pociągnęła mnie za rękę, po czym popychając w kierunku drzwi, szeptem zakomenderowała:

– Przestań już się gapić na te tablice świętych, bo się nie doczekamy na kawę! Wszyscy zmykają. Nie chcę być obsłużona jako ostatnia, a oddałabym wiele za

posmakowanie jej, skoro tak aromatycznie pachnie nawet na zewnątrz. Nie mów tylko, że ty nie chcesz!

– Ja też chcę jej spróbować!

Odpowiedziałam trochę niepewnie, ponieważ do tej pory od śniadania przez cały dzień doskonale się obywałam bez kawy i nie czułam aż tak pilnej potrzeby jej wypicia. Tylko ten wspaniały aromat tak strasznie wabił, że nie można było pozostać obojętnym.

– Biegnij pierwsza i zajmij stolik! Zamów dla mnie espresso, ja muszę jeszcze do toalety.

Dwa mocne jak diabli espresso po cztery dolary za filiżankę znalazły się migiem na naszym stoliku. Ci, co przyszli po nas, też zostali ekspresowo obsłużeni. Widocznie personel wyspecjalizował się w szybkim parzeniu kawy dla większych grup. Serce zaczęło mi mocno kołatać po tym kofeinowym naparze, co aż takie przyjemne nie było, za to Zosia rozpływała się z ukontentowania, twierdząc, że tego jej właśnie było trzeba.

– Teraz czuję się jak nowo narodzona!

Ja wolałam się nie odzywać.

– Wiedziałem, że znajdę was tu w komplecie − stwierdził brat, wchodząc na restauracyjny taras. – Dosyć tych przyjemności! Kończcie te szatany! Mam nadzieję, że nikt po nich nie zasłabnie!

Aż tak źle to ze mną chyba nie jest? − pomyślałam z niepokojem.

– Jedziemy do ogrodów bahaitów! – kontynuował brat. − Nie rozsiadajcie się za bardzo! Zaraz będziemy wysiadać!

− usłyszeliśmy już w trakcie gramolenia się na swoje miejsca. – W niecałe dziesięć minut objedziemy górę Karmel z drugiej strony i będziecie mogli podziwiać wspaniałe Mauzoleum Bába. Tym, którzy nie są zorientowani, podpowiadam, że chodzi o Mauzoleum Sajjida Ali Muhammada tytułującego się mianem „Báb”, co oznacza dosłownie „brama”. Był on prekursorem religii bahai. W XIX wieku Bahá’u’lláh w oparciu o duchowe przesłanie Bába faktycznie stworzył religię na gruncie islamu, konkretnie szyizmu połączonego z elementami innych religii monoteistycznych. Bahaici, wyznawcy tego ruchu, opierają się na zasadzie jedności Boga, jedności religii oraz jedności ludzkości. Uważają, że Bóg od najdawniejszych czasów wysyła ludziom nauczycieli, których nauki stanowią podstawę rozwoju cywilizacji. Według nich wszystkie religie świata wywodzą się z tego samego źródła i w istocie są kolejnymi fazami tej samej religii. Ich celem jest wcielenie w życie wspólnej wizji, jednoczącej przyszłe pokolenia z naturą i dążeniami społeczeństw. Wizja ta została opisana przez Bahá’u’lláha. Na całym świecie liczba wyznawców tego ruchu sukcesywnie się powiększa. No, w skrócie wam objaśniłem. O pięknie ogrodów tworzących mauzoleum nie ma co gadać, przekonacie się o tym za chwilę. Uzbrójcie się tylko w odrobinę cierpliwości, ponieważ ze względów bezpieczeństwa strażnicy mauzoleum przed wejściem sprawdzają przewodników wszystkich większych grup. Taka

procedura, lecz na ogół gładko to przebiega, nie czynią trudności.

Zgodnie z zapewnieniem naszego doświadczonego przewodnika kontrola okazała się króciutką formalnością, po której mógł nas wprowadzić do tego ze wszech miar wyjątkowego miejsca.

Stanęłam na najwyższym tarasie, a pode mną w dole stoku rozkładały się segmentami balkony, tworzące wielobarwne dywany, utkane z przeróżnych gatunków pięknie kwitnących kwiatów i krzewów. Autentycznie miało się wrażenie, że weszło się w scenerię orientalnej *Księgi tysiąca i jednej nocy*, a piękna Szeherezada lada moment ukaże się przy źródełku fontanny i zacznie snuć kolejną opowieść. Pozłacana kopuła na białej rotundzie mauzoleum majacząca w dole była ukoronowaniem tego czarownego miejsca.

Mogłabym tak stać i stać, napawając oczy tym rajskim widokiem, lecz trzeba było po piętnastu minutach położyć kres tej wzrokowej uczcie. Czekał nas żelazny punkt każdej pielgrzymki po Ziemi Świętej, a mianowicie sanktuaria w Nazarecie.

Przychyliłam się do opinii większości w autobusie, że ogrody bahaickie z całą pewnością można uznać za jedne z najpiękniejszych widoków, jakie do tej pory dane nam było zobaczyć. Brakuje tak naprawdę słów, aby w pełni oddać ich krasę.

Autostradą numer cztery z Hajfy, a następnie drogą numer siedemdziesiąt dziewięć podążaliśmy w kierunku

Nazaretu.

– Moi drodzy, przejeżdżamy teraz po urodzajnych terenach Dolnej Galilei. Od południa zostawiliśmy już masyw Karmelu. Chociaż i ta kraina jest w większości pokryta skałami, to dzięki bliskości morza na tym obszarze występuje duża ilość opadów i mamy tutaj do czynienia ze stosunkowo niską średnią temperaturą roczną, co sprzyja rozwojowi roślinności. O Galilei mówi się, że jest spichlerzem całego Izraela. Widzicie przez okno ciągnące się aż po horyzont zielone pasma leśne i uprawne pola…

− Może to i jest kraina mlekiem i miodem płynąca, ale z tymi niskimi średnimi temperaturami trochę brat chyba przesadził. Sądząc po świecącym mocno słońcu, to w Nazarecie będziemy się smażyć nie mniej niż w Masadzie. W Hajfie i w Cezarei przynajmniej trochę od morza wiało! − Zosia głośno wyraziła trapiące i mnie markotne myśli. Po tej mocnej kawie w dwójnasób było mi gorąco. – Tylko mi nie mów, że w kościołach będzie chłodniej! − uprzedziła moją stałą pocieszającą odpowiedź na te jej powtarzające się utyskiwania.

Wzruszyłam bezradnie ramionami. Następne słowa brata nie pozostawiały żadnych złudzeń odnośnie do nieuchronnej perspektywy prażenia się w słońcu:

– Sam Nazaret jest miastem położonym w naturalnej niecce, otoczonej zewsząd nagimi wzgórzami. Obecnie zabudowa mieszkalna rozciągnęła się z niecki aż po szczyty tych wzniesień. Mamy tu klimat śródziemnomorsko-pustynny. Wiosną i jesienią temperatura waha się

w okolicach dwudziestu stopni Celsjusza, natomiast zimą zwykle nie spada poniżej zera. Lato bywa przeważnie upalne ze średnimi temperaturami od trzydziestu pięciu do czterdziestu stopni Celsjusza. Wprawdzie jest teraz koniec maja, ale tu to już faktycznie lato. Przygotujcie się po wyjściu na upał! Nazaret jest w przeważającej części zamieszkany przez Arabów. Mówi się potocznie o nim, że jest to arabska stolica Izraela. Duży odsetek społeczności arabskiej to chrześcijanie obrządku wschodniego, ale i katolików jest wśród nich całkiem sporo. Zatrzymamy się na parkingu w centrum Nazaretu. Stamtąd będziemy mieć blisko do Źródła Marii – kościoła będącego we władaniu prawosławnych Greków, a następnie odwiedzimy nasze, franciszkańskie sanktuarium – bazylikę Zwiastowania. Powoli możecie przygotowywać się do wyjścia. Weźcie ze sobą napoje! Apeluję, abyście szli zwartym szeregiem, bo w mieście panuje duży ruch, a kultura arabskich kierowców pozostawia wiele do życzenia. Nie ustępują oni pierwszeństwa pieszym. Jeśli ktoś się zagapi, to przejście na drugą stronę ulicy pojedynczo graniczyć będzie z cudem.

Dojechaliśmy do centrum. Po panującym wszędzie rozgardiaszu łatwo było poznać, że mieszkają tutaj Arabowie. Klaksony trąbiły zewsząd, tworząc nieznośną dla ucha kakofonię dźwięków. Odrapane i opuszczone budynki straszyły swoją brzydotą. Tak jakby kompletnie przestano się przejmować ich dalszym losem. Z mijanych ulicznych grilli i bud z kebabami wydobywał się nieprzyjemny smród dymu i przypalonych potraw. No i ten bałagan. Cuchnące

śmieci, wylewające się z zapełnionych koszy na ulicę, i sterty papierowych odpadków, porozrzucane gdzie tylko sięgnąć okiem. Zastany widoczek spowodował, że przyspieszyłam kroku. Wolałam jak najprędzej już się znaleźć w kościelnych murach − upał akurat nie miał w tym przypadku znaczenia.

Po schodach dostaliśmy się na kamienny plac, podobny do tego w Jerozolimie, sprzed wejścia do bazyliki Grobu Świętego, tak mi się przynajmniej skojarzyło. Na przykościelnym placu dowiedzieliśmy się, że według tradycji tutaj przy źródle miał zjawić się archanioł Gabriel. Krzyżowcy wierni tej tradycji zbudowali kościół pod wezwaniem Świętego Gabriela, a na ruinach świątyni w XVIII wieku prawosławni Grecy postawili świątynię, przed którą staliśmy.

Wytyczne brzmiały:

– Macie piętnaście minut na indywidualne obejrzenie wnętrza i ewentualną modlitwę. Możecie się napić wody ze źródła, jeśli ktoś pragnie. Później spotykamy się tutaj i przejdziemy do bazyliki.

Takie rozwiązanie mnie akurat pasowało. Rozglądając się dookoła, dostrzegłam na placu ocienione miejsce przy murku, które mogło z powodzeniem posłużyć za palarnię, dlatego jak najszybciej postanowiłam przemierzyć kościół, aby mieć jeszcze chwilę dla siebie.

Przekroczyłam kamienną bramę z widniejącym na frontonie prawosławnym krzyżem i chwilę przyglądałam się obłożonej kamieniami studni. W fantazyjny sposób na

dwóch pałąkach był przymocowany do nich bloczek z kołowrotkiem na linę. Ciekawy, stały element, charakterystyczny dla greckich kościołów, stojący zazwyczaj bezpośrednio przed wejściem do świątyni.

Schody w dół prowadziły do wnętrza. Obejrzałam imponujący ikonostas i przeszłam do krypty ze źródłem. Brat chyba trochę przesadził z tym piciem wody, bo na dnie źródła leżały powrzucane monety. Nasze panie, zobaczywszy to, parsknęły gniewnie. One naprawdę miały szczery zamiar się jej napić. Ich niezadowolone miny rozbawiły mnie. Nie chcąc im okazać swojej wesołości, jak najszybciej się wycofałam, rzuciwszy ledwie okiem na znajdujące się w krypcie duże malowidło przedstawiające brzemienną Matkę Boską.

Czasu na wypalenie papierosa wystarczyło aż nadto.

Przemarszu do bazyliki Zwiastowania też nie można zaliczyć do przyjemności. Z głównej ulicy skręciliśmy w boczną, o wiele węższą i niestety także przelotową, co więcej, bez chodnika. Trzeba było iść gęsiego i mieć oczy dookoła głowy, aby nie wpaść pod samochód. Kiedy osiągnęliśmy wreszcie nasz cel, musieliśmy nieco ochłonąć po tym niebezpiecznym przemarszu.

Obszerny franciszkański kompleks zaczęliśmy zwiedzać od kościoła Świętego Józefa. Przechodząc obok drzwi prowadzących bezpośrednio do pomieszczeń klasztornych, natknęliśmy się na dwie figury przedstawiające, przynajmniej w zamierzeniu rzeźbiarza, Zwiastowanie. Artysta naprawdę tak nieudolnie oddał rysy świętych, że

patrząc na nie, miało się wrażenie, że są to jakieś karykaturalno-komiksowe postaci − braciszek bez obiekcji poparł naszą opinię w tym względzie. Za to do małej rzeźby, stojącej w łuku nad wejściem do kościoła, przedstawiającej Świętą Rodzinę, nie mieliśmy żadnych uwag. Umieszczona pod nią polska tablica zaświadczająca, że na terenie klasztoru działała w 1944 roku szkoła dla młodszych ochotniczek Pomocniczej Służby Kobiet, to dowód obecności armii Andersa i tu, w Nazarecie. Neoromańskie trzynawowe wnętrze obejrzeliśmy dość powierzchownie. Po krótkiej, cichej modlitwie przed głównym ołtarzem, ozdobionym freskiem przedstawiającym małego Jezusa wraz z Rodzicami, nad którymi unosi się Duch Święty w postaci gołębicy, przeszliśmy bezpośrednio do krypty.

Wyeksponowano w niej znaleziska pochodzące z początków chrześcijaństwa.

– Mógł to pierwotnie być magazyn na ziarno, zaadaptowany na miejsce kultu religijnego. O tym może świadczyć odnaleziony fragment starożytnej cysterny, spełniającej najprawdopodobniej funkcję chrzcielnicy. W toku prac archeologicznych odsłonięto także fragmenty cystern pochodzących z wczesnego okresu bizantyjskiego z IV wieku. Przypuszcza się, że spełniały one także funkcję baptysterium. Potwierdzałoby to tezę, że od zarania chrześcijaństwa odbywały się w tym miejscu obrzędy religijne. Średniowieczna tradycja sytuuje tutaj warsztat ciesielski świętego Józefa, do którego przylegać miał dom, w którym mieszkał Jezus.

– Bracie, czy tylko w tym miejscu prowadzone były wykopaliska? − ośmieliłam się zapytać, ponieważ dopiero co usłyszane informacje rozbudziły moją ciekawość.

– Ależ skąd. Przed przystąpieniem do budowy współczesnej bazyliki w latach sześćdziesiątych cały teren dokładnie przebadano. W podziemiach klasztoru znajduje się ekspozycja tych znalezisk. Jest tam małe muzeum, lecz my nie mamy czasu, aby je dokładnie obejrzeć. Poprzestaniemy na odkopanych fragmentach, znajdujących się na zewnątrz. Przy nich nieco rozwinę ten temat.

Trudno. Znowu o coś się blisko ocieram, a nie mam możliwości głębszego wglądu – pomyślałam i westchnęłam zafrasowana.

Do wielkiego ogrodzonego współczesną obudową baptysterium nie zeszłam, ponieważ braciszek podprowadził nas od razu do odsłoniętych wykopalisk przy murze otaczającym bazylikę i uśmiechając się, stwierdził:

– Czas najwyższy, abym wam trochę rozjaśnił w głowach, bo z pewnością macie mały mętlik, jeśli chodzi o lokalizację Zwiastowania. Otóż oficjalnie przyjmuje się, że archanioł Gabriel ukazał się Marii przy źródle, czyli w miejscu, gdzie obecnie stoi grecki kościół, który już obejrzeliście. Natomiast samo poczęcie miało miejsce w domu Marii, a więc tutaj, gdzie stoi bazylika Zwiastowania. Za chwilę dotrzemy do groty, którą uważa się za przedsionek domu Marii. Według opowieści ten właściwy dom naszej Matki wywieźli krzyżowcy u schyłku istnienia Królestwa Jerozolimskiego i umieścili go

ostatecznie w mieście Loreto, gdzie dziś oglądać można tak zwany Domek Loretański. Opowieści to jedno, ale faktem niezbitym jest, że badania archeologiczne potwierdziły w tym miejscu działalność wspólnoty judeochrześcijańskiej już w III wieku. Blisko groty odnaleziono ślady ich synagogi, a mianowicie pozostałości architektoniczne, w tym fragment schodów. Na początek wieku IV datuje się napisy odkryte pod kolejnymi warstwami tynku. Najprawdopodobniej wyryli je chrześcijanie nieżydowskiego pochodzenia. Znaleziony napis z tego okresu w języku greckim „Zdrowaś Maryjo” jest jak do tej pory najstarszym odnalezionym epigraficznym świadectwem kultu maryjnego. W V wieku powstał kościół bizantyjski. Grota wówczas nie znajdowała się w jego murach. Tak przynajmniej ocenili badacze. Podupadły istniał do początków XI wieku. Krzyżowcy na jego gruzach pobudowali okazałą katedrę, umieszczając w jej wnętrzu grotę Zwiastowania. Po ich upadku katedra została wyburzona. Na początku XVII wieku franciszkanie odkupili teren wokół groty i postawili nad nią skromny kościół, który przetrwał do 1955 roku. Wraz z rozwojem ruchu pielgrzymkowego zaistniała pilna potrzeba rozbudowy sanktuarium. Rozebrano wówczas ten stary i na jego miejscu postawiono współczesną, dwupoziomową bazylikę. Grotę po pewnych przeróbkach udostępniono pielgrzymom. Wracając do archeologii i historii, stwierdzić należy, że dostarczone przez te nauki dowody praktycznie

nieprzerwanej tradycji żywego kultu religijnego najlepiej potwierdzają autentyczność tego sanktuarium.

Po tej braciszkowej tyradzie i przyjrzeniu się z bliska monumentalnym ścianom gmachu bazyliki miałam, oględnie rzecz ujmując, dość mieszane uczucia. Kiedy brat przed głównym wejściem do tego gmaszyska czytał ustęp z Ewangelii świętego Łukasza o Zwiastowaniu, zaczęłam intensywnie myśleć.

Podobnie jak w Ain Karem, nie mogłam pozbyć się wrażenia, że i tutaj doszło do nadinterpretacji wydarzenia opisanego w Ewangelii. Tam tłumaczenie, że święta Elżbieta posiadała dwa domy, jakoś do mnie nie chciało dotrzeć, a tutaj lokowanie tajemnicy Zwiastowania w dwóch odrębnych miejscach też stało się dla mnie mało przekonywające. Nie mogłam oprzeć się przeświadczeniu, że taka interpretacja jest wynikiem rywalizacji o pieczę nad świętymi miejscami pomiędzy katolikami i prawosławnymi. Ma ona uzasadniać sens istnienia w bliskiej odległości przybytków dwóch odłamów chrześcijańskich, upamiętniających ostatecznie to samo wydarzenie. Ot, takie moje myśli na gorąco, nie wiem, czy do końca racjonalne, zważywszy na to, że krzyżowcy stawiali wszędzie, gdzie tylko to możliwe, kościoły, ale oni kierowali się swoim interesem, a mianowicie utrwaleniem panowania w Ziemi Świętej, temu te budowle miały wówczas służyć.

Wnętrze bazyliki stłamsiło mnie. Ciemna oprawa górnego kościoła, okalająca zejście do położonej niżej groty, wydała mi się zbyt pompatyczna. Niby ubogie w dekoracje

pomieszczenie, ale przez swoje gigantyczne rozmiary sprawiało wrażenie aż za bardzo patetycznego, zbyt wyniosłego. Zamiast elektryzować i przyciągać na mnie podziałało przygnębiająco, nawet ze smutkiem uświadomiłam sobie, że wręcz odpychająco. Zrażona tym nieprzyjemnym doznaniem, z dużą rezerwą przeszłam do Groty Zwiastowania. Nie chcąc się wyróżniać, klęknęłam wraz ze wszystkimi przed tym świętym miejscem. I kolejne rozczarowanie. Zamiast spodziewanego widoku nagiej groty ujrzałam zaledwie jej niewielki kawałek, bo całą resztę przesłaniała zgrabna współczesna zabudowa. Według mnie kolumna dochodząca do jej sklepienia mogła być nawet ze średniowiecza, podobnie jak i widoczny fragment schodów, który mógł być jeszcze starszy, ale cała reszta − przede wszystkim posadzka i pionowe wsporniki przy belce nad schodami − kłuły w oczy współczesnością. O naiwności! Spodziewałaś się chociaż odrobiny autentyczności, a tu wielka blaga. Wyszłam.

W oczekiwaniu na modlących się obeszłam porozwieszane na ścianie wizerunki Marii Panny, czczonej w różnych zakątkach świata. Nasz obraz, przedstawiający Madonnę z Częstochowy, uznałam za udany kolaż. W postaci Matki Boskiej dostrzegłam zarówno elementy zaczerpnięte z wizerunku Matki Boskiej Częstochowskiej, jak i elementy przedstawienia Marii z Ostrej Bramy. U dołu kompozycji umieszczono postacie Mieszka I i Dąbrówki wraz z biskupem Jordanem oraz rycerzami. Na tle innych obrazów ten prezentował się nobliwie, czego nie da się

powiedzieć o amerykańskim malowidle. Ukazana na nim Matka Boska skojarzyła mi się z postacią wyciętą z filmowego plakatu science fiction. Pomimo złego nastroju, gdy patrzyło się na niego, nie można się było nie uśmiechnąć.

Opuszczając bazylikę, Zosia szepnęła mi do ucha:

– Ale ciemny moloch. Bez żadnego wyrazu.

Kiwnęłam jej głową potakująco, ja miałam identyczne odczucia. Zosia trafiła w sedno. Do tej pory bazylika Zwiastowania tak mi się niestety kojarzy.

Bez żalu opuszczaliśmy brudny Nazaret. Chociaż dały się słyszeć w autobusie głosy, że można w nim było zjeść obiad, gdyż już była najwyższa na niego pora. Braciszek przecząco pokręcił głową, mówiąc:

– Dzisiejszy obiad zaplanowałem w przydrożnej arabskiej restauracji u wylotu z miasta, w drodze do Kany Galilejskiej. Niebawem tam dotrzemy. Jedzenie w niej podają takie samo jak tutaj, w centrum Nazaretu, ale cenowo wypada o wiele taniej.

Zosia, usłyszawszy to, mruknęła pod nosem:

– Cholera, znowu będę musiała poszukać piekarni. Pani Ela pewnie się do mnie przyłączy.

– Przestań wydziwiać. Nie wiadomo, co nam podadzą. Ostatecznie humus wszędzie podają dobry − odparłam, chcąc ją przekonać do zjedzenia obiadu z grupą.

– E tam, jak zobaczę znowu te brudne łapska i niechlujstwo dookoła, to *sorry*, ale moja noga tam nie postanie. Mam w pompie innych gadanie.

– Zrobisz, jak zechcesz! − powiedziałam, odpuszczając sobie dalsze strzępienie języka, bo po raz kolejny stwierdziłam, że na ośli upór nie ma rady. Tak jakbym sama była święta…

Przydrożny bar prezentował się nad wyraz skromnie. Śmiało można go było określić mianem garkuchni. Wybór potraw był niewielki, właściwie poza siekaną, kebabową baraniną i kilkoma surówkami z dodatkiem falafeli oraz pitą niczego więcej nie było do konsumpcji. Ku mojej rozpaczy humusu też nie było. Poprzestałam na nałożeniu sobie łyżki mięsa z chlebem i kawałków bakłażana. Pierwsze kęsy wydały mi się nawet smaczne, ale przy następnych nabrałam podejrzeń, że wymieszano stare mięso i jarzyny ze świeżymi. To samo stwierdziła Tereska, odstawiając demonstracyjnie swój talerz. W jej ślady poszli pozostali. Tym razem Zosia i pani Ela dokonały słusznego wyboru. Dodatkowo jeszcze toaleta pozostawiała tak wiele do życzenia, że wyjątkowo szybko z tego lokalu wyszliśmy. Kto nie musiał z niej pilnie skorzystać, wolał poczekać do Kany.

W rezultacie do kościoła w Kanie Galilejskiej dotarliśmy nieco przed czasem, w porze skrupulatnie tutaj przestrzeganej sjesty. Za to w znajdującym się naprzeciw świątyni sklepie winiarskim sjesta nie obowiązywała, co wszyscy skwapliwie natychmiast wykorzystali. Tym bardziej, że ojciec zapowiedział, iż zgodnie z przyjętym na pielgrzymkach obyczajem w tym kościele, będącym sanktuarium tajemnicy chrześcijańskiego małżeństwa, odbywa się zawsze rytuał odnowy przyrzeczeń małżeńskich.

A to z kolei obliguje nasze pary do zakupu wina na kolację i urządzenia przyjęcia, aby tradycji stało się zadość. Wnioskując po ilości zakupionego przez nas wina, było jasne, że każdy do serca wziął sobie braciszkową zapowiedź urządzenia hucznego wesela, a ponadto nikt nie chce za bardzo nadwyrężać skromnego budżetu naszych pięciu małżeństw. Wszystko wskazywało, że cud przemiany wody w wino może się powtórzyć. Mnie podany do skosztowania naparstek czerwonego wina wydał się zbyt słodki, ale w końcu raz się żyje! Za przykładem innych kupiłyśmy z Zosią po butelce.

Inwencji naszym pannom młodym nie brakowało, bo do ponownego ślubowania przystąpiły w welonach sporządzonych naprędce na tę okoliczność z kolonijnych, białych chust. Śmiechu było co nie miara. Wszyscy na wesoło podeszli do tego rytuału, chociaż podczas powtarzania słów małżeńskiej przysięgi łezka wzruszenia pokazała się prawie w każdym oku. Po mszy i odnowie ślubowań w doskonałych nastrojach przeszliśmy uliczkę z pamiątkarskimi kramikami, na których, jak przystało na Kanę Galilejską, dominowały różnej wielkości gliniane amfory, będące najlepiej rozpoznawalnym atrybutem tego miejsca.

– Moi drodzy, muszę was poinformować, że ze względu na to, iż braciszkowie bernardyni na górze Tabor będą gotowi nas przyjąć dopiero przed kolacją, została nam do wykorzystania jeszcze przynajmniej godzina z hakiem. Proponuję spożytkować ją, cofając się w stronę Nazaretu.

W niewielkiej od niego odległości, w kierunku północno-zachodnim, zalegają warte obejrzenia ruiny starożytnego Seforis. Zgadzacie się?

Cichy szmer aprobaty był naszą jedyną odpowiedzią. Prawdę powiedziawszy, byliśmy już zmęczeni, a do tego podekscytowani perspektywą mającej się odbyć weselnej uczty na górze Tabor, wolelibyśmy już się tam jak najszybciej znaleźć. Ale trudno, nikt głośno nie oponował.

– Znowu ruiny! − Zosia wyszeptała mi do ucha, krzywiąc z niezadowoleniem usta.

– Lepsze to od kolejnego kościoła − odparowałam automatycznie.

– To rzeczywiście racja!

– No, jestem rozgrzeszony. − Uśmiech od ucha do ucha zagościł na okrągłej facjacie braciszka Tucka. – Zatem rozsiądźcie się wygodnie w fotelach, chociaż nie czeka nas zbyt daleka droga. Krajową drogą siedemdziesiąt dziewięć dotrzemy niebawem do moszawu Cippori, obok którego rozciąga się teren parku narodowego − następna okazja do wykorzystania zbiorowego karnetu. Odnośnie do tego miejsca należy wspomnieć, że uważa się niekiedy, że w nim dzieciństwo spędzili oboje rodzice Marii – Anna i Joachim. Im dedykowany jest kościół prowadzony przez włoskie zakonnice. Jednak nie damy rady do niego wstąpić ze względu na godziny otwarcia.

O mały włos bym wykrakała – pomyślałam. Porozumiewawczo spojrzałyśmy na siebie z Zosią i się roześmiałyśmy.

– Wracając do ruin − kontynuował nasz przewodnik − to nadmienię, że archeolodzy odkryli ślady w nich bytności człowieka, datowane już na epokę brązu. Jako centrum administracyjne całej Galilei znane było od okresu babilońskiego. W II wieku p.n.e. zostało włączone do Judei, pod nazwą Cippori. Po rzymskich podbojach weszło w skład Prowincji Syrii i miastu przyznano szeroką autonomię. Między innymi władza sądownicza spoczęła w rękach żydowskich kapłanów, uniezależniając ich od Sanhedrynu w Jerozolimie. Po objęciu władzy nad narodem żydowskim przez Heroda Wielkiego miasto nie chciało uznać jego zwierzchnictwa, opowiadając się za prawowitym dziedzicem z dynastii Machabeuszy. W rezultacie Herod Wielki siłą je zajął i przemianował jego nazwę na helleńskie Seforis. Po jego śmierci w mieście dochodzi do buntu. W odwecie rzymski namiestnik niszczy całe Seforis. Do jego odbudowy przystępuje syn Heroda Wielkiego – tetrarcha Galilei, Herod Antypas. Odbudowane przez niego miasto w grecko-rzymskim stylu jako stolicę Galilei przemianowano na Autocratoris, na cześć cesarza Oktawiana Augusta. Funkcję stolicy Autocratoris sprawowało aż do 17 roku n.e., to jest do czasu powstania Tyberiady. Nie chcę was zanudzać, ale nie sposób pominąć faktu, że ówcześni mieszkańcy tego miasta ulegli znacznej latynizacji. Niechlubną kartę zapisali w trakcie I powstania żydowskiego, dla przypomnienia: w latach 66–73 n.e., opowiadając się po rzymskiej stronie, co w znacznej mierze przesądziło o losach powstania, jako że wówczas miasto

było potężną, nie do zdobycia twierdzą. Podczas II powstania żydowskiego Bar Kochby mieszkańcy miasta starali się zachować neutralność. Po klęsce i tego zrywu w wyniku napływu uciekinierów ze zniszczonej Judei, w tym przede wszystkim rabinów, miasto stało się prężnym ośrodkiem żydowskiej religii. Obok Żydów w mieście istniały także enklawy pogańskie – wyznawców hellenistycznych bożków – oraz grupy chrześcijan. Wszystkie utrzymywały swoją odrębną tożsamość. W 363 roku wielkie trzęsienie ziemi niszczy kompletnie miasto. W następnym wieku częściowo je odbudowano, lecz dawnej świetności już nigdy nie odzyskało. Mieszkająca w nim obok wyznawców judaizmu grupa chrześcijan miała wówczas swoich biskupów. Dalsza historia nie odbiega znacząco od dziejów wielu innych zabytków znajdujących się w Ziemi Świętej, a mianowicie w VII wieku Seforis zostaje zdobyte przez Arabów. Następnie w XI wieku dostaje się pod panowanie Królestwa Jerozolimskiego. Krzyżowcy zbudowali tutaj zamek obronny i kościół, o którym już wspominałem. Potem oczywiście Saladyn, a od XVI wieku aż do I wojny światowej Imperium Osmańskie. Od 1918 roku administrację nad tym miejscem przejmują Brytyjczycy. Nie ma sensu, abym was zanudzał współczesną historią. Uwzględniłem Brytyjczyków ze względu na to, że oni już w 1931 roku rozpoczęli pierwsze prace archeologiczne na tym obszarze, które od połowy lat siedemdziesiątych XX wieku były systematycznie kontynuowane przez izraelskich archeologów. Efekty ich

prac będziemy mieli możność zobaczyć. Bardziej szczegółowo opowiedziałem wam wczesną historię miasta ze względu na to, że większość odkopanych tutaj zabytków przypada właśnie na okres rzymski i bizantyjski. Proponuję krótki spacer po tych obiektach.

Opieszale wylegliśmy z autokaru. W końcu już rano w Cezarei napatrzyliśmy się na antyczne budowle. Niektórym osobom ich kolejna popołudniowa porcja nie była w smak. Ja jednak do nich się nie zaliczałam. Swoim zwyczajem akurat przy zwiedzaniu wykopalisk wolałam trzymać się blisko brata, aby wszystko dokładnie usłyszeć i zapamiętać. Naprawdę warto było! Chociaż tempo, jakie od początku narzucił nam braciszek Tuck, było zawrotne.

I tak w odrestaurowanej wieży pochodzącej z czasów krzyżowców ledwie kilka chwil było nam dane na obejrzenie znajdującej się na drugim piętrze ekspozycji artefaktów tutaj odnalezionych. Zanim starsza część naszej grupy zdążyła po schodach do niej dotrzeć, padła już właściwie komenda zejścia. Nie zdążyłam niczego konkretnego zapamiętać. Podobnie rzecz się miała z odkopanym amfiteatrem, pochodzącym z czasów rzymskich. Na moje protesty, aby nieco zwolnić tempo zwiedzania, braciszek odparł, że tego typu podobne obiekty już widzieliśmy, dlatego woli nas jak najszybciej poprowadzić do tych miejsc, z których Seforis słynie, jako że do zamknięcia parku pozostała już tylko godzina. W odpowiedzi wzruszyłam z niezadowolenia ramionami. Moja złość prędko jednak przeszła, kiedy dotarliśmy do fragmentów

odkopanej rzymskiej willi. Zachwyca w niej mozaika przedstawiająca zamyśloną kobietę. Jest to słynna Mona Lisa Galilei, w jej sąsiedztwie podłogowe malowidła przedstawiają sceny z życia mitologicznego Dionizosa. Później podziwialiśmy wybrukowane cardo z pozostałościami kolumn i fragmentami rzymskich domów. W niektórych zachowały się podłogowe mozaiki z dobrze widocznymi motywami zwierzęcymi i roślinnymi. Na koniec dotarliśmy do zabezpieczonej drewnianą konstrukcją ruiny synagogi z końca V wieku. W jej sali modlitewnej w oczy rzucają się mozaiki przedstawiające sceny biblijne i umieszczone przy nich napisy w języku aramejskim. Ciekawa rzecz z tymi napisami, bo według wyjaśnień brata utrwalone zostały w nich dla potomności nazwiska fundatorów tychże mozaik. Z synagogi brat skierował nas najkrótszą drogą, omijając stanowiska archeologiczne, z powrotem na parking.

Trochę jak zwykle było mi żal, że zbyt mało czasu poświęciliśmy na zwiedzanie tych ze wszech miar interesujących wykopalisk, lecz inni mieli już naprawdę dosyć zwiedzania. Z wielką ulgą przyjęli komunikat brata:

– Nareszcie możemy wsiąść do autobusu i już bez żadnego zatrzymywania się obierzemy kierunek na górę Tabor.

Na widok Zosi, wygodnie moszczącej się w fotelu z zamiarem ucięcia sobie drzemki, też ogarnęło mnie znużenie. Z obawą pomyślałam, jak kondycyjnie zniosę jeszcze wieczorne świętowanie, na które wszyscy tak się

cieszą. Żal by było coś takiego przepuścić! Lepiej spróbować teraz też się trochę zdrzemnąć. Po pauzie ogarnął mnie błogi stan niebytu, z którego wyrwały mnie trzaski braciszkowego mikrofonu. Półprzytomnie spojrzałam w okno i ze zdziwieniem uświadomiłam sobie, że zasnęłam. Potwierdziły to usłyszane słowa:

– Niech się powoli budzą ci, co przysnęli, bo dojechaliśmy już do urodzajnej doliny Jezreel, nazywanej też doliną Ezdrelon. Na niej tkwi samotna góra Tabor. Pozwólcie, że trochę wam ją opiszę, zanim się na niej zameldujemy. I tak w tradycji chrześcijańskiej góra ta uważana jest za miejsce przemienienia Jezusa Chrystusa, opisanego w Ewangeliach świętych Marka, Mateusza i Łukasza. Wzmianki o tym wydarzeniu zawarte są również w Drugim Liście świętego Piotra. Dla upamiętnienia tego ważkiego wydarzenia obecnie na gruzach bazyliki bizantyjskiej i z czasów krzyżowców stoi piękny łaciński kościół, bazylika Przemienienia Pańskiego, wraz z klasztorem w części południowej, natomiast część północna z kościołem Świętego Eliasza należy do prawosławnych Greków. Jutro rano w naszym kościele odbędziemy mszę, ale już teraz podpowiadam wam, abyście zwrócili uwagę na mozaikę w centralnej absydzie, przedstawiającą tajemnicę Przemienienia. A w ogóle to należy zaznaczyć, że bazylika w nawiązaniu do słów świętego Piotra: „Rabbi, dobrze, że tu jesteśmy; postawimy trzy namioty: jeden dla Ciebie, jeden dla Mojżesza i jeden dla Eliasza”[1] została w ten sposób zbudowana, że część

główna stanowi namiot Jezusa, natomiast kaplice są namiotami Mojżesza i Eliasza. Jeśli chodzi o czasy biblijne, istniało tutaj sanktuarium kananejskie i doszło do wielkiej bitwy między Izraelitami i Kananejczykami. W czasach rzymskich góra Tabor przeżyła oblężenie. Podczas I powstania żydowskiego oddziały dowodzone przez Józefa Flawiusza stawiały w niej zaciekły opór nacierającym legionom Wespazjana. Z nowszej historii wspomnieć należy o zwycięskiej bitwie stoczonej u jej podnóża w XVIII wieku przez Napoleona Bonapartego z Turkami. Wracając do współczesności, nie zdziwcie się, kiedy na miejscu zobaczycie gromadkę bladych młodzieńców. Są to pacjenci działającego przy klasztorze ośrodka dla narkomanów. Przybywają oni z różnych zakątków Europy Zachodniej, chociaż najwięcej jest ich z Włoch. Kuracja polega na wszelkich pracach na rzecz klasztoru w zamian za wikt. Nie ma przymusu. Kiedy chcą, przychodzą i mogą także nieskrępowanie opuścić klasztor. Rezultaty tak ustawionej terapii bywają różne. Odnotowano parę przypadków całkowitego wyleczenia, a przynajmniej niesięgania po narkotyki przez dłuższy okres. Przy klasztorze działają kawiarenka, prowadzona przez nich, oraz butik z pamiątkami. Większość tych bibelotów kuracjusze wykonują sami, dzięki czemu zasilają w minimalnym zakresie klasztorną szczupłą kiesę. Jeśli czujecie się w obowiązku, możecie też ją nieco zasilić, kupując ich rękodzielnicze wyroby. Oczywiście według własnego uznania. To chyba wszystko, co najistotniejsze. Zaraz

znajdziemy się na parkingu i przesiądziemy się do busów. Nie zapomnijcie zabrać swoich podręcznych tobołków, bo jeśli ktoś czegoś zapomni, to absolutnie nie będzie możliwości powrotu!

Akcja przesiadania się przebiegła w błyskawicznym tempie. Autokar podjechał pod rząd oczekujących busów, tak że wystarczyło zrobić zaledwie kilka kroków z siatkami, aby zająć w nich miejsce. W sumie zmieściliśmy się do trzech. Przez pośpiech niewiele zarejestrowałam z miejsca przesiadki. Droga na wierzchołek góry przez zalesiony stok pięła się niezwykle ostrymi zakosami, wywołując palpitację serca u naszej starszej części towarzystwa. Wszyscy odetchnęli z niewyobrażalną ulgą, kiedy po tej karkołomnej jeździe stanęliśmy u celu.

Po przekroczeniu bramy sanktuarium na wprost nas zamajaczyła w zachodzącym słońcu dostojna bryła kościoła. Po lewej stronie, za niskim parkanem, dostrzec można było ciągnący się wzdłuż całego zespołu ogród, w którym z przodu rozlokowano ozdobne kwiatowe rabatki, a w dalszej części dało się zauważyć szpaler warzywnych grządek. Prawą zaś stronę zajmowały jedno- i dwupiętrowe klasztorne zabudowania. Udaliśmy się wprost do ostatniego z nich, przeznaczonego na noclegownię.

Dostał nam się mały pokój na piętrze, urządzony nad wyraz spartańsko. W porównaniu z nim ten u sióstr w Jerozolimie był wręcz luksusowy. W oczy kłuła bardzo mocno sprana pościel, oblekająca sfatygowane koce. Do tego ściany z odrapanym w kilku miejscach tynkiem, które

robiły raczej smutne wrażenie. Absolutnie nie przejęłyśmy się tym, wychodząc z założenia, że w końcu jedną noc można się w nim bez problemu przemęczyć. Grunt to łazienka z kompletem czystych ręczników. Była wprawdzie mikroskopijnych rozmiarów, ale tylko do naszego użytku. Zosia stwierdziła, że warto byłoby przewietrzyć jeszcze dodatkowo pokój, i zaczęła się szamotać z przedpotopowym wihajstrem służącym za klamkę. Tej sztuki nie udało się dokonać ani jej, ani mnie. Potrzebna była pomoc Zenka, sąsiadującego znowu obok nas. Męska dłoń sprostała zadaniu i mogłyśmy rozkoszować się napływającym rześkim powietrzem wieczoru wraz z dobiegającą z ogrodu wonią intensywnie pachnących kwiatów nasturcji. Udając się na kolację, zostawiłyśmy okno otwarte na oścież…

W progu jadalni powitali nas młodzieńcy w kelnerskich uniformach, zapraszając do zajęcia miejsc przy stołach ustawionych w kształcie podkowy. Całość zasłana była nieskazitelnie białym obrusem, a na nim, obok zastawy, postawiono finezyjnie poutykane kwiatowe kompozycje. Tak pięknie udekorowanego weselnego stołu nie powstydziłaby się żadna markowa restauracja. W tym względzie chłopacy spisali się na medal. Trochę gorzej było z menu, bo po tradycyjnym spaghetti, wniesionym z wielką pompą na srebrnych tacach, doniesiono zaledwie kilka pater z kanapkami i do tego parę dzbanków soku z owocami. I to już było wszystko. Ale co tam, nikomu nie przyszło do głowy narzekać. Częste toasty, zwyczajowe *Sto lat* i gromkie wołania „Gorzko” skutecznie zamaskowały te

niedociągnięcia. Rozochoceni wypitym winem, chętnie przyjęliśmy sugestię brata, aby przejść do kawiarenki. Tam zagwarantowana została nam jeszcze gratisowa kawa i nadarzyła się okazja do podreperowania kasy naszych gospodarzy. Mój dobry humor trochę popsuła Zosia, odciągając mnie po drodze na bok i szeptem instruując:

– Przypatrz się tylko dobrze tym narkomanom! Zobacz, jaki mają rozbiegany wzrok, nie potrafią się skupić na jednym!

Ta to od razu musi wszystko zauważyć! Szczęka mi opadła. Wypaliłam:

– Nie psuj zabawy! Niczego takiego nie zauważyłam!

– Bo nie jesteś w ogóle spostrzegawcza! − odburknęła zgryźliwie.

Może i coś w tym jest! − pomyślałam sobie, racząc się kawą i mimochodem popatrując na obsługującego nas młodzieńca. Aż zadrżałam, kiedy dotarło do mnie, że przecież jest w wieku moich dzieciaków, a nawet z sylwetki przypomina mi moją młodszą latorośl. Pod wpływem tego olśnienia spojrzałam w górę, niezależnie od tego, czy ktoś stamtąd na mnie patrzy, czy też nie, dziękując, że uchroniono mnie przed tą rodzinną tragedią, jaką jest narkomania któregoś z jej członków. Automatycznie, bez jakiegokolwiek zastanowienia, wyjęłam z wystawowego koszyczka pierwszą z brzegu perełkową bransoletkę z przytroczonymi medalikami i kupiłam ją. Nie zważając na to, że Zosia daje mi znaki, abym tego nie robiła, gdyż cena ośmiu dolarów za paciorki była stanowczo zbyt

wygórowana. Trudno, może ta moja drobna cegiełka komukolwiek w jakiś sposób pomoże, a ja dzięki temu poczułam się od razu lepiej.

Zarządzono, że dalszą część weselnego przyjęcia − już mniej oficjalną, bez braciszka i naszych starszych matron, które były zbyt zmęczone − możemy odbyć w salce na piętrze. Przed zebraniem się naszego „doborowego” towarzystwa na moment weszłyśmy z Zosią do pokoju. Chciałyśmy skorzystać z toalety i zabrać nasze wino.

O zgrozo! Zapaliwszy światło, zauważyłyśmy, że w pokoju roi się od komarów i małych muszek. Przez otwarte okno naleciało mnóstwo tego paskudztwa. Ja po natychmiastowym zamknięciu feralnego okna, czego cudem szybko dokonałam, z wykształconą przez lata rutyną − mieszkam w końcu przy lesie − i po zaopatrzeniu się w dostępne narzędzie, a mianowicie w gazetę zwiniętą w rulon, bezzwłocznie przystąpiłam do ich likwidacji. Zosia, pani z miasta, histerycznie oświadczyła, że w takich warunkach najlepiej będzie poprosić brata o zmianę pokoju. Z trudem, używając wyszukanych argumentów, wyperswadowałam jej ten absurdalny pomysł. Kiedy ostatecznie uznałam, że inwazja została unicestwiona, mogłam dalej uczestniczyć w weselu. Mojej współtowarzyszce przeszła jednak chęć na zabawę. Stwierdziła, że przez to zamieszanie z komarami jest tak podenerwowana, iż nie czuje się na siłach, aby jeszcze balować. Weźmie szybki prysznic i spróbuje zasnąć, jeśli nic jej nie będzie bzykać nad głową. Poszłam sama.

Biesiada rozkręcała się w najlepsze. Góralskie temperamenty dawały o sobie znać. Po serii pieśni, wykonanych na siedząco, dziarsko zabraliśmy się do tańców. Nie potrzebowaliśmy orkiestry. Od niewinnego wykonania *Zasiali górale* przeszliśmy do skocznego oberka, a w finale do siarczystego zbójnickiego, wykonanego przez męską część naszego towarzystwa, z indywidualnymi popisami zręczności włącznie, przy gorącym aplauzie kobiecej części. Dawno się tak dobrze nie bawiłam. Grubo po północy zmuszeni byliśmy zakończyć tę imprezę. Wracający z wizyty u zaprzyjaźnionych księży brat położył jej kres, wyłuszczając nam, że pora jest bardzo późna, a ponadto boi się, że przy tych naszych harcach możemy uszkodzić salkę i rano do rachunku zakonnicy dopiszą nam słoną kwotę tytułem poniesionych strat.

Cicho wsunęłam się do pokoju, darowując już sobie wieczorny prysznic. Rano nadrobię zaległości w tym względzie. W głowie lekko mi szumiało, co było oznaką wypitego wina. Jak nic jestem na lekkim rauszu. Jutro czeka mnie zapewne piekielnie trudny poranek. Ale co tak śmierdzi? Do moich nozdrzy dopiero po chwili doszła mdła woń unosząca się w pokoju, której źródłem była śpiąca Zosia. No nie! Zdesperowana Zosia musiała przed pójściem spać obficie spryskać swoją pościel dezodorantem w obawie przed komarami, stąd ten przykry zapach. Z niepokojem sprawdziłam, czy oddycha miarowo, i zległam na swoim łóżku, mając nadzieję, że jutro rano jednak się obudzimy.

[1] *Ewangelia według świętego Marka* (Mk 9, 5), *Biblia Tysiąclecia. Pismo Święte Starego i No ego Testamentu*, Wydawnictwo Pallotinum w Poznaniu, Poznań 2003.

~ DZIEŃ X ~

Środa

Obudziłam się z bólem rozsadzającym czaszkę. W pierwszej kolejności sięgnęłam po tabletki, równocześnie zachodząc w głowę, co spowodowało tę moją dolegliwość. Kac po winie to jedno, ale sądząc po pulsowaniu skroni i ciemnych mroczkach przed oczami, w równym stopniu przyczyniło się do tego spanie w oparach Zosinego dezodorantu. Jeszcze się nie ulotnił. Niech ją gęś kopnie z takimi pomysłami! – pomstowałam w myślach w oczekiwaniu, aż zwolni łazienkę. Niby taka na wszystko wyczulona, a nie doszło do niej, że te opary mogły się okazać dla nas niebezpieczne.

– Aleś balowała! Trzy razy w nocy przebudzałam się, nasłuchując, czy mi coś nie bzyka, a ciebie ciągle nie było! – przywitała mnie Zosia na dzień dobry.

– Ubawiłam się za wszystkie czasy, ale teraz głowa mi pęka! Skąd pomysł, żeby wypsikać tyle dezodorantu na pościel? Śmierdziało tak, że istny cud, iż się nie zatrułyśmy!

– Panicznie boję się komarów – wymamrotała cicho.

– Przestań! Przecież większość wytłukłam, a nawet gdyby cię jakiś ukąsił, to i tak kilka bąbli mniej szkodzi od

spania w tym paskudztwie, którym w histerii spryskałaś całą pościel! – warknęłam na nią poirytowana i odkręciłam wodę, ucinając dalszą dyskusję, która mogłaby się przerodzić w sprzeczkę. Chciałam jej uniknąć.

– Cholera, pospiesz się! Zostało pięć minut do rozpoczęcia mszy! Słyszę, że wszyscy już schodzą. Chyba znowu wstałyśmy za późno! – Krzyk Zosi przerwał mi błogą chwilę pod prysznicem.

Najchętniej zrezygnowałabym z pójścia na mszę, lecz w te ostatnie dni wolałam nie wzbudzać sensacji. Doprowadziłam się do jakiego takiego porządku i razem z Zosią jako ostatnie udałyśmy się do kościoła. Inni mieli możliwość przyjrzenia się jego wnętrzu, które już wczoraj opisał braciszek. Nam z braku czasu nie pozostało nic innego, jak wejść od razu do bocznej kaplicy na nabożeństwo. W jego trakcie poczułam nieznośne ssanie żołądka. Byłam głodna. Dotarło do mnie, że wczoraj nie zjadłam obiadu, a i na kolację niewiele więcej poza chochelką spaghetti. Jeszcze jeden przyczynek do mojej dzisiejszej kiepskiej kondycji. Z trudem dotrwałam do końca mszy.

Zaraz po wyjściu bez skrupułów pobiegłam z przodu, w męskim towarzystwie, na śniadanie. Zapełniłam talerz wszelkimi śniadaniowymi specjałami wyłożonymi na szwedzkim stole i zabrałam się z energią do konsumpcji. W miarę jedzenia czułam, jak powracam do względnej równowagi. Dotarł przynajmniej do mnie komunikat, że zaraz po śniadaniu możemy jeszcze na chwilę wejść na

przykościelny taras, aby stamtąd podziwiać rozległy widok na dolinę Ezdrelon, a następnie mamy zameldować się z tobołkami przed wejściem do sanktuarium.

– Busy już na nas czekają! − zakończył brat.

Powlekłam się wraz z innymi po swój bagaż, ale z podziwiania widoku zrezygnowałam. Wolałam w tym czasie zapalić. Głowa po sutym śniadaniu przestała mi już szczęśliwie dokuczać. Niepokojącą myśl o tym, jak zachowa się za chwilę mój zapchany żołądek podczas slalomowego zjazdu, wolałam od siebie odpędzić, skupiałam się na obserwacji pracujących w ogrodzie bladych młodzieńców. Zosia stanęła obok mnie i zobaczywszy moje zainteresowanie, napomknęła:

– Dobrze się przypatrz za dnia…

– Ty znowu wracasz do tego ich wzroku! – przerwałam jej obcesowo.

Moja towarzyszka popatrzyła na mnie badawczo i zawyrokowała:

– Wiesz, dobrze, że opuszczamy już tę górę Tabor, bo chyba ma ona w sobie jakieś złe fluidy, które ze dwojoną siłą na ciebie oddziałują.

No, teraz to naprawdę mnie zaskoczyła. Otworzyłam usta, aby odpłacić jej się jakąś ciętą ripostą, lecz nic z tego. Widząc jej poważną, zatroskaną minę, roześmiałam się. Ona po chwili także. Przestało między nami zgrzytać.

Slalom busem przeszedł bez sensacji. Gramoląc się do pojazdu, zauważyliśmy zmianę w postaci innego kierowcy. Według słów brata autokar, którym się od początku

poruszamy, jest własnością palestyńskiej firmy rodzinnej. Prowadzą ją trzej bracia – kierowcy. W przypadku takiej pielgrzymki jak nasza zmieniają się oni na trasie. Brat dodał jeszcze, że dobrze się akurat stało, ponieważ pilnujący naszych bagaży w autobusie poprzedni kierowca miał niespokojną noc. Kilku miejscowych opryszków usiłowało zapoznać się z zawartością luków bagażowych autokaru. Tylko przytomna interwencja kierowcy zapobiegła tym zapędom. Nie obyło się bez wezwania policji. Wobec powyższego po tych nocnych przejściach tym bardziej należał mu się odpoczynek.

– Moi drodzy, na dzisiaj zaplanowane jest odwiedzenie północnych kresów biblijnego Izraela, ze źródłami Jordanu i wzgórzami Golan. Planuję także sprawić wam niespodziankę w postaci odwiedzenia unikatowego rezerwatu przyrody Hula, ale zobaczymy, jak będzie z czasem. Póki co naszą wędrówkę rozpoczniemy od Tel Dan. Przypominam, że dzisiejszy nocleg i kolejne aż do końca mamy zamówione w Tyberiadzie, w domu pielgrzyma. Dotrzemy tam późnym popołudniem. Tych, którzy balowali do późnej nocy na weselu i dzisiaj nie są w pełni sił, mogę pocieszyć, że przez większość dnia będziemy przebywać na świeżym powietrzu. Na łonie przyrody powinniście szybko wrócić do formy. − Mówiąc to, braciszek zrobił zafrasowaną minę.

Przez autokar przeszedł jęk lamentu.

Zosia dobrotliwie poradziła mi:

– Prześpij się, zanim dojedziemy na miejsce! Dam ci mój ręcznik na zagłówek.

Idąc za tą radą, umościłam się odpowiednio na siedzeniu. W autokarze zaległa cisza. Większość też poszła w moje ślady. Jakoś ostatnio coraz częściej zdarza się, że przy dłuższej jeździe zasypiamy, co na początku pielgrzymki było nie do pomyślenia, i nie jest to bynajmniej tylko rezultat picia wina. Chyba szalone tempo pielgrzymowania daje się już wszystkim w kość. Taką mało odkrywczą myśl wygenerował mój mózg, kiedy bezwiednie gapiłam się na drogę. Nie dane nam było jednak ostatecznie zasnąć, bo naszemu niezmordowanemu przewodnikowi zebrało się na wyjaśnienia:

– Słuchajcie! − Przez mikrofon rozbudzająco zabrzmiał głos brata. − Opuszczamy powoli Dolną Galileę, czyli urodzajny, zielony spichlerz Izraela, i kierujemy się na północ, ku surowej, górskiej krainie Górnej Galilei, rozpoczynającej się powyżej Tyberiady. Przecinając ją, dotrzemy do wzgórz Golan. Pozwólcie, że nieco wam przybliżę ciekawe miejsca, które będziemy mijać po drodze. Samo Jezioro Galilejskie omijamy dzisiaj łukiem, ponieważ na nie poświęcimy cały jutrzejszy dzień. Nasza droga prowadzi przez wioskę Rosz Pina, którą w XIX wieku zbudowali pierwsi emigranci żydowscy, pochodzący z Europy Wschodniej. Nazwa tej miejscowości oznacza dosłownie „Kamień Węgielny” i jest nawiązaniem do strofy Psalmu sto osiemnastego: „Kamień odrzucony przez budujących stał się kamieniem węgielnym. Stało się to

przez Pana: cudem jest w naszych oczach”[1]. Interpretację tego ustępu w kontekście powstania państwa Izrael pozostawiam wam samym…

Brat zawiesił głos, a po chwili kontynuował:

– Gdybyśmy od miejscowości Rosz Pina odbili w lewo, to dojechalibyśmy do Safedu – kolebki studiów kabalistycznych. Wypędzeni z Hiszpanii w XV wieku Żydzi Sefardyjczycy osiedlili się między innymi tutaj, w Górnej Galilei, i zaczęli kultywować dzieła żydowskiej mistyki, powstałe w XIII wieku. Istota kabały osadza się na próbach ożywienia bezpośredniego związku pomiędzy Bogiem a wiernymi poprzez ezoteryczne doświadczenia. To coś podobnego do tańca derwiszy, jeśli państwo kojarzycie. W kabale żydowskiej duże znaczenie nadaje się liczbom, ale szczegółów niestety nie znam. Faktem jest, że od XVI wieku działają tutaj nieprzerwanie religijne szkoły kabalistyczne. W Safedzie powstała także pierwsza na całym kontynencie azjatyckim drukarnia, też datowana na XVI wiek, która w założeniach miała ułatwić rozpowszechnianie myśli kabalistycznej. Ten akurat szczegół bardzo często zostaje pominięty przez współczesnych historyków, a warto go zapamiętać. Dobrze, wierzę, że chociaż państwo nie będą w tej miejscowości, to przynajmniej odtąd po usłyszeniu jej nazwy będą mogli ją skojarzyć z żydowską kabałą i mistycyzmem. Przynajmniej taką mam nadzieję, że nie na próżno strzępię sobie język − dodał znacznie ciszej, tak jakby sam do siebie.

Głośny wybuch śmiechu był naszą reakcją na to braciszkowe ostatnie zdanie.

– Nie chciałem państwa, broń Boże, urazić! − zreflektował się szybko brat. − Tak tylko mi się wymsknęło, chociaż zdaję sobie sprawę, że w tym natłoku informacji pewne rzeczy szybko wylatują z głowy. Zrozumiała sprawa. Może jest w tym i trochę mojej winy, bo z natury jestem zbyt gadatliwy.

Znowu śmiech − chęć spania przeszła już wszystkim na dobre.

– Za wioską Rosz Pina droga numer dziewięćdziesiąt prowadzi zachodnim skrajem doliny Hula, o której dopowiem więcej przy zwiedzaniu rezerwatu przyrody. To już podnóże gór Galilei. Potem drogą dziewięćdziesiąt dziewięć będziemy się przedzierać do dziewiczej okolicy Tel Dan.

Słuchając ojca, popatrywałam, jak nasz autokar po pokonaniu zielonych połaci urodzajnych gleb, rozciągających się po obydwu stronach drogi, stopniowo zaczyna wjeżdżać w przestrzeń usianą stertami szarych, wapiennych rumowisk, tworzących w oddali coraz to wyższe pagórki. To już chyba obszar wzgórz Golan? Przedtem szybko mignął mi znak drogowy, z którego zdążyłam się zorientować, że z dotychczasowej drogi numer dziewięćdziesiąt zjechaliśmy na drogę oznakowaną numerem dziewięćdziesiąt dziewięć, chociaż tego absolutnie nie jestem pewna, bo gdy za jakiś czas znowu mijaliśmy przy kolejnym zakręcie drogowskaz, to widniała

na nim inna liczba. Nie wiem, czy tak często zmieniała się numeracja dróg, czy też coś po prostu przegapiłam. W końcu kierowca chyba wie najlepiej, którędy ma jechać! Też masz czym zawracać sobie głowę, lepiej skup się na słuchaniu braciszka! − zganiłam w myślach samą siebie.

– Jeśli chodzi o sam rezerwat Tel Dan, to przekonacie się w nim, że różni się on znacznie od wszystkich miejsc, jakie do tej pory obejrzeliście. Nie odczuwa się w nim zabójczej duchoty, która prawie bez przerwy jak dotąd nam towarzyszyła. Położony na zboczach kilku wzgórz obszar rezerwatu jest w całości gęsto zalesiony, a dodatkowo przepływa przez niego rzeka Dan − od niej wywodzi się nazwa parku − która dalej łączy się z innymi, tworząc rzekę Jordan. Oczywiście nie jedziemy do niego tylko po to, aby podziwiać walory przyrodnicze. Ta urokliwa okolica kryje w sobie pozostałości najbardziej wysuniętego na północ starożytnego miasta Izraelitów, Dan, i odkopane fragmenty jeszcze wcześniejszego kananejskiego ośrodka nazywanego Laisz. My ze względu na czas i z uwagi na waszą pewnie dzisiaj wyjątkowo kiepską kondycję ograniczymy nasz pobyt do spaceru po najbardziej reprezentacyjnej części rezerwatu, a mianowicie do rzeki Dan, której otoczenie przyrównuje się do Edenu na ziemi, oraz zwiedzimy w pierwszej kolejności kananejskie ruiny. Widzę, że za chwilę powinniśmy dojechać do parkingu. Możecie szykować się do wyjścia!

Zaraz za bramą z napisem „Rezerwat Przyrody − Tel Dan” umieszczonym na drewnianej desce brat poprowadził

nas do zacienionej ścieżki. Dostępu do niej skutecznie broniły słońcu szpalery wysokich drzew, tkwiące z jej obu stron. Poczułam się tak, jakbym raptem została przeniesiona w przestrzeni do alejek kórnickiego Arboretum. Taki sam klimat, dający ukojenie pod wpływem czaru przyrody. Gdy szliśmy wśród wybujałych wierzb, morw i wawrzynów, dochodził nas nasilający się coraz bardziej szum rzeki. Doszliśmy do miejsca, w którym ze zbocza spływają tworzące ją strumienie. Opadająca woda wyżłobiła liczne korytarze i wąskimi strugami wije się wśród bazaltowych skał, poprzetykanych różnobarwnymi krzewami, tworząc niesamowity krajobraz. Ktoś nie był w błędzie, nazywając to zjawiskowe miejsce ziemskimi ogrodami Edenu, a przynajmniej moje wyobrażenie rajskich ogrodów pokrywało się z zastanym tutaj widokiem.

Pobyt w ruinach kananejskiego Laisz aż tak bardzo nikogo nie zachwycił. Kiedy po dosyć szybkim marszu doszliśmy do nich, trzy czwarte grupy bardziej było zainteresowane skorzystaniem z pobliskiej toalety, aniżeli przejawiało chęć zwiedzania. Wobec powyższego brat dał nam po prostu czas wolny.

Sama przeszłam się kawałek wśród tych wykopalisk, nieco dłużej przystając przy rumowisku z dużym ociosanym blokiem. Na mój gust mogły to być pozostałości kananejskiej świątyni, a ociosany blok być może był stołem ofiarnym. Przypomniałam sobie, że Kananejczycy mieli liczną plejadę bóstw, którym oddawali cześć i składali ofiary. Baal był ich najważniejszym bogiem. Gdzieś

czytałam, że aby zyskać jego przychylność, w wyjątkowych sytuacjach jego czciciele dopuszczali się składania ofiar z ludzi, w tym i niemowląt. Podobno naukowcy zgromadzili na to dowody. Ciarki mnie przeszły, kiedy wyobraziłam sobie scenę zarzynania na ofiarnym stole niemowlęcia, bryzgającą dookoła krew i przyglądający się temu z maniakalnym aplauzem rozgorączkowany tłum wyznawców. Pfuj! Ohyda!

W wiekach późniejszych, po opanowaniu miasta przez Izraelitów, król Jeroboam, chcąc uniezależnić się od oficjalnego żydowskiego kultu sprawowanego w Jerozolimie, wprowadził do tej świątyni bałwochwalczy kult złotego cielca, co zostało odnotowane w Biblii. Tfu! To też pewnie nie było nic przyjemnego! Prowadzono tutaj wówczas na rzeź niewinne zwierzaki! Czym prędzej wzięłam nogi za pas z tego miejsca.

Brat po zboczu podprowadził nas jeszcze do pozostałości ziemnych wałów, otaczających miasto. W nich odkryto bramę miejską z zachowanym łukiem. Powszechnie uważa się, że jest to najstarszy eksponat bramy arkadowej odkryty do tej pory na świecie. Następnie, zobaczywszy nasze nikłe zainteresowanie, oznajmił z rezygnacją:

– Chciałem wam jeszcze pokazać kamienną bramę, pochodzącą z okresu Pierwszej Świątyni Jerozolimskiej, ale widzę po waszych minach, że lepiej będzie, jeśli ją sobie odpuścimy. Nigdy więcej nie zgodzę się na takie balowanie do późnej nocy − dodał z rozdrażnieniem w głosie. – Wracamy do autobusu i dojedziemy do Banias. Może przy

tym wodospadzie najdzie was większa ochota do podziwiania uroków Izraela? − Pytanie zabrzmiało retorycznie.

Nikt nie odważył się odpowiedzieć. W nieciekawych nastrojach ulokowaliśmy się w autokarze. Tym razem pokonaliśmy króciutką odległość. Po przejechaniu może z sześciu, góra ośmiu kilometrów w kierunku wschodnim stanęliśmy przed kolejnym rezerwatem. Napis głosił „Rezerwat Przyrody − Banias”. Trochę było głupio, kiedy prawie w milczeniu szliśmy płaską łąką, ciągnącą się nad wąwozem.

– Zobacz, nasz braciszek naburmuszył się na dobre! − W słowach Zosi zabrzmiała nuta zaniepokojenia.

– Dziwisz się? Mnie też by wzięła cholera, jeśli starałabym się pokazać i objaśnić wszystko, co istotne, a słuchający mieliby to gdzieś! Mam nadzieję, że szybko mu przejdzie, bo o ile zdążyłam zauważyć, nie należy do ludzi zbyt zapiekłych.

– Pewnie nabrał doświadczenia jako przewodnik i jest uodporniony na wszelkie fanaberie grupy.

Po tej konkluzji zostawiłam drepczącą w żółwim tempie Zosię i przeszłam na czoło grupy. Z łąki, po kamiennych schodach, opuściliśmy się w dół gęsto porośniętego wąwozu. I dalej szliśmy gęsiego wąską ścieżką w stronę przeciwną do kierunku naszego poprzedniego marszu, aż po paru minutach dotarliśmy do drewnianej platformy. Przed oczami ukazał nam się duży wodospad. Chwilę należało odczekać, aby zwolniło się miejsce na platformie

widokowej, obleganej przez turystów. W końcu mogliśmy wspiąć się na nią i zobaczyć w całej okazałości imponujący wytwór przyrody. Woda z ogromnym impetem wylewała się z wąskich gardzieli pionowej ściany i kaskadami opadała, tworząc rwący potok.

– Moi drodzy, dotarliśmy do kolejnego źródła świętej rzeki Jordan. Spływający z góry Hermon strumień dociera tutaj, tworząc największy wodospad w Izraelu. Następnie łączy się w Dolinie Hula z wodami wypływającymi ze źródła rzeki Dan i jeszcze jednego źródła Banias przy Cezarei Filipowej. Połączone wody toczą się po dnie rowu tektonicznego w postaci rzeki Jordan, uchodząc ostatecznie do Morza Martwego. Trudno wam pewnie uwierzyć, że ta niemrawa struga spod Jerycha, w której odnawialiśmy chrzest, ma taki wartki początek. Zapewniam, że tak jest w istocie. − Całą tę kwestię braciszek Tuck wypowiedział swobodnym tonem, bez poprzedniej nuty rozdrażnienia w głosie.

Wzrokiem porozumiałam się z Zosią. Nasz komunikat brzmiał: „Przeszła mu złość!”. Chociaż przy zejściu z platformy pokusił się jednak o kąśliwą uwagę pod naszym adresem, mówiąc:

– Czekają nas teraz kolejne źródło Banias i Cezarea Filipowa. Dla waszej wygody objedziemy rezerwat z drugiej strony, żebym potem nie słyszał, że jesteście zbyt zmęczeni pieszą wędrówką i nie chcecie zwiedzać starożytnych pozostałości. − Słowa te zostały wypowiedziane w tak

lekkim tonie, że nie pozostawało nic innego, jak tylko się uśmiechnąć. Napięta atmosfera została rozładowana.

Pierwsze kroki po ponownym przekroczeniu bramy rezerwatu skierowaliśmy bezpośrednio do źródła Banias, gdzie u podnóża zbocza wypływa woda, a nad nią w ceglastej, skalnej ścianie znajduje się wykuta grota. Podreptaliśmy do niej szerokim kamienistym podejściem i spenetrowaliśmy jej wnętrze. Nasze panie zżymały się, że niepotrzebnie się tam gramoliliśmy, bo nie za bardzo było co podziwiać. Zgadzałam się z nimi. Przestronna grota była pusta, za to o wiele ciekawsze okazało się jej najbliższe otoczenie z pozostałościami starożytnej świątyni.

Według słów brata wykute przy wejściu do jaskini skalne nisze pochodziły z greckiej świątyni poświęconej bożkowi natury Panowi, który w mitologii występuje pod postacią satyra-kozła. Był on opiekunem pasterzy, owiec i płodności. Świątynia powstała po podbojach Aleksandra Macedońskiego. Najprawdopodobniej zbudowali ją Ptolemeusze, wraz z miastem Paneas, na przełomie IV i III wieku p.n.e. Z czasów hellenistycznych ostały się także inskrypcje dedykowane między innymi górskiej nimfie Echo. Sama nazwa rezerwatu i źródła Banias ma także greckie korzenie. Arabowie, niemający w swoim języku głoski p, przekształcili Paneas na Banias. Założone przez Greków poniżej miasto przez prawie tysiąc lat odgrywało ważną rolę w tej części kraju. Było i rzymskie, i bizantyjskie, no i należało także do krzyżowców, a po ich wyparciu stało się arabskie. Od tego momentu miasto

stopniowo traciło na znaczeniu i ostatecznie stało się wiejską osadą. O jego dawnej świetności zaświadczają porozrzucane wokół świątyni Pana ruiny okazałych budowli, które należy obejrzeć.

Najbliżej świątyni znajdują się pozostałości herodiańskiej świątyni z końca I wieku p.n.e. Zbudował ją Herod Wielki dla cesarza Rzymu. Brat przy okazji oglądania ocalałych fragmentów jej fundamentów i resztek podłóg dopowiedział, że syn Heroda Wielkiego, Filip, przemianował Paneas na Cezareę Filipową, wybudował następną świątynię i rozbudował miasto, czyniąc z niego stolicę swojego królestwa. Poszliśmy dalej i natknęliśmy się na wyciosany z kamienia most, pochodzący z czasów rzymskich. Było dużo śmiechu, kiedy okazało się, że trasa rezerwatu wytyczona jest w ten sposób, iż należy przejść pod mostem, krocząc po kamieniach wystających z wijącego się dookoła strumyczka. Kilka razy głośne parsknięcia złości oznajmiały, że ktoś nie trafił na kamień i zmoczył sobie nogi.

Przyjemną, zacienioną topolową aleją doszliśmy do kolejnego, dużego kompleksu wykopalisk, pochodzącego tym razem z czasów prawnuka Heroda Wielkiego, króla Heroda Agrypy II. Z imponującego zapewne w przeszłości pałacu z tarasami, ogrodami i łaźniami oraz znajdującej się w jego sąsiedztwie synagogi pozostały fragmenty murów z ociosanych kamieni, pojedyncze stopnie schodów, resztki podłóg, kanałów, fragmenty wybrukowanych ulic i wszechobecne kolumnady w różnym stadium zniszczenia.

Najlepiej można było uzmysłowić sobie rozmach tych budowli, podziwiając je ze specjalnie w tym celu usytuowanej platformy widokowej. Brat zwrócił nam uwagę na fakt, że w ciągu minionych stuleci te budowle były niejednokrotnie przebudowywane i na przykład kamień z pałacu Agrypy II został wykorzystany do budowy późniejszych, bizantyjskich, obiektów. W tym miejscu dodał jeszcze:

– Podziwiacie państwo urokliwe ruiny, zanurzone w bujnej zieleni, ale muszę wam przypomnieć, że w Cezarei Filipowej miało miejsce ważkie wydarzenie ewangeliczne. Mianowicie u stóp Hermonu, który, nawiasem mówiąc, niebawem dokładniej będziecie mieli możność obejrzeć, Pan Jezus oznajmił Szymonowi Piotrowi: „Ty jesteś Piotr [czyli Skała], i na tej Skale zbuduję Kościół mój, a bramy piekielne go nie przemogą”[2]. To wyznanie staje się nadzwyczaj wyraziste, jeśli uprzytomnimy sobie, że już w czasach Pana Jezusa greckie świątynie zostały przez Żydów zdewastowane, popadły w ruinę, a czczonych w nich greckich bożków utożsamiano z demonami. Zatem nasz Pan, mówiąc do Piotra, że jest on Skałą, na której zbudowany zostanie Kościół, najprawdopodobniej wskazał uczniowi górujący nad okolicą Hermon, a następnie, patrząc na gruzy greckich świątyń, dokończył zdanie. Na dokładniejsze obejrzenie pozostałości po mieście krzyżowców, którego fragmentów można się doszukać prawie na całym obszarze rezerwatu, nie wystarczy nam czasu. Kierując się do wyjścia, po drodze mijać będziemy

ruiny narożnej wieży ich twierdzy oraz wyjdziemy z rezerwatu przez kamienną bramę, też przez nich zbudowaną. Więcej widoków ruin związanych z krzyżowcami zapewni wam zwiedzenie zamku Nimrod. Jest to nasz kolejny punkt docelowy.

Po tych słowach padła komenda odwrotu. Nikt się nie ociągał z powrotem do autobusu, bo tak po prawdzie bieganie od jednych ruin do drugich stało się przynudnawe, nawet jeśli były tak malowniczo usytuowane jak w tym przypadku.

– Proponuję państwu teraz mocniej zaprzeć się w fotelach, ponieważ czeka nas droga pod górę! − Mikrofon brata zaryczał nieznośnie. − Za chwilę powinniśmy już zobaczyć na wzniesieniu kontury zamku. Jednak aby do niego dotrzeć, musimy objechać całe wzgórze. Przez ten czas zdążę wam dopowiedzieć parę zdań o tej fortecy. Ta potężna średniowieczna budowla, ulokowana na ośmiusetmetrowym wzgórzu, strzegła szlaku prowadzącego od Morza Śródziemnego, konkretnie z Tyru, do Damaszku. Nie ma zgodności co do tego, kto ją zbudował. Bardziej przystępna wersja wskazuje, że postawili ją potomkowie Saladyna około 1229 roku i miała ona ochronić Damaszek przed VI wyprawą krzyżowców. W latach następnych twierdza zostaje wzmocniona i rozbudowana przez kolejnych sułtanów. Tyle wersja pierwsza, natomiast druga jest nieco bardziej zawiła, lecz wydaje się bardziej prawdopodobna. Otóż zamek na wielkim urwisku, bo tak się go także nazywa, zbudowany

został przez władców Damaszku znacznie wcześniej. W okresie Królestwa Jerozolimy przez jakiś czas znajdował on się w rękach groźnej islamskiej sekty asasynów – morderców, którzy jednak pod naporem krzyżowców opuścili twierdzę. Krzyżowcy ją wówczas znacznie rozbudowali, ale około 1132 roku forteca znowu zostaje zdobyta przez damasceńczyków. Ci z kolei po zaledwie kilku latach tracą ją na rzecz kurdyjskiego watażki, który czynił zakusy, by ustanowić się sułtanem Damaszku. Aby do tego nie dopuścić, wojska damasceńskie sprzymierzają się z krzyżowcami, którym watażka też koliduje w prowadzeniu interesów, i po krótkim szturmie zdobywają zamek. Znalazł on się wówczas w posiadaniu joannitów, którzy do 1164 roku poszerzyli twierdzę. Nie uchroniło to ich jednak przed kolejnym atakiem sułtana Damaszku. W rezultacie tego ataku szpitalnicy zostali zmuszeni do opuszczenia tej twierdzy już bezpowrotnie, gdyż wszystkie późniejsze próby odbicia go w XII i w połowie XIII wieku zakończyły się niepowodzeniem. Po ostatecznym wyparciu krzyżowców z Ziemi Świętej znaczenie strategiczne tej fortecy zatraciło się. Turcy osmańscy używali jej jeszcze jako więzienia dla swojej szlachty. Lecz pod koniec XVI wieku opustoszała zupełnie. O jej losie przesądziło trzęsienie ziemi, które nawiedziło tę okolicę w XVIII wieku. Zamku nigdy nie odbudowano. Pozostałości fortecy świadczą o dużym kunszcie jej budowniczych, którzy z dużym wyczuciem wykorzystali topografię terenu, umieszczając wąską bryłę

fortecy nad okalającymi ją ze wszystkich stron stromymi urwiskami.

Zarysy fortecy, widziane z okna autobusu, skojarzyły mi się z długą, wąską kichą przyklejoną do stromego urwiska. Zosia po otaksowaniu wyłaniającego się widoku prychnęła gniewnie, z góry się zarzekając:

– Ja tam za żadne skarby nie wlezę! Nie mam najmniejszej ochoty na wspinanie się do tego upiornego zamczyska! Tobie też radzę spasować. Będziesz potem narzekała na nogi.

– Zobaczę na miejscu, jak wygląda samo podejście. Jeśli większość się odważy, to do nich dołączę.

Znalazłam się w mniejszości, która nie zważając na strome podejście − na szczęście nie tak bardzo długie − pomaszerowała do wnętrza ruin. Zaintrygowały mnie przede wszystkim równo ociosane, jasne kamienie, będące podstawowym budulcem twierdzy.

Braciszek też niestety pozostał na parkingu, polecając nam jedynie, abyśmy po dotarciu na miejsce bacznie przyjrzeli się zachowanym fragmentom wieży północno-zachodniej i inskrypcjom na bramie obok niej.

Spacer po ruinach odbyłam w towarzystwie naszego organisty. Reszta rozpierzchła się wśród rozległych ruin. Dzielnie wdrapaliśmy się podejściem, przeszliśmy przez fragmenty wąskich schodów, które kiedyś były chyba tajnymi przejściami, i doszliśmy do pozostałości wieży północno-zachodniej i bramy dziedzińca. Na jednym z jej bloków natknęliśmy się na wspomniany przez braciszka

napis. Oczywiście nie mieliśmy pojęcia, co on może oznaczać. Poszedłszy dalej w kierunku południowym, doszliśmy do ruin następnej wieży. Mój towarzysz zwrócił uwagę na dobrze zachowane otwory strzelnicze na kusze i łuki. Z zewnątrz wyglądały jak wąskie szczeliny, a od wewnątrz znacznie się rozszerzały, co dawało obrońcom miejsce na swobodne prowadzenie ostrzału. Dalszej części ruin nie chciało już nam się oglądać. Klapnęliśmy na dużym bloku, podziwiając wspaniałą panoramę. Z jednej strony rozciągała się przed nami Galilea, a z drugiej – wzgórza Golan. Chciałam trochę swoim zwyczajem podumać nad burzliwą historią tego zamczyska, wyobrażając sobie groźną warownię w pełnej średniowiecznej krasie, jednakże nie było mi to dane. Organista z rozbrajającą szczerością zwrócił się do mnie:

– Nie wiem jak panią, ale mnie pobyt w Ziemi Świętej trochę rozczarował. Szukałem wyciszenia, a tymczasem zastałem wszędzie tylko bardzo komercyjne podejście, które temu nie służy. Wyobrażałem sobie mój pobyt inaczej.

Już miałam na końcu języka: „A czego się pan spodziewał po kościele, który dbając zawsze przede wszystkim o swoje interesy, stał się najpotężniejszą współczesną korporacją na świecie?”. W porę jednak ugryzłam się w język. Bacz, idiotko, do kogo mówisz! − pomyślałam. Organista jest z pewnością człowiekiem głębokiej wiary, a nawet jeśli nie, to przynajmniej z racji swojego zawodu często bywa w kościele. Nie ma sensu się przed nim wywnętrzać. Dlatego głośno odpowiedziałam:

– Pewnie to przez to, że mamy taki napięty program. Zbyt wiele miejsc do obejrzenia w tak krótkim czasie. Wszystko miga jak w kalejdoskopie. Nie ma się kiedy oddać medytacji. − Powiedziawszy to, zasępiłam się.

– No tak, z pewnością ma pani dużo racji. − Westchnął frasobliwie.

Uff, wybrnęłam! A swoją drogą przeszło mi złośliwie przez myśl, że jak do tej pory oznak wzmożonej religijnej gorliwości u mojego rozmówcy nie zauważyłam. Wręcz odwrotnie. Był stałym uczestnikiem wszystkich dotychczasowych nasiadówek, no i jeśli dodać do tego tę dziwną niedyspozycję z poprzednich dni, to być może po prostu zademonstrował mi próbkę swojego kabotynizmu.

Szczęśliwie, schodząc z powrotem, trafiliśmy na wyłom wśród ruin, dzięki któremu znacznie skróciliśmy sobie zejście na parking.

Zastaliśmy pozostałych w trakcie kończenia lodów sorbetowych. Sama też miałam na nie ochotę, ale było za późno. Ledwie zeszliśmy, padła komenda, aby zwijać się do autobusu. Jedzenie w nim lodów wolałam sobie darować. Zanim bym je zjadła, część rozpuściłaby się, klejąc wszystko dookoła. Poprzestałam na wypiciu resztek wody z sokiem z naszego codziennego zapasu.

Komunikat braciszka, że następnym naszym celem będzie punkt widokowy, z którego można zobaczyć Syrię, przyjęliśmy bez entuzjazmu. Brat, ujrzawszy nasze nietęgie miny, popatrzył na zegarek i pokręcił z niezadowolenia głową.

– No tak, zmarudziliśmy za długo w tych rezerwatach i teraz, jak mniemam, chcielibyście już obiad. Zbliża się stosowna ku temu pora. Przychylę się zatem do waszej woli i w drodze na punkt widokowy zatrzymamy się, żeby coś zjeść. Przejeżdżać będziemy teraz przez druzyjskie wioski. W jednej z nich, konkretnie w Bukacie, znam przyjemny zajazd. W nim zrobimy postój. O tej mniejszości etnicznej, czyli o Druzach, dopowiem wam co nieco za chwilę. Teraz popatrzcie przez okna, bo wjeżdżamy na płaskowyż Golan.

Westchnęłam. Inni odpoczęli przy lodach, a ja nie, gramoląc się dodatkowo, by obejrzeć zamek Nimrod. Dziwne wydało mi się, że brat zgodził się tak szybko na obiad. Widocznie sam musi być głodny. Nic innego nie przyszło mi do głowy. W przeciwieństwie do niego głodu nie czułam, ale zmęczenie to i owszem.

Wspięliśmy się na same szczyty wzgórz. W pewnym momencie braciszek pokazał nam ze wzgórz Golan potężną górę Hermon. Teraz widać ją nareszcie w całej okazałości. Pomimo że znajduje się ona bezpośrednio w strefie granicznej, Izraelczycy zbudowali na niej jedyny w całym państwie ośrodek narciarski, cieszący się dużym powodzeniem. Z okien autobusu widać jej potężny szarawo-rdzawy masyw, wyrastający nad wzgórzami. Pobielony szczyt góry wdziera się w warstwę chmur, szczelnie go zakrywających. Surowe piękno, zaświadczające o potędze natury, zapada w pamięć.

Za przycupniętą do południowego stoku Hermonu osadą Madżdal Szams skręciliśmy na południe. Droga wije

się wzdłuż przygranicznej, silnie ufortyfikowanej strefy. Mijane bazaltowe zbocza wzgórz i zamarłe powulkaniczne stożki tworzą jedyną w swoim rodzaju scenerię, którą niestety oszpecają gęsto poutykane tablice informujące o polach minowych. Cały ten teren jest nimi naszpikowany. Braciszek żartobliwie radzi nam się ładnie uśmiechać, gdyż z pewnością jesteśmy już od dłuższego czasu pilnie śledzeni przez izraelskie służby graniczne. Dodało to nieco dreszczyku emocji, kiedy uświadomiliśmy sobie, że poruszamy się po obszarze spornym, w warunkach nie do końca wygasłego konfliktu. W tej chwili strategiczne wzgórza Golan, strzegące Galilei, przynależą do Izraela, ale nie ma gwarancji, że za kilka lat nie powrócą do Syrii.

Widok kobiet z odsłoniętymi głowami w długich, ciemnych sukniach − abayach – przechodzących drogą w mijanej przez nas kolejnej druzyjskiej miejscowości, Mas’adzie, przypomniał bratu o udzieleniu nam skrótowych informacji o zamieszkałej tutaj nacji.

– Druzowie stanowią niezwykle hermetyczną wspólnotę – zawierają związki małżeńskie tylko i wyłącznie w obrębie członków własnej grupy, a ich religia pozostaje zamknięta dla nie-Druzów, no i dodatkowo jeszcze szczegóły jej praktykowania są skrzętnie utrzymywane w tajemnicy. Wiadomo, że wywodzą się z islamu, ale ich monoteistyczna wiara opiera się w dużej mierze na kontynuacji tradycji wykształconych pod wpływem starożytnych wschodnich filozofii. Wierzą w reinkarnację. Ciekawe jest to, że bodajże jako jedyni w obrębie islamu dopuszczają kobiety do

odprawiania obrzędów religijnych i pozwalają im na wgląd do swoich świętych pism. Te kobiety należą do grona oświeconych i dla odróżnienia od innych noszą białe chusty. Druzowie zamieszkali w Izraelu nie są lubiani w świecie islamu ze względu na to, że od początku powstania tego państwa byli lojalni w stosunku do Izraelczyków i w przeciwieństwie do innych nacji, zamieszkujących ten kraj, wcielani byli do izraelskiej armii. Najpierw w ramach osobnego korpusu, a obecnie służą we wszystkich jednostkach. Głównym źródłem ich utrzymania jest sadownictwo. Z autobusu tego dokładnie nie widać, ale za wioską Madżdal Szams zbocza wzgórz obsadzone są plantacjami jabłoni. Poza tym są bardzo życzliwi w stosunku do turystów i niezwykle gościnni. Niebawem się o tym sami przekonacie!

Wydęte z niezadowolenia wargi Zosi nie pozostawiły mi żadnych złudzeń, że zdołam ją przekonać do zjedzenia z nami obiadu. Ta jej niechęć do tutejszych lokali przemieniła się w najprawdziwszą obsesję. Nic na to nie mogłam poradzić.

We wsi Bukata zgodnie z brata obietnicą zatrzymaliśmy się na obiad. Trochę niepewnie wysiedliśmy z autokaru, bo widok lokalu, przed którym stanęliśmy, do zachęcających bynajmniej nie należał. Pod daszkiem z pomarańczowej pleksi stały rozstawione stoły z dostawionymi plastykowymi krzesełkami. To jeszcze nie tak źle, ale te stoły, o zgrozo, nakryte były zamiast obrusami, lub przynajmniej ceratą, arkuszami szarego papieru. Zaraz przypomniała mi się

nasza komuna i sklepy papiernicze, gdzie w czasach największego deficytu towarów oprócz stosu identycznego papieru, służącego do pakowania, leżącego zazwyczaj na sklepowej ladzie, niewiele więcej można było kupić. Strach było wejść do środka. Ale co tam! Do odważnych świat należy! Zobaczywszy brata pewnie zmierzającego do wnętrza, poszliśmy w jego ślady.

W try miga kłaniający nam się w pas kelnerzy z uśmiechami na ustach, z właścicielem lokalu na czele, połączyli stoły, tworząc dla nas jeden biesiadny, i zaczęło się serwowanie potraw. Takiego dobrego i obfitego obiadu jeszcze nie jedliśmy. Zachodzę do tej pory w głowę, jak oni potrafili tak się sprężyć, donosząc nam ciągle coraz to nowe dania i wręcz prosząc, abyśmy zechcieli ich skosztować. Oprócz tradycyjnych ichnich wielorakich warzywnych i owocowych przystawek wraz z humusem na stole znalazły się świeżo upieczone na grillu baranie zrazy i drobiowe szaszłyki, przynoszone na bieżąco i to w takich ilościach, że nie mogliśmy im sprostać. Do kawy, którą wlewano w nas bez jakichkolwiek ograniczeń, podano solidne porcje baklawy − po kilka kawałków na głowę − i ciasto nadziewane serem z wymieszanymi bakaliami, oczywiście zabójczo słodkie. Oj, czułam, że po tych wszystkich smakołykach puchnę w oczach. Żeby było śmieszniej, to nasze panie, które dotąd afiszowały się skrupulatnym przestrzeganiem diety, podczas tego posiłku na śmierć o niej zapomniały i pałaszowały równo ze wszystkimi. Ledwie mogliśmy ruszyć się od stołu.

Już w trakcie posiłku stało się jasne, że dzisiejszy obiad znacznie się wydłuży, więc nasz program zwiedzania musi ulec modyfikacji. Brat przy kawie sięgnął po telefon i po wykonaniu kilku rozmów w języku angielskim zakomunikował nam:

– Zasiedzieliśmy się tutaj tak długo, że o odwiedzeniu jeszcze dzisiaj rezerwatu Hula możemy zapomnieć. Przełożymy go na jutrzejszy poranek, natomiast teraz zgodnie z planem dojedziemy do punktu widokowego, to zaledwie kawałek stąd, a następnie pojedziemy do Tyberiady i jeszcze zanim udamy się do naszego hotelu, możemy wstąpić do szlifierni diamentów. Panie się ucieszą, bo szlifiernia prowadzi sklep firmowy, który stoi przed kupującymi otworem. Apeluję jednak o rozsądek w tej mierze! To niespodzianka, którą chowałem w zanadrzu − dodał, uśmiechając się znacząco.

Po błysku w oczach większości pań mogłam się zorientować, że taki obrót sprawy przypadł im jak najbardziej do gustu. Ze mnie jest jednak dziwaczka, bo ich entuzjazm nie chciał mi się udzielić…

Zosi opadła szczęka, gdy usłyszała peany na cześć tego z wyglądu mizernego lokalu, w którym nas tak doskonale ugoszczono. Mimo że moja złośliwa natura podszeptywała mi, abym to zrobiła, nie chciałam dolewać oliwy do ognia naiwnym pytaniem typu „Jak smakowała ci bułka?”. Wściekłaby się wówczas na dobre. Z trudem się powstrzymałam, kierując swój wzrok w stronę okna.

Jechaliśmy drogą cały czas pod górę, przejeżdżając w sąsiedztwie najwyższego wzniesienia wzgórz Golan, góry Hermonit piętrzącej się na wysokość 1211 metrów n.p.m. Za nią, na zboczu góry Avital, znajdował się punkt widokowy.

Rozciągająca się z niego panorama w postaci ścielącego się w dole, na pierwszym planie, zielonego wypiętrzenia z przylgniętymi do niego opustoszałymi zabudowaniami, za którymi w oddaleniu widać nowe mieszkalne budynki, tonące w zieleni, oraz majaczące na linii horyzontu zarysy wielkiej metropolii Damaszku zamykające płaskowyż Golan, aż tak bardzo nas nie zachwyciła. Dziwne wydawało się jednak, że pierwszoplanowe, popadające w ruinę, zabudowania gospodarskie otacza rząd pól uprawnych i sadów. Brat podpowiedział, że jest to efekt wojny sześciodniowej z 1967 roku. W jej trakcie Kumeitra, bo tak się ta miejscowość nazywa, została zniszczona przez wojska izraelskie i chociaż później Izraelczycy oddali ją Syryjczykom, to jednak ludność syryjska do tej pory boi się w niej zamieszkać. Nie przeszkadza jej to jednakże w uprawianiu występującej tutaj wyjątkowo żyznej ziemi. Wiadomym znakiem, że przed nami rozpościera się terytorium Syrii, były powiewające tu i ówdzie czerwono-biało-czarne flagi z umieszczonymi na środkowym białym pasie dwiema zielonymi pięcioramiennymi gwiazdami. Ostatecznie mogłabym stwierdzić, że widok jest zajmujący, gdyby nie rząd wiatraków do pozyskiwania energii. Ta współczesna zmora krajobrazu znajdowała się wprawdzie

już po stronie izraelskiej, ale swoją brzydotą całkowicie psuła całe otoczenie. Po pobieżnym zlustrowaniu zastanego widoku większość naszych pań swoją uwagę skupiła na parkingowym straganie z domowymi przetworami. Sympatyczny starszy Druz oferował nam jabłka, słoiki miodu, marynowanych oliwek i innych przetworów po całkiem znośnych, jak na izraelskie warunki, cenach. Niestety nikt po takim obfitym obiedzie nie kwapił się do kupna czegokolwiek.

Za punktem widokowym opuściliśmy grzbiet płaskowyżu i drogą dziewięćdziesiąt jeden zjechaliśmy w dół, kierując się nad Jezioro Galilejskie, do leżącej nad jego brzegiem Tyberiady. Po drodze mijaliśmy największe miasto wzgórz Golan, Kacrin. O nim brat napomknął, że w całości zostało zbudowane przez Izraelczyków, którzy przylegające do niego wzgórza obsadzili winogronami i wytwarzają z nich dobrej marki wino.

− Niestety nie zatrzymamy się, aby je kupić na miejscu. Równie dobrze można je nabyć w Tyberiadzie. Należy pytać o wino z Golanu − zabrzmiała odpowiedź brata na pytania kilku osób zainteresowanych zakupem trunku. Odnośnie do Kacrin braciszek dodał jeszcze, że w jego pobliżu znajduje się urokliwy rezerwat przyrody Nahal Yehudiya. – Szkoda, iż nie wystarczy nam czasu na jego zwiedzenie, ponieważ są w nim powulkaniczne stawy o ciekawych kształtach.

Tę akurat informację przyjęliśmy bez większego żalu, bo jeśli chodzi o dzisiejszy dzień, to atrakcji przyrodniczych mieliśmy już też lekki przesyt.

Z okien autobusu wyraźnie było widać stoki wzgórz obsadzone plantacjami winnej latorośli. Ciekawe, że większość z nich nakryta była maskującą siatką. Zbiło mnie to z pantałyku, bo do tej pory byłam przeświadczona, że winogronom powinna być zapewniona jak największa dawka słońca. A wychodzi na to, że w pewnym stadium ich wegetacji należy je chronić przed przegrzaniem. Chyba po to, aby miąższ nie wysychał? − zastanawiałam się. W końcu to są dorodne grona, a nie takie kwaśne pokurcze, jakie u mnie rosną. Żeby z nich zrobić jakie takie wino, należy wsypać kilogramy cukru. Oni przynajmniej nie mają z tym problemu. A może całe to moje rozumowanie jest z gruntu błędne? Siatki równie dobrze mogą być rozwieszone celem chronienia dojrzałych gron przed obskubaniem ich przez ptaki − rozmyślałam podczas popatrywania na mijane winnice, nie mając się z kim skonsultować w tej kwestii.

Na wysokości osady Rosz Pina wpadliśmy z powrotem na krajową drogę numer dziewięćdziesiąt i po ominięciu kilku mniejszych miejscowości wraz z przyległymi kibucami, jadąc wzdłuż zachodniego brzegu Jeziora Galilejskiego, dotarliśmy do przedmieść Tyberiady.

Strasznie ciekawa byłam wyglądu tego miasta, o którym doczytałam się, że już w czasach starożytnych mówiono, iż swoim pięknem dorównuje największym ówczesnym metropoliom, a współcześnie nosi miano najładniejszego miasta Izraela. Dodatkowo uznawane jest przez wyznawców mojżeszowych za jedno z trzech najważniejszych miast ich religii (obok Jerozolimy i Safedu).

I ma niesamowitą historię, którą w myślach starałam się pobieżnie odtworzyć.

Nad samym brzegiem jeziora, w otoczeniu stromego zbocza Tel Ma’on, syn Heroda Wielkiego, Herod Antypas, w latach 17–20 n.e. zbudował nową, komfortową stolicę swojej tetrarchii, Galilei, i nazwał ją na cześć rzymskiego cesarza Tyberiusza Tyberiadą. Ze względu na to, że miasto od początku było pod silnymi wpływami hellenistycznymi, religijni Żydzi niechętnie je zamieszkiwali, wobec powyższego król sprowadził do niego obcokrajowców. Dzięki ich zaangażowaniu w rozkwit nowej stolicy bardzo szybko miasto nabrało odpowiedniego prestiżu. Taki stan rzeczy utrzymywał się w latach panowania nad Galileą Agrypy I i po jego śmierci, kiedy to rządy sprawował rzymski prokurator, oraz jeszcze później − za rządów Heroda Agrypy II (od 61 roku n.e.). W czasie I powstania żydowskiego przeciwko okupacji rzymskiej powstańcy zajęli miasto i zburzyli siedzibę władcy. Tłumiąc powstanie, rzymskie oddziały rujnowały miasta, jednak Tyberiadę wówczas oszczędzono. Dzięki temu mogła ona przyjąć rzesze żydowskich uchodźców. Historia powtórzyła się po 135 roku, kiedy to Żydzi zostali wypędzeni z Jerozolimy. Już od końca I wieku Tyberiada była żydowskim ośrodkiem narodowym. W drugim stuleciu do niej przeniósł się jerozolimski Sanhedryn. Tu, około 400 roku, zakończono redakcję Talmudu Jerozolimskiego. W VII wieku mieszkańcy Tyberiady opowiedzieli się po stronie Persów w wojnie z Bizancjum. W mieście dokonano wówczas rzezi

chrześcijan i wszystkie ich przybytki spalono. Kiedy losy wojny się odwróciły, Bizantyjczycy w odwecie wyrżnęli z kolei ludność żydowską. Pod panowaniem arabskim od drugiej połowy VII wieku Tyberiada się odbudowuje, a od początku wieku VIII aż do X stulecia staje się ponownie głównym ośrodkiem żydowskiego życia duchowego. Krzyżowcy odcisnęli swoje trwałe piętno na tym mieście, przesuwając jego lokalizację bardziej na północ w stosunku do pierwotnego usytuowania. No i oczywiście pobudowali w nim nowe budowle, stawiając ku czci naszego Pana okazały kościół pod wezwaniem Świętego Piotra. Wielokrotnie przebudowywany przetrwał do czasów współczesnych. Zdobycie Tyberiady przez wojska Saladyna oraz rozstrzygająca bitwa pod Hittin, niedaleko miasta, w 1187 roku położyły kres dominacji krzyżowców w Palestynie. Od tego czasu miasto przeżywa regres. Dopiero początek XVI wieku przyniósł odrodzenie. Władca Imperium Osmańskiego Sułtan Sulejman I Wspaniały za namową portugalskiej Donny Gracii zgodził się osiedlić w mieście i w jego okolicy wypędzonych z Hiszpanii Sefardyjczyków. Przybyli do miasta żydowscy osadnicy szybko odbudowali je i położyli podwaliny pod produkcję jedwabiu. Ich dalekosiężne plany wymiany handlowej pokrzyżowała wojna Imperium Osmańskiego z Republiką Wenecką. Od połowy XVII wieku miasto pod panowaniem osmańskim przechodziło z rąk do rąk różnych paszów, wielokrotnie niszczone i odbudowywane. W 1860 roku zaczął się ponowny rozwój Tyberiady wraz z napływem

imigrantów żydowskich. Ten proces nasilał się w trakcie sprawowania przez Brytyjczyków Mandatu Palestyny. Do Tyberiady dotarła wówczas kolejna fala żydowskich osadników. Miasto dynamicznie się rozrastało. Powstawały nowe dzielnice. Nawet katastrofalna powódź z 1934 roku nie zahamowała na długo rozbudowy miasta. Jednakże stopniowo dobrosąsiedzkie stosunki pomiędzy żydowskimi osadnikami a zamieszkałą w Tyberiadzie arabską ludnością pogarszały się. Doszło do eskalacji konfliktu. Punktem zapalnym okazała się uchwalona w 1947 roku rezolucja Zgromadzenia Ogólnego ONZ, dokonująca podziału Palestyny na dwa państwa: żydowskie i arabskie, którą Arabowie stanowczo odrzucili. I w rezultacie doszło do wybuchu I wojny arabsko-izraelskiej (1948–1949). Po wojnie Tyberiada stała się miastem izraelskim. Ludność arabska w całości została z niego wyeksmitowana, jej domy wyburzono. Do czasu wojny sześciodniowej, czyli do 1967 roku, Tyberiadę szpeciły kwartały opustoszałego obszaru. Dopiero później przystąpiono do gruntownej odbudowy miasta.

Według objaśnień brata współczesna Tyberiada rozciąga się na trzech poziomach. Stare, historyczne miasto przylega do podnóża wzniesienia Tel Ma’on. Następnie wybudowane przez żydowskich osadników dzielnice mieszkaniowe stanowią drugi poziom miasta, ciągnący się na zboczu wzgórza. Najmłodsze zaś osiedla mieszkaniowe rozłożyły się na samym jego szczycie, to poziom trzeci. Różnica wysokości pomiędzy najniżej i najwyżej położonymi

częściami Tyberiady wynosi prawie pięćset metrów. Przy odbudowie Tyberiady wzięto pod uwagę jej położenie geologiczne. Otóż miasto znajduje się na obszarze wzmożonej aktywności sejsmicznej. Powodują je tarcia płyty tektonicznej arabskiej z płytą afrykańską wewnątrz skorupy ziemskiej, do których dochodzi wzdłuż linii uskoku Rowu Jordanu, będącego przedłużeniem Wielkich Rowów Afrykańskich. Tyberiada leży w Rowie Jordanu i dlatego w przeszłości dochodziło do groźnych trzęsień ziemi. Żeby się przed tym zabezpieczyć, nowe osiedla stawia się ze specjalnych, lekkich materiałów budowlanych. Jedynym dobrym aspektem takiego położenia jest występowanie tutaj źródeł termalnych, których właściwości lecznicze były już znane w starożytności. Przy odbudowie miasta zadbano o to, aby stworzyć przy nim sanatoria. Dzisiejsza Tyberiada jest kurortem. Uzdrowiska wraz z całą infrastrukturą i ogólnie przemysł turystyczny są głównymi źródłami dochodu tutejszych mieszkańców.

Tymczasem minąwszy schludnie utrzymane ulice ze zwartą zabudową, przesłoniętą dużą ilością zieleni, dojechaliśmy na parking znajdujący się na tyłach parterowego, szarego budynku z szyldem „Szlifiernia Diamentów Firma Caprice”.

Na początek poproszono nas do sali kinowej, gdzie miano pokazać nam film o miejscach wydobycia tych cennych kamieni i ich skomplikowanej obróbce. Jeszcze przed seansem brat wprowadził nas w temat, zasypując garścią informacji o diamentach.

– Są to najtwardsze minerały − mówił − które potrafią przeciąć dosłownie wszystko, a po oszlifowaniu stają się brylantami. Wielkość brylantów mierzy się w karatach i w zależności od ich liczby mogą osiągać bajońskie ceny. Minerał ten był od zawsze przedmiotem pożądania i z powodzeniem do dnia dzisiejszego zastępuje wszelką walutę. Szczególnego znaczenia nabierał w okresach przeróżnych zawieruch wojennych, kiedy to pieniądze traciły na wartości. Najlepiej ten stan rzeczy rozumieli żydowscy bankierzy i kupcy, żyjący w diasporze. Wiedząc, jakim dochodowym interesem jest handel diamentami, starali się zdobyć w nim największe udziały. Krokiem milowym w historii rozwoju przemysłu diamentowego okazało się wynalezienie w XV wieku w Antwerpii maszyny do szlifowania diamentów. Nawiasem mówiąc, od tego czasu miasto jest światowym centrum tego przemysłu. Mieszkający wówczas w Antwerpii żydowscy kupcy stworzyli własną, odrębną korporację, współdziałając z innymi kupcami diaspory żydowskiej na świecie, którzy dostarczali im kamienie między innymi z Indii i z Afryki Południowej. W XIX wieku korporacja wyrosła na najpotężniejszą firmę w całym przemyśle diamentowym, dzięki kierownictwu grupy chasydzkich Żydów, wywodzących się z Europy Wschodniej. Ta tradycja przetrwała. Współcześnie w rękach żydowskich znajduje się większość światowej produkcji tych najczarowniejszych kamieni.

Krótki film w szwargoczącej, niemieckiej wersji językowej pokazał nam najważniejsze miejsca pozyskiwania kamieni, sposób ich czyszczenia po wydobyciu i współczesną, misterną obróbkę. Dzięki odpowiedniemu szlifowaniu niepozorna bryłka diamentu przekształca się w iskrzący się pod wpływem światła brylant.

Przejście z sali kinowej do sklepu z jubilerską ekspozycją prowadziło przez przestronny hol, ozdobiony fotografiami szlachetnych kamieni. Oprowadzająca nas przewodniczka − pracownica szlifierni − kazała nam się przy nich zatrzymać, gdyż pod zdjęciami znajdowały się symbole znaków zodiaku. Według jej zapewnień każdy człowiek w zależności od daty urodzenia ma przypisany odpowiedni kamień, który przynosi mu szczęście. Cały szkopuł polegał jednak na tym, że pod różnymi kamieniami powtarzały się te same znaki. Moją wagę odnalazłam pod zdjęciami zarówno rubinu, jak i kryształu górskiego. Inni mieli podobny dylemat. Po cichu pomyślałam sobie, że mając taki wybór, raczej opowiedziałabym się za kryształem górskim – przezroczystym jak łza – bo aż tak bardzo nie rzuca się w oczy, no i do tego w stosunku do rubinu… ma chyba o wiele mniej wygórowaną cenę?

Z onieśmieleniem przeszłam się między ogromnymi stołami po brzegi wypełnionymi jubilerskimi precjozami. Za szkłem, na welurowych, udrapowanych tkaninach leżały kolie, naszyjniki, pierścionki, bransolety, kolczyki, klipsy, broszki, sygnety… Jednym słowem wszyściutko, o czym tylko można zamarzyć. Chyba w tym składzie zgromadzono

obok diamentów wszystkie rodzaje występujących na naszym globie kamieni szlachetnych. Odpowiednio oszlifowane i osadzone w złotych, srebrnych lub platynowych oprawach tworzyły przepiękne kompozycje. Każdy przedmiot, nawet mikroskopijnych rozmiarów, odznaczał się finezyjną, precyzyjną jubilerską robotą. Od patrzenia na te cuda w głowie się kręciło. Po początkowym onieśmieleniu przeszłam w fazę zachwytu, czując się tak, jakbym przekroczyła bramę sezamu, lecz zaraz po tym wzlocie moja pokrętna natura podpowiedziała mi, że nie ma czym się podniecać, gdyż i tak dla mnie te skarby ze względu na cenę są nieosiągalne. Stało się to, co w duchu przeczuwałam, a mianowicie wstąpiła we mnie uboga sierotka Marysia. Nic na to nie mogłam poradzić, cały czar podziwiania biżuterii prysł. Wolałam opuścić czym prędzej magazyn i poczekać na nasze panie, które z wypiekami na twarzach każde stoisko obchodziły kilkakrotnie. Później się dowiedziałam, że niektóre z nich nie mogły się oprzeć blaskom biżuterii i coś tam jednak kupiły. Dzięki temu cała grupa opuściła sklep z podniesionymi czołami, gdyż wiadomo, że takie zaproszenie ma zawsze ukryty podtekst. Im więcej odwiedzających, tym łatwiej trafią się potencjalni klienci.

Przejazdu do hotelu ulicami Tyberiady nie śledziłam uważnie. Zdołałam ledwie zarejestrować, że pokonujemy tę samą drogę numer dziewięćdziesiąt, którą przyjechaliśmy, a później stanęliśmy na wysokości naszej docelowej ulicy HaYarden. W oglądaniu ulic miasta z okien autobusu

przeszkodziła mi Zosia, która nie mogła powstrzymać się od zreferowania mi szeptem, w najdrobniejszych szczegółach, zakupów w jubilerskim sklepie. Stąd też dowiedziałam się, że niepozorna pani Wiesia musi być nieźle „nadziana", skoro dla siebie i swojej córki kupiła drogie naszyjniki z niebieskimi topazami. Pani Ela nabyła mały srebrny łańcuszek z wisiorkiem w kształcie łezki, a Tereska wymogła na Waldku, aby jej kupił zgrabny pierścionek z malutkim brylantowym oczkiem, które, jak ujęła to Zosia, świeci jak diabli. Waldek szczęśliwy nie był, ale spełnił ostatecznie jej drogi kaprys. Sama Zosia też zaszalała i na spółkę z Zenkiem kupiła swojej chrześnicy, a jego córce − Magdzie – złote kolczyki z cyrkonią. Podekscytowana, nie zważając na moje protesty, otworzyła eleganckie pudełeczko i pokazała mi je. Pogratulowałam jej trafnego zakupu, bo rzeczywiście delikatne kolczyki były niezwykłej urody.

Po wytaszczeniu walizek i przejściu z nimi paru stopni w dół z placu, na którym stanął autokar, znaleźliśmy się przed dużym budynkiem z szarego kamienia. Hostel Casa Nova, prowadzony przez włoskie siostry, otworzył przed nami swe podwoje. W nowoczesnym, przeszklonym holu z mahoniowym recepcyjnym kontuarem włączona była klimatyzacja, i całe szczęście, ponieważ ledwie wyszliśmy z autokaru, uderzyło w nas gorące, wilgotne powietrze. Poczuliśmy się jak w saunie.

− To wpływ bliskości Jeziora Galilejskiego – poinformował nas braciszek.

Dziwne mi się to wydało o tyle, że czekając na grupę przed szlifiernią, nie odczuwałam aż takiej duchoty. Widocznie jest położona wyżej, a my teraz znaleźliśmy się w niecce obok jeziora. Formalności związane z zakwaterowaniem i przydział pokoi trwały krótko. Już po niespełna piętnastu minutach mogłyśmy z Zosią wejść do przydzielonego nam pokoju na pierwszym piętrze.

Od razu przystąpiłyśmy do manipulacji przy włączniku klimatyzacji. Nie obyło się bez sięgnięcia po okulary, ale w końcu rozszyfrowałyśmy to ustrojstwo i po chwili pokój wypełnił się przyjemnym chłodem. Bez niego niepodobieństwem byłoby w nim wytrzymać. Jasny pokój ze współczesnymi meblami wydał nam się przyjemną odmianą po poprzednich klasztornych zakwaterowaniach. Łazienka też niczego sobie. Zadowolone, po rozłożeniu wszystkich niezbędnych drobiazgów i gruntownym odświeżeniu się, miałyśmy jeszcze wystarczająco dużo czasu, aby przed kolacją udać się na zwiady po hostelowym budynku. Wiedziona instynktem palacza, udałam się na górę, ciągnąc za sobą Zosię. Na następnej kondygnacji odkryłyśmy aneks kuchenny, w którym bez żadnych ograniczeń można było zaparzać kawę i herbatę, wyłożone dla gości. Zosię ten fakt ucieszył niezmiernie. Mnie z kolei uszczęśliwiły przeszklone drzwi prowadzące z aneksu na dach, podobnie jak u sióstr w Jerozolimie zaadaptowany na taras z widokiem na jezioro. Porozstawiane na nim stoły z drewnianymi krzesełkami i duże popielniczki oznaczały, że jest to miejsce do zbiorowego albo indywidualnego biesiadowania. Nie

bacząc na niezadowoloną minę Zosi, natychmiast musiałam się z palarnią bliżej zaznajomić. Moja towarzyszka, przestępując z nogi na nogę, rugała mnie:

– Przestań kopcić i chodź już wreszcie, bo diabli wiedzą, gdzie w tym molochu jest jadalnia! Braciszek kazał zebrać się nam przy recepcji! Chyba już wszyscy czekają, a jeśli poszli, to jak ich odnajdziemy?

– Nie panikuj! Poradzimy sobie! − odparłam, z żalem gasząc papierosa. Chociaż w duchu przyznać musiałam jej rację, gdyż, jak zdążyłam zauważyć, od głównego, rozległego budynku odchodziło jeszcze za recepcją parę bocznych korytarzy, prowadzących do pomieszczeń w głębi kompleksu. Można było się domyślać, że prowadzą one między innymi do jadalni, ale tak biegać na czuja wcale mi się nie uśmiechało. Papierosy musiały poczekać.

Na ostatnich stopniach schodów mignął nam ogon naszej grupy, znikający w pierwszym korytarzu za wnęką recepcji. Puściłyśmy się za nim biegiem i dogoniłyśmy współpielgrzymów przy arkadowym łączniku, pięknie ozdobionym donicami kwiatów. Między nimi, ku mojej radości, zauważyłam też porozstawiane popielniczki. Dobra nasza! – pomyślałam. Ten hostel coraz bardziej zaczynał mi się podobać. Łącznikiem doszliśmy do sali, w której wydawano posiłki. Jadalnia urządzona była spartańsko. Proste stoły, nakryte ceratą i ustawione w jednym rzędzie, stanowiły jej jedyne wyposażenie. Zaserwowano nam bufet szwedzki z niezbyt dużą liczbą kontynentalnych dań. Mnie to nie przeszkadzało, ponieważ po obfitym druzyjskim

posiłku w ogóle głodna nie byłam. Za to Zosia musiała nadrobić swoją popołudniową „głupkowatą” wstrzemięźliwość. To dlatego tak na mnie na tarasie naciskała − przeszło mi przez myśl. Mogłam jej jedynie współczuć, że jest zdana na zapychanie się tylko jajkami i plasterkami wędlin.

Braciszek pod koniec kolacji zakomunikował nam swoim zwyczajem, że z uwagi na jutrzejszy napięty program zwiedzania, który oprócz stałych miejsc odwiedzin każdej pielgrzymki nad Jeziorem Galilejskim, objąć ma jeszcze zaległy, dzisiejszy rezerwat Hula, proponuje tym, którzy czują się jeszcze na siłach, mały spacer wzdłuż nabrzeża jeziora.

− Można się zebrać w małe grupki i wyruszyć w miasto, ponieważ na szczegółowe zwiedzanie Tyberiady zabraknie jutro czasu − powiedział.

Nie trzeba nam było tego powtarzać. Większość z ochotą przystała na tę propozycję. Tylko nasze leciwe, starsze grono pokręciło odmownie głowami.

Wpadłyśmy na moment do pokoju, aby zabrać nasze torebki z forsą, bo nigdy nie wiadomo, co może się trafić, i byłyśmy już gotowe do wyjścia. Ubierać się w bluzki z długimi rękawami nie było żadnego sensu, gdyż na dworze, chociaż momentalnie zrobiło się ciemno, duchota nadal dawała się we znaki.

Gdy zamykałyśmy pokój, Zosię naszły obiekcje:

– Czy dobrze robimy, wyłażąc po ciemku w nieznane miasto? Możemy jeszcze zabłądzić lub jakieś inne zło nam

się przytrafi. Może lepiej zostaniemy?

Czasami mam ochotę mocno nią potrząsnąć. Z trudem się powstrzymałam. Tylko moje momentalne stanowcze zapewnienie, że kogoś spotkamy, odwiodło ją od powrotu do pokoju. Niepotrzebnie panikowała, ponieważ już w hotelowych drzwiach spotkałyśmy Tereskę i Waldka, a zaraz za nami nadeszli Ewka i Krzyś. Wyszliśmy gromadką, mając w razie czego oparcie w przedstawicielach płci męskiej. Obawy strachliwej Zosi rozwiał do końca Waldek, szarmancko służąc jej ramieniem, czym wywołał nasze rozbawienie. W ten sposób Zosia, sztywno uczepiona ramienia Waldka, poprowadziła nas na podbój Tyberiady.

Szybko doszliśmy jasno oświetloną ulicą do promenady ciągnącej się wzdłuż nabrzeża jeziora. Przy jej brzegu stały zacumowane statki, zamienione na przytulne kafejki i restauracje. W ich kolorowym rzędzie co chwilę dało się zauważyć migające jupitery i słyszało się taneczną muzykę. Szkoda, że nasz wiek i kiepska kondycja nie pozwoliły nam zapoznać się bliżej z tutejszymi dyskotekami. Pozostało nam jedynie spoglądanie na podrygi brylującej na parkietach statków młodzieży o różnych odcieniach skóry. Obserwacja pląsów tego międzynarodowego towarzystwa dość szybko nas znużyła. Właściwie po drodze padła propozycja, by gdzieś przycupnąć na piwo lub lampkę wina, ale w tych mijanych kafejkach panował duży tłok i dyskotekowy hałas, dlatego nie wstąpiliśmy do żadnej. Zagapiona na mijane statki kafejki, dopiero w drodze powrotnej dostrzegłam, że

po przeciwnej stronie promenady ulokowały się hotele, wśród których swoją wielkością odznaczał się supernowoczesny budynek, będący domem pielgrzyma dla prawosławnych chrześcijan, o czym poinformował nas braciszek, którego wraz z paroma osobami od nas spotkaliśmy na promenadzie.

Właściwie byłam pewna, że na tym zwiedzanie miasta się zakończy, ale Waldek poprowadził nas ulicą HaYarden nieco dalej za nasz hotel i za małym miejskim skwerkiem znaleźliśmy się na czynnym jeszcze w najlepsze bazarze. Kiedy oni w końcu śpią? – zadałam sobie w myślach retoryczne pytanie. Podświetlone stragany w całości zapełnione były odzieżą – podróbkami markowych ciuchów − i kosmetykami niewiadomego pochodzenia. Coś podobnego do naszej lumpiarni na Bema w Poznaniu. Całkiem swojsko się poczułam, przechodząc obok stoiska z kuchennymi fartuchami, uszytymi z pstrokatych materiałów w wielgaśną kratę. Chyba można takie spotkać pod wszystkimi szerokościami geograficznymi.

Dla kontrastu zaraz za bazarem wkroczyliśmy do położonego nieco niżej eleganckiego centrum handlowego. Rzęsiście oświetlone firmowe salony z luksusowymi artykułami były już o tak późnej porze zamknięte. Zażartowałam głośno, że nasza pani Ela czułaby się tutaj jak ryba w wodzie. Krzyś, usłyszawszy to, uszczypliwie podsumował:

– Całe szczęście, że nie ma jej z nami, bo inaczej musielibyśmy sterczeć w nieskończoność przed każdą

witryną!

Było naprawdę co oglądać. Idealnie uszyte elementy damskiej garderoby, wyeksponowane na wymuskanych manekinach, dla nas, kobiet, stanowiły przedmiot pożądania, obok którego nie można przejść obojętnie. Nie zważając na głośne grymasy niezadowolenia naszej męskiej eskorty, trochę tak… przy każdej wystawie zamarudziłyśmy. Każda musiała swoje trzy grosze wtrącić do rozmowy. Zniecierpliwiony głos Waldka oznajmiający nam, że pora najwyższa, abyśmy wracali do hotelu, przerwał nam to wielce zajmujące zajęcie.

– Trudno, szkoda, że z całego miasta niczego więcej poza promenadą i tym centrum handlowym nie udało się zobaczyć.

– Może jednak jutro będzie jeszcze okazja? Lecz i tak pewnie o szczegółowym zwiedzaniu starego miasta nie ma co marzyć. Zresztą wnioskując z historii Tyberiady w streszczeniu brata, nie wydaje się, aby w mieście ostały się liczne zabytki.

– Już ten krótki spacer pokazał, że Tyberiada jest na wskroś nowoczesna. Nie ma co szat rozdzierać z tego powodu.

– Nic się na to nie poradzi. Jutro czeka nas pewnie makabra. Łazić w tej saunie nad samym jeziorem i jeszcze nudno, bo po samych kościołach.

– E tam, tyle to się jeszcze zniesie. Pociesz się, że to będzie ostatni taki całodzienny maraton. Pojutrze będziemy już w samolocie!

Mniej więcej takiej treści była moja rozmowa z Zosią tuż przed zaśnięciem. Coś tam jeszcze pomamrotałyśmy niezbyt zrozumiale i równocześnie zasnęłyśmy snem sprawiedliwych.

---

[1] *Psalm 118* (Ps 118, 22−23), *Biblia Tysiąclecia. Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu*, Wydawnictwo Pallotinum w Poznaniu, Poznań 2003.

[2] *Ewangelia według świętego Mateusza* (Mt 16, 18), *Biblia Tysiąclecia. Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu*, Wydawnictwo Pallotinum w Poznaniu, Poznań 2003.

~ DZIEŃ XI ~

Czwartek

Niby wszystko takie cacy w tym pokoju, ale materace to mają kiepskie − pomyślałam. Odczułam to na własnej skórze, gramoląc się z łóżka. Moje stare gnaty w dokuczliwy sposób zaalarmowały mnie o tym. Zosiny materac też był do kitu, bo na dzień dobry przywitała mnie, złorzecząc:

– Cześć! Cała jestem obolała! Szlag by trafił z takim miękkim łóżkiem! Wszystko mnie boli!

– Pociesz się, że mnie też! − mruknęłam w drodze do łazienki. – Całe szczęście, że będziemy tutaj spać jeszcze tylko jedną noc!

– Boję się, że jutro z niego wcale nie dam rady wyleźć!

– Nie przesadzaj! − wrzasnęłam, zatrzaskując kabinę prysznicową.

Śniadanie w tej mało przytulnej jadalni odbyło się bez niespodzianek. Podobnie jak kolacja, zbyt urozmaicone to ono nie było. Wypiłam kawę i zjadłam kanapkę z jajkiem. Nie mając ochoty na cokolwiek więcej, w oczekiwaniu, aż Zosia skończy jeść, wycofałam się do łącznika na papierosa.

Tak naprawdę to miałam kiepski nastrój. Czekający nas kolejny dzień uganiania się po świętych przybytkach nie napawał mnie optymizmem. Najchętniej to już dzisiaj spakowałabym walizkę i wróciła do domu. A to przecież jeszcze nie tak prędko nastąpi. Wprawdzie jutro wieczorem wylądujemy w Wiedniu, lecz nie wiadomo, ile jeszcze dni będę musiała czekać u Beaty na transport do Poznania. Ta niewesoła myśl pogłębiła dodatkowo moją frustrację.

Poganiana przez Zosię, która pomimo bólu w krzyżach odzyskała po śniadaniu rezon, spakowałam swoje codzienne manele i, niczym koń mający klapki na oczach, potruchtałam do recepcji na zbiórkę.

Siódma godzina rano, a tyberiadzka duchota już się panoszyła w najlepsze. Taka aura potrafi podciąć skrzydła każdemu. Zasępieni ulokowaliśmy się w autokarze. Nawet głos braciszka podczas odmawianej modlitwy i intonacji pieśni wydał się dzisiaj pozbawiony dotychczasowej ostrości. Marzyłam, żeby ten dzień jak najszybciej się skończył, lecz były to tylko moje mrzonki.

Autokar po opuszczeniu przedmieść Tyberiady, poruszając się tak jak wczoraj krajową drogą numer dziewięćdziesiąt w kierunku północnym, miał nas dowieźć na dobry początek dnia − słowa braciszka − do przewidzianego już we wczorajszym programie rezerwatu Hula.

– W rolniczej dolinie położonej pomiędzy wzgórzami Górnej Galilei i wzgórzami Golan utworzono w 1963 roku pierwszy w Izraelu rezerwat przyrody – Park Narodowy

Doliny Hula. Historia tego miejsca ma ścisły związek z osadnictwem żydowskim. Do roku 1948 cały ten obszar zamieszkiwany był przez wiejską ludność pochodzenia arabskiego, wówczas istniało tutaj zaledwie dwanaście osad żydowskich. Sytuacja się zmieniła, kiedy po wojnie arabsko-żydowskiej większość ludności arabskiej porzuciła swe gospodarstwa. Jednak osadnicy żydowscy niezbyt chętnie garnęli się tutaj do osiedlania, ze względu na jezioro Hula znajdujące się w centralnej części doliny. Wokół jeziora cały teren był bagnisty, a na graniczących z nim uprawnych polach woda stała przez pół roku. W takich warunkach plony były mizerne, gospodarowanie mało opłacalne. Wilgotny, bagnisty teren sprzyjał także rozwojowi chorób wśród osadników. Wybuchy epidemii malarii odnotowywano tutaj często. Aby temu zaradzić, władze izraelskie w latach pięćdziesiątych wcieliły w życie program osuszania terenu. Przystąpiono do budowy sieci kanałów irygacyjnych, odprowadzających wodę z jeziora bezpośrednio do rzeki Jordan. Dzięki temu woda nie stała już na polach i dodatkowo zwiększono obszar ziemi uprawnej. Wkrótce jednak okazało się, że nie była to w pełni trafna inwestycja, ponieważ działania osuszające doprowadziły do katastrofalnego wyjałowienia ziemi. Nie pozostawało nic innego, jak tylko częściowo odtworzyć jezioro. Jest ono obecnie znacznie mniejsze od tego pierwotnego. Rozciąga się na powierzchni kilometra kwadratowego, a jego głębokość nie przekracza metra. Zadbano także o odtworzenie dawnego ekosystemu, który został

poprzednio zniszczony. Stąd też idea powstania nad nim już w 1963 roku rezerwatu przyrodniczego. W wyniku tych zabiegów jezioro Hula, tak jak dawniej, stało się skupiskiem ptaków migrujących z Europy do Afryki. Okresowo można nad nim zobaczyć między innymi i nasze odpoczywające boćki, żurawie, czaple oraz inne ptaki. Jezioro pełne jest różnych gatunków ryb, a w okalających je szuwarach spotkać można żółwie, wydry czy dziki. Atrakcją rezerwatu jest rezydujące nad jeziorem liczne stado bawołów wodnych. Pewnie uda nam się je podpatrzeć. To tylko jedna z niespodzianek, jakie skrywa ten rezerwat. W zanadrzu chowam jeszcze inną jego atrakcję, ale na tę chwilę nabieram wody w usta, gdyż nie wiem, czy uda mi się ją wam pokazać. Na miejscu się dopiero przekonam. − Łobuzerskim uśmiechem brat zakończył zaaplikowaną nam dawkę wiedzy o rezerwacie. A następnie, po dłuższej pauzie, od miejscowości Rosz Pina ostatni fragment trasy umilił nam opowiadaniem śląskich kawałów. Towarzyszące grupie ranne zasępienie zniknęło.

Do tego po dotarciu na miejsce widok soczystej zieleni, otaczającej parking przed rezerwatem, spowodował, że bez dodatkowych ponagleń z ochotą wysiedliśmy z autobusu. Tutaj upalny dzień jak gdyby budził się dopiero do życia. Duchota była bardziej znośna aniżeli w Tyberiadzie.

Poczekaliśmy, aż braciszek dopełni formalności i pogada przy kasie z pracownicą administracji rezerwatu, o czym konkretnie, nie mieliśmy bladego pojęcia. Po minie brata wywnioskować można było, że jest zadowolony

z przebiegu rozmowy, ponieważ wesoło zarządził wejście do parku.

Trasę turystyczną wytyczono przez gęsto porośnięte bagniska, otaczające jezioro. Idąc utwardzoną drogą, mijaliśmy zatopione w szuwarach zagrody dla dzików i innych występujących tutaj gatunków zwierząt. Niewątpliwie najciekawsza okazała się zagroda zamieszkiwana przez bawoły wodne. Chwilę przed nią postaliśmy, chociaż woń wydobywająca się z niej do najprzyjemniejszych nie należała. Zakrywając nosy chusteczkami, podziwialiśmy ogromne cielska taplające się w błocie i potężne, wykręcone ku tyłowi rogi u paru samców. Brat jako miłośnik przyrody dodatkowo kazał nam zwrócić uwagę na ich szerokie i mocno rozstawione racice. Pozwala to tym zwierzętom na swobodne poruszanie się i w ogóle na egzystencję na bagniskach i w przybrzeżnych płyciznach. Za miniaturowym zoo dotarliśmy do rozlewiska, przez które przerzucono długi drewniany mostek. W spacerze po nim towarzyszyły nam co chwilę zrywające się do lotu stadka przeróżnych ptaków, mające tutaj wśród sitowia, trzcin i kęp papirusu swoje królestwo. Patrząc w dół, dostrzec można było w płytkich wodach przepływające ławice ryb, z osiągającymi imponujące rozmiary sumami na czele. Podziwiając tę scenerię, uznałam, że przypomina mi ona jota w jotę nasze Mazury, a konkretnie widoki podczas rejsu przez Kanał Elbląski. Oaza dziewiczej przyrody w świecie przekształconym ręką człowieka. No, może trochę przesadziłam, określając tak to

miejsce, ale akurat takie górnolotne myśli naszły mnie podczas jego zwiedzania. Drewniany mostek doprowadził nas do wieży obserwacyjnej. Doskonała gratka dla miłośników ornitologii. My poprzestaliśmy na obejściu jej dookoła dołem. Nikt nie miał ochoty na nią się wspinać.

Przy wyjściu, po obowiązkowej przerwie na toaletę, brat nie zarządził zbiórki jak zwykle przy autokarze, lecz mieliśmy się stawić ponownie przed kasami, aby w ramach niespodzianki, którą udało mu się dopiąć, obejrzeć jeszcze film przyrodniczy. Tajemniczo się o nim wyraził, że jest ciekawy ze względu na efekty specjalne. Uznaliśmy, iż zafundował nam kolejny żart, i zbiorowo wybuchnęliśmy śmiechem, lecz on z poważną miną odparł, że jeśli nie wierzymy, to niebawem się przekonamy, że „nie ściemnia".

Rzeczywiście! Każdy z nas otrzymał przed seansem trójwymiarowe okulary. Zapowiada się ciekawie − pomyślałam. Co więcej, usiedliśmy na fotelach z zamontowanymi metalowymi urządzeniami, których nigdy przedtem w kinie nie widziałam. Zosia, sadowiąc się niepewnie na brzeżku fotela, lękliwie wyszeptała:

– Cholera wie, co nas tutaj czeka.

– Wkładaj okulary i przestań z góry biadolić. Wygląda na to, że czekają nas nie lada przeżycia! − odparłam, siadając z impetem obok niej.

– Byleby tylko nie przeholowali!

– Ty to masz naprawdę dar szukania dziury w całym.

Zbawiennie dalszą naszą słowną przepychankę przerwało rozpoczęcie projekcji. Film ogólnie przedstawiał

migracje ptaków z północy na południe. W pierwszych jego odsłonach samotnie polujący jastrząb przemierzał przestrzenie nieba. Patrząc na niego przez okulary 3D i dodatkowo czując kołysanie foteli przy każdym ruchu jego skrzydeł, dzięki zamontowanym w fotelach urządzeniom, miało się wrażenie, że lecimy wraz z nim. Efekt był niesamowity. Podobnie, gdy pokazany został tabun dzikich koni, sunący po otwartej przestrzeni. Jeszcze większe wrażenie robiła wylatująca z ekranu wprost na nas brzęcząca ważka, która tylko o włos przeleciała obok głów oglądających. Wszyscy jednocześnie zaczęli bezwiednie machać rękami, aby ją odgonić. Złudzenie było szokujące. Doskonale zmontowane dźwięki, towarzyszące pokazanej sekwencji wylęgu piskląt, dawały odczucie, że obserwujemy to wydarzenie tu i teraz. Scenę końcową, przedstawiającą wystrzelony z miga pocisk, sunący bezpośrednio z ekranu w naszym kierunku, odczytałam jako przestrogę przed zagrożeniami, jakie dla przyrody niesie współczesny świat. Z wypiekami na twarzach, pełni niesamowitych wrażeń, z żalem opuszczaliśmy salę kinową. Szkoda, że film był taki krótki.

Naprawdę całkiem miły okazał się ten początek dnia. Może i dalsze punkty zwiedzania okażą się ciekawe i jakoś szczęśliwie minie nam ten ostatni dzień pobytu w Izraelu? Połudzić się zawsze warto − skomentowałam w myślach, nie chcąc zapeszyć.

W autokarze po początkowych wesołych komentarzach odnośnie do wrażeń z filmu brat rozwiał moje złudzenia,

poważnym tonem oznajmiając:

– Fajnie, że państwu się podobał rezerwat, ale przez to cały nasz program zwiedzania się poplątał i będziemy musieli trochę kluczyć. Na szczęście sanktuaria nad jeziorem są położone w stosunkowo bliskiej odległości od siebie, bo inaczej nie wyrobilibyśmy się czasowo. Przejeżdżać będziemy obok Korozain, ale je zostawimy na jutro. Po zjechaniu na drogę osiemdziesiąt siedem zostawimy Tabgha i na początek dotrzemy do Kafarnaum, a po jego zwiedzeniu szybko musimy się przemieścić do kościoła Prymatu Świętego Piotra w Tabgha. Mamy tam zamówioną mszę w kaplicy pod gołym niebem. Po mszy i odwiedzinach tego kościoła będziemy musieli się zwijać z powrotem w okolice Kafarnaum, do przystani. Wsiądziemy tam na statek i odbędziemy rejs po jeziorze. Mam nadzieję, że zdążymy jeszcze przedtem zjeść obiad niedaleko przystani. Dziś zaplanowany jest nieco wcześniejszy posiłek w restauracji rybnej, specjalizującej się w podawaniu pielgrzymom ryby świętego Piotra. Zjedzenie jej jest obowiązkiem każdego pielgrzyma! Mnie to nie dotyczy, bo ryb nie lubię. − Wtrącił to z rozbrajającą szczerością, którą skwitowaliśmy śmiechem. – Mówiąc poważnie − kontynuował − musimy się sprężać, gdyż chcę dzisiaj prędzej skończyć nasze pielgrzymowanie, aby po powrocie móc wam jeszcze poświęcić zakupione przez was dewocjonalia i abyście mogli się spokojnie należycie spakować na powrót do domu. Kto chce, ten może pospacerować wieczorem po Tyberiadzie. Zanim jednak to

nastąpi, musimy jeszcze raz po rejsie wrócić do Tabgha, do klasztoru benedyktynów z kościołem Rozmnożenia Chleba i Ryb, by na koniec, chociaż na krótko, złożyć wizytę w kościele na Górze Błogosławieństw. Dlatego bądźcie zdyscyplinowani, żebyśmy niepotrzebnie nie mitrężyli cennego czasu. Moi drodzy, ze względu na to, że mamy teraz chwilę, jadąc do Kafarnaum, pozwólcie, że od razu przybliżę wam nieco to sanktuarium. Później, w upale i dużym tłoku, może być z tym ciężko…

Wymowne westchnięcie Zosi uprzytomniło mi, że i ona podziela mój stan ducha. Pewnie tak samo jak ja pomyślała, że czeka nas powtórka z pierwszego dnia pobytu w Jerozolimie i zwiedzanie samych kościołów.

− Ale może jeszcze przedtem słów kilka o samym Jeziorze Galilejskim − kontynuował nasz przewodnik. – Występuje ono pod kilkoma nazwami. Najpopularniejsze to Jezioro Tyberiadzkie i jezioro Genezaret – te nazwy znajdziecie w Ewangeliach. Z języka hebrajskiego nazywane bywa także Kinneret ze względu na kształt jeziora, przypominający cytrę. Jest jeziorem przepływowym, zasilanym przez wpływające do niego z północy wody Jordanu. Rzeka w części południowej jeziora wypływa z niego i dalej tocząc swe wody rowem tektonicznym, uchodzi do Morza Martwego − wczoraj już o tym wspominałem, przy oglądaniu źródeł Jordanu. W gospodarce Izraela zbiornik Genezaret jest głównym dostarczycielem wody pitnej dla całego obszaru kraju. Wybudowano rozległy system wodny, którymi się ją

transportuje. A co więcej, w ramach umów międzynarodowych po wojnach izraelsko-arabskich władze izraelskie zostały zobowiązane do dzielenia się nią ze swoimi arabskimi sąsiadami. Różnie bywa z przestrzeganiem tych umów. Jordania wiecznie skarży się, że Izrael drastycznie obniża im zagwarantowane dostawy wody. Jezioro jest zasobne w faunę. W jego czystych wodach gnieżdżą się kolonie żółwi rzecznych, raków, innych skorupiaków, no i przede wszystkim ławice ryb. Od czasów biblijnych dla mieszkającej wokół jeziora ludności rybołówstwo było głównym zajęciem. Obecnie znanych jest ponad dwadzieścia gatunków ryb występujących w jeziorze. Najczęściej odławiane są cefale, tilapie galilejskie i złote. Jako ciekawostkę mogę państwu podpowiedzieć, że Żydzi nie jedzą występujących tutaj okazałych sumów. Uważają, że skoro natura pozbawiła je łusek, to są nieczyste. Za rybę złowioną przez świętego Piotra powszechnie uważa się tilapię – to ją będziecie spożywać! Dobrze, zostawmy już te ryby! Teraz Kafarnaum. Otóż, moi drodzy, podążając śladami naszego Pana, niebawem dotrzemy nad Jezioro Galilejskie, aby tam oddać należyty hołd miejscom, w których Pan Jezus prowadził swoją misyjną działalność, tworząc podwaliny naszej wiary. Na początek Kafarnaum, czyli Wioska Pocieszenia. W Ewangelii świętego Mateusza to miejsce nazwane jest Jego miastem, ponieważ było centrum działalności Jezusa po opuszczeniu Nazaretu. Tutaj zostali powołani pierwsi uczniowie oraz miał miejsce cud wskrzeszenia córki Jaira. Święty Łukasz dopowiada, że

w tej osadzie Pan Jezus uzdrowił kobietę cierpiącą na krwotok, a także dowódcę rzymskiego oddziału. Tutaj nasz Pan wygłosił w synagodze mowę eucharystyczną, którą znajdujemy w Ewangelii świętego Jana. Zaś w ubogiej chacie rybaka miał miejsce znany cud uzdrowienia paralityka, spuszczonego przez otwór w dachu. Oczywiście chodzi o dom świętego Piotra. W czasach Chrystusa Kafarnaum było dość dużą osadą. Przez nią przechodził szlak handlowy biegnący z Egiptu przez Damaszek do Mezopotamii. Słynna Via Maris, czyli Droga Morska. W pobliżu lokalnej synagogi mieścił się dom świętego Piotra, który w I wieku wspólnota judeochrześcijańska zamieniła na świątynię. W IV wieku na miejscu starej synagogi powstaje olbrzymia, nowa synagoga, a kościół – dom świętego Piotra − przetrwał aż do wieku VI. Wówczas to został zburzony. W wyniku trzęsienia ziemi, jakie nawiedziło tę osadę w połowie VIII wieku, praktycznie przestała ona wówczas istnieć. Dopiero w wieku XIV od nowa odkryli ją żydowscy pielgrzymi, odwiedzający grób pochowanego w pobliżu zasłużonego rabina. Od jego imienia powstała zniekształcona przez arabów nazwa Tanchum. W wieku XIX osadą zainteresowali się archeolodzy, a po wykupieniu terenu przez Kustodię Ziemi Świętej cały teren gruntownie przekopano, odkrywając w XX wieku pozostałości synagogi i kościoła na planie ośmioboku, którego centralne pomieszczenie uznawane jest za dom świętego Piotra. W 1990 roku wzniesiono osłaniającą go konstrukcję, tworząc oryginalny w swojej

formie kościół. Niebawem go zobaczycie! − zapowiedział brat, po czym dodał: – Uff! Nagadałem się! Może coś mi umknęło? Najwyżej dopowiem na miejscu, jeśli teraz zapomniałem. Odsapnę tylko nieco, bo widzę, że niedługo czeka nas wysiadka.

Automatycznie spojrzałam w okno i zarejestrowałam, że już opuściliśmy drogę numer dziewięćdziesiąt, przemieszczając się teraz opatrzoną numerem osiemdziesiąt siedem. W trochę pożółkłym, chociaż były to dopiero pierwsze dni czerwca, stepowym krajobrazie tu i ówdzie pokazywały się plantacje bananowców i chyba awokado − zza szyb trudno je było rozpoznać.

Kiedy autokar zatrzymał się na parkingu przed Kafarnaum, z mikrofonu brata popłynęła przestroga:

– Nie wystraszcie się tylko panującej na zewnątrz duchoty! Musicie ją dzisiaj dzielnie znosić! We wszystkich miejscach położonych nad jeziorem panuje taki ukrop! Przypominam tym, którzy zapomnieli, że jest to spowodowane położeniem Jeziora Galilejskiego na terenie depresji.

Krótki odcinek, jaki pokonaliśmy do bramy kompleksu, wystarczył nam w zupełności, aby na własnej skórze dotkliwie odczuć tego skutki. Ledwie zarejestrowałam, że na bramie widnieje herb Kustodii Ziemi Świętej. Z prawej strony od niej stał budynek z czarnego kamienia, należący chyba do franciszkańskiej administracji. Po lewej zaś rozciągała się wystawa odkopanych na terenie artefaktów. Brat poprowadził nas obok nich do na szczęście

zacienionego drzewami placyku, gdzie na kamiennych ławkach można było przyklapnąć. Z ulgą usiedliśmy na nich, wachlując się dla ochłody tym, co kto miał pod ręką. Za jedno mogliśmy dzisiaj na sto procent zaręczyć braciszkowi, a mianowicie, że będziemy na pewno podczas całego pozostałego zwiedzania nad wyraz zdyscyplinowaną grupą. Szaleństwem byłoby łażenie samopas w takiej parnocie! Niezmordowany braciszek Tuck, otarłszy pot z czoła i przetarłszy zaparowane okulary, wskazał nam znajdujące się za naszymi plecami ruiny, wyjaśniając:

– To są ruiny okazałej synagogi z IV wieku. Nazwano ją białą ze względu na kamień, z którego została zbudowana, a mianowicie biały wapień. Odróżnia się dzięki temu od wszystkich pozostałych budowli tutaj odkopanych, gdyż do ich budowy użyto miejscowego czarnego bazaltu. Szeroko zakrojone prace archeologiczne pozwoliły wykryć pod jej fundamentami jeszcze starsze znalezisko. Najprawdopodobniej są to resztki tej synagogi, w której Pan Jezus nauczał. Obok synagogi dostrzeżecie fragmenty insuli. Pamiętacie z Cezarei Nadmorskiej, że były to domy czynszowe zamieszkiwane przez biedotę. A zaraz za nimi mamy kościół, kryjący w swoim wnętrzu resztki domostwa identyfikowanego jako dom świętego Piotra. Myślę, że dwadzieścia minut na pomodlenie się w kościele i obejście kompleksu wam wystarczy. Ja tutaj na was poczekam.

Rozeszliśmy się małymi grupkami po kompleksie. Większość pomaszerowała bezpośrednio do kościoła. Chyba raczej dla osłony przed upałem aniżeli z religijnych

względów − pomyślałam. Wzniesiona nad pozostałościami konstrukcja w nad wyraz oryginalnym kształcie miała się nijak do otaczających ją wokół ruin. Moim zdaniem ktoś nie za bardzo zatroszczył się o wkomponowanie jej w otoczenie. Innym zapewne sterczą ca ostrokątna bryła, zakończona u podstawy stożkowatym obramowaniem, osadzona na wychodzących z jej każdego kąta wysmukłych filarach, przytwierdzających ją do podłoża, w niczym nie przeszkadzała. Moja chora wyobraźnia skojarzyła kształt tej bryły ze spodkiem kosmicznym i nic na to nie mogłam poradzić.

Sama przespacerowałam się wzdłuż wystawy archeologicznych znalezisk, rozstawionej między drzewami dającymi jaki taki cień. Ekspozycja składała się w przeważającej mierze z kamiennych płyt, roztrzaskanych fragmentów kolumn i ogromnych kolisk, będących pozostałościami starożytnych tłoczni oliwy. Następnie skierowałam swe kroki do niestety niczym już nieocienionej ruiny białej synagogi. Odrestaurowana potężna sala z białą posadzką i okazałymi kolumnami oraz zachowane kamienne ławki przy wejściu robiły naprawdę wrażenie. Szkoda, że pozbawione dachu wnętrze było już tak nagrzane przez słońce, iż przebywanie w nim należało skrócić do minimum. Poprzestałam na zrobieniu kilku fotek − o dziwo, moja komórka tym razem nie odmówiła mi posłuszeństwa − i szybko się wycofałam. Obeszłam galeryjki obok, też skąpane w słońcu. Chwilę zatrzymałam się przed odkopanymi fundamentami insuli z czarnego kamienia,

a później wgramoliłam się po schodach w ślad za innymi i dotarłam do wejścia kościoła.

Dziwny zewnętrzny jego wygląd miał także swoje odbicie w jego wnętrzu. Otóż znalazłam się w autentycznej auli. Rzędy ławek umieszczono dookoła od góry ku zwężającemu się dołowi. On sam − był to ten zewnętrzny stożek − został w całości przeszklony i skrywał fundamenty pomieszczenia uznawanego za dom świętego Piotra. Dodatkowo oplatała go metalowa barierka. Nad przeszkleniem umieszczono niezwykle ascetyczny w swojej formie ołtarz, co najbardziej przypadło mi do gustu. Usiłowałam podumać trochę o tym miejscu, ale po kilku nieudanych próbach zniechęcona opuściłam ten święty przybytek.

Za kościołem doszłam do porośniętego szuwarami brzegu Jeziora Galilejskiego. Ustawiony w jego pobliżu monumentalny posąg świętego Piotra dumnie prezentował się na tle tafli wody. Rzeźbiarz przedstawił postać świętego w lekkim rozkroku, tak jakby właśnie wracał znad jeziora. Święty Piotr silnie dzierży w lewej ręce długi pastorał – symbol biskupiej władzy, a spod jego udrapowanej szaty, przy prawej nodze, wystaje wijąca się ryba – nieodłączny atrybut apostoła i równocześnie najstarszy rozpoznawalny znak chrześcijan.

Przy pomniku spotkałam się ze wszystkimi z naszej grupy. To był ostatni punkt zwiedzania Kafarnaum. Teraz poganiani przez brata – który narzekał, że przyjdzie tłumaczyć mu się ze spóźnienia na umówioną mszę –

biadoląc na nieznośny upał, wsiedliśmy do autobusu, aby dojechać do Tabgha.

Podczas krótkiej drogi z Kafarnaum do kościoła Prymatu Świętego Piotra wysłuchaliśmy skrótowej historii tego sanktuarium. Brat wyłuszczył nam ją w błyskawicznym tempie:

– Sanktuarium powstało na pamiątkę miejsca, w którym Pan Jezus przygotowywał posiłek dla uczniów. Relacjonuje to wydarzenie święty Jan. Wewnątrz kościoła zobaczyć można skałę, noszącą od V wieku nazwę Mensa Christi, co oznacza Stół Chrystusa. Współczesny kościół został zbudowany przez franciszkanów w XX wieku. Najprawdopodobniej stoi on na miejscu świątyni z IV wieku. Po najeździe Persów świątynia została zniszczona, lecz istnieją dowody, że w VIII wieku ją odbudowano. Z tego kościoła zachowały się pozostałości kolumn widoczne nad brzegiem jeziora. W wiekach następnych kościół był podczas kolejnych najazdów niszczony i od nowa podnosił się ze zgliszcz. Jednak od połowy XIII wieku przestał tak naprawdę istnieć. Dopiero od XIX stulecia, po przejęciu terenu przez franciszkanów, którzy wówczas zakupili cały obszar ciągnący się nad jeziorem od Tabgha do Kafarnaum, możliwa była jego ponowna reaktywacja.

Tyle dowiedzieliśmy się w autobusie. Po mszy zaplanowane było kilkominutowe zwiedzanie tego miejsca.

W pośpiechu wyszliśmy z autokaru i od razu brat szybko podprowadził nas przez ładnie utrzymany teren do wydzielonego w przykościelnym ogrodzie nieckowatego

placyku – miejsca naszej mszy. Po jego przeciwnej stronie zauważyłam dwa polowe ołtarze, przy których odbywały się równocześnie nabożeństwa innych grup pielgrzymkowych. W trakcie oczekiwania na naszą mszę trochę podpatrywałam pełne urokliwego temperamentu nabożeństwo murzyńskich chrześcijan. Ich głośne wychwalanie Pana docierało i do naszych uszu, na co niektóre panie zżymały się z dezaprobatą. Pomyślałam, że my to jeszcze pół biedy, ale co ma powiedzieć ta druga grupa, mająca mszę bezpośrednio obok nich? Zapewne nie jest w stanie zrozumieć w tym hałasie słów swojego kapłana. Przy takim natłoku pielgrzymów tego rodzaju, trochę groteskowe, sytuacje są nie do uniknięcia. I gdzie tu szukać wyciszenia, które pragnął osiągnąć nasz organista!

Pierwszą część mszy odbyliśmy jeszcze przy akompaniamencie żywiołowego nabożeństwa obok, później jego odgłosy umilkły. Wyraz niekłamanej ulgi, jaki w tym momencie zagościł na twarzy do tej pory spiętego braciszka, był naprawdę wart sfotografowania. Jego wspomnienie wzbudza we mnie wesołość.

Nie wdając się w dyskusje, zaraz po zakończonej mszy z ciekawością obeszłam oblegane przez pielgrzymów wnętrze kościoła Prymatu Świętego Piotra. Bezpośrednio do skały Mensa Christi ze względu na panujący przy niej tłok nie miałam szans się dostać. Poprzestałam na otaksowaniu jej z dalszej odległości. Olbrzymia skała zajmowała prawie całe prezbiterium. Stojący za nią mały ołtarz wciśnięty został we wnękę niewielkiej absydy. Na jej

gładkiej, białej ścianie jedyną ozdobę stanowił krzyż zbliżony kształtem do krzyża liliowego. Wąskie okna z witrażami po jego obu stronach składały się na cały wystrój głównego ołtarza. Reszta wnętrza w trzech czwartych wysokości ścian wyłożona została ciemnymi kamiennymi blokami, takimi samymi jak na zewnątrz, z szerokimi białymi fugami. Pozostała część ścian i sufit zachowane zostały w białej tonacji. W tym dość surowo urządzonym kościele jedyną rzucającą się w oczy ozdobą były utrzymane w niebieskich barwach okienne witraże, umieszczone równolegle po obu stronach kościoła. Pobyt w nim zakończyłam bliższym przyjrzeniem się wejściowym drzwiom z metalowymi reliefami przedstawiającymi sceny z życia świętego Piotra.

Zwyczajowo podczas pobytu w tym świętym miejscu należy zejść na znajdujący się zaraz za kościołem brzeg jeziora Genezaret, aby w jego wodach zamoczyć nogi. Akurat przy takim upale było to ze wszech miar pożądane. Z ochotą ściągnęłam sandały i zostawiłam je pod opieką skulonej na brzegu Zosi, która przeszła samą siebie, oświadczając mi po raz kolejny, że nie ma najmniejszej ochoty ściągać tenisówek i skarpetek na zaledwie dwuminutowe zamaczanie nóg. Tyle tylko pozostało nam wolnego czasu. Bez komentarza wzruszyłam na to jej ostentacyjne oświadczenie ramionami i pobiegłam zanurzyć nogi w ciepłej wodzie jeziora. Wielkiej ulgi mi to nie przyniosło, ale zawsze to chociaż mała frajda. Brodząc, obejrzałam rumowisko kamieni wystające z jeziora

i zastanawiałam się, które jego części mogą być pozostałościami kolumn ze świątyni datowanej na VIII wiek, o których wspominał brat. Nie będąc znawcą przedmiotu, do niczego konkretnego jednak nie doszłam i dałam sobie z tym spokój. O mokre nogi nie trzeba się było absolutnie martwić. Na słońcu wyschły momentalnie, a przyklejone do nich drobiny piasku wytrzepały się samoistnie w drodze do autobusu.

Znowu pośpiech. Brat zarzekał się, że po raz ostatni ustalił tak pokręcony plan zwiedzania.

− Można było ze spokojem obejść od razu drugie sanktuarium w Tabgha, a tak musimy teraz gnać na obiad, aby zdążyć na rejs statkiem po jeziorze zamówiony na godzinę czternastą z przystani w Kafarnaum. Na szczęście restauracja jest od niej niedaleko.

Mnie absolutnie taki plan nie przeszkadzał. Obiad i rejs stanowiły miłe oderwanie od monotematycznego zwiedzania kościołów. Głośno jednak wolałam się nie wypowiadać.

Za franciszkańskim kompleksem Kafarnaum dojechaliśmy do położonego w kierunku północno-wschodnim Parku Narodowego Kafarnaum. Brat poinformował nas, że utworzono w nim ogród botaniczny, w którym zasadzono rośliny mające nawiązywać do tematyki biblijnej. My jednak na podziwianie przyrody nie mieliśmy czasu.

Kiedy autokar zatrzymał się przed znajdującą się już na terenie parku restauracją rybną, padła komenda:

− Wysiadać! Szybko toaleta i jeść bez marudzenia! − Zachęcająco to nie zabrzmiało, lecz wprowadzony przez braciszka dzisiejszy zaostrzony rygor miał swoje uzasadnienie. Wszyscy zdawali sobie z tego sprawę i bez protestów się podporządkowali.

Ładne wnętrze restauracji, ozdobione bibelotami nawiązującymi do tematyki rybołówstwa, i ośmioosobowe stylowe stoły zrobiły na nas całkiem pozytywne wrażenie. No, ale na tym zakończyła się nasza ocena w superlatywach. Ryba świętego Piotra, którą nam nawet sprawnie zaserwowano, okazała się kompletnym niewypałem. Jeszcze nigdy w moim życiu nie przyszło mi jeść takiego wyschniętego pokurcza, pełnego ości. Wyglądało na to, że zaserwowano nam egzemplarze, które już przedtem parokrotnie odgrzewano na grillu. Po kilku mizernych próbach wybrania z niej chociażby paru kęsów mięsa zrezygnowana odstawiłam zawartość talerza, podobnie jak pozostali. Ostatni obiad w Ziemi Świętej był najgorszym kulinarnym przeżyciem, jakiego doświadczyliśmy.

Niezadowoleni opuściliśmy szybko restaurację, dzięki temu na przystań udało nam się dotrzeć bez spóźnienia. Statek wycieczkowy okazał się urokliwą drewnianą łajbą z solidnym silnikiem pod podkładem i należytym takielunkiem na zewnątrz. Zwyczajowo rejs rozpoczął się od wciągnięcia na maszt flagi odpowiadającej narodowości pielgrzymów akurat goszczących na statku. Kiedy przy wtórze *Mazurka Dąbrowskiego*, wydobywającego się

z głośnika, załopotała obok izraelskiej flagi nasza biało-czerwona, wszystkim jakoś sympatyczniej zrobiło się na duszy. Nikt wprawdzie nie miał złudzeń, że jest to tylko i wyłącznie komercyjne działanie, ale jego odbiór był pozytywny. Początkowa trasa rejsu wiodła wzdłuż zachodniego brzegu jeziora. Usadowieni wygodnie po obu burtach statku i przyjemnie nareszcie chłodzeni przez lekki wietrzyk, wywołany ruchem statku, mogliśmy w komfortowych warunkach podziwiać pojawiające się na prawobrzeżnym horyzoncie widoki. Najpierw przed oczami zamajaczyły nam bladoróżowe kopuły potężnego prawosławnego kościoła Dwunastu Apostołów. Umieszczone na ich zwieńczeniach pozłacane krzyże iskrzyły się w słońcu. Za kopułami roztaczał się widok na zatopiony w zieleni franciszkański kompleks archeologiczny Kafarnaum, a w niedalekiej od niego odległości podziwiać można było usytuowaną nad samym brzegiem zgrabną, ciemną bryłę kościoła Prymatu Świętego Piotra.

Kiedy dotarliśmy na wysokość Tabgha, statek zmienił kierunek kursu i wypłynął na sam środek jeziora. Osiągnąwszy w przybliżeniu jego centralny punkt, zatrzymał się. W ciszy, jaka raptownie zaległa wokół, było coś niesamowitego, skłaniającego do zadumy. W tej scenerii przeczytany przez braciszka fragment Ewangelii świętego Mateusza, opisujący cud stąpania Pana Jezusa po wodach Jeziora Galilejskiego, miał szczególnie symboliczny wydźwięk. Niestety, ja aż tak dogłębnie nie wczuwałam się w słowa opisu tego cudownego wydarzenia, gdyż ulegając

nastrojowi zadumy, pozwoliłam, aby moje myśli poszybowały w stronę domu. Irracjonalne odczucie straszliwej tęsknoty tak mną zawładnęło, że ledwie zdołałam powstrzymać się od głośnego wykrzyknięcia „Ja chcę do domu!”.

Ocknęłam się z tego nostalgicznego nastroju dopiero pod wpływem uwagi braciszka odnoszącej się do końcowego opisu zamieszczonego w Ewangelii, dotyczącego szkwału nad jeziorem. Według brata ten opis jest ze wszech miar realny, gdyż jezioro Genezaret znane jest z tego, że bardzo często pojawia się nad nim ni stąd, ni zowąd straszliwy wiatr i jego spokojne tak jak teraz wody zamieniają się wówczas w rwącą kipiel.

− Chociaż trudno w to uwierzyć, patrząc na leniwie snujące się zazwyczaj fale, ale tak właśnie się dzieje. Od czasów biblijnych tutejsi rybacy borykają się z tym zjawiskiem. To dowód na to, że święty Mateusz nie wyssał z palca swego opowiadania i miało ono autentycznie miejsce − stwierdził brat.

Wzmianka o galilejskich rybakach przypomniała mi sensacyjne odkrycie, którego oni dokonali kilka lat temu nad brzegiem jeziora, gdzieś właśnie w tej okolicy. A mianowicie znaleźli oni w jeziornym mule kompletną łódź rybacką, datowaną na I wiek n.e. Zagadnęłam o nią braciszka, a on i w tej kwestii okazał się znawcą tematu, udzielając nam wszystkim wyczerpujących informacji:

– W 1986 roku odkryli ją dwaj bracia. Ze względu na panującą wówczas suszę poziom jeziora znacznie się

obniżył i starożytna łódź o wymiarach około ośmiu metrów długości i dwóch metrów szerokości ujrzała światło dzienne. Oprócz niej wydobyto także kompletną lampkę oliwną, pozostałości ceramiki, monety z brązu, gwoździe. Ponad dziesięć lat trwały prace konserwatorskie, polegające na kompletnym osuszeniu drewnianych części łodzi. W ich trakcie odkryto, że do budowy łodzi użyto aż dwunastu gatunków drzewa, które po osuszeniu musiały zostać zaimpregnowane odpowiednimi chemikaliami. Po tym całym skomplikowanym i długotrwałym procesie renowacji łódź nazywaną popularnie łodzią Jezusa wystawiono w Muzeum Yigala Allona, mieszczącym się w Ginosar, między Tabgha a Tyberiadą. Obok muzeum znajduje się też przystań dla statków wycieczkowych po jeziorze, ale na dzień dzisiejszy nie mieli stamtąd wolnego kursu, dlatego my skorzystać musieliśmy z przystani w Kafarnaum. Tak na marginesie, wracając jeszcze do łodzi, to w Polsce, nad Lednicą, gdzie odbywają się coroczne Ogólnopolskie Spotkania Młodych, postawiono jej replikę. Kto chce, może ją tam zobaczyć, bo na zwiedzanie oryginału, czyli pobyt w Ginosar, nie ma czasu!

To ostatnie stwierdzenie brata pozostawiłam bez komentarza − nie było sensu się denerwować.

Tymczasem silnik pod podkładem zaczął znowu pracować i teraz skierowaliśmy się w stronę północno-wschodnią. Przed nami rozpostarł się krajobraz wzgórz Golan, a za nimi, w znacznej oddali, na północy, dostrzec można było kontury majestatycznego Hermonu.

W tym momencie rozpoczęła się druga, rozrywkowa, część rejsu. Z głośnika popłynęły takty skocznej izraelskiej muzyki, którą nasi górale z ochotą podchwycili, i przy aprobacie załogi pokład statku błyskawicznie zamienił się w parkiet taneczny. W tany poszła prawie cała nasza grupa. Ja jakoś nie mogłam się przemóc, pomimo wręcz natrętnych nagabywań Waldka, a potem oburzonego moją postawą Zenka. Głupia chandra towarzysząca mi od samego rana nie chciała mnie opuścić. Do tego doszła jeszcze tęsknota. Nie w głowie mi była zabawa! Wolałam oddać się kontemplacji, przyjemnie muskana podmuchami lekkiego wiatru, czego dzisiaj żałuję.

Godzinny rejs dobiegł końca i trzeba było znowu stawić czoła następnym świętym przybytkom, ignorując wstrętną duchotę. Wróciliśmy do Tabgha, do oddalonego zaledwie o trzysta metrów od kościoła Prymatu Świętego Piotra klasztoru benedyktyńskiego − z tego powodu brat tak wcześniej utyskiwał. Obowiązkowo w klasztorze należało zwiedzić kościół Rozmnożenia Chleba i Ryb. Ku naszej uldze przed wejściem do tego przybytku znajdowało się małe atrium z dużym drzewem oliwnym pośrodku i małym akwarium oraz dającymi nieco cienia krużgankami. W nim wysłuchaliśmy historii tego miejsca.

– Kościół Rozmnożenia Chleba i Ryb od IV wieku upamiętniał jeden z najbardziej znanych cudów, a mianowicie nakarmienie rzesz słuchaczy Pana Jezusa pięcioma bochenkami chleba i dwiema rybami. Święty Marek w swojej Ewangelii zawarł szczegółowy opis tego

wydarzenia. Cudowne rozmnożenie dokonało się na skale, którą w pierwszym kościele zamieniono na ołtarz. W V wieku dotychczasowy niewielki kościół przebudowano na okazałą bizantyjską bazylikę. Niestety podczas najazdu perskiego, tak jak i pozostałe budowle sakralne, została ona kompletnie zdewastowana. O jej dawnej świetności zaświadczają odkopane w 1932 roku wspaniałe mozaiki. Dla ich ochrony postawiono nad nimi najpierw prowizoryczny barak, pełniący równocześnie funkcję kościoła, a w latach osiemdziesiątych przystąpiono do budowy na bizantyjskich fundamentach nowej, trzynawowej świątyni, administrowanej przez benedyktyńskich zakonników. Zrekonstruowany podczas konserwacji mozaik plan kościoła z IV wieku wyeksponowano w narteksie − przedsionku – zaś odkopana jedna z nich, przedstawiająca kosz z bochenkami chleba i leżące równolegle do niego dwie ryby, znajdująca się przed ołtarzem, jest wizytówką tego miejsca. Podczas oglądania jej nie przegapcie! Macie około piętnastu minut na obejrzenie wnętrza i modlitwę. − Po tych słowach braciszek ulotnił się do jednego z bocznych przejść. Można było się domyślić, że poszedł odwiedzić swoich współbraci benedyktynów.

Wszyscy się rozeszli. Ja, chociaż z niechęcią, podążyłam w ich ślady.

− Ileż w końcu można obejrzeć mozaik? Nawet tych najbardziej oryginalnych? − pomstowałam cicho, wchodząc do wnętrza.

Muszę szczerze przyznać, że po przekroczeniu przedsionka nader skromny wygląd kościoła przypadł mi wyjątkowo do gustu. Niewielkie wnętrze z nagimi, kamiennymi ścianami, małe okna bez witraży, rząd prostych kolumn po bokach głównej nawy, ozdobionej jedynie czterema zawieszonymi na stelażach malowidłami. I do tego stonowany ołtarz w prezbiterium, z umieszczoną obok niego czarną skałą − symboliczne miejsce dokonania cudu rozmnożenia chleba i ryb − stwarzały wyjątkowy klimat, sprzyjający kontemplacji.

Przypomniałam sobie rozmowę z naszym organistą w ruinach zamku Nimrod. Pomyślałam, że gdzie jak gdzie, ale tutaj mój rozmówca znalazłby idealne warunki do pożądanego wyciszenia. Tylko że dany nam przez brata króciutki limit czasowy absolutnie wykluczał taką ewentualność. Taka konkluzja świtająca mi w głowie, z bezwstydnym odcieniem złośliwości, którego nie miałam zamiaru negować, poprawiła nieco moje marne dotychczasowe samopoczucie. Z większym zainteresowaniem przyjrzałam się zabytkowej posadzce z centralną mozaiką przedstawiającą kosz z bochenkami chleba i dwiema rybami po jego bokach. Ciekawe wydały mi się motywy roślinne, uwiecznione na pozostałych podłogowych mozaikach absydy. Oświetlały je promienie słoneczne, padające z okna powleczonego prześwitującą masą. Chyba perłową? − zastanawiałam się. Efekt był naprawdę oryginalny. Na jego podziwianiu zakończyłam mój pobyt w kościele Rozmnożenia Chleba i Ryb.

Do sanktuarium na Górze Błogosławieństw dotarliśmy na przysłowiowy ostatni dzwonek. Rząd kramików z pamiątkami stojący przed jego wejściem już się zamykał. Zdołaliśmy jedynie uprosić obsługę małej kawiarenki, by zechciała na nas poczekać, gdyż po zwiedzeniu sanktuarium chcieliśmy się czegoś napić − nasze dzisiejsze zapasy zimnych napojów wyczerpały się już dawno w tej spiekocie. Teraz nie było na to żadnych szans, ponieważ należało w pierwszej kolejności biec na złamanie karku na szczyt wzgórza, aby siostry franciszkanki Niepokalanego Serca Maryi nie zamknęły nam przed nosem swojego przybytku. One ściśle przestrzegają obowiązujących godzin otwarcia kościoła. Mogliśmy się o tym przekonać, kiedy zziajani dobrnęliśmy do kościelnej furty i przywitała nas dyżurująca siostra, która wprawdzie z uśmiechem na ustach, ale kategorycznym tonem oznajmiła, że już za dziesięć minut musi zamknąć sanktuarium. Na te jej słowa braciszek natychmiast poprowadził nas do wnętrza kościoła i stanąwszy pod strzelistą kopułą, zachrypniętym od pośpiechu głosem przekazał nam strzęp najistotniejszych informacji:

– W tradycji chrześcijańskiej to wzniesienie piętrzące się na wysokości 150 metrów n.p.m. uznawane jest za miejsce nauczania naszego Pana. Według Ewangelii świętego Mateusza na tej górze Pan Jezus wypowiedział osiem błogosławieństw. Współczesny kościół, w którym stoimy, swoją formą nawiązuje do ich liczby. Został zbudowany na planie ośmiokąta nakrytego kopułą. W niej,

jak widzicie, umieszczono osiem okien, z witrażami zawierającymi łaciński tekst błogosławieństw. Czytając po kolei, mamy: błogosławieni ubodzy w duchu, płaczący, cisi, spragnieni sprawiedliwości, miłosierni, czystego serca, pokój czyniący, prześladowani. Jeszcze gwoli prawdy historycznej dodać muszę, że na zboczu góry odkryto ruiny kaplicy pochodzącej z IV wieku. Rozejrzyjcie się teraz trochę po wnętrzu! Kto chce, może zmówić krótką modlitwę! Czekam na zewnątrz!

Dostosowałam się do tego pierwszego polecenia. Najpierw, zadzierając głowę, starannie obejrzałam niebieskie witraże, od których zdecydowanie odcinały się czerwone, proste litery łacińskiego tekstu błogosławieństw, a następnie moje spojrzenie przykuł centralnie usytuowany ołtarz. Alabastrowy łuk, wsparty na czterech kolumnach, wyznaczał jego przestrzeń. Pod nim dostawiono dwie nierównej długości mensy − płyty ołtarzowe, osadzone na ciemnych, marmurowych blokach. Na dłuższej, tylnej, zamiast obrazu znajduje się kamienne tabernakulum, którego górna część w kształcie kopułki wykonana została z czarnego drewna i ozdobiona barwną polichromią. Jej szczyt wieńczy złocony krucyfiks. Całość wydała mi się stonowana, emanująca jednak dostojeństwem.

Wycofałam się na zewnątrz z zamiarem należytego otaksowania wzrokiem otoczenia kościoła, bo przedtem, prawie że biegnąc, niewiele zobaczyłam oprócz tego, że szczyt wzgórza, jeśli chodzi o florę, jest wyjątkowo urokliwy. Minąwszy kościelne krużganki, znalazłam się na

kamiennym placyku, otoczonym z każdej strony wspaniale zadbaną roślinnością. Dołączyłam do braciszka, który stojąc wraz z wianuszkiem moich współtowarzyszy, udzielał im jeszcze jakichś bardziej szczegółowych informacji o tym miejscu. Do mnie dotarła jedynie wzmianka, że Góra Błogosławieństw była miejscem odwiedzin papieża Jana Pawła II i tutaj odbyła się msza święta przez niego koncelebrowana oraz że ma tu w pobliżu swoją główną siedzibę ruch neokatechumenalny, mający na celu odnowę życia religijnego. Bardziej od braciszkowych informacji zafascynowała mnie jednak przyroda. Różne gatunki magnolii, niektóre w pełni ukwiecone, a niektóre dopiero co obsypane pączkami, poprzeplatane krzewami figowców z soczystozielonymi liśćmi na tle rzadkiego gaju oliwnego, za którym można było dostrzec przeświturającą taflę jeziora Genezaret, naprawdę mnie oczarowały. Na ziemię sprowadziła mnie oczywiście Zosia, pociągając energicznie za torbę.

– Chodź już nareszcie! Może uda nam się dostać jeszcze kawę! Inni już poszli, a ty ciągle gapisz się na te krzaki jak wół na malowane wrota!

– Nie zachwyca cię taki plener?

– Niczego sobie i owszem, ale nim nie ugaszę pragnienia!

Po chwili stanęłyśmy w ogonku przed barkiem. Ku rozczarowaniu Zosi młody barman oznajmił, że kawy nie dostaniemy, ponieważ aparat do jej parzenia jest już umyty i nie będzie go ponownie brudził dla kilku kaw. Pozostały

nam jedynie soki z wyciskanych owoców w horrendalnej cenie pięciu dolarów za szklankę. Podejrzewałam, że ta cena została specjalnie wywindowana, aby obsługa zrekompensowała sobie dodatkowy czas oczekiwania na nas. Trudno, jakoś trzeba było to przełknąć. Orzeźwiający pomarańczowy sok z kawałkami lodu wypity prawie że natychmiast podziałał jak balsam. Odprężeni po zaspokojeniu pragnienia mogliśmy znowu ulokować się w autobusie. Góra Błogosławieństw stanowiła finał naszego dzisiejszego pielgrzymowania, czym podobnie jak Zosia absolutnie się nie smuciłam, a co więcej, w duchu pogratulowałam sobie, że jakoś te wszystkie święte przybytki udało mi się zaliczyć. Nie było w końcu tak tragicznie. Może ze zbyt dużym pesymizmem rano się do nich nastawiłam?

Wracaliśmy do gorącej Tyberiady drogą obok miejscowości Migdal. Brat napomknął, że w starożytności istniało tutaj miasto Magdala, z którego zgodnie z chrześcijańską tradycją pochodzić miała Maria Magdalena. Ja po cichu dopowiedziałam sobie, że całkiem nie tak dawno zetknęłam się z nazwą „Magdala” podczas oglądania dokumentu z cyklu „Tajemnice Biblii”. Postawiono w nim hipotezę, że zamieszkała w tym mieście Maria Magdalena wywodziła się z rodziny bogatych kupców czerpiących zyski z handlu rybami, dzięki temu jako wierna uczennica Jezusa mogła wydatnie Go wspomagać finansowo w Galilei, no i jeszcze później, podczas pobytu w Jerozolimie. Dać temu wiarę czy nie? Nie za bardzo

zarówno wówczas, jak i teraz potrafiłam rozstrzygnąć. Nijak to się ma z wpajanym nam przez kościół ubóstwem założycieli chrześcijaństwa. A tak w ogóle to tyle ostatnio namnożyło się przeróżnych hipotez odnośnie do egzystencji Jezusa na ziemi i Jego najbliższego otoczenia, że można mieć różne zastrzeżenia. Przyczyniły się do tego odszyfrowywane Ewangelie: Tomasza, Filipa, Marii Magdaleny, Judasza Iskarioty, różne traktaty, pisma, w tym między innymi dzieje Piotra, Apokalipsa Jakuba, które pozostawały skrzętnie ukryte przez stulecia, a o których istnieniu świat dopiero dowiedział się z końcem XX wieku. Do tej pory badacze nie są zgodni co do właściwej interpretacji tych pism. Wiele wątków w nich zawartych jest sprzecznych lub absolutnie wyklucza nowotestamentowe opisy. Jeszcze na uczelni spotkałam się z opinią, że na Soborze Nicejskim w 325 roku, kiedy to stworzono podwaliny naszego kościoła, oparto się tylko na tych tekstach, które były wygodne w ówczesnych warunkach i potwierdzały ustanowioną wówczas doktrynę chrześcijaństwa. Wszystkie teksty, odbiegające treścią od niej, zostały odrzucone, uznano je za heretyckie i zakazano ich rozpowszechniania. Akurat z tą opinią zgadzam się w całej rozciągłości. Jednakże z dużą rezerwą podchodzę do, współcześnie formułowanych, różnych mnożących się „spiskowych teorii” na podstawie tych odkrytych źródeł. Uważam, że przynajmniej niektóre z nich są zbyt daleko posuniętą manipulacją…

Dalsze moje rozważania przerwał dojazd do hotelu. Wychodząc z autobusu, Zenek szepnął mi do ucha, że po kolacji planują pożegnalną nasiadówkę na tarasie. Obecność całego naszego stolikowego grona obowiązkowa! Nie sprzeciwiłam się. Za to braciszkowy komunikat, że za piętnaście minut mamy się stawić przed recepcją celem poświęcenia naszych dewocjonaliów, przyjęłam z wahaniem. Miałam wprawdzie te dwa różańce, kupione dla Beaty w Betlejem, ale poza tym nic więcej. Zosia też prawie niczego nadającego się do poświęcenia nie kupiła. Obydwie będziemy świecić oczami wśród pozostałych. Lepiej pewnie w ogóle nie złazić na tę uroczystość. Kiedy podzieliłam się z Zosią swoimi obawami, ofuknęła mnie:

– Coś ty? Zwariowałaś zupełnie! Jeśli nie pójdziemy, to dopiero zaczną wszyscy gadać! Bierz różańce, a ja tę małą betlejemską szopkę, którą kupiłam dla sąsiadki, i pójdziemy bez dyskusji. Staniemy na końcu, to nikt nie będzie widział, z czym przyszłyśmy, a przynajmniej nie damy im powodu do strzępienia sobie na nas języka.

Przyznać musiałam jej rację. Minutę po wyznaczonym czasie opuściłyśmy pokój, aby mieć sto procent gwarancji, że staniemy za innymi i nikt nie za bardzo będzie mógł dostrzec, z czym przyszłyśmy. Konspiracja zdała egzamin. Gdy patrzyłam na obłożonych dewocjonaliami moich współtowarzyszy w momencie odmawiania przez brata błogosławieństwa, mój złośliwy chochlik podszepnął mi, że przy tak dużej ilości zakupionych świętości będą

z pewnością mieli nielichy problem z zapakowaniem się. I wykrakałam.

Zaraz po zakończeniu święcenia na schodach dopadła do nas „siostra” Danka z wielką prośbą, jak się wyraziła, czy zgodziłybyśmy się upchać w swoich bagażach chociaż jedną siatkę jej pamiątek. Nakupiła ich strasznie dużo dla obdarowania swojej licznej rodziny i teraz boi się, że nie zmieszczą się do jej walizek.

– A przecież wy prawie niczego nie macie! − wyrwało jej się na koniec proszalnej tyrady.

Prawdę powiedziawszy, tym stwierdzeniem rozsierdziła nas. Spojrzałyśmy po sobie wymownie. Ja miałam już na końcu języka, aby odparować jej ciętą ripostą w rodzaju „Jeśli jesteś taka wścibska, to martw się teraz sama. My nie wnikamy, ile kto nakupił pamiątek!” i ostatecznie odprawić ją z kwitkiem, ale Zosia, zobaczywszy moją krewkość malującą się w oczach, uprzedziła mnie polubownym stwierdzeniem:

– Dobrze, daj już te swoje pamiątki. Jakoś je przewieziemy. Na pielgrzymce należy sobie pomagać. − To drugie zdanie skierowała wprost do mnie, aby ostudzić moje zacietrzewienie.

– Wielkie dzięki! Zmówię zdrowaśkę w waszej intencji! – usłyszałyśmy w momencie, kiedy to ja z racji tego, że jestem młodsza, bez słowa wyciągnęłam rękę, aby zabrać jej siatkę do pokoju. Ugięłam się pod ciężarem. Była naprawdę piekielnie ciężka. Danka nie powinna zmówić za nas tylko jednej zdrowaśki, ale przynajmniej kilka. Dałyśmy

się tak łatwo zrobić w konia. Pomstowałam, targając siatkę na górę. Sprytnej „siostrzyczce” nie tyle chodziło o to, że nie jest w stanie zapakować tego ze względu na objętość, ale na pewno bała się, że może mieć nadbagaż i będzie musiała dopłacać. Teraz my znalazłyśmy się w nie lada kłopocie. I miej tu miłosierne serce!

Skutek był taki, że Zosia trzy czwarte swoich maneli oddała mi do walizki, a do swojej włożyła ten nieszczęsny pakunek Danki. Stwierdziłyśmy, że takie rozwiązanie jest najlepsze, ponieważ po przylocie łatwiej będzie oddać jej w całości siatkę, a ja też bez problemu będę mogła wyciągnąć Zosine rzeczy, jeśli będą zgromadzone w jednej kupce. Wszystko dobrze, ale przez swoje miłosierdzie Zosia ze względu na ciężar nie chciała już ryzykować przewożenia butelki wina, która jej jeszcze została z Kany Galilejskiej. Ja również, mając nalewkę dla Jacka, bałam się dodatkowego ryzyka. Trzeba było je wypić. Wprawdzie Zosia kategorycznie odmówiła udziału w pożegnalnej nasiadówce, tłumacząc się, że przed lotem zamierza się porządnie wyspać, ale ze względu na potrzebę wypicia wina miałam nadzieję, iż zdołam ją jednak przekonać, aby chociaż na chwilę ze mną poszła. Nic z tego. Oświadczyła, że chętnie odda mi wino, ale na imprezkę muszę iść sama. Uniosłam się honorem i chciałam zapłacić jej za to niefortunne wino, lecz ona pomimo moich nalegań stanowczo odmówiła. Szczerze mówiąc, do tej pory zastanawiam się, czy po prostu nie było jej głupio, że tak

łatwo dała się wmanewrować tej świątobliwej Dance, angażując i mnie w ten ambaras.

Po trudach pakowania czas pozostający do kolacji postanowiłam wykorzystać na zakrzątnięcie się wokół siebie − umycie głowy, sandałów etc. Nie miałam ochoty na dodatkowe spacerowanie. Zosia wraz z panią Elą wyszła na ostatni rekonesans po sklepach Tyberiady. Wolne pół godziny przed kolacją spędziłam na tarasie, fundując sobie miłą labę. Moją błogą bezczynność przerwał Waldek, oświadczając z humorem, że niestety musi dotrzymać mi towarzystwa, ponieważ Tereska wpadła w amok pakowania i najzwyczajniej wywaliła go na ten czas z pokoju, żeby nie pętał jej się pod nogami. Zaoferował się za to zrobić kawę w kuchennym aneksie. Wprawdzie kawa tylko z nazwy ją przypominała, według mnie była to najzwyklejsza zbożowa inka, ale liczyła się dobra intencja. Z braku laku i taką da się wypić w przyjemnym towarzystwie.

Hasłem naczelnym przy kolacji, całkiem skromnej jak na naszą ostatnią wspólną, była idea, aby koniecznie jakiś czas po przyjeździe urządzić popielgrzymkowe spotkanie. Rozważano, gdzie i ewentualnie kiedy mogłoby się odbyć. Ja z oczywistych względów od razu się z tej dyskusji wyłączyłam. Niepodobieństwem byłoby, abym po dwóch tygodniach miała się znowu telepać do Wiednia.

Miał być miły pożegnalny wieczór, ale nasiadówka kompletnie nie wypaliła. Z tych wszystkich, które się odbyły w ciągu całego pobytu w Ziemi Świętej, ta okazała się dla mnie najmniej przyjemna. Może dlatego, że nasze myśli

nakierowane już były na bieżące sprawy, czekające po powrocie do domu? Jednak chyba bardziej dlatego, że oprócz stałego grona dosiadły się panie, z którymi przez cały okres pobytu miałam dość sporadyczny kontakt, ponieważ wspólnie z Zosią już na początku zaszufladkowałyśmy je do typu bigotek. Pomimo wypitego wina nie zapanował między nami pogodny nastrój. Nawet Waldek, pełniący do tej pory z powodzeniem funkcję wodzireja, niewiele mógł wskórać. Ani żarty, ani próby nawiązania rozmowy na jakiekolwiek lżejsze tematy się nie udawały. Pewne ożywienie nastąpiło dopiero, kiedy ktoś wspomniał o roli przedstawicieli narodu żydowskiego w kształtowaniu się współczesnego świata. Myślałam, że spadnę z krzesełka, gdy jedna z pań kategorycznie ucięła wszelkie rozważania bezkompromisowym stwierdzeniem:

– Całe zło współczesnego świata wywodzi się od Żydów i masonów! Nie ma o czym gadać! Wszyscy to od dawna wiedzą!

Ten wyświechtany, wstrętny banał zmroził mnie. Cóż mogłam zrobić? Z rozpaczą spostrzegłam, że większość go akceptuje. Jedynie Waldek i Tereska podobnie jak ja wzdrygnęli się na te słowa z obrzydzeniem. Właściwie powinnam była głośno zaprotestować, ale z miny Waldka odczytałam, że nie warto wdawać się w dyskusję. Te panie przeszły pranie mózgu pod wpływem katolickich periodyków. Żaden argument, nawet taki najprostszy, że naród żydowski wydał najwięcej noblistów, którzy przecież poczynili milowe kroki dla rozwoju całej ludzkości, do nich

absolutnie by nie dotarł. Nie mówiąc już o tym, że gdybym zadała im pytanie, czy wiedzą w ogóle, czym były oraz czym są współcześnie masońskie loże, to chyba nie potrafiłyby mi nic konkretnego odpowiedzieć. Ja jednak odpuściłam. Uznałam jednak, że dalsze przebywanie w tym towarzystwie jest bezsensowne. Czułam, iż się w nim duszę. Wyszłam. Nawet szeroki taras wydał mi się zbyt ciasny. Poszłam na dół, do łącznika, aby tam zapalić i ochłonąć.

Zosia jeszcze nie spała. Mogłam jej zdać relację. Wysłuchawszy mnie, stwierdziła:

– Nie przejmuj się. Szkoda twoich nerwów. Pomyśl, że jutro rozstaniemy się z tym wielce świętoszkowatym towarzystwem. Ja też mam już ich po dziurki w nosie. Obydwie dostałyśmy nauczkę, żeby więcej na takie pielgrzymkowe imprezy się nie pisać.

– Szkoda tylko tego wina. Mogłyśmy je same wypić! − odpowiedziałam zasępiona.

– Przestań, bo jak tak gadasz, to wyłazi z ciebie poznańska pyra!

Obydwie parsknęłyśmy śmiechem. Na złorzeczeniach na niewygodne łóżka, w których przyszło nam spać, upłynęły ostatnie chwile tego kolejnego, wyczerpującego dnia w Ziemi Świętej.

~ DZIEŃ XII ~

Piątek

Zbudziłyśmy się prawie że równocześnie po źle przespanej nocy. Do spania na zbyt miękkich materacach dołożył się lęk przed czekającą nas podróżą powrotną. Chociaż na ogół nie cierpię na popularny rajzefiber, to akurat tej nocy dopadł mnie ze zdwojoną siłą. Denerwowałam się nie tyle o sam lot, ile o kontrole na lotnisku, o których krążyła fama, że są niezwykle drobiazgowe. Uspakajałam się, że przecież bez problemów przepuszczą mnie z jedną butelką nalewki, dwoma poświęconymi różańcami oraz dwoma kartonami daktyli, ale irracjonalne lęki nie chciały ustąpić. Skutek był taki, że rano wstałam zmęczona, tak jakbym całą noc przebalowała. Zosia kręciła się jak piskorz na swoim posłaniu i przynajmniej trzy razy wstawała do łazienki, czego nigdy przedtem nie robiła. Guzdrząc się niemiłosiernie, zdołałyśmy się doprowadzić do ładu i spakować resztki naszych rzeczy zgodnie z wczorajszymi wytycznymi, aby jeszcze przed śniadaniem mieć ostatecznie zapakowane walizki, gdyż zaraz po nim bezzwłocznie znosimy je do autokaru i odjeżdżamy. Śniadanie

wyznaczone było na godzinę siódmą. Zdążyłyśmy punktualnie. Widziałam, że niektórzy robią sobie jakieś kanapki na drogę, bo dzisiaj obiad czeka nas dopiero w samolocie, ale ja to zupełnie zignorowałam, czego później przyszło mi gorzko pożałować. Swoim zwyczajem poprzestałam na wypiciu filiżanki kawy i zjedzeniu jednej kanapki. Pilno mi było do łącznika. Zosia również wyparowała ze stołówki o wiele szybciej niż zazwyczaj, gnając ile sił w nogach do łazienki. Na szczęście mnie opuścił już nocny rajzefiber, a u niej najwidoczniej jeszcze trwał.

Wkładanie bagaży do luków autokaru ślimaczyło się. Ktoś tam oczywiście jeszcze czegoś zapomniał i musiał biec do pokoju. Mnie to nie przeszkadzało, ale inni się niecierpliwili. Brat wydął z niezadowolenia wargi i pokiwał z dezaprobatą głową, widząc mnie sięgającą po papierosa zaraz po oddaniu walizki. Lekko spóźniona Zosia warknęła na mnie, że dopiero co wypaliłam jednego po śniadaniu, a już sięgam po następnego. Nie przejęłam się. W końcu lata doświadczeń nauczyły mnie, że nie można marnować takich okazji. Przed nami tyle godzin jazdy, no i do tego lot bez możliwości zapalenia.

Spakowani, bez większego żalu opuszczaliśmy duszną i już zakorkowaną o tej porze Tyberiadę. Brat jeszcze wczoraj nadmienił, że dzisiaj nie będzie mszy, a po drodze zwiedzimy szybciutko, jako końcowy akord pielgrzymki, ruiny Kursi i Korozain, tak by najpóźniej do jedenastej opuścić Galileę i w około dwie godziny spokojnie dojechać

do Tel Awiwu-Jafy. Na lotnisku musimy być przynajmniej trzy godziny przed odlotem, czyli o trzynastej, takie są izraelskie wymagania. Odlot mamy kilka minut po szesnastej. W autobusie jeszcze raz nam to dokładnie wyłuszczył. Po tych praktycznych informacjach na jakiś czas mikrofon brata zamilkł. Dopiero po opuszczeniu Tyberiady, kiedy autokar nabrał normalnego tempa, raźnie mknąc po znajomej już z poprzednich dni drodze numer dziewięćdziesiąt, przechodzącej w osiemdziesiąt siedem i ciągnącej się wzdłuż wybrzeża jeziora Tyberiadzkiego w kierunku północnym, od nowa usłyszeliśmy jego głos:

– Moi drodzy, na sam koniec obejrzycie dwa arcyciekawe miejsca z okresu, kiedy nasz Pan chadzał po ziemskim padole. Najpierw okrążymy północny brzeg jeziora i drogą numer dziewięćdziesiąt dwa, prowadzącą wzdłuż jego wschodniego brzegu, dotrzemy do Parku Narodowego Kursi. Normalnie bylibyśmy na miejscu w przeciągu trzydziestu minut, ale ze względu na korki przy wyjeździe z Tyberiady ten czas nam się wydłuży. Dlatego jak zwykle będę musiał was nieco poganiać. Obiecuję, że więcej już nie będę tego robić! − Powiedział to z tak kamienną twarzą, że dopiero po chwili większość wybuchnęła śmiechem. W mikrofonie brata rozległo się gromkie rechotanie. – Już myślałem, że nie zajarzycie! Pewnie, że po raz ostatni będę to robił, a potem, kiedy wy będziecie siedzieć w samolocie, udam się na zasłużony wypoczynek. Należy mi się po tych dwunastodniowych utarczkach z wami!

– No nie, aż tacy nieznośni to nie byliśmy! – Żywo zaprotestowaliśmy.

– Nie, nie, ale zawsze po takim maratonie z lubością wracam do mojej klasztornej celi, zarzekając się, że więcej nie podejmę się pilotowania grup pielgrzymkowych… oczywiście do następnego razu. – Mówiąc to, zrobił zbolałą minę. Nie pozostawało nic innego, tylko się zaśmiać. – Odbiegliśmy od meritum. Wracajmy zatem do Kursi. – Braciszek z powrotem przybrał poważniejszy ton, chociaż uśmiech nadal widoczny był na jego twarzy. Pomyślałam, że naszemu przewodnikowi, czego jak czego, ale talentu w prowadzeniu grup pielgrzymkowych nie brakuje. — Wzmianki o tym miejscu spotyka się w Talmudzie. Przez judaistów Kursi jest utożsamiane z miejscem hańby. Zamieszkująca w nim ludność dopuszczała się grzechu bałwochwalstwa, oddając cześć fałszywym bożkom. Jako ludność pogańska kultywowała ona swoje obyczaje, które według praw Mojżeszowych były bezwzględnie zakazane. Stąd też Żydzi traktowali ich jako swoich wrogów i dlatego tak odmalowano ich w Talmudzie. Natomiast w naszej tradycji to miejsce identyfikowane jest z cudem uzdrowienia opętanych. Nasz Pan przebywał przez jakiś czas wśród tej pogańskiej ludności i tam nauczał oraz, tak jak wspomniałem, dokonał cudu uzdrowienia. Z umysłu opętanych wygnał złe duchy, pozwalając im zawładnąć trzodą świń. W rezultacie świnie rzuciły się z urwistego zbocza wprost w wody Jeziora Galilejskiego. Wzmianki na ten temat można znaleźć w Ewangeliach świętych

Mateusza, Marka i Łukasza. W V wieku istniał tutaj klasztorny kościół bizantyjski. Najazd Persów w 614 roku, trzęsienie ziemi w VIII wieku, które zniszczyło klasztor, i późniejsze osiedlenie się Arabów na tym obszarze spowodowały, że praktyczne od IX wieku miejsce to pod względem sakralnym przestało istnieć. Ruiny zespołu klasztornego pozostawały w zapomnieniu aż do 1970 roku, kiedy to podczas budowy drogi przypadkowo je odsłonięto. Wezwani na miejsce archeolodzy odkryli wówczas jego pozostałości. Jak do tej pory znalezisko w Kursi uważane jest za największy odkryty kompleks klasztorny na terenie Izraela. My ze względu na czas ograniczymy się do zwiedzenia ruin kościoła.

Z okna autobusu dostrzegłam, że dotarliśmy na wschodni brzeg Jeziora Galilejskiego. Jadąc pagórkowatą drogą wzdłuż jego brzegów i widząc majaczące zbocza wzgórz Golan, po ujechaniu mniej więcej dziesięciu minut znaleźliśmy się u celu. Odczytałam tablicę informacyjną: „Park Narodowy − Kursi”. Autokar zatrzymał się w pobliżu kompleksu otoczonego kamiennym murem. Zamiast od razu poddać się klimatowi i podziwiać zastane pozostałości z czarnego bazaltu w duchu klęłam na czym świat stoi na swój nieodpowiedni ubiór. Upał był jak zwykle dokuczliwy od rana, a ja, jak ostatnia idiotka, nie wzięłam tego pod uwagę i dla wygody od razu ubrałam się jak na przelot, w długie dżinsy. Za moją poradą Zosia uczyniła to samo, wkładając wyjściowe spodnie. Wolałam się od niej znaleźć w bezpiecznej odległości, aby nie miała okazji się na mnie

wyładować z tego powodu. Może po powrocie do autobusu zapomni? − pocieszałam się w myślach. Na szczęście pobyt na otwartej przestrzeni w Kursi był króciutki. Po zlustrowaniu częściowo odrestaurowanych, dających nieco ochłody murów i mozaik z motywami kwiatów i zwierząt na posadzce, na której widniała inskrypcja datująca ją na 585 rok, przeszliśmy jeszcze tylko do znajdującego się w pewnej odległości od nich baptysterium. Na tym pobyt w tym miejscu zakończyliśmy. Trochę szkoda, bo pomimo upału stwierdziłam, że te ruiny, leżące na uboczu i zapewne przez to nie tak oblegane przez zwiedzających, mają swój wyjątkowy klimat. Warto by było dłużej pospacerować, napawając się uczuciem przemijania, które osobliwie tutaj wyzierało z każdego kamiennego bloku.

Kilka ciekawskich pań chciało jeszcze koniecznie odwiedzić znajdujący się na terenie kompleksu sklep pamiątkarski, ale braciszek stanowczo się temu sprzeciwił:

– Nie ma na to czasu i basta!

Plany brata pokrzyżował jednak arabski sprzedawca, który nie zważając na nic, z impetem wdarł się do wnętrza autobusu i zaoferował nam zawieszone na obydwu rękach, od ramion aż do łokci, różańce i ozdobne wisiorki po wyjątkowo atrakcyjnej cenie. Takiej gratki nasze panie nie mogły przepuścić. Braciszek głośno wyraził sugestię, że taka niska cena jest wielce podejrzana. Być może te bibeloty pochodzą z kradzieży. Ale jakoś nikt się tym nie przejął. Ostatnie zaskórniaki zostały wydane na te świecidełka. Zosia jako jedna z pierwszych nabyła ceglasty

wisiorek w kształcie amforki, zawieszony na rzemyku, a ja idąc w jej ślady, kupiłam całkiem podobny, tyle że w turkusowym odcieniu. Nie wiem, czy kiedykolwiek go założę. Pewnie spocznie na zawsze w szkatułce razem z bransoletką kupioną na górze Tabor, ale skoro wszyscy wpadli w szał kupowania, to i mnie się on udzielił. Przynajmniej moja przyjaciółka, zaabsorbowana zakupami, zapomniała o łajaniu mnie z powodu niefortunnej porady włożenia długich spodni.

Do Korozain, ostatniego przystanku w Galilei i w ogóle ostatniego miejsca zwiedzania na trasie naszej pielgrzymki, dojechaliśmy po upływie mniej więcej pół godziny, okrążając północny brzeg Jeziora Galilejskiego. Trasa wiodła przez miasto Ramot, osadę Ma’ale Gamla, Almagor i omijała szerokim łukiem Kafarnaum. W trakcie tej krótkiej jazdy brat zdążył nam przekazać, że zobaczymy ruiny biblijnego miasta galilejskiego, w którym nasz Pan też nauczał. Trochę lakonicznie to zabrzmiało, ale miałam nadzieję, że na miejscu dowiemy się nieco więcej. Dojechaliśmy do moszawu Korazim i poruszając się jego wewnętrzną drogą, dotarliśmy do wzgórza z Parkiem Archeologicznym Korozain.

Oczom naszym ukazały się resztki murów oraz fundamentów domów w większości wykonane z czarnego bazaltu, pozyskiwanego od zawsze w tej okolicy. Wśród tego rumowiska brat powiódł nas do jego centralnego placu, gdzie piętrzyły się większe fragmenty bazaltowych bloków, wskazujące, że stoimy w ruinach obiektu

spełniającego niegdyś jakieś funkcje publiczne. Kiedy utworzyliśmy ciaśniejszy krąg, usłyszeliśmy:

– Moi drodzy, naszą wędrówkę po świętych miejscach zakończymy tutaj, gdzie według Ewangelii świętego Łukasza nasz Pan nauczał i uzdrawiał, a także gdzie wypowiedział znamienne słowa: „Biada tobie, Korozain! Biada tobie, Betsaido! Bo gdyby w Tyrze i Sydonie działy się cuda, które u was się dokonały, już dawno w worze i w popiele by się nawróciły […]. A ty, Kafarnaum, czy aż do nieba masz być wyniesione? Aż do Otchłani zejdziesz […]”[1]. Ten ustęp cytowany za Ewangelią świętego Mateusza ma symboliczne, nieprzemijalne brzemię i do dziś jest mottem służącym do rozważań odnośnie do naszych postaw w stosunku do Boga. Tym, którzy nie za bardzo wiedzą, co mam na myśli, spieszę z szerszym objaśnieniem. Otóż w czasach Pana Jezusa te trzy wymienione żydowskie miasta rozwijały się dosyć prężnie. Kwitło dochodowe wówczas rybołówstwo, handel, rozwijało się rzemiosło, na skalę przemysłową pozyskiwano olej z oliwek i tak dalej. Przykładem ich zamożności mogą być ruiny tej okazałej synagogi, przy której stoimy. Żyjący we względnym dobrobycie tutejsi mieszkańcy, pomimo że byli naocznymi świadkami cudów czynionych przez Jezusa i mieli zaszczyt słuchania Jego nauk, ostatecznie jednak nie nawrócili się całym sercem do Boga. Wprawdzie niektórzy stali się uczniami Pana, jak na przykład Filip, Andrzej i Piotr pochodzący z Betsaidy, ale większość pozostała ślepa i głucha. Wygodniej było im traktować z lekceważeniem

Jego nauki i widzieć w Nim jedynie lekarza, który leczy za darmo. Nasz Pan doskonale zdawał sobie z tego sprawę i z ubolewaniem zwrócił się do nich. Jego słów nie można interpretować jako bezpośredniej groźby, lecz jest to raczej apel, który zawiera prośbę: „Słuchajcie mnie! Przemyślcie to jeszcze raz!”. Mam nadzieję, że w tej scenerii dobrze utkwią wam w pamięci te słowa. Pragnę, abyście z tym przesłaniem szczęśliwie powrócili do domów!

Zaległa znacząca cisza. Brat nas zaskoczył. Przyznać muszę, że jego słowa poruszyły i mnie, chociaż przedtem uzbroiłam się w grubą skorupę, od której tego typu religijno-etyczne pouczenia się odbijały. Chwilę nawet podumałam, czy nie należałoby się nad tym wszystkim głębiej zastanowić z większego dystansu i być może zmodyfikować nieco swe dotychczasowe zasady. Moja natura, akurat całkiem pragmatyczna, w tym momencie podpowiedziała mi jednak, że takie rozważania lepiej pozostawić na powrót do domu, bo teraz i tak nic nie zwojuję. Lepiej skupić się na zabytkach, skoro dane mi jest ich oglądanie.

Przedłużającą się ciszę przerwał brat uwagą, że jeśli chodzi o te trzy biblijne niewdzięczne miasta, to w sumie najwięcej problemów archeolodzy mieli z odnalezieniem starożytnej Betsaidy.

– Dopiero całkiem nie tak dawno, bo w latach osiemdziesiątych XX wieku, sprawa się wyjaśniła. Uznano, że odsłonięte już dawniej ruiny na wzgórzu et-Tell są pozostałościami tak zwanej Betsaidy-Julias, z kolei

wymieniana w Ewangeliach Betsaida musiała być wioską rybacką, leżącą bezpośrednio przy ujściu Jordanu do jeziora Genezaret, a więc na terenie współczesnego el-Aradż. Odnalezione na wzgórzu et-Tell artefakty świadczą o tym, że była to bogatsza dzielnica. Bezpośrednio przy jeziorze zaś musiała zamieszkiwać ludność biedniejsza. Obydwóm przypisana jest nazwa Betsaida, chociaż nie tworzyły one jednej aglomeracji, funkcjonowały oddzielnie. To chciałem wam przekazać już na marginesie, gdyż w swoim czasie toczyły się o Betsaidę zacięte spory. Może ktoś o nich słyszał?

Pokręciliśmy przecząco głowami.

– Pytam, bo sam się tym interesowałem, śledząc różne koncepcje, snute przez badaczy odnośnie do jej położenia. Zostawmy Betsaidę − kontynuował. − Kafarnaum nie ma sensu przywoływać, bo już je dogłębnie poznaliście, przypatrzcie się lepiej pozostałościom niewdzięcznego Korozain. Stoimy na centralnym placu tego starożytnego miasta wśród gruzów synagogi, w której najprawdopodobniej nauczał nasz Pan, chociaż niektórzy twierdzą, że pochodzi ona z czasów późniejszych. Zwróćcie uwagę na zachowany fragment fasady. Nadal są na nim dobrze rozpoznawalne żydowskie motywy ozdobne, niegdyś w jaskrawych kolorach. Jak dotąd nie natknięto się tutaj na żadne pozostałości mozaik − ani ściennych, ani podłogowych. Widocznie akurat ta synagoga nie była nimi przyozdobiona, co stanowi pewnego rodzaju ewenement. Za to natrafiono na fragmenty rzeźb, zaś ta sterta kamieni

obok fasady, z zachowanym łukowatym wejściem, jest pozostałością rytualnej mykwy. Myślę, że już macie dosyć oglądania ruin i bezsensowne byłoby nakłanianie was do indywidualnego spaceru między nimi. Nie ma na to już zresztą czasu. Proponuję przemarsz do autobusu z przystankiem przy toaletach. Idąc, zwróćcie tylko uwagę na dużą ilość odkopanych tutaj kamiennych kół, służących do wyciskania oliwy. Najlepiej świadczy to o tym, że starożytni mieszkańcy Korozain na masową skalę trudnili się tym dochodowym zajęciem.

Zgodnie z zaleceniem brata popatrzyłam na walające się tu i ówdzie wśród ruin olbrzymie kamlotowate koliska albo, jak by je Zosia określiła, skole, lecz po oglądnięciu iluś już, prawie że identycznych, egzemplarzy zarówno na wystawie w Kafarnaum, jak i poprzednio w innych miejscach, ich widok absolutnie mnie nie poruszył. Tak samo było z mozaikami… Pewnie, że można rozczulać się tym, iż są odkopane po wielu wiekach i stanowią namacalne świadectwo rozwoju oraz działalności człowieka, ale jak długo?! Ich widok mi spowszedniał. Inni przeszli w ogóle bez zatrzymywania się, a ja wlokłam się na szarym końcu, przez to i toaletę zaliczyłam jako ostatnia, miotając przekleństwa przy ściąganiu lepiących się od potu spodni. Zazdrościłam przezorności Teresce, która defilowała w krótkich spodenkach, a na lotnisko naszykowała sobie reklamówkę ze spodniami do przebrania.

Z Korozain wyruszyliśmy z niewielkim opóźnieniem. Nawet braciszek nie za bardzo nas za to ganił, bo, jak

stwierdził, zmieściliśmy się w przewidzianych widełkach. Następnie przypomniał nam raz jeszcze, że teraz czeka nas ponad dwugodzinna trasa.

– Z Dolnej Galilei musimy przemieścić się na równinę Szaron, czyli z dystryktu Północnego poprzez dystrykt Centralny ze stolicą w Ramla i dystrykt Hajfy do dystryktu Tel Awiwu. Docelowo do lotniska Ben Guriona, leżącego w kierunku południowo-wschodnim, piętnaście kilometrów od tej metropolii. Kto chce, ten może się teraz trochę przespać, a komu się nie chce, może umilić sobie drogę popatrywaniem przez okno na mijaną okolicę. To w końcu dla was póki co ostatnia jazda po izraelskich drogach! Ja się teraz wyłączam! − Zgrzyt mikrofonu był oznaką, że tak się właśnie stało.

Nie pozostawało nic innego, jak tylko dostosować się do jego zalecenia. Umościłyśmy się wygodnie w fotelach. Zosia popadła w drzemkę prawie że natychmiast, a ja przykleiłam twarz do szyby, usiłując zakodować sobie w pamięci mijane krajobrazy. Początkowo szło mi to całkiem nieźle. Pofałdowane galilejskie pagórki, poprzecinane uprawnymi polami, plantacjami drzew owocowych i zielonymi gaikami miały swój nieodparty urok, ale po jakimś czasie ten krajobraz wydał mi się już dość monotonny. Tym bardziej, że przez większe miasta przejeżdżaliśmy obwodnicami. Droga numer sześćdziesiąt pięć omijała Kadarim i Massad, a siedemdziesiąt siedem prowadziła obok Kefar Kanny, Zarziru i miasteczka Ramat Jiszaj. Dalej przestałam już śledzić numerację dróg. Wiem jedynie, że po ominięciu

miejscowości Jokne’am i później Eliakim po jakimś czasie dojechaliśmy do autostrady numer sześć. Minęliśmy miasto Kafr Kara, administracyjnie przynależące do dystryktu Hajfy. A po przejechaniu miasteczka Zemer, w niewielkiej od niego odległości, autokar zatrzymał się na stacji paliwowej − dla rozprostowania nóg, jak to określił brat. Kto chciał, mógł skorzystać z toalety.

Zbudziłam śpiącą do tej pory Zosię i z ochotą wyszłam na zewnątrz. W samą porę zarządzono postój, bo moje nogi naprawdę zesztywniały od siedzenia. Kusząco pachniała kawa w barze szybkiej obsługi, ale nie mieliśmy na nią szans, ponieważ trafiliśmy na południowy szczyt. Kolejka po nią odstraszyła nawet najbardziej zatwardziałych kawoszy, wśród nich i biedną Zosię, która znowu musiała z niej zrezygnować. Na pocieszenie powiedziałam jej, że przecież na lotnisku po kontrolach będzie można wypić małą czarną, czym narobiłam sobie kłopotu. Moja przyjaciółka, lodowato cedząc każde słowo, odparła:

– Na głowę jeszcze zupełnie nie upadłam! Wiesz, ile przyszłoby nam zapłacić tam za kawę? Lepiej już poczekać do samolotu. Wprawdzie zaserwują nam lurę, ale gratisową. Pierwszą rzeczą, jaką zrobię po przyjeździe, będzie zaparzenie sobie filiżanki z mojego ekspresu. Jest świetna. Przez cały czas mi jej brakowało.

Usłyszawszy to, pomyślałam, że Beata też uraczy mnie mocną, aromatyczną kawą i będzie się dziwiła, że tak wolno ją piję. Zawsze tak robi… E, nieważne. Wszystko zniosę, byleby wrócić jak najszybciej do domu!

Podczas postoju dowiedzieliśmy się, że do przejechania pozostało nam jeszcze ponad pięćdziesiąt kilometrów. Ten odcinek, przynajmniej w teorii, pokonać powinniśmy szybciej, gdyż przez cały czas będziemy jechać teraz autostradą.

Przegapiłam tablicę oznaczającą granicę dystryktów. Chyba jesteśmy w dystrykcie Centralnym, a może już na obrzeżach dystryktu Tel Awiwu? Chyba jednak jeszcze nie, bo jakiś czas po tym, jak autokar opuścił stację, na wysokości miasta Tulkarm autostrada zaczęła biec w bezpośrednim sąsiedztwie zachodniej palestyńskiej granicy. Tak zwanej zielonej linii. Łatwo można ją było poznać z okien autobusu po murze bezpieczeństwa odgradzającym to arabskie miasto.

Ostatecznie porzuciłam śledzenie dalszej jazdy od momentu, kiedy Waldek przerwał senną atmosferę prośbą skierowaną do brata, aby ten jeszcze na koniec opowiedział kilka wiców, które poprawią nam humory przed odlotem. Brat nie dał się długo prosić. Z mikrofonu posypały się zabawne historyjki z Ickiem i Masztalskim w rolach głównych. Autokar zatrząsł się od śmiechu. Nawet się nie spostrzegliśmy, gdy ujechaliśmy już całkiem spory końcowy odcinek trasy. Uświadomił nam to braciszek, który przybierając poważniejszy ton, stwierdził:

– No, dosyć tych głupot! Za chwilę dojedziemy bezpośrednio do lotniska. Liczyć należy się z tym, że na wjeździe może spotkać nas pierwsza kontrola. Nie przerażcie się tylko, kiedy wejdą do wnętrza autobusu

żołnierze z giwerami. Trzymajcie naszykowane paszporty, bo mogą chcieć je sprawdzić. I nie róbcie głupich min, kiedy się okaże, że będą kazali kierowcy otworzyć luk bagażowy i wezmą wyrywkowo parę walizek do sprawdzenia. Mają takie uprawnienia. Apeluję, abyście zachowali spokój. Podobnie jak przy sprawdzaniu walizek już na samym lotnisku. Oni mają bardziej zaostrzoną procedurę kontroli aniżeli inne porty lotnicze. Oczywiście podyktowaną względami bezpieczeństwa. Musicie do tego podejść ze zrozumieniem. Weźcie poprawkę na to, że grzebanie w czyichś rzeczach, i do tego nie zawsze czystych, do przyjemności nie należy. Ot, taką mają pracę.

Pierwsza kontrola na wjeździe do sektora wylotów lotniska Ben Guriona przebiegła bez niespodzianek. Poinstruowani przez brata grzecznie pokazaliśmy paszporty poważnej celniczce, której towarzyszyło dwóch po zęby uzbrojonych żołnierzy, i mogliśmy jechać dalej. Obyło się bez otwierania luków.

Podczas dojazdu do właściwego terminalu brat oficjalnie pożegnał się z nami. Życząc nam udanego powrotu i, w imię Boże, wszelkiej pomyślności. Zaapelował także, abyśmy sprawnie opuścili autokar, gdyż guzdrając się, narazimy kierowcę na uiszczenie opłaty postojowej. Posłuchaliśmy. Na odchodnym każdy z nas uścisnął dłoń naszego niezmordowanego przewodnika i za jego radą, trzymając się zwartą gromadą, przekroczyliśmy halę odlotów.

W długiej sali przegrodzonej barierkami najpierw przeprowadzono z nami standardowy wywiad. Jak długo byliśmy? Gdzie nocowaliśmy? Czy kogoś poznaliśmy, etc. Pomocą służyły te osoby, które biegle mówiły po angielsku. Następnie trzeba było nadać bagaż. Tutaj też wyglądało to trochę inaczej niż gdzie indziej. W pierwszej kolejności należało przepuścić walizkę przez namiot z rentgenem, a dalej indywidualnie dochodziło się z nią do kontroli. Walizka ponownie zostawała wówczas prześwietlona i prawie każda była otwierana. Mnie na szczęście ta niezbyt miła procedura ominęła. Celnik zapytał jedynie, gdzie nabyłam butelkę, która ukazała mu się na ekranie monitora, i bez otwierania walizki przykleił na jej wieku nalepkę, pozwalającą mi przejść do stanowiska nadawania bagażu. Zosi też się udało. Lecz innych trzepano drobiazgowo. Najgorzej miały te panie, które przewoziły bryłki soli znad Morza Martwego. Ich walizki celnicy rozbebeszyli dokumentnie. Długo trwało, zanim się wszyscy pozbierali i można było podejść do kontroli bagażu podręcznego i osobistej. Teraz organista miał pecha. Zapomniał biedak wyjąć dwóch metalowych monet z bocznej kieszeni spodni, przez co bramka rozdzwoniła się jak oszalała. Uf! Po tych emocjach nareszcie dotarliśmy do właściwego gate. Do odlotu pozostała jeszcze ponad godzina. Co robić? Ci, którzy zabrali ze sobą kanapki, zaczęli je pałaszować, a ja zobaczywszy to, też poczułam się głodna. Plułam sobie w brodę, że rano nie naszykowałam

niczego do jedzenia. Wyciągnęłam Zosię na rekonesans po sklepach.

Ładnie architektonicznie zaprojektowana, okrągłego kształtu, centralna sala hali odlotów, od której odchodzą korytarze prowadzące do poszczególnych poczekalni, w całości została zaadaptowana na centrum handlowe z restauracjami i barami włącznie. Zatoczyłyśmy kółko wokół niej. Butiki z ekskluzywną odzieżą przyciągały wzrok, lecz pomimo strefy bezcłowej ich ceny były nie na naszą kieszeń. Wstąpiłyśmy do minidelikatesów spożywczych i tam kupiłyśmy po opakowaniu arabskiej chałwy, która ponoć cenowo wypada tutaj korzystnie. Takie przynajmniej dostałam instrukcje od Beaty, a potwierdziła je Zosia. Dodatkowo pozwoliłyśmy sobie na korzenne herbatniki z sokiem do popicia. Łakocie miały oszukać nasze żołądki, które domagały się rozpaczliwie pożywienia. Częściowo nam się to udało, chociaż ciastka okazały się tak twarde, że aby je przeżuć, trzeba było każde jedno solidnie popić. Czas wlókł się niemiłosiernie wolno. Dlaczego zawsze ma się takie wrażenie, jeśli się na coś czeka, a gdy się coś konkretnego robi, to z kolei przemija zbyt szybko? Zdążyłam odnaleźć całkiem cywilizowaną, bo z klimatyzacją i ciągłym nawiewem, palarnię − dzięki temu po wyjściu na ubraniu nie czuło się nieprzyjemnego tytoniowego smrodu − a i tak upłynęło zaledwie dziesięć minut.

Koniec końców, wystartowaliśmy. Samolot austriackich linii lotniczych wyleciał punktualnie. Za mniej więcej trzy godziny i trochę wrócę do prozaicznego, codziennego życia,

uwikłana w nudne zajęcia. Ta prawda mnie zasmuciła. Czego ty tak naprawdę chcesz? − beształam w myślach samą siebie. Jeszcze dwa dni temu, podczas rejsu, usychałaś z tęsknoty za domem, a teraz jest ci żal, że do niego wracasz! Przestań się mazać! Wzbogaciłaś się o bagaż lepszych i gorszych wrażeń, które może i kiedyś upublicznisz, ale teraz na tym trzeba już postawić kropkę. Ciesz się z tego, co jest ci dane! W samą porę doszłam do tego wniosku. Stewardesy rozpoczęły właśnie wydawanie upragnionego obiadu. Rozbawił mnie ten zbieg okoliczności. Przestałam intensywnie dumać, dosłownie prawie rzucając się na podaną mi tacę z jedzeniem. Byłam naprawdę bardzo głodna! Spałaszowałam wszystkie wiktuały, woląc nie myśleć, iloma pierwiastkami z tablicy Mendelejewa są one naszpikowane. Raz na jakiś czas można sobie na to pozwolić. Nie stołuję się przecież codziennie w samolocie. Dobry humor powrócił. Lampka czerwonego wina, wypita po posiłku dla kurażu, teraz już bez obaw o małpi rozum, przypieczętowała świetny nastrój. Resztę lotu przegadałam z siedzącymi obok mnie Gosią i panią Marylką.

Wiedeń powitał nas deszczową aurą. Naprawdę bodajże po raz pierwszy ucieszyłam się z tego. Po tym dwunastodniowym ustawicznym prażeniu się na słońcu miła była taka odmiana.

Odebrałyśmy swój bagaż. W kącie lotniska natychmiast przepakowałyśmy nasze manele. Zosia wręczyła Dance jej pakę z bibelotami, a ja wyjęłam reklamówkę z Zosinymi

rzeczami. Obydwie odetchnęłyśmy z ulgą. Nie warto już było komentować zachowania „siostry” Danki, która po oddaniu paczki odwróciła się od nas na pięcie i odeszła. Nie padło z jej ust ani słowo „dziękuję”, ani nawet grzecznościowe, pożegnalne „cześć”. Wzruszyłyśmy ramionami. Zenek czekał na nas. Kierując się do wyjścia, pożegnałyśmy się z większością grupy.

Samochodem prowadzonym przez syna Zenka we trójkę dotarliśmy pod dom Beaty. Musiała nas wypatrywać, bo ledwie się zatrzymaliśmy, błyskawicznie wybiegła. Zenek i Zosia żartowali, że w pełni wywiązali się z obowiązku opieki nade mną, gdyż dostarczyli mnie bez żadnego uszczerbku. Beata zlustrowała mnie bacznie i zawyrokowała:

– Schudłaś, zmizerniałaś… Może za bardzo się umartwiałaś? Ale, dzięki Bogu, nie masz nadętej miny, to dobrze wróży. Oznacza, że nie będziesz na mnie pyskowała, iż wysłałam cię na tę kościelną pielgrzymkę! Bałam się, że urządzisz kosmiczną awanturę. − Powiedziała to z tak rozbrajającą szczerością, że nie pozostawało nic innego, jak tylko raz jeszcze ją uściskać.

Zenek pożegnał mnie dziarsko, zapowiadając, abym szykowała się na następny rok, na kolejną imprezę. Gdy żegnałam się z Zosią, i mnie, i jej zaszkliły się oczy. Przez te dwa tygodnie zżyłyśmy się na dobre. Obiecałyśmy sobie pozostawać w stałym kontakcie.

Najistotniejszą dla mnie wiadomość Beata przekazała mi zaraz po wejściu do domu. Bus do Poznania

z zarezerwowanym dla mnie miejscem odjeżdża za dwa dni!

Minęły one w okamgnieniu. Moja eskapada zakończyła się bladym świtem, kiedy to szczęśliwie dojechałam do stacji benzynowej w Poznaniu i mogłam paść w ramiona Jacka.

---

[1] *Ewangelia według świętego Mateusza* (Mt 11, 21, 23), *Biblia Tysiąclecia. Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu*, Wydawnictwo Pallotinum w Poznaniu, Poznań 2003.

Pielgrzymka inaczej
Wydanie pierwsze, ISBN 978-83-8147-006-3

© Barbara Szmigiero i Wydawnictwo Novae Res 2018

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Dominika Świtkowska
KOREKTA: Paulina Zyszczak
OKŁADKA: Izabela Surdykowska-Jurek
KONWERSJA DO EPUB/MOBI: Inkpad.pl

WYDAWNICTWO NOVAE RES
ul. Świętojańska 9/4, 81-368 Gdynia
tel.: 58 698 21 61, e-mail: sekretariat@novaeres.pl, http://novaeres.pl

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.